Wstęp do cyklu *Bridgertonowie* filmowanego jako serial przez NETFLIX

NOWY BESTSELLER „New York Timesa”

JULIA QUINN

Rejs ku miłości

AMBER

Romans historyczny

Julia Quinn

Rejs ku miłości

Przekład
Agnieszka Kowalska
Joanna Nałęcz

AMBER

Korekta
Barbara Cywińska
Hanna Lisińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Kateryna Yakovlieva/Shutterstock

Tytuł oryginału
The Other Miss Bridgerton

Copyright © 2018 by Julie Cotler Pottinger
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2019 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6965-8

Warszawa 2019. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Dla Emily.
Kiedy mówię, że nie zdołałabym tego zrobić bez Ciebie, rozumiem to dosłownie.

A także dla Paula.
Tylko powiedz mi jeszcze raz:
z której strony wieje wiatr?

1

Wczesne lato 1786

Jak na młodą kobietę, która dorastała na wyspie, a dokładnie w Somerset, Poppy Bridgerton bardzo mało czasu spędziła na wybrzeżu.

Woda nie była jej obca. W pobliżu rodzinnego domu znajdowało się jezioro, a rodzice Poppy pragnęli, by wszystkie ich dzieci nauczyły się pływać. Czy też, dokładniej, by nauczyli się pływać wszyscy ich synowie. Poppy, jedynej dziewczynce w tej wesołej gromadzie, nie spodobało się, że w razie morskiej katastrofy będzie jedyną spośród Bridgertonów, która pójdzie na dno, i poinformowała o tym rodziców – w tych właśnie słowach – na chwilę przed tym, jak pomaszerowała wraz z czterema braćmi na brzeg i rzuciła się do wody.

Pływać nauczyła się wcześniej niż trzej z nich (nie w porządku było porównywać ją z najstarszym – to oczywiste, że był pierwszy) i do dziś była, swoim zdaniem, najlepszą pływaczką w rodzinie. Fakt, że osiągnęła to w równej mierze za sprawą naturalnych zdolności, jak i przekory, nie miał żadnego znaczenia. Ważne było, że nauczyła się pływać. Dokonałaby tego, nawet gdyby rodzice nie kazali jej tamtego dnia czekać cierpliwie na trawie.

Prawdopodobnie.

Dzisiaj jednak nie miała w planach pływania. To był ocean, a w każdym razie kanał, i zimna, nieprzyjazna woda w niczym nie przypominała

tamtego łagodnego jeziora. Poppy mogła być przekorna, ale nie była głupia. A że była też zupełnie sama, niczego nie musiała nikomu udowadniać.

Poza tym zbyt dobrze się bawiła, zwiedzając tę plażę. Miękki piasek pod stopami, smak soli w morskim powietrzu – to wszystko było dla niej tak egzotyczne jak czarne serce Afryki, gdyby się w nim nagle znalazła.

No, może jednak nie, pomyślała, skubiąc zabrany na tę wycieczkę kawałek angielskiego sera, którego smak dobrze znała. Jakby jednak na to nie patrzeć, miejsce było dla niej nowe, nieznane, i tylko to się liczyło.

Zwłaszcza że cała reszta jej życia znowu pozostała taka sama jak do tej pory.

Był już prawie lipiec i drugi sezon Poppy – spędzony dzięki arystokratycznej ciotce, lady Bridgerton, w Londynie – właśnie dobiegł końca. Poppy zakończyła go tak samo, jak go zaczynała: niezamężna i z nikim niezaręczona.

I trochę znudzona.

Mogła była pozostać wśród londyńskiej śmietanki towarzyskiej jeszcze trochę, w nadziei, że spotka kogoś, kogo dotychczas nie poznała (raczej nieprawdopodobne). Mogła była przyjąć zaproszenie ciotki na wieś, do Kent, licząc, że naprawdę spodoba jej się któryś z dżentelmenów stanu wolnego, przypadkiem zaproszonych na kolację (jeszcze bardziej nieprawdopodobne). Jednak musiałaby wówczas zaciskać zęby i trzymać język na wodzy, gdyby cioteczka zaczęła dopytywać, co było nie tak z wybranym przez nią ostatnim kandydatem (zupełnie niewykonalne).

Kandydaci ciotki dzielili się na nudnych i nudniejszych; na szczęście Poppy została wybawiona przez przyjaciółkę z dziecinnych lat, Elizabeth, która przeniosła się do Charmouth kilka lat wcześniej wraz z mężem, przemiłym erudytą George’em Armitage’em.

George został właśnie wezwany do Northumberland w niecierpiących zwłoki sprawach rodzinnych, których szczegółów Poppy nie zdołała dotąd pojąć, a Elizabeth, w szóstym miesiącu ciąży, tkwiła samotnie w ich

nadmorskim domu. Znudzona bezczynnością zaprosiła Poppy do siebie na dłuższy pobyt, a Poppy z radością jej zaproszenie przyjęła. Przyjaciółki razem, tak samo jak za dawnych lat.

Poppy wrzuciła do ust kolejny kawałek sera. Prawie tak samo, biorąc pod uwagę wielki brzuch Elizabeth. To było nowe.

Oznaczało to też, że Elizabeth nie mogła towarzyszyć jej podczas codziennych wypraw na brzeg morza, choć to akurat nie miało większego znaczenia. Poppy nie uchodziła za nieśmiałą i wiedziała o tym, jednak – choć rozmowna – dość lubiła własne towarzystwo. A po kilku miesiącach rozmów o niczym w Londynie miło było przewietrzyć głowę ostrym morskim powietrzem.

Każdego dnia starała się wybierać inną drogę i była zachwycona odkryciem małego labiryntu grot w połowie drogi między Charmouth i Lyme Regis, w miejscu, gdzie spienione fale uderzały o brzeg. Podczas przypływu większość z nich wypełniała woda, ale Poppy poznała już trochę okolicę i była pewna, że muszą być i takie, których morze nie sięgało. Postanowiła, że musi odnaleźć choć jedną.

Tylko dlatego, że było to wyzwanie, oczywiście. Nie, żeby potrzebowała do czegokolwiek zawsze suchej groty w Charmouth, w Dorset, w Anglii.

W Wielkiej Brytanii, w Europie, na świecie.

Każdy jednak powinien podjąć wyzwanie, gdziekolwiek nadarza się po temu okazja, a ona była akurat w Charmouth, w Dorset, w Anglii, co wydawało jej się teraz bardzo maleńkim zakątkiem świata.

Dokończyła lunch i mrużąc oczy, spojrzała na skały. Słońce miała za plecami, ale dzień był tak jasny, że żałowała, że nie ma parasolki albo przynajmniej rozłożystego, rzucającego cień drzewa gdzieś w pobliżu. Było też cudownie ciepło. Poppy zostawiła płaszcz w domu i nawet cieniutka chusteczka, która miała chronić dekolt przed słońcem, zaczynała grzać i drażnić jej skórę.

Poppy nie miała jednak zamiaru wracać do domu. Nigdy dotąd nie zawędrowała tak daleko, a tym razem udało jej się to tylko dlatego, że przekonała pulchną pokojówkę Elizabeth, przydzieloną jej w charakterze przyzwoitki, by jednak została w miasteczku.

– Pomyśl o tym, jak o dodatkowym wolnym popołudniu – powiedziała do niej ze zwycięskim uśmiechem.

– Sama nie wiem. – Mary spoglądała na nią z powątpiewaniem. – Pani Armitage powiedziała mi jasno, że…

– Pani Armitage nie myślała jasno ani przez chwilę, odkąd odkryła, że spodziewa się dziecka – przerwała jej Poppy, w duchu prosząc Elizabeth o wybaczenie. – Jest tak w przypadku wszystkich kobiet, jak słyszałam – dodała, żeby oderwać Mary od tematu, to znaczy towarzystwa przyzwoitki na spacerze bądź jego braku.

– Oj, co prawda, to prawda – odparła Mary, lekko przekrzywiając głowę. – Kiedy żona mojego brata spodziewała się swoich chłopców nie usłyszałam od niej jednego słowa do rzeczy, mówię panience.

– W tym właśnie rzecz! – wykrzyknęła Poppy. – Elizabeth wie, że świetnie sama sobie poradzę. Nie jestem w końcu dzierlatką. Od zawsze na półce, jak to powiadają.

Mary już chciała ją pocieszyć, że to na pewno nieprawda, ale Poppy dodała szybko:

– Przespaceruję się tylko brzegiem morza. Wiesz przecież; wczoraj ze mną byłaś.

– I przedwczoraj – powiedziała Mary z westchnieniem.

Kolejna forsowna przechadzka wyraźnie nie wzbudzała jej entuzjazmu.

– I przedprzedwczoraj – zauważyła Poppy. – I każdego dnia w ubiegłym tygodniu, jeśli się nie mylę?

Mary ponuro pokiwała głową.

Poppy nie pozwoliła sobie na uśmiech. Była na to zdecydowanie zbyt mądra. Sukces czekał tuż za zakrętem.

Dosłownie.

– Proszę – powiedziała, ciągnąc lekko pokojówkę w stronę przytulnej herbaciarni. – Może usiądziesz i odpoczniesz sobie tutaj? Bóg jeden wie, że na to zasłużyłaś. Omal cię nie zamęczyłam, prawda?

– Zawsze była pani dla mnie bardzo miła, panno Bridgerton – odparła szybko Mary.

– Miła i męcząca – powiedziała Poppy i poklepała dłoń Mary, a potem otworzyła drzwi herbaciarni. – Tak ciężko pracujesz. Zasłużyłaś na chwilę dla siebie.

Poppy zapłaciła za dzbanek herbaty i talerz ciastek, a potem uciekła – z dwoma ze wspomnianych ciastek w kieszeni – i teraz cieszyła się cudowną, błogosławioną samotnością.

Gdyby jeszcze istniały damskie trzewiczki nadające się do wspinania się na skały. Małe pantofelki Poppy były najrozsądniejszym obuwiem szytym dla kobiet, ale pod względem trwałości nie mogły się równać z tym, co mieli w swojej garderobie jej bracia. Szła więc z wielką ostrożnością, żeby nie skręcić sobie kostki. Do tej części plaży docierało niewielu ludzi, więc gdyby zrobiła sobie krzywdę, Bóg tylko jeden wie, kiedy ktoś by ją tu odnalazł.

Szła i pogwizdywała, ciesząc się okazją do tak złego zachowania (czyż mama nie byłaby przerażona, gdyby o tym usłyszała?!), a potem postanowiła pójść w swej przestępczej działalności dalej i zmieniła pogwizdywaną melodię na piosnkę, której słowa nie nadawały się dla kobiecych uszu.

– „A barmanka ze mną, och, lalala, aż do ranka…” – śpiewała wesoło. – „Aż do ranka…” A co to?

Zatrzymała się, patrząc na dziwną formację skalną po prawej stronie. Grota. Na pewno. I to położona tak daleko od morza, że woda nie zalewa jej nawet podczas przypływu.

– Moja kryjówka, przyjaciele – wymruczała i mrugnęła do siebie, zmieniając kierunek. Miejsce wydawało się idealne dla pirata, dość daleko od bitego traktu. Wejście do groty zasłaniały trzy wielkie głazy, doprawdy, zakrawało na cud, że w ogóle je dostrzegła.

Poppy wcisnęła się między głazy – z roztargnieniem zauważyła, że jeden z nich nie był tak potężny, jak jej się z początku wydawało – po czym weszła do jaskini. Powinnam była wziąć latarnię, pomyślała, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, choć Elizabeth oczywiście chciałaby wiedzieć, po co jej latarnia. Trudno byłoby to wyjaśnić, biorąc pod uwagę, że wybierała się na plażę w samym środku dnia.

Poppy zrobiła kilka małych kroczków, badając grunt przed sobą czubkami bucików. Szukała nierówności, których nie mogła w mroku zobaczyć. Nie była tego pewna, ale grota wydawała się ciągnąć jeszcze daleko od miejsca, do którego docierało światło dnia. Poppy szła śmiało przed siebie, podekscytowana swoim odkryciem, powoli przesuwając się w gąb… powoli… powoli… aż nagle…

– Au! – krzyknęła i skrzywiła się, uderzając ręką w coś twardego i prawdopodobnie drewnianego.

– Au – powtórzyła, rozcierając bolące miejsce drugą ręką. – Au, au, au. To chyba…

Urwała. Nie wiedziała, w co trafiła ręką, ale na pewno nie było to naturalne skalne wypiętrzenie. Miała wrażenie, że jest to raczej szorstki róg prostej drewnianej skrzyni.

Bardzo ostrożnie wyciągnęła przed siebie dłoń, aż znowu – tym razem delikatnie – dotknęła płaskiej drewnianej deski. Była to skrzynia, bez wątpienia.

Poppy zaśmiała się cicho z radości. Co też tu znalazła? Skarb piratów? A może łup przemytników? W grocie czuć było stęchlizną, wydawała się nieużywana, więc czy była to skrzynia, czy nie, musiała tkwić tu od wieków.

– Przygotować się na skarb. – Poppy ze śmiechem zasalutowała w ciemności. Szybko przekonała się, że skrzynia jest zbyt ciężka, by mogła ją podnieść, przesunęła więc dłonią wzdłuż krawędzi, zdecydowana spróbować ją otworzyć. A niech to. Była zabita gwoździami. Będzie musiała tu wrócić, choć nie miała pojęcia, jak wyjaśni, do czego potrzebuje latarni i łomu.

Chociaż…

Przekrzywiła głowę. Jeśli w tej części jaskini jest skrzynia – a właściwie dwie, jedna na drugiej – to kto wie, co może kryć się w głębi?

Ruszyła w mrok, wyciągając przed siebie ramiona. Nic. Ciągle nic… nic…

– Uważaj!

Poppy zmartwiała.

– Kapitan cię zabije, jeśli ją upuścisz.

Poppy wstrzymała oddech. Niemal osłabła z ulgi, kiedy zdała sobie sprawę, że szorstki męski głos nie mówi do niej.

Ulgę jednak natychmiast zastąpiło przerażenie. Powoli przyciągnęła ręce do siebie i ciasno objęła się ramionami.

Nie była tu sama.

Z niezwykłą ostrożnością przesunęła się tak daleko za skrzynie, jak tylko mogła. Było ciemno, a ona zachowywała się cicho, więc ktokolwiek tu był, jej nie zauważy, jeśli tylko nie ma…

– Zapalisz wreszcie tę cholerną latarnię?

Jeśli tylko nie ma latarni.

Błysnął płomień, oświetlając tylną część jaskini. Poppy zmarszczyła czoło. Czy ci mężczyźni weszli tu z drugiej strony? Ale jak? Dokąd ciągnie się ta grota?

– Nie mamy wiele czasu – powiedział jeden z nich. – Rusz się i pomóż mi szukać.

– A co z resztą?

– Będzie tu bezpieczna do naszego powrotu. To i tak już ostatni raz.

Drugi z mężczyzn zaczął się śmiać.

– Przynajmniej tak mówi kapitan.

– Tym razem mówi poważnie.

– On nigdy nie przestanie tego robić.

– Cóż, nawet jeśli on nie, ja na pewno przestanę. – Mężczyzna stęknął z wysiłku i dorzucił: – Jestem już na to za stary.

– Ty przesunąłeś ten głaz przed wejściem? – spytał pierwszy z mężczyzn i wypuścił powietrze z płuc, stawiając coś na ziemi.

To dlatego musiała przeciskać się między głazami. Zastanawiała się właśnie, jak taka wielka skrzynia zmieściła się w tak wąskim otworze.

– Wczoraj – padła odpowiedź. – Z Billym.

– Tym chudym smarkaczem?

– Yhm. Ma już chyba ze trzynaście lat.

– Nie gadaj!

Dobry Boże, pomyślała Poppy. Siedziała w jaskini z przemytnikami – może nawet piratami! – którzy plotkowali jak dwie starsze panie.

– Co jeszcze mamy stąd zabrać? – spytał niższy z dwóch głosów.

– Kapitan mówi, że nie wypłynie bez tej skrzynki brandy.

Poppy miała wrażenie, że cała krew odpływa z jej ciała. Skrzynki?

Drugi z mężczyzn roześmiał się.

– Na sprzedaż, czy do picia?

– Jedno i drugie jak sądzę.

Znowu śmiech.

– Lepiej w takim razie, żeby się podzielił.

Poppy gorączkowo rozejrzała się dookoła. Trochę światła z latarni padało w jej kierunku, widziała więc swoje najbliższe otoczenie. Gdzie, do diabła, miałaby się ukryć? Dostrzegła niewielkie wgłębienie w ścianie jaskini, w które mogłaby się wcisnąć, ale ci dwaj musieliby być ślepi, żeby jej nie zauważyć.

Tak czy inaczej, było to lepsze, niż jej obecne miejsce. Poppy cofnęła się niezdarnie i zwinęła w kłębek tak ciasno, jak tylko potrafiła. Podziękowała przy tym Stwórcy za to, że nie włożyła rano żółtej sukni, jednocześnie posyłając do nieba pierwszą od miesięcy szczerą modlitwę.

Proszę, proszę, proszę.
Stanę się lepszym człowiekiem.
Będę słuchała matki.
Będę słuchała nawet w kościele.
Proszę, pro…

– Jezusie, Maryjo i Józefie!
Poppy powoli podniosła twarz ku górującemu nad nią mężczyźnie.
– A niech to – mruknęła.
– Kim jesteś? – zapytał mężczyzna, przysuwając latarnię bliżej jej twarzy.
– A ty? – odpaliła Poppy, zanim dotarło do niej, że taka retorta w jej sytuacji nie była zbyt rozsądna.
– Green! – ryknął mężczyzna.
Poppy zamrugała.
– Green!
– Co? – odburknął drugi mężczyzna, który najwyraźniej nazywał się Green.
– Tu jest dziewczyna!
– Co?
– Tutaj. Jest tu dziewczyna.
Green podbiegł do nich.
– Co to za jedna, do diaska? – spytał.
– Nie wiem – odparł ten pierwszy niecierpliwie. – Nie powiedziała.
Green pochylił się i przybliżył do niej swoją ogorzałą twarz.
– Kto ty jesteś?

Poppy milczała. Rzadko zdarzało jej się trzymać język za zębami, teraz jednak poczuła, że to dobry moment, by zacząć.

– Kto ty jesteś? – powtórzył Green, tym razem niemal z jękiem.

– Nikt – odparła Poppy. Fakt, że mężczyzna wydawał się raczej znużony niż rozgniewany, dodał jej trochę odwagi. – Byłam na spacerze. Nie będę wam przeszkadzała. Po prostu sobie pójdę i nikt się nigdy nie dowie…

– Ja już wiem – powiedział Green.

– I ja też, jeśli już o tym mowa – dorzucił jego towarzysz.

– Nie pisnę nawet słówka – zapewniła ich Poppy. – Nie wiem nawet, co…

– Niech to diabli! – zaklął Green. – Niech to wszyscy diabli!

Poppy gorączkowo przenosiła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego, próbując ocenić, czy powinna wtrącić się do rozmowy. Trudno było zorientować się, w jakim byli wieku; obaj mieli ogorzałe twarze ludzi, którzy spędzają zbyt wiele czasu na słońcu i wietrze. Ubrani byli prosto, w podniszczone robocze koszule i spodnie wpuszczone w wysokie buty, jakie wkładają mężczyźni, kiedy wiedzą, że mogą zamoczyć nogi.

– A niech to diabli! – powtórzył Green. – Jeszcze tylko tego dzisiaj brakowało!

– Co my z nią zrobimy? – spytał drugi mężczyzna.

– Nie wiem. Nie możemy jej tu zostawić.

Umilkli obaj, wpatrując się w nią tak, jakby była największym ciężarem na świecie, który czeka tylko, żeby zwalić się na ich barki.

– Kapitan nas zabije – westchnął w końcu Green.

– To nie nasza wina.

– Sądzę, że to jego musimy spytać, co z nią zrobić – powiedział Green.

– Nie wiem, gdzie on jest – odparł jego towarzysz. – A ty?

Green pokręcił głową.

– Na statku go nie ma?

– Nie. Powiedział, że spotka się z nami w doku na godzinę przed wypłynięciem. Miał jeszcze jakąś sprawę do załatwienia.

– Niech to diabli.

Poppy usłyszała tu więcej o diabłach niż kiedykolwiek, jednak podzielenie się tą informacją z tą dwójką niewiele by jej dało.

Green westchnął i przymknął oczy z wyrazem, który można było określić tylko jako głęboką rozpacz.

– Nie mamy wyboru – powiedział. – Musimy ją zabrać.

– Co?! – krzyknęła piskliwie Poppy.

– Dobry Boże – burknął Green, zasłaniając uszy. – Czy to wyszło z twoich ust? – Znowu westchnął z bólem. – Za stary jestem na takie rzeczy.

– Nie możemy jej zabrać! – zaprotestował ten drugi.

– Posłuchaj go – wtrąciła Poppy. – Jest bardzo inteligentny.

Przyjaciel Greena wyprostował się i rozpromienił.

– Moje nazwisko: Brown – przedstawił się, uprzejmie pochylając głowę.

– Uch, no cóż, bardzo mi przyjemnie – odparła Poppy, zastanawiając się, czy powinna podać mu rękę.

– Myślisz, że ja chcę ją zabierać? – rzucił Green. – Na statku kobieta zawsze przynosi pecha, a już zwłaszcza taka.

Poppy otworzyła usta, słysząc tę zniewagę.

– Cóż… – zaczęła, ale Brown jej przerwał.

– A co z nią niby nie tak? – zapytał. – Powiedziała, że jestem inteligentny.

– Co tylko dowodzi, że ona taka nie jest. Poza tym ona gada.

– Tak jak i ty – odpaliła Poppy.

– Widzisz? – mruknął Green.

– Nie jest taka zła – powiedział Brown.

– Przed chwilą mówiłeś, że nie chcesz jej na statku!

– Bo nie chcę, ale…

– Nie ma nic gorszego niż gadatliwa baba – burknął Green.

– Jest wiele gorszych rzeczy – zaprzeczyła Poppy. – I masz wielkie szczęście, jeśli dotąd żadnej z nich nie doświadczyłeś.

Green patrzył na nią przez chwilę. Tylko patrzył. Potem jęknął:

– Kapitan nas zabije.

– Nie, jeśli nie zabierzecie mnie ze sobą – powiedziała szybko Poppy. – Nigdy się nie dowie.

– Dowie się – odparł Green złowieszczo. – On zawsze wszystko wie.

Poppy zagryzła wargę, rozważając swoje możliwości. Wiedziała, że nie biega dość szybko, by mogła im uciec, a poza tym Green zagradzał jej drogę do wyjścia. Pewnie mogłaby się rozpłakać w nadziei, że łzy przemówią do łagodniejszej części ich serc, ale tak naprawdę nie wiedziała, czy ich serca taką część mają.

Spojrzała na Greena i uśmiechnęła się z wahaniem, żeby wybadać grunt.

Green zignorował ją i odwrócił się do przyjaciela.

– Która jest go… – Urwał. Browna nie było. – Brown! – ryknął. – Gdzieś ty polazł, do diaska?

Głowa Browna wychynęła zza stosu kufrów.

– Tylko po sznur.

Sznur? Poppy nagle zaschło w gardle.

– Dobrze – mruknął pod nosem Green.

– Nie chcesz mnie chyba związać? – powiedziała Poppy; najwyraźniej nie zaschło jej w gardle na tyle, by nie mogła mówić.

– Nie żebym chciał – odparł – ale muszę to zrobić, tak czy inaczej, więc lepiej nie utrudniajmy sobie tego nawzajem, dobrze?

– Z pewnością rozumiesz, że nie pozwolę się skrępować bez walki?

– Miałem nadzieję, że jednak pozwolisz.

– Cóż, możesz sobie mieć nadzieję, mój panie, ponieważ ja…

– Brown! – ryknął Green.

Z taką siłą, że Poppy zamknęła usta.

– Mam sznur! – odkrzyknął Brown.

– Dobra. Weź jeszcze parę rzeczy.

– Jakich rzeczy? – spytał Brown.

– Właśnie – wtórowała mu Poppy nerwowo. – Jakich rzeczy?

– Innych – odparł Green niecierpliwie. – Wiesz, o czym mówię. I szmatę.

– A, inne rzeczy! – zawołał Brown. – Się robi.

– Jakich innych rzeczy? – nie dawała za wygraną Poppy.

– Nie chcesz wiedzieć – odpowiedział Green.

– Zapewniam cię, że chcę – powiedziała Poppy, choć zaczynała już przypuszczać, że może istotnie nie chce.

– Mówiłaś, że nie poddasz się bez walki – wyjaśnił.

– Tak, ale co to ma do…

– Pamiętasz, jak powiedziałem, że jestem już za stary na takie rzeczy?

Skinęła głową.

– Cóż, te rzeczy to między innymi walka.

Wrócił Brown, ściskając w ręce zieloną butelkę, która kojarzyła się mgliście z lekarstwami.

– Proszę – powiedział, wręczając ją Greenowi.

– Nie, żebym sobie z tobą nie poradził – wyjaśnił Green i otworzył butelkę. – Ale czemu? Czemu sobie tego trochę nie ułatwić?

Poppy nie miała na to odpowiedzi.

– Chcesz mnie zmusić, żebym to wypiła? – wyszeptała. Zawartość butelki miała ohydny zapach.

Green pokręcił głową.

– Masz szmatę? – spytał Browna.

– Niestety.

Green znowu jęknął ze znużeniem i zerknął na lniane *fichu*, wypełniające dekolt sukienki Poppy.

– Będziemy musieli użyć tej chusteczki – powiedział do Poppy. – Nie ruszaj się.

– Co ty robisz?! – krzyknęła Poppy, odskakując w tył, kiedy wyszarpnął chusteczkę z jej dekoltu.

– Przepraszam – powiedział, co, o dziwo, zabrzmiało szczerze.

– Nie rób tego – wydyszała Poppy, starając się oddalić od niego tak bardzo, jak tylko było to możliwe.

Czyli nie bardzo, bo plecami już dotykała ściany jaskini. Teraz mogła już tylko patrzeć w przerażeniu, jak Green wylewa na cieniutką lnianą chusteczkę sporo płynu z zielonej butelki. Tkanina nasączyła się szybko i kilka kropli spadło na wilgotną ziemię.

– Musisz ją przytrzymać – powiedział Green do Browna.

– Nie – wyszeptała Poppy, kiedy Brown objął ją mocno ramionami. – Nie.

– Przykro mi – odparł Brown, i to też zabrzmiało tak, jakby naprawdę było mu przykro.

Green zgniótł chusteczkę w kulę i przytknął do jej ust. Poppy zakrztusiła się, wciągając w płuca obrzydliwy smród.

A potem cały świat nagle zniknął.

2

Andrew Rokesby przechadzał się po pokładzie „Infinity”. Była to ostatnia inspekcja statku przed podniesieniem żagli dokładnie o czwartej po południu. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, od dzioba po rufę; stawiła się też już cała załoga – poza Greenem i Brownem – świetnie przygotowana do czekającej ich podróży.

– Pinsley! – zawołał Andrew, podnosząc głowę ku młodemu chłopakowi, który zajmował się takielunkiem.

– Tak, sir! – odkrzyknął z góry Pinsley. – O co chodzi?!

– Widziałeś gdzieś Greena i Browna? Wysłałem ich jakiś czas temu po zapasy.

– Zapasy, sir? – Pinsley uśmiechnął się bezczelnie. Wszyscy wiedzieli, po jakie zapasy Andrew naprawdę wysłał Greena i Browna.

– Wystarczy, że koło się lekko przechyli, a zawiśniesz na palcach – ostrzegł go Andrew.

– Są na dole, sir – powiedział z uśmiechem Pinsley. – Widziałem ich jakiś kwadrans temu.

– Na dole? – powtórzył Andrew, kręcąc głową. Brown i Green mieli swoją robotę do zrobienia; nie było powodu, żeby mieli być na dole.

Pinsley wzruszył ramionami, a w każdym razie Andrew odniósł takie wrażenie. Pewności nie miał, bo słońce świeciło mu w oczy.

– Nieśli worek – powiedział Pinsley.

– Worek? – powtórzył jak echo Andrew. Posłał ich po skrzynkę brandy. Każdy ma swoje słabości, a jego słabością były kobiety na lądzie, a brandy na morzu. Wypijał szklaneczkę każdego wieczoru po kolacji. Starał się prowadzić cywilizowane życie, przynajmniej na tyle, na ile mu to odpowiadało.

– Wyglądał na bardzo ciężki – dodał Pinsley.

– Brandy w worku – mruknął Andrew. – *Madre de Dios*, pewnie zostały już tylko skorupy i zapach. – Zerknął na Pinsleya, który zajmował się linami, a potem odwrócił się w stronę wąskich schodków prowadzących w dół.

Miał zwyczaj zamienić kilka słów z każdym z członków swojej załogi, nawet najniższym rangą, zanim wypłyną z portu. Dzięki temu miał pewność, że każdy zna swoją rolę w rejsie, a ludzie cenili sobie ten wyraz szacunku. Załoga była niewielka, ale niezwykle lojalna. Każdy z tych marynarzy oddałby za niego życie, Andrew o tym wiedział. Ale było tak dlatego, że każdy z nich wiedział, że kapitan zrobiłby dla nich to samo.

Andrew był niekwestionowanym dowódcą i na pokładzie nie było nikogo, kto ośmieliłby się sprzeciwić jego rozkazom – ale znowu, na pokładzie nie było też nikogo, kto chciałby to zrobić.

– Sir!

Andrew obejrzał się za siebie. Był to Green, który najwyraźniej wszedł drugimi schodkami.

– A, tu jesteś – powiedział Andrew i pokazał mu, by za nim poszedł. Green był najstarszym członkiem jego załogi; dołączył jeden dzień wcześniej niż Brown. Od tego czasu byli jak para starych plotkarek.

– Sir! – zawołał znowu Green, podbiegając, żeby się z nim zrównać.

– Nie zatrzymuj się i mów – rzucił Andrew, odwracając się do niego plecami i idąc w stronę swojej kabiny. – Muszę jeszcze zabezpieczyć parę rzeczy u siebie.

– Ale, sir, muszę właśnie powiedzieć panu…

– I co, do diaska, stało się z moją brandy? – spytał Andrew, wskazując na schodki po dwa stopnie naraz. – Pisnsley mówił, że weszliście na pokład z jakimś workiem. Workiem – powtórzył, kręcąc głową.

– Zgadza się – potwierdził Green, wydając przy tym dziwny dźwięk.

Andrew odwrócił się do niego.

– Coś ci jest?

Green przełknął głośno.

– Rzecz w tym, że…

– Przełknąłeś?

– Nie, sir, tylko…

Andrew ruszył, wracając do swoich spraw.

– Powinieneś iść z tym gardłem do Flandersa. Ma jakiś płyn na takie rzeczy, obrzydliwy w smaku, ale działa, sprawdziłem na sobie.

– Sir – powiedział Green, spiesząc za nim korytarzykiem.

– Brown jest na pokładzie? – spytał Andrew, chwytając za klamkę swojej kabiny.

– Tak, sir… ale, sir…

– Dobrze, w takim razie możemy wypłynąć zgodnie z planem.

– Sir! – niemal krzyknął Green, wpychając się między Andrew a drzwi.

– O co chodzi, Green? – spytał Andrew, powściągając zniecierpliwienie.

Green otworzył usta, ale cokolwiek chciał powiedzieć, najwyraźniej nie wiedział, jak to ubrać w słowa.

Andrew wsunął ręce pod pachy Greena, podniósł go i przestawił na bok.

– Zanim pan tam wejdzie… – zaczął zduszonym głosem Green.

Andrew pchnął drzwi.

I zobaczył leżącą na koi kobietę. Była związana i zakneblowana, a z jej oczu strzelałyby płomienie, gdyby tylko było to możliwe z anatomicznego punktu widzenia.

Andrew patrzył na nią przez całą sekundę, w czasie której zdążył zauważyć, że miała gęste kasztanowe włosy i zielono-brązowe oczy. Potem

przesunął wzrok niżej – była w końcu kobietą – i uśmiechnął się.

– Prezent? – mruknął. – Dla mnie?

Poppy postanowiła, że jeśli wyjdzie z tego żywa, wybije wszystkich mężczyzn na tym statku co do nogi.

Zaczynając od Greena.

Nie, od Browna.

Nie, zdecydowanie od Greena. Brown może by ją wypuścił, gdyby zdołała z nim porozmawiać, ale Green zasłużył sobie na atak ospy; on i cała jego rodzina.

Do ostatniego jego potomka.

Hm. To jednak wymagało założenia, że znalazłaby się kobieta, gotowa wydać jego potomstwo na świat, a w to Poppy szczerze wątpiła. Prawdę mówiąc, pomyślała złośliwie, posiadanie przez niego potomstwa byłoby w ogóle niemożliwe, gdyby tylko udało się dostać go w swoje ręce. Czterej bracia potrafią nauczyć kobietę sporo o tym, jak walczyć nieczysto, więc gdyby tylko zdołała rozwiązać kostki, zaraz wpakowałaby mu kolano prosto w…

Skrzyp.

Podniosła oczy. Ktoś wchodził do kajuty.

– Zanim pan tam wejdzie… – usłyszała znajomy głos.

Drzwi się otworzyły, ukazując jednak nie Greena i nie Browna, ale mężczyznę przynajmniej dekadę młodszego i tak przystojnego, że Poppy na pewno otworzyłaby z wrażenia usta, gdyby nie była akurat zakneblowana.

Miał brązowe, wyzłocone słońcem włosy, związane w diabelski ogon z tyłu głowy. Jego twarz była po prostu piękna – pełne, ładnie wykrojone usta o kącikach uniesionych teraz w lekkim uśmiechu nadawały mu figlarny wyraz. A oczy miał tak bardzo, tak niesamowicie niebieskie, że widziała ich kolor z drugiego końca kajuty.

Oczy te przesunęły się powoli wzdłuż jej ciała, od głowy aż do stóp i z powrotem. Poppy po raz pierwszy w życiu została poddana tak obcesowym oględzinom, więc – niech to wszyscy diabli – poczuła, jak oblewa się pąsem.

– Prezent? – wymruczał mężczyzna, a kąciki jego ust uniosły się jeszcze ciut wyżej. – Dla mnie?

– Mmmph grrmph szmmmph! – wydała z siebie Poppy, napinając więzy.

– Uch, więc właśnie o tym próbowałem panu powiedzieć, sir – odezwał się Green, wsuwając się do kajuty za tajemniczym nieznajomym.

– O tym? – wymruczał mężczyzna, głosem miękkim jak jedwab.

– O niej – poprawił się Green, i to jedno słowo zawisło ciężko w powietrzu, jakby Poppy była jakimś skrzyżowaniem Krwawej Mary z Meduzą.

Poppy wbiła w niego rozwścieczony wzrok i zawarczała.

– No, no. – Mężczyzna uniósł jedną brew. – Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Nie w moim typie, ale na swój sposób ujmująca.

Poppy przyglądała mu się czujnie, kiedy wchodził w głąb kajuty. Wypowiedział zaledwie kilka słów, ale od razu zrozumiała, że nie był zwykłym marynarzem, niskiego urodzenia. Mówił jak arystokrata, i tak też się poruszał. Znała takich jak on. Od dwóch lat starała się (choć nie za bardzo) wyjść za kogoś takiego za mąż.

Mężczyzna odwrócił się do Greena.

– Leży na moim łóżku z jakiegoś konkretnego powodu?

– Znalazła grotę, kapitanie.

– Szukała jej?

– Tego nie wiem, sir. Nie pytałem. Myślę, że zrobiła to przypadkowo.

Kapitan przyglądał jej się z twarzą niemal bez wyrazu, co wytrąciło ją z równowagi, a potem znowu odwrócił się do Greena i spytał:

– Co twoim zdaniem mamy z nią zrobić?

– Nie wiem, kapitanie. Tam nie mogliśmy jej zostawić. W grocie ciągle było pełno łupów z ostatniej wyprawy. Gdybyśmy ją puścili, zaraz by komuś o tym powiedziała.

– Albo zabrałaby to wszystko dla siebie – mruknął kapitan w zamyśleniu.

Poppy żachnęła się na takie pomówienie. Jakby nie miała żadnych zasad i mogła posunąć się do kradzieży.

Kapitan spoglądał na nią spod uniesionej brwi.

– Zdaje się, że ona ma inne zdanie na ten temat – powiedział.

– Tak, ona ma zdanie na wiele tematów – odparł ponuro Green.

– Czyżby?

– Wyjęliśmy jej knebel, kiedy na pana czekaliśmy – wyjaśnił Green. – Ale zaraz wsadziliśmy go jej z powrotem. Minuta nie minęła…

– Aż tak źle było?

Green skinął głową.

– I rękami sprała mnie po głowie.

Poppy wymamrotała coś z satysfakcją.

Kapitan znowu odwrócił się do niej z taką miną, jakby zrobiła na nim wrażenie.

– Trzeba było związać jej ręce z tyłu – powiedział.

– Wolałem jej nie rozwiązywać, żeby to zrobić – mruknął Green, rozcierając sobie skórę na głowie.

Kapitan z namysłem pokiwał głową.

– Nie mieliśmy czasu, żeby opróżnić grotę – ciągnął Green. – A poza tym, wcześniej nikt jej nie znalazł. Jest cenna, nawet kiedy nic w niej nie ma. Kto wie, co jeszcze będziemy w niej ukrywać.

Kapitan wzruszył ramionami.

– Teraz nie ma już żadnej wartości – powiedział, krzyżując potężne ramiona na piersi. – Chyba że ją zabijemy, oczywiście.

Poppy gwałtownie wciągnęła powietrze, wydając przy tym dźwięk, który był dobrze słyszalny mimo knebla.

– Och, nie przejmuj się – rzucił dość nonszalancko. – Nigdy dotąd nie zabiliśmy nikogo, jeśli nie musieliśmy, a już zwłaszcza kobiety. Chociaż – dodał, z roztargnieniem gładząc się po brodzie – była jedna czy dwie, które… – Podniósł oczy, błyskając w uśmiechu oślepiająco białymi zębami. – No, nieważne zresztą.

– Prawdę mówić, sir… – zaczął Green, robiąc krok do przodu.

– Hm?

– Była ta jedna, w Hiszpanii. W Maladze?

Kapitan przez chwilę patrzył na niego pustym wzrokiem, aż wróciła mu pamięć.

– Och, ta. Cóż, ta się nie liczy. Nie jestem nawet pewny, czy to rzeczywiście była kobieta.

Poppy szeroko otworzyła oczy. Kim byli ci ludzie?

A potem, kiedy już pomyślała, że ci dwaj usiądą sobie spokojnie, żeby się napić, kapitan precyzyjnym, niemal wojskowym ruchem otworzył swój kieszonkowy zegarek i powiedział:

– Za niecałe dwie godziny stawiamy żagle. Czy w ogóle wiemy, kim ona jest?

Green pokręcił głową.

– Nie chciała powiedzieć.

– A gdzie Brown? Może on wie?

– Nie, sir – odpowiedział Brown, który właśnie stanął w drzwiach.

– A, tu jesteś – powiedział kapitan. – Właśnie omawiam z Greenem ten niespodziewany obrót spraw.

– Bardzo mi przykro, sir.

– To nie wasza wina – odparł kapitan. – Zrobiliście to, co należało. Ale musimy upewnić się co do jej tożsamości. Jest elegancko ubrana – dodał, wskazując błękitną suknię spacerową Poppy. – Ktoś będzie za nią tęsknił.

Podszedł do pryczy i sięgnął do knebla, ale Green i Brown razem skoczyli do przodu. Green chwycił go za ramię, a Brown niemal wepchnął

się między kapitana a łóżko.

– Woli pan tego nie robić – powiedział Green złowieszczo.

– Błagam, niech pan tego nie robi – prosił Brown. – Niech pan nie wyjmuje knebla.

Kapitan znieruchomiał i spojrzał najpierw na jednego, a potem na drugiego marynarza.

– A cóż takiego, na litość boską, ona może zrobić?

Green i Brown milczeli, ale obaj cofnęli się pod samą ścianę.

– Dobry Boże – mruknął kapitan ze zniecierpliwieniem. – Dwaj dorośli mężczyźni.

A potem wyjął knebel.

– Ty! – wybuchnęła Poppy, niemal opluwając przy tym Greena.

Green zbladł jak ściana.

– I ty! – warknęła do Browna. – I ty! – zakończyła, wpatrując się gniewnie w kapitana.

Kapitan uniósł brew.

– Nie, żebyś miała szczególnie bogaty zasób słów…

– Zabiję was, jednego po drugim – zasyczała Poppy. – Jak śmieliście mnie związać i zostawić tu na całe godziny…

– To było trzydzieści minut – zaoponował Brown.

– Czułam się tak, jakby to było wiele godzin – ciągnęła z wściekłością. – I jeśli sądzicie, że będę siedziała tutaj i znosiła takie rzeczy ze strony bandy durnych piratów…

W tym momencie złapał ją atak kaszlu. Cholerny kapitan znowu zaczął wpychać jej knebel w usta.

– No tak – powiedział. – Teraz już rozumiem.

Poppy ugryzła go w palec.

– To – powiedział uprzejmie – było dużym błędem.

Poppy patrzyła na niego ze złością.

– Och, i tak przy okazji – dodał, jakby chodziło o drobnostkę – wolimy określenie „kaprzy”.

Poppy zawarczała, wbijając zęby w knebel.

– Wyjmę go – obiecał – jeśli będziesz się należycie zachowywała.

Nienawidziła go. Och, jak ona go nienawidziła. Znała go najwyżej od pięciu minut, ale już była pewna, że nigdy do nikogo nie czuła takiej nienawiści, tak intensywnej, tak namiętnej, tak…

– Bardzo dobrze – mruknął, wzruszając ramionami. – Wypływamy punkt czwarta, jeśli cię to interesuje.

A potem po prostu odwrócił się i ruszył do drzwi. Poppy jęknęła. Nie miała wyboru.

– Będziesz się zachowywała? – spytał irytująco ciepłym, miękkim głosem.

Skinęła głową, ale jej oczy miotały błyskawice.

Kapitan podszedł do łóżka.

– Obiecujesz? – spytał kpiąco.

Jej podbródek poruszył się gwałtownie, co miało być kolejnym kiwnięciem głową.

Kapitan pochylił się i wyjął knebel.

– Wody – wydyszała, wściekła, że musi o coś prosić.

– Natychmiast – odparł, nalewając wodę do szklanki z dzbana na stoliku. Przysunął szklankę do jej ust, bo ręce ciągle miała związane. – Kim jesteś?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– W tej chwili nie, ale może mieć – odparł. – Po powrocie.

– Nie możecie mnie zabrać! – zaprotestowała.

– Albo cię zabierzemy, albo zabijemy – powiedział.

Poppy otworzyła usta.

– Nie, tego też nie możecie zrobić.

– Nie sądzę, żebyś miała broń ukrytą w tej sukni – odparł, opierając się ramieniem o ścianę, i skrzyżował ręce.

Z zaskoczenia otworzyła usta szerzej, a potem szybko się opanowała i rzuciła:

– Może mam.

Drań się roześmiał!

– Dam ci pieniądze – powiedziała szybko. Z pewnością można go kupić. Jest w końcu piratem, na litość boską. Czyż nie?

Uniósł jedną brew.

– Nie sądzę, żebyś miała w tej sukni sakiewkę ze złotem.

Skrzywiła się sarkastycznie.

– Oczywiście, że nie. Ale mogę dać ci pieniądze.

– Chcesz, żebyśmy zażądali za ciebie okupu?

– Nie! Oczywiście, że nie! Ale jeśli mnie wypuścicie…

– Nie wypuścimy – przerwał jej – więc lepiej skończ już z tymi…

– Jestem pewna, że jeśli to przemyślisz… – wtrąciła.

– Myślałem już dość i…

– …dojdziesz do wniosku, że…

– …nie wypuścimy cię…

– …to naprawdę nie jest dobry pomysł…

– Powiedziałem już, że cię nie wypuścimy…

– …przetrzymywać mnie jako zakładniczkę. Będę tu przeszkadzała i…

– Możesz już być cicho?

– …bardzo dużo jem, a także…

– Czy ona się kiedykolwiek zamyka? – spytał kapitan, odwracając się do dwóch marynarzy przy drzwiach.

Green i Brown potrząsnęli głowami.

– …będę ciągle wchodziła wam w drogę – zakończyła Poppy.

Zapadła chwila ciszy, którą kapitan zdawał się rozkoszować.

– To wszystko mocno przemawia za tym, żeby cię zabić – powiedział w końcu.

– Och, absolutnie nie – przerwała mu szybko Poppy. – To wszystko miało przemawiać za tym, żeby mnie wypuścić, jeśli już musisz wiedzieć.

– Cóż, najwyraźniej muszę – mruknął. Potem westchnął ze znużeniem, po raz pierwszy okazując w ten sposób pewną słabość, i zapytał: – Kim jesteś?

– Chcę wiedzieć, co zamierzacie ze mną zrobić, zanim wyjawię swoją tożsamość – oznajmiła Poppy.

Leniwie wyciągnął rękę, wskazując krępujące ją więzy.

– W twoim położeniu raczej nie powinnaś stawiać warunków, nie uważasz?

– Co zamierzacie ze mną zrobić? – powtórzyła. Prawdopodobnie ten upór nie był zbyt rozsądny, jednak skoro on i tak chciał ją zabić, okazanie niezadowolenia nie mogło jej już zaszkodzić.

Usiadł na brzegu łóżka, za blisko, by mogła czuć się swobodnie.

– Spełnię twoją prośbę – powiedział – gdyż mimo ciętego języka niewiele w tym twojej winy, że się tu znalazłaś.

– Nie ma w tym żadnej mojej winy – mruknęła.

– Nigdy się nie uczysz, co? – spytał. – A ja już miałem być dla ciebie miły.

– Przepraszam – powiedziała Poppy szybko.

– Nie zabrzmiało to szczerze, ale niech będzie – odparł. – I choć mówię to wielce niechętnie, będziesz naszym gościem na pokładzie „Infinity” przez kolejne dwa tygodnie, do końca naszej podróży.

– Nie! – krzyknęła z przerażeniem Poppy, zanim zdołała zasłonić sobie usta dłonią.

– Obawiam się, że tak – powiedział ponuro kapitan. – Wiesz, gdzie jest nasza grota, i nie możemy cię tu zostawić. Po powrocie opróżnimy ją i puścimy cię wolno.

– Dlaczego nie opróżnisz jej teraz?

– Nie mogę – odparł po prostu.

– To znaczy, że nie chcesz.

– Nie, to znaczy, że nie mogę – powtórzył. – A ty zaczynasz mnie irytować.

– Nie możecie zabrać mnie ze sobą – powiedziała Poppy łamiącym się głosem. Dobry Boże, zaraz zacznie płakać, słyszała to w swoim głosie, czuła pod piekącymi powiekami. Miała ochotę płakać tak, jak nie płakała od lat, i wiedziała, że jeśli nie weźmie się w garść, straci panowanie nad sobą na oczach tego człowieka, tego okropnego człowieka, który miał w rękach jej los.

– Posłuchaj – powiedział. – Naprawdę chciałbym spełnić twoją prośbę.

Poppy rzuciła mu spojrzenie, które mówiło, że ani trochę mu nie wierzy.

– Naprawdę – powtórzył. – Wiem, jak to jest, kiedy zagonią cię w kozi róg. To nic miłego. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak ty.

Poppy przełknęła; nie miała pewności, czy to komplement, czy zniewaga.

– Ale prawda jest taka – ciągnął – że ten statek musi po południu wypłynąć na morze. Wiatr i odpływ sprzyjają nam i zależy nam na czasie. Powinnaś podziękować Stwórcy, że nie jesteśmy z tych, którym łatwo przychodzi zabijanie.

– Gdzie płyniemy? – spytała szeptem.

Urwał, wyraźnie zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Cóż, i tak się dowiem, kiedy już tam będziemy – rzuciła niecierpliwie.

– To fakt – przyznał, uśmiechając się lekko, niemal wesoło. – Pożeglujemy do Portugalii.

Poppy miała wrażenie, że oczy wyjdą jej z orbit.

– Do Portugalii? – powtórzyła przez ściśnięte gardło. – Do Portugalii? Naprawdę wystarczą na to dwa tygodnie?

Wzruszył ramionami.

– Jeśli nam się poszczęści.

– Dwa tygodnie – szepnęła. – Dwa tygodnie.

Rodzina oszaleje z niepokoju. Będzie zrujnowana. Dwa tygodnie. Całe czternaście dni.

– Musisz pozwolić mi napisać list – powiedziała szybko.

– Słucham?

– List – powtórzyła, usiłując podnieść się do pozycji siedzącej. – Musisz pozwolić mi napisać jeden list.

– A co, jeśli wolno wiedzieć, zamierzasz w nim zawrzeć?

– Jestem z wizytą u przyjaciółki – wyjaśniła szybko Poppy. – I jeśli nie wrócę wieczorem, ona na pewno podniesie alarm. Zjedzie się tu cała moja rodzina. – Wbiła wzrok w jego oczy. – Wierz mi, nie chcesz, żeby to się stało.

Nie odwrócił oczu.

– Twoje nazwisko, młoda damo.

– Moja rodzina…

– Nazwisko – powtórzył.

Poppy zacisnęła usta, a potem powiedziała:

– Możesz zwracać się do mnie „panno Bridgerton”.

A on zbladł. Zbladł. Dobrze to ukrył, ale widziała, że krew odpłynęła z jego twarzy, i po raz pierwszy podczas tej rozmowy poczuła, że jest górą. Nie, żeby zaraz miała wyjść na wolność, ale jednak to było jej pierwsze zwycięstwo. Malutkie, oczywiście, ale jednak zwycięstwo.

– Widzę, że słyszałeś o mojej rodzinie – powiedziała słodko.

Wymruczał pod nosem coś, czego raczej nie słyszy się wśród towarzystwa, a potem powoli, z wielkim opanowaniem, wstał z łóżka.

– Green! – warknął.

– Tak jest, sir! – Starszy mężczyzna stanął na baczność.

– Przynieś pannie Bridgerton przybory do pisania – powiedział; jej nazwisko brzmiało w jego ustach jak nazwa trucizny.

– Tak jest, sir – odparł Green i ruszył spiesznie do drzwi. Brown deptał mu po piętach.

Kapitan odwrócił się i spojrzał na nią tak jak człowiek, który podjął decyzję.

– Napiszesz dokładnie to, co ci podyktuję – powiedział.

– Przepraszam najmocniej – odezwała się Poppy – ale jeśli to zrobię, moja przyjaciółka natychmiast będzie wiedziała, że jest jakiś problem. Ty nie wyrażasz się tak jak ja – wyjaśniła.

– Twoja przyjaciółka będzie wiedziała, że jest problem, kiedy nie pojawisz się wieczorem w domu.

– Oczywiście, ale mogę napisać coś, co ją uspokoi – odparła Poppy. – Przekonam ją przynajmniej, żeby nie zawiadamiała władz.

Kapitan zacisnął zęby, a potem powiedział:

– Ten list zostanie zapieczętowany dopiero, kiedy go zaakceptuję.

– Oczywiście – powiedziała Poppy potulnie.

Spojrzał na nią gniewnie, oczami, które były jednocześnie zimne i gorące, i tak bardzo niebieskie.

– Ale muszę mieć do tego rozwiązane ręce – powiedziała Poppy, unosząc nadgarstki.

Przeszedł przez kajutę.

– Zaczekam, aż wróci Green.

Poppy postanowiła się nie upierać. Wydawał się w tej kwestii równie elastyczny jak lodowiec.

– Która gałąź? – spytał nagle.

– Słucham?

– Do jakiej gałęzi swojej rodziny należysz?

Jego głos brzmiał ostro, każde słowo zostało zaakcentowane, jak w wojskowym rozkazie. Miała już na końcu języka jakąś ciętą ripostę, ale wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że byłoby to bardzo nierozważne.

– Z Somerset – odparła więc cicho. – Mój wuj jest wicehrabią. Oni są z Kent.

Zacisnął bezwiednie zęby. W ciszy mijały kolejne sekundy, aż wreszcie Green wrócił z papierem, piórem i małym kałamarzem. Poppy siedziała cierpliwie, kiedy kapitan rozwiązywał jej ręce. Wstrzymała z bólu oddech, kiedy krew napłynęła gwałtownie do zdrętwiałych palców.

– Przepraszam za to – burknął, a ona spojrzała na niego ostro, zaskoczona przeprosinami.

– Z nawyku – wyjaśnił. – Nie z serca.

– Trudno byłoby sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej – odpaliła.

Nie odpowiedział, tylko wyciągnął rękę, kiedy opuściła nogi z łóżka.

– Mam skakać do stolika? – spytała. Kostki ciągle miała związane.

– Nigdy nie pozwoliłbym sobie na taki brak galanterii – odparł i zanim zdążyła się zorientować, co chce zrobić, wziął ją na ręce i zaniósł do stołu.

A potem dość bezceremonialnie opuścił na krzesło.

– Pisz! – rozkazał.

Poppy ujęła pióro w palce, ostrożnie zanurzyła je w atramencie i zagryzła wargę, zastanawiając się, jakie słowa mogą skłonić Elizabeth, by nie wzywała władz – i jej rodziny – w sytuacji, kiedy Poppy zniknie na dwa tygodnie.

Najdroższa Elizabeth, wiem, że będziesz się martwiła…

– Dlaczego to tak długo trwa? – warknął kapitan.

Poppy podniosła na niego wzrok i uniosła brwi, a potem odparła:

– Cóż, musisz wiedzieć, że po raz pierwszy mam okazję pisać list wyjaśniający – choć oczywiście wcale nie wyjaśniający – że właśnie zostałam porwana.

– Nie używaj słowa „porwana” – powiedział ostro.

– W rzeczy samej. – Poppy rzuciła mu sarkastyczne spojrzenie. – Stąd właśnie zwłoka. Jestem zmuszona użyć trzech słów tam, gdzie każdy rozsądny człowiek użyłby jednego.

– Umiejętność, w której już dawno doszłaś do perfekcji.

– Tak czy inaczej – przerwała mu Poppy – komplikuje to mój przekaz.

– Pisz – nakazał jej. – I napisz, że nie będzie cię przez miesiąc.

– Miesiąc? – wydyszała Poppy.

– Mam szczerą nadzieję, że nie dojdzie do tego – mruknął kapitan – ale w ten sposób, jeśli wrócimy z tobą po dwóch tygodniach, będzie powód, żeby świętować.

Poppy nie była pewna, ale wydawało jej się, że dodał jeszcze niemal bezgłośnie:

– Żebym ja świętował.

Postanowiła udać, że nie dosłyszała. Była to najmniejsza z dotychczasowych zniewag, a poza tym miała zadanie do wykonania. Wzięła głęboki oddech i pisała dalej:

…zapewniam Cię jednak, że mam się dobrze. Nie będzie mnie przez miesiąc i muszę usilnie prosić Cię, byś zachowała fakt mej nieobecności dla siebie. Błagam, nie powiadamiaj o tym mojej rodziny ani władz, gdyż ci pierwsi będą się tylko niepotrzebnie zamartwiać, a drudzy rozpuszczą pogłoski o tym po kraju i moja reputacja zostanie na zawsze zrujnowana.

Wiem, że proszę Cię o wiele, i wiem, że będziesz miała tysiąc pytań, kiedy już wrócę, ale zaklinam Cię, Elizabeth – zaufaj mi, a wszystko wkrótce się wyjaśni.

Twoja siostrzana dusza

Poppy

– Poppy, co? – odezwał się kapitan. – Nie domyśliłbym się.

Poppy zignorowała jego słowa.

– Pandora, a może Pauline? A może nawet Prudencja, jak na ironię…

– Poppy to imię samo w sobie – warknęła w końcu.

Spojrzał jej w oczy na krępująco długi, intymny moment.

– I nawet urocze – wymruczał.

Przełknęła nerwowo, bo zauważyła, że Green wyszedł, zostawiając ją samą z kapitanem.

– Podpisałam „Twoja siostrzana dusza”, żeby wiedziała, że nikt mnie nie zmusił. Zawsze tak podpisujemy listy do siebie.

Skinął głową i wyjął jej kartkę z palców.

– Och, zaczekaj! – zawołała i odebrała mu ją. – Muszę dodać postscriptum.

– Rzeczywiście?

– Pokojówka – wyjaśniła Poppy. – Była moją przyzwoitką dzisiejszego popołudnia i…

– W grocie był ktoś jeszcze? – spytał ostro kapitan.

– Nie, oczywiście, że nie – zapewniła go szybko Poppy. – Udało mi się pozbyć jej w Charmouth.

– Oczywiście.

Powiedział to takim tonem, że musiała spojrzeć na niego z ukosa.

– Nie jest dość mocnej konstytucji fizycznej, by mi towarzyszyć – powiedziała z przesadną cierpliwością. – Zostawiłam ją w herbaciarni. Wierz mi, tak było lepiej dla nas obu.

– A potem zostałaś porwana na statek i popłyniesz do Portugalii.

Punkt dla niego. Niech to diabli.

– Tak czy inaczej – ciągnęła – Mary mogłaby stanowić pewien problem, ale tylko w przypadku, gdyby Elizabeth nie spotkała się z nią, zanim się zorientuje, że coś jest nie tak. Jeśli Elizabeth poleci jej nic nie mówić, nic nie powie. Jest diabelnie lojalna. Mary, o niej mówię. Cóż, Elizabeth także, ale to co innego.

Kapitan potarł dłonią czoło, mocno, jakby nie bardzo mógł za nią nadążyć.

– Pozwól mi tylko dodać jeszcze kilka słów – powiedziała i dopisała szybko:

PS Zapewnij, proszę, Mary, że nic mi nie grozi. Powiedz jej, że spotkałam jednego z moich kuzynów i postanowiłam towarzyszyć mu na wycieczce. Mary musi zachować pełną dyskrecję. Przekup ją, jeśli będzie to konieczne, a ja oddam Ci należność po powrocie.

– Kuzyni? – mruknął kapitan.

– Mam ich wielu – odparła, starając się, by zabrzmiało to złowróżbnie.

Jego jedyną reakcją były lekko uniesione brwi. Poppy podniosła ukończony już teraz list, a on wziął go, jeszcze raz przebiegł wzrokiem, a potem starannie złożył na pół.

Ruch ten był szybki i ostateczny. Poppy wypuściła powietrze, bo inaczej musiałaby się rozpłakać. Czekała, żeby już poszedł – oczywiście powinien teraz wyjść – on jednak stał ciągle przed nią z zamyślonym wyrazem twarzy, aż w końcu powiedział:

– Masz naprawdę niezwykłe imię. Skąd się wzięło?

– Nie jest takie niezwykłe – mruknęła.

Nachylił się do niej, a ona nie była jakoś w stanie odwrócić wzroku. W kącikach jego oczu ukazały się wesołe zmarszczki.

– Nie brzmi jak Róża czy Hortensja.

Przez chwilę Poppy nie miała zamiaru odpowiadać, potem jednak usłyszała własny głos:

– Moje imię nie ma nic wspólnego z kwiatami[1].

– Naprawdę?

– To mój brat… Miał jakieś cztery lata. Mama pozwoliła mu dotknąć swojego brzucha, kiedy mnie nosiła, a on powiedział, że podskakuję w środku.

Uśmiechnął się, przez co wydał jej się jeszcze przystojniejszy niż do tej pory.

– Domyślam się, że opowiada o tym bez końca.

I to przerwało zaklęcie.

– On nie żyje – powiedziała Poppy i odwróciła wzrok. – Zmarł pięć lat temu.

– Przykro mi.

– Z nawyku czy z serca? – spytała kąśliwie, zanim zdążyła się zastanowić nad swoimi słowami. I tonem głosu.

– Z serca – odparł cicho.

Nic nie odpowiedziała, tylko opuściła wzrok na stół, próbując pojąć jakoś tę przedziwną rzeczywistość, w jakiej się nagle znalazła. Piraci, którzy przepraszają? Wyjęty spod prawa, który wyraża się jak książę? Kim są ci ludzie?

– Gdzie to dostarczyć? – spytał kapitan, podnosząc list.

– Do Briar House – odparła Poppy. – To niedaleko…

– Moi ludzie będą wiedzieli, gdzie to jest – przerwał i podszedł do drzwi.

– Sir! – zawołała nagle. – To znaczy, kapitanie – poprawiła się, wściekła na siebie, że potraktowała go z takim szacunkiem.

Uniósł pytająco jedną brew.

– Pańskie nazwisko, kapitanie. – Była zachwycona, że udało jej się wypowiedzieć to tonem żądania, a nie pytania.

– Oczywiście – odparł, kłaniając się dwornie. – Kapitan Andrew James, do usług. Witam na pokładzie „Infinity”.

– A nie „Z prawdziwą przyjemnością witam na pokładzie”? – zapytała Poppy.

Zaśmiał się, kładąc dłoń na klamce.

– To się okaże.

Wystawił głowę przez drzwi i warknął czyjeś imię; Poppy słyszała, jak kogoś instruuje i daje mu list. Pomyślała, że teraz już na pewno wyjdzie, on jednak zamknął drzwi, oparł się o nie i spojrzał na nią z wyrazem rezygnacji na twarzy.

– Stół czy łóżko? – zapytał.

Co?

Więc powiedziała to na głos.

– Co?

– Stół – skinął głową w jej stronę, a potem w stronę kąta – czy łóżko?

To na pewno nie było nic dobrego. Poppy próbowała myśleć dość szybko, by w ciągu ułamka sekundy rozważyć i jego intencje, i swoje możliwe odpowiedzi. Ale wydusiła tylko:

– Ehm…

– A więc łóżko – oznajmił cierpko.

Poppy wydała skrzekliwy okrzyk, bo nagle znowu chwycił ją w ramiona i rzucił na łóżko.

– Będzie lepiej dla nas obojga, jeśli nie będziesz się wyrywała – ostrzegł ją.

Jej oczy zrobiły się wielkie z przerażenia.

– Och, na litość… – urwał, zanim bluźnierstwo spłynęło z jego ust, po czym powiedział coś znacznie gorszego. Opanował się i oznajmił: – Nie zamierzam pozbawić cię dziewictwa, panno Bridgerton. Masz moje słowo.

Milczała.

– Ręka – rzucił.

Nie miała pojęcia, o co mu chodziło, ale podniosła dłoń.

– Druga – rzucił ostro i chwycił ją za lewą rękę – tę, którą pisała, mimo wysiłków guwernantki, by przestawić ją na prawą – i pociągnął do poręczy łóżka. Zanim zdążyła policzyć do pięciu, była przywiązana do długiej drewnianej deski.

Oboje spojrzeli na jej wolną rękę.

– Możesz próbować – powiedział – ale i tak nie uda ci się tego rozwiązać. – A potem uśmiechnął się, niech go wszyscy diabli. – Nikt nie wiąże takich węzłów jak marynarze.

– W takim razie może rozwiązałbyś mi kostki?

– Dopiero na morzu, panno Bridgerton.

– Nie umiem pływać – skłamała.

– Może wrzucimy cię do wody, żeby sprawdzić, czy to prawda? – spytał. – Coś, jak podpalenie czarownicy. Jeśli spłonie, to znaczy, że była niewinna.

Poppy zacisnęła zęby.

– Jeśli utonę…

– Będę wiedział, że można ci wierzyć – dokończył, uśmiechając się szeroko. – Cóż, spróbujemy?

– Wyjdź stąd – rzuciła oschle.

Roześmiał się.

– Zobaczymy się znowu, kiedy wypłyniemy już na morze, moja mała kłamczucho.

A potem, zanim zdążyła choćby pomyśleć o tym, czym w niego rzucić, już go nie było.

3

Bridgerton. – Andrew mełł to słowo w ustach, z furią chodząc po przednim pokładzie „Infinity” tam i z powrotem. – Bridgerton! – Ze wszystkich kobiet na świecie, ta, która natknęła się na jego grotę – nieodkrytą, dodajmy, przez nikogo, przez całe trzy lata – musiała nosić nazwisko Bridgerton.

Gorzej byłoby tylko w przypadku, gdyby nazywała się Rokesby.

Dzięki Bogu nigdy nie używał swego rodowego nazwiska na pokładzie statku; cała załoga znała go tylko jak Andrew Jamesa. Nie było to zresztą kłamstwo; naprawdę nazywał się Andrew James Edwin Rokesby. Wydawało się rozsądniej nie afiszować się ze swoim arystokratycznym pochodzeniem, kiedy obejmował dowództwo na „Infinity”, i nigdy jeszcze nie był z tego zadowolony jak w tej chwili. Jeśli dziewczyna w jego kajucie należy do Bridgertonów, na pewno wie, kim są Rokesby, a to pociągnęłoby za sobą kaskadę nieszczęść.

– Bridgerton – niemal jęknął i zauważył, że jeden z majtków spojrzał na niego z ciekawością.

Stwierdzić, że Andrew zna Bridgertonów, byłoby niedopowiedzeniem, przynajmniej jeśli chodzi o tę część rodziny, która mieszkała w Aubrey Hall, w Kent, niedaleko od jego rodzinnego domu. Lord i lady Bridgerton byli dla niego niemal jak drudzy rodzice, a siedem lat temu naprawdę stali się jego rodziną, kiedy ich najstarsza córka Billie wyszła za najstarszego brata Andrew, George’a.

Szczerze mówiąc, Andrew był zaskoczony, że nigdy dotąd nie miał okazji spotkać Poppy Bridgerton. Lord Bridgerton miał kilku młodszych braci, którzy – o ile Andrew się orientował – wszyscy mieli dzieci. Angielska wieś musiała być pełna kuzynów o nazwisku Bridgerton. Przypomniał sobie mgliście, że Billie opowiadała o jakiejś rodzinie z Somerset, jeśli jednak rodzina ta kiedykolwiek złożyła im wizytę, on musiał być akurat poza domem.

A teraz jedna z nich znalazła się na jego statku.

Andrew zaklął pod nosem. Jeśli Popppy Bridgerton odkryje jego prawdziwą tożsamość, będzie go to drogo kosztowało. Tylko trzynaście osób wiedziało, że Andrew James nazywa się w rzeczywistości Andrew Rokesby i jest trzecim synem hrabiego Manston. Z tej trzynastki dziewięcioro należało do jego najbliższej rodziny.

A z tych dziewięciorga nikt nie miał pojęcia, jaki był prawdziwy powód tej mistyfikacji.

Wszystko to zaczęło się siedem lat wcześniej, kiedy Andrew został wysłany przez marynarkę do domu po tym, jak doznał otwartego złamania ręki. Chciał jak najszybciej wrócić na pokład HMS „Titanii” – pracował ciężko i właśnie awansował na porucznika, do diabła – ale Tajna Rada Królewska miała inny pomysł.

W swej niezmierzonej mądrości członkowie Rady postanowili, że najlepszym miejscem dla oficera marynarki wojennej będzie maleńkie księstewko w Europie Środkowej, bez dostępu do morza. Powiedziano mu, że jest tam – to dokładny cytat – „uroczo”. A także, że ma dostarczyć księżniczkę Wachtenberg-Molstein, Amalię Augustę Marię Theresę Josephine do Londynu w jednym, dziewiczym kawałku, jako kandydatkę na małżonkę księcia Walii.

W tym, że wypadła za burtę podczas przeprawy przez Kanał, nie było żadnej winy Andrew. W tym, że została uratowana, już była – podobnie jak w fakcie, że następnie oznajmiła, że nie wyjdzie za mąż za nikogo poza

swoim wybawcą. Andrew znalazł się w epicentrum dyplomatycznej katastrofy. Podróż zakończyła się ucieczką dyliżansem, rezygnacją dwóch z członków Rady i przewróconym do góry dnem nocnikiem. (Na Andrew, nie na księżniczkę, choć można by przypuszczać, że to on stracił wreszcie cierpliwość).

Była to ulubiona historia jego szwagierki, opowiadana potem przez wiele lat podczas proszonych kolacji. A Andrew nigdy nawet nie powiedział jej o fretce.

W końcu ani Andrew nie ożenił się z księżniczką, ani książę Walii, jednak na członkach Tajnej Rady jego niezłomna postawa zrobiła takie wrażenie, że uznali, że lepiej przysłuży się krajowi, nie pracując dla niego w mundurze. Oczywiście nieoficjalnie. Nigdy oficjalnie. Kiedy sekretarze stanu wezwali go na rozmowę, wyjaśnili mu dokładnie, że kiedy mówią „dyplomatyczny", mają na myśli „towarzyski". Nie chcieli, by Andrew negocjował traktaty, chcieli, żeby rozmawiał z ludźmi. Był młody, był przystojny, był czarujący.

Ludzie go uwielbiali.

Andrew wiedział o tym oczywiście. Zawsze łatwo nawiązywał przyjaźnie i miał rzadki dar, który polegał na tym, że potrafił przekonać każdego niemal do wszystkiego. Dziwnie jednak było robić coś tak nieuchwytnego na rozkaz. Nieuchwytnego i tajnego.

Musiał zwolnić się z marynarki, rzecz jasna. Rodzice byli bardzo zaskoczeni. Trzy lata później, kiedy objął dowództwo na statku i rozpoczął życie kapra, przeżyli ogromny zawód.

Nie była to szlachetna profesja. Jeśli pochodzący z arystokracji dżentelmen chciał podróżować za morza, wkładał mundur i przysięgał wierność królowi i państwu. Nie dowodził statkiem pełnym marynarzy podejrzanego autoramentu i nie przemycał towarów dla własnego zysku.

Andrew powiedział rodzicom, że właśnie dlatego żegluje pod przybranym nazwiskiem. Wiedział, że nie aprobowali jego wyborów, i nie

chciał przynosić wstydu rodzinie. Jego rodzice nie wiedzieli jednak – ponieważ nie wolno mu było im tego powiedzieć – że nie był po prostu kapitanem handlowego statku. Objął dowództwo na „Infinity” na wyraźne życzenie Jego Wysokości.

Stało się to w 1782 roku, po zmianach w rządzie, kiedy Departament Północny i Południowy zostały przetransformowane w Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Sprawy zagraniczne zostały wreszcie ujęte w ramy jednego departamentu, a nowy sekretarz spraw zagranicznych zaczął szukać innowacyjnych dróg w dyplomacji i sposobach ochrony brytyjskich interesów. Wezwał do siebie Andrew niemal natychmiast po tym, jak objął swój urząd.

Gdy Charles James Fox – pierwszy sekretarz spraw zagranicznych i były marszałek sejmu – żąda od mężczyzny służby dla kraju, mężczyzna nie może odmówić. Nawet jeśli oznacza to, że będzie musiał okłamywać swoją rodzinę.

Andrew nie wykonywał zadań dla Korony za każdym razem, kiedy wypływał w morze – po prostu nie było tych zadań aż tyle, a wyglądałoby dziwnie, gdyby siedział w porcie z założonymi rękami, czekając, aż ktoś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych zleci mu dostarczenie dokumentów do Hiszpanii albo odebranie dyplomaty z Brukseli. Przez większość czasu był więc tym, za kogo uważała go jego załoga – zwyczajnym kapitanem, przewożącym legalne w większości towary.

Ale nie tym razem. Obecny sekretarz powierzył jego opiece ważne papiery, a on miał je dostarczyć brytyjskiemu ambasadorowi w Portugalii. Andrew sam nie bardzo wiedział, o co w tym wszystkim chodzi; rzadko informowano go o treści dokumentów, które miał przewieźć. Podejrzewał, że miały coś wspólnego z odbywającymi się właśnie negocjacjami z Hiszpanią, które dotyczyły Wybrzeża Moskitów. Ale tak naprawdę nie miało to dla niego znaczenia. Ważne było to, by zabrał jak najszybciej rzeczone papiery do Lizbony, a to oznaczało, że musiał wypłynąć

natychmiast, kiedy sprzyjał mu wiatr i pływ. Z pewnością nie miał czasu opróżniać groty odkrytej przez Poppy Bridgerton. Nie miał też dość ludzi, by zostawić trzech na lądzie – tylu trzeba by było do uprzątnięcia groty i pilnowania dziewczyny do czasu, kiedy zadanie będzie ukończone.

Gdyby chodziło tylko o zysk, zostawiłby towar i zmierzył się z finansową stratą. Ale grota była też wykorzystywana jako punkt przekaźnikowy, a w jednej z tych skrzyń ukryty został list do premiera, który Andrew przywiózł właśnie od ambasadora z Hiszpanii. Ktoś z Londynu miał odebrać go za dwa dni. Było niezmiernie ważne, by grota pozostała nienaruszona, przynajmniej do tego czasu.

Utknął więc na statku z Poppy Bridgerton.

– Sir!

Andrew odwrócił się i zobaczył Browna, który szedł właśnie w jego stronę.

– Dostarczyłem list, sir – powiedział.

– Doskonale – burknął Andrew. – Ktoś cię widział?

Brown pokręcił głową.

– Kazałem Pinsleyowi, żeby wręczył go pokojówce. Jego nikt tu w okolicy nie zna. I kazałem mu włożyć tę czarną perukę, którą trzyma pan na statku.

– Dobrze.

– Wolałem nie zostawiać listu na schodach – dodał Brown. – Pewnie nie chciał pan ryzykować, że go nie dostaną.

– Oczywiście – przyznał Andrew. – Zrobiłeś, co należało.

Brown podziękował ruchem głowy.

– Pinsley mówi, że pokojówka powiedziała, że zaraz odda go swojej pani.

Andrew ostro skinął głową. Mógł tylko mieć nadzieję, że wszystko poszło zgodnie z planem. I tak trzeba będzie zapłacić za to wszystko, kiedy panna Bridgerton wróci za dwa tygodnie na łono rodziny, na razie jednak

mógł zachować choć pozory panowania nad sytuacją. Jeśli przyjaciółka Poppy istotnie będzie trzymała język za zębami i nikt się nigdy nie dowie, że Poppy zniknęła, może Andrew zdoła uniknąć poślubienia pannicy.

Och, tak. Zdawał sobie sprawę, że to bardzo realna możliwość. Był dżentelmenem, który skompromitował damę, choć nie zrobił tego celowo. Był też jednak pragmatyczny. A ponieważ istniała przynajmniej niewielka szansa, że reputacja Poppy wyjdzie z tej eskapady bez szwanku, lepiej by ukrył przed nią swą prawdziwą tożsamość.

Tak sobie w każdym razie powtarzał.

Nadszedł czas, by opuścić port, więc Andrew stanął za sterem; całe jego ciało zesztywniało pod wpływem nagłej ekscytacji, kiedy podniesiono kotwicę, a żagle chwyciły wiatr i pchnęły „Infinity” naprzód. Można by pomyśleć, że z czasem ta chwila przestanie wzbudzać emocje, że tyle morskich podróży znieczuli go na ten poryw wiatru, szybkość i słoną wodę bryzgającą spod dzioba, kiedy przecinali fale.

Ale to wszystko ciągle uderzało mu do głowy, za każdym razem. Krew zaczęła krążyć mu w żyłach szybciej, płuca wypełniły się słonawym powietrzem o zapachu morza i w tym momencie Andrew czuł, że jest dokładnie w tym miejscu, w którym powinien być.

Jak na ironię, pomyślał, bo przecież nie znajdował się w żadnym miejscu, tylko sunął po powierzchni wody. Czy to znaczyło, że powinien zawsze pozostawać w ruchu? Czy dożyje swoich dni, żeglując po morzach? Czy rzeczywiście tak powinien żyć?

A może nadszedł już czas, by wrócić do domu?

Andrew pokręcił głową. To nie był odpowiedni moment na sentymenty. Filozofowanie jest dobre dla tych, co nic lepszego nie mają do roboty, a on miał przed sobą zadanie, które musiał wykonać.

Rozejrzał się po niebie, mijając miasto Lyme Regis i skierował „Infinity” w stronę kanału La Manche. Dzień był wymarzony dla żeglugi, rześki,

bezchmurny i odpowiednio wietrzny. Jeśli utrzyma się taka pogoda, dotrą do Portugalii w pięć dni.

– Proszę, Boże – powiedział Andrew z potulną miną człowieka, który nieczęsto zwraca się ku niebiosom. Jeśli jednak był w jego życiu czas na modlitwę, z pewnością jedna z takich chwil właśnie nadeszła. Był pewny, że poradzi sobie z Poppy Bridgerton, chciał jednak jak najszybciej się jej pozbyć. Jej obecność oznaczała ostateczny koniec jego kariery. W pewnej chwili dziewczyna pozna jego prawdziwe nazwisko; biorąc pod uwagę, jak blisko był skoligacony z jej kuzynami, wydawało się nieprawdopodobne, by mogło być inaczej.

– Sir?

Andrew skinął głową w stronę Billy’ego Suggsa. Billy miał trzynaście lat i był najmłodszym członkiem załogi.

– Sir, Pinsley mówi, że na statku jest kobieta – powiedział Billy. – Czy to prawda?

– Prawda.

Billy milczał przez chwilę, a potem zapytał:

– Sir? Czy to nie oznacza dla nas diabelskiego pecha, sir? To, że mamy na pokładzie kobietę?

Andrew zwalczył chęć, by zamknąć oczy i westchnąć. Tego się właśnie obawiał. Marynarze są strasznie przesądni.

– To tylko głupie gadanie, Billy, nic ponadto – odparł. – Nawet nie zauważysz, że ona tu jest.

Billy spojrzał na niego z powątpiewaniem, ale wrócił do swoich zajęć.

– Do diaska – mruknął Andrew, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć. – Jeśli mi szczęście dopisze, sam może nie zauważę, że ona tu jest.

4

Kiedy Poppy usłyszała wreszcie, że otwierają się drzwi kapitańskiej kajuty, była już w bardzo złym nastroju.

Do którego zresztą, jak sądziła, miała pełne prawo. Związane ręce i nogi mogą poważnie obniżyć nastrój. No dobrze, jedna ręka i obie nogi. Uznała, że kapitan James okazał jej trochę życzliwości, pozostawiając wolną prawą rękę – nie, żeby jej się do czegokolwiek przydała. Nie przesadzał, opowiadając o zaletach marynarskich węzłów. Już po minucie wiedziała, że w żaden sposób nie wywinie się z więzów. Podejrzewała, że zadziorniejsza niewiasta nie poddałaby się tak szybko, Poppy jednak nie lubiła mieć otarć na skórze ani połamanych paznokci, a szybko zrozumiała, że walcząc z węzłem, zapewne tylko tyle zdołałaby osiągnąć.

– Jestem głodna – oznajmiła, nie patrząc nawet, kto właśnie wszedł do kajuty.

– Przyszło mi do głowy, że może tak być – usłyszała w odpowiedzi głos kapitana. Ciepła, chrupiąca bułka znalazła się na łóżku tuż obok jej ramienia. Pachniała niebiańsko.

– Przyniosłem ci też masło – dodał kapitan.

Poppy pomyślała, że mogłaby się do niego odwrócić, ale już dawno zdała sobie sprawę, że jakakolwiek zmiana pozycji wymagała niezgrabnego wiercenia się i stękania. Powiedziała więc tylko:

– Chcesz, żebym nakruszyła ci w łóżku?

– Mógłbym odpowiedzieć na to pytanie na wiele interesujących sposobów – odparł, z leniwym uśmiechem, który usłyszała w jego głosie. – Powstrzymam się jednak.

Punkt dla niego. Znowu. Do diabła z nim.

– Jeśli chcesz – dodał łagodnie – uwolnię cię z więzów.

To wystarczyło, by odwróciła do niego głowę.

– Więc jesteśmy już na pełnym morzu?

Podszedł do niej z nożem w ręku.

– Jesteśmy na tyle daleko od brzegu, że ktoś tak inteligentny jak ty na pewno nie będzie próbował ucieczki.

Zmarszczyła nos.

– Komplement?

– Oczywiście – odparł z zabójczym uśmiechem.

– Zakładam, że noża chcesz użyć do przecięcia więzów.

Skinął głową i uwolnił ją jednym ruchem.

– Nie, żeby alternatywa nie była kusząca.

Szybko podniosła na niego wzrok.

– Żartowałem – powiedział, niemal przepraszająco.

Poppy nie była ni trochę rozbawiona.

Kapitan wzruszył ramionami i wyciągnął sznur spod jej stóp.

– Moje życie byłoby znacznie prostsze, gdyby cię tu nie było, panno Bridgerton.

– Mógł mnie pan zostawić w Charmouth – przypomniała mu.

– Nie – powiedział krótko. – Nie mogłem.

Poppy wzięła bułkę i odgryzła wielki, niezbyt elegancki kęs.

– Naprawdę jesteś głodna – mruknął.

Spojrzała na niego w sposób, który dobitnie powiedział mu, co sądzi o tym aż nazbyt oczywistym stwierdzeniu.

Rzucił w jej stronę drugą bułkę. Złapała ją jedną ręką i zdołała powstrzymać uśmiech.

– Nieźle, panno Bridgerton – powiedział.

Wzruszyła ramionami.

– Mam czterech braci.

– Rzeczywiście? – spytał łagodnie.

Na chwilę podniosła na niego oczy.

– Zawsze ze sobą rywalizowaliśmy.

Odsunął krzesło od zaskakująco eleganckiego stołu, po czym usiadł, z niedbałym wdziękiem opierając kostkę jednej nogi na kolanie drugiej.

– Wszyscy dobrze grali?

Poppy wbiła w niego wzrok. Potrafi być równie nonszalancka jak on; a jeśli nie, do śmierci będzie próbowała mu dorównać.

– Jedni lepiej niż inni – burknęła i dokończyła pierwszą bułeczkę.

Roześmiał się.

– Chcesz powiedzieć, że byłaś najlepsza?

Uniosła jedną brew.

– Tego nie powiedziałam.

– Nie musiałaś.

– Lubię wygrywać.

– Jak większość ludzi.

Zamierzała odpowiedzieć jakąś naprawdę ciętą ripostą, on jednak dodał natychmiast:

– Ty jednak, jak podejrzewam, lubisz wygrywać bardziej niż większość.

Ściągnęła wargi.

– Komplement?

Pokręcił głową i uśmiechnął się trochę złośliwie.

– Nie tym razem.

– Bo boisz się, że mogłabym okazać się lepsza od ciebie?

– Bo boję się, że mogłabyś zmienić moje życie w cholerne piekło.

Poppy otworzyła usta ze zdumienia. Tego się nie spodziewała. Spojrzała na drugą bułkę, a potem odgryzła kawałek.

– Niektórzy powiedzieliby – odezwała się, kiedy już przestała żuć – że pewnych słów nie wypowiada się w obecności dam.

– Nie jesteśmy na salonach – odpalił – a poza tym zdaje się, że masz czterech braci. Z pewnością nie raz narazili twoje uszy na gorsze rzeczy.

Tak właśnie było, oczywiście, a Poppy nie była damą do tego stopnia, by mdleć przy każdej okazji, kiedy komuś wyrwało się przekleństwo. Skarciła kapitana tylko dlatego, żeby go trochę zirytować, i podejrzewała, że on o tym wiedział.

Co z kolei zirytowało ją.

Postanowiła zmieć temat.

– Wydawało mi się, że wspominałeś o maśle.

Z galanterią wskazał małą maselniczkę stojącą na stole.

– Na pewno wolałabyś, żebym tym nie rzucał – powiedział. – Nie ujmując niczego twojej zwinności.

Poppy wstała i podeszła do stołu. Chwiała się trochę, ale nie wiedziała, czy to z powodu fal, czy dlatego, że wcześniej straciła czucie w stopach.

– Usiądź – powiedział, co zabrzmiało raczej jak prośba niż rozkaz.

Zawahała się; jego uprzejmość wytrącała ją z równowagi bardziej, niż zrobiłoby to grubiaństwo.

– Nie gryzę – dodał, odchylając się do tyłu.

Wysunęła krzesło.

– Chyba że sama byś tego chciała – mruknął.

– Kapitanie James!

– Och, na litość boską, panno Bridgerton, nie takie rzeczy już słyszałaś.

– Nie wiem, o czym mówisz – wycedziła.

Kąciki jego ust uniosły się lekko. Nie, żeby kiedykolwiek całkiem opadały; ten straszny człowiek zawsze wyglądał, jakby coś knuł.

– Jeśli istotnie jesteś taka jak myślę – powiedział takim tonem, jakby się z nią przekomarzał – to ani trochę nie rażą cię moje słowne gierki.

Poppy usiadła i sięgnęła po masło.

– Zwykle nie żartuję na tematy związane z moim życiem i cnotą, kapitanie James.

– Rozsądna zasada – odparł, odchylając się na oparcie krzesła. – Ale z pewnością mnie nie musi ograniczać.

Wzięła do ręki nóż do masła i przyjrzała mu się z uwagą.

– Nie dość ostry, by mógł zrobić mi krzywdę. – Kapitan uśmiechnął się.

– Nie. – Poppy westchnęła i zanurzyła go w maśle. – Szkoda. – Posmarowała bułeczkę i odgryzła kęs. – Zamierzasz trzymać mnie tu o chlebie i wodzie?

– Oczywiście, że nie – powiedział. – Nie pozwoliłbym sobie na to. Kolacja będzie za… – spojrzał na swój kieszonkowy zegarek – …pięć minut.

Przyglądała mu się przez chwilę. Nie wyglądał jak ktoś, kto się dokądś wybiera.

– Masz zamiar zjeść tutaj, ze mną?

– Nie zamierzam głodować.

– Nie możesz pójść zjeść z… z… – Wykonała jakiś nieokreślony ruch ręką.

– Z moją załogą? – dokończył za nią. – Nie. Panują tu bardziej liberalne zwyczaje niż na innych statkach, ale nie ma tu demokracji. Ja jestem kapitanem. Posiłki jem tutaj.

– Sam?

Na jego twarz powoli wypłynął złośliwy uśmiech.

– Chyba że mam towarzystwo.

Zagryzła wargę, zdecydowana nie bawić go, połykając ten haczyk.

– Smakuje ci bułka? – spytał niewinnie.

– Jest pyszna.

– Głód sprawia, że wszystko dobrze smakuje – zauważył.

– Tak czy inaczej – zaczęła – jest dość dobra.

– Przekażę twoją pochlebną opinię kucharzowi.

– Masz tu kucharza? – spytała, zaskoczona.

Wzruszył ramionami.

– Uważa się za Francuza. Zawsze podejrzewałem jednak, że urodził się w Leeds.

– Nie ma w tym nic złego – odparła Poppy.

– Nie, chyba że jesteś francuskim kucharzem.

Uśmiechnęła się lekko, co ją samą bardzo zaskoczyło.

– No proszę, panno Bridgerton – powiedział kapitan, kiedy skończyła drugą bułeczkę. – Nie było tak ciężko, prawda?

– Przeżuć, to ma pan na myśli? – zapytała niewinnie. – Zawsze byłam w tym dość dobra, przynajmniej odkąd wyrosły mi zęby.

– Ostre, jak mniemam.

Uśmiechnęła się. Powoli.

– Jak u wilka.

– Nie jest to zbyt pociągająca wizja. Z pewnością wiesz, że piłem do naszej rozmowy. – Przekrzywił głowę, przez co jego uśmiech wydał się nieco krzywy i jeszcze bardziej zabójczy. – W moim towarzystwie nietrudno o śmiech.

– Pytanie brzmi jednak: po co?

– Po co miałabyś się śmiać?

Skinęła głową.

Pochylił się do przodu.

– To daleka podróż, panno Bridgerton, aż do Portugalii, a szczerze mówiąc, mężczyźni to leniwe stworzenia. Jestem zmuszony mieć cię na pokładzie, a nawet w swojej kajucie, przez co najmniej dwa tygodnie. Zużyję na to wszystko znacznie mniej energii, jeśli przez cały czas nie będziesz pluła jadem.

Poppy zdobyła się na półuśmiech, dokładnie taki jak ten na jego twarzy.

– Zapewniam, kapitanie James, że nigdy nie pluję.

Roześmiał się głośno.

– *Touché*, panno Bridgerton.

Poppy siedziała przez chwilę bez ruchu. Zjadła obie bułki, kolacji jeszcze nie przyniesiono, nie bardzo więc miała się czym zająć. Cisza była krępująca i Poppy wpatrywała się w swoje dłonie, żeby nie patrzeć na kapitana, co bardzo ją irytowało.

Ale na niego było jej trudno patrzeć. I nie chodziło o to, że był tak przystojny, choć istotnie tak właśnie było. I choć Poppy zwykle czuła się swobodnie w różnych towarzyskich sytuacjach, musiała przyznać, że niektórzy ludzie są po prostu zbyt piękni. Wtedy musiała odwrócić wzrok, ryzykując, że zostanie uznana za mało elokwentną i głupią.

Ale to nie dlatego kapitan James sprawiał, że czuła się tak nieswojo. Sama była dość ładna, ale też często zdarzało jej się przebywać w towarzystwie ludzi bardziej niż ona atrakcyjnych. Londyn był pełen dam i dżentelmenów, którzy codziennie przez wiele godzin dbali o swój wygląd. Poppy z trudem była w stanie wysiedzieć spokojnie do czasu, aż pokojówka upięła jej włosy.

Problem z kapitanem Jamesem nie polegał na jego urodzie, lecz na inteligencji. Dokładniej rzecz ujmując, miał jej w nadmiarze.

Poppy widziała to w jego oczach. Sporo czasu spędzała w salonach, w których była najbardziej inteligentną osobą. I nie były to czcze przechwałki, lecz fakt. Tym razem jednak nie była pewna, czy nie trafiła kosa na kamień.

Wstała gwałtownie, podeszła do okien i spojrzała w morski bezkres. Nie miała jeszcze czasu zbadać kajuty, nie tak naprawdę. Na razie przez większość czasu była związana na koi i wpatrywała się w sufit. A kiedy pisała list do Elizabeth była zbyt skupiona na swoim zadaniu – i dotrzymywaniu kroku bystremu kapitanowi – by rzeczywiście rozejrzeć się dookoła.

– Bardzo piękne okna – powiedziała. Szkło było wysokiej jakości, może nieco porysowane od wiatru, ale nie wypaczone czy sfałdowane.

– Dziękuję.

Skinęła głową, choć na niego nie patrzyła.

– Wszystkie kapitańskie kajuty są tak przestronne?

– Nie mogę powiedzieć, żebym był znawcą przedmiotu, ale te, w których bywałem, tak. Zwłaszcza na okrętach wojennych.

Odwróciła się.

– Służyłeś na okrętach wojennych?

Spojrzał w bok – nie trwało to nawet sekundy – ale wystarczyło, by Poppy zrozumiała, że wymknęło mu się przypadkowo.

– Wiedziałam, że byłeś w marynarce.

– Doprawdy?

– Albo służyłeś, albo byłeś ich więźniem, co, mimo iż dopuściłeś się właśnie porwania, nie wydaje się prawdopodobne.

– Ponieważ mam zbyt wysokie morale?

– Ponieważ wydajesz się zbyt inteligentny, by dać się złapać.

Roześmiał się.

– Potraktuję to jak komplement najwyższej próby, panno Bridgerton. Głównie ze względu na to, jak niechętnym tonem został wygłoszony.

– Byłoby głupotą z mojej strony nie doceniać twojej inteligencji.

– Rzeczywiście, a jeśli pozwolisz, bym zrewanżował ci się komplementem, powiem, że byłoby w równym stopniu głupotą, gdybym ja nie doceniał ciebie.

Poppy przeszył delikatny dreszczyk przyjemności. Mężczyźni tak rzadko cenili w kobietach inteligencję. A fakt, że to właśnie on…

…nie miał z tym oczywiście nic wspólnego, powiedziała sobie twardo. Podeszła do jego biurka, które stało pod przeciwległą ścianą. Podobnie jak stół, było eleganckie i pięknie rzeźbione. Wszystko zresztą w tej kajucie mówiło o bogactwie i przywilejach. Książki ciasno ułożone na półce należały do człowieka wykształconego; była też pewna, że dywan został sprowadzony ze Wschodu.

A może on sam popłynął na Wschód i go sobie kupił. Tak czy inaczej, dywan był doskonałej jakości.

Poppy zawsze sądziła, że kajuty na statkach są małe i ciasne, ta jednak była naprawdę spora. Nic nie mogło się równać z jej sypialnią w domu, oczywiście, ale tutaj mogła zrobić dziesięć kroków od jednej ściany do drugiej, a zawsze stawiała duże kroki.

– Cierpisz na chorobę morską, panno Bridgerton? – spytał kapitan.

Odwróciła się szybko, zaskoczona, że sama dotąd o tym nie pomyślała.

– Nie wiem.

To wyraźnie go rozbawiło.

– A jak się czujesz w tej chwili?

– Doskonale – odparła powoli, wczuwając się w swoje ciało. Żadnych zawrotów głowy, żadnych mdłości. – Prawie normalnie, jak sądzę.

Skinął głową.

– To dobry znak. Widywałem mężczyzn niezdatnych do niczego nawet tu, na spokojnych wodach Kanału.

– Te wody są spokojne? – spytała Poppy. Nie kołysało zbyt mocno, ale podłoga pod jej stopami wznosiła się i opadała. Nie przypominało to wycieczek łodzią po jeziorze.

– Stosunkowo – odparł. – Zobaczysz wzburzone wody, kiedy wypłyniemy na Atlantyk.

– Ale my… – Urwała szybko. Oczywiście, że nie wypłynęli jeszcze na ocean. Znała geografię. Tylko dotąd nie miała okazji wypróbować swojej wiedzy w praktyce.

Nadała twarzy wyraz opanowania – taką miała przynajmniej nadzieję – i powiedziała sucho:

– Nigdy dotąd nie byłam na morzu. Spodziewam się, że wkrótce będziemy mogli się zorientować, jak to znoszę.

Kapitan otworzył usta, ale w tym momencie rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi, więc cokolwiek chciał powiedzieć zostało zastąpione

prostym:

– To na pewno kolacja.

Poppy odsunęła się na bok i mniej więcej dwunastoletni chłopak o jasnych włosach wniósł do kajuty tacę z naczyniami i karafką pełną czegoś, co wyglądało jak czerwone wino.

– Dziękuję, Billy – rzucił kapitan.

– Sir – odparł Billy, stawiając wyładowaną tacę na stole.

Poppy uśmiechnęła się do chłopca – nie miało sensu być dla wszystkich niegrzeczną – on jednak wyraźnie starał się nawet nie spojrzeć w jej stronę.

– Dziękuję – powiedziała więc, może odrobinę zbyt głośno. Billy oblał się rumieńcem i skinął z zakłopotaniem głową.

– To jest panna Poppy – powiedział kapitan, kładąc dłoń na ramieniu chłopaka, zanim ten zdążył umknąć. – Poza mną, jesteś jedną osobą, której wolno wchodzić do tej kajuty, by jej usłużyć. Rozumiesz?

– Tak, sir – odparł Billy, ciągle na nią nie patrząc. Wydawał się bardzo nieszczęśliwy. – Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

– Nie, to wszystko. Możesz wrócić za trzy kwadranse, żeby zabrać naczynia.

Billy kiwnął głową i niemal wybiegł z kajuty.

– Taki wiek – odezwał się kapitan, drwiąco unosząc brwi – kiedy nic nie przeraża bardziej niż atrakcyjna kobieta.

– Miło wiedzieć, że kogoś przerażam – mruknęła Poppy.

Kapitan parsknął śmiechem.

– Och, tym nie musisz się martwić. Brown i Green ledwie żyją ze strachu.

– A ty? – spytała Poppy, siadając przy stole. – Ciebie też przerażam?

Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź. Sama nie wiedziała, jaki złośliwy chochlik kazał jej zadać to pytanie, ale teraz, kiedy już padło, skóra aż mrowiła ją z niecierpliwości.

Kapitan nie spieszył się z odpowiedzią, Poppy czuła jednak, że nie robił tego, by wprawić ją w zakłopotanie. Wydawał się namyślać nad czymś, kiedy podnosił pokrywę znad głównego dania.

– Królik w winie – mruknął. – I nie, mnie nie przerażasz.

Podniósł wzrok i spojrzał na nią tymi zdumiewająco niebieskimi oczami.

Czekała, aż powie coś więcej, nie zrobił tego jednak i zaczął nakładać kawałki pieczeni na talerze.

– A co cię przeraża? – zapytała w końcu.

Przeżuł kawałek mięsa. Przełknął.

– Cóż, nie przepadam za pająkami.

Było to tak nieoczekiwane, że prychnęła.

– A kto przepada?

– Są tacy, jak przypuszczam – odparł, wzruszając jednym ramieniem. – Czyż ludzie nie badają takich stworzeń na uniwersytetach? Naturaliści i im podobni?

– Jednak gdybyś był naturalistą, nie wolałbyś badać czegoś miłego i puchatego?

Kapitan opuścił wzrok na swój talerz.

– Jak na przykład królika?

Powstrzymała uśmiech.

– Punkt dla ciebie.

– Będę szczery – powiedział, odkrywając niewielkie naczynie z ziemniakami posypanymi natką pietruszki. – Myślę, że żadne z nas nie zarobiło punktu.

Tym razem musiała się uśmiechnąć. Ale przewróciła też oczami.

– Widzisz – powiedział. – Nie jestem taki strachliwy.

– Podobnie jak ja – odpaliła.

Westchnął.

– Cóż to miało znaczyć? – spytała podejrzliwie.

– Co?

Zmrużyła oczy.

– Westchnąłeś.

– A czy to zabronione?

– Kapitanie James.

– Bardzo dobrze – odparł i ponownie westchnął, a jego twarz po raz pierwszy wydała jej się zmęczona. – Nie próbuję uniknąć odpowiedzi. Nie przerażasz mnie. Ale powiem ci, co mnie przeraża.

Umilkł i Poppy zaczęła się zastanawiać, czy zrobił to dla bardziej dramatycznego efektu, czy po prostu szukał odpowiednich słów.

– Drętwieję z przerażenia – powiedział bardzo powoli – w obliczu wszystkiego, co reprezentujesz.

Przez chwilę Poppy była w stanie tylko patrzeć na niego szeroko otwartymi oczami.

– Co to znaczy? – spytała. Uważała, że nie zabrzmiało to defensywnie. Uważała, że wcale nie jest w defensywie. Była po prostu ciekawa. Po takich słowach, kto nie byłby ciekawy?

Kapitan pochylił się do przodu, opierając łokcie na stole, i połączył palce obu dłoni.

– Panno Bridgerton, jesteś kobietą wysokiego urodzenia. Zapewne zdajesz już sobie sprawę, że mam pewne doświadczenie z tym konkretnym gatunkiem.

Skinęła głową. Było jasne, że kapitan James jest urodzonym dżentelmenem. Było to wyraźnie widoczne we wszystkim, co robił, co mówił. Widziała to w sposobie, w jaki się poruszał i odzywał, i zastanawiała się, czy człowiek w ogóle jest w stanie prawdziwie porzucić zwyczaje, w jakich został wychowany.

Zastanawiała się, czy kapitan tego chciał.

– Ujmując rzecz prosto, panno Bridgerton – ciągnął – istoty takie jak ty nie mają racji bytu na statku.

Poppy spojrzała na niego spod oka.

– Zdaje się, że zgodziliśmy się już co do tego.

– Istotnie. Jednak ku naszej obopólnej rozpaczy istnieją ważne powody, dla których nie wolno mi było pozostawić cię na brzegu.

– Jakież to powody?

Rzucił jej zdawkowy uśmiech.

– Nic takiego, czym musiałabyś zaprzątać sobie tę śliczną główkę.

Tym razem była prawie pewna, że chciał pogłaskać ją pod włos. Ale ta protekcjonalna uwaga rozzłościła ją mniej niż fakt, że miała ją rozzłościć.

Nie lubiła, kiedy ktoś tak szybko potrafił ją rozszyfrować.

A szczególnie nie podobało jej się, że właśnie jemu się to udało.

Uśmiechnęła się więc uroczo i podziękowała, kiedy nałożył jej ziemniaki na talerz. A kiedy zauważyła, że przygląda jej się z zaciekawieniem, jakby nie był pewny, jak rozumieć jej reakcję czy też jej brak, pozwoliła sobie na chwilkę małej satysfakcji. Naprawdę małej, bo szczerze mówiąc, wątpiła, czy zdołałaby jej nie okazać, gdyby naprawdę chciała się delektować tym triumfem.

A jeśli coś takiego uchodziło teraz za triumf, wolała nie myśleć, co to właściwie oznaczało.

– Wina? – spytał kapitan.

– Proszę.

Napełnił jej kieliszek. Wszystko to było niezwykle uprzejme. Jedli w milczeniu i Poppy była raczej zadowolona z pozostawania sam na sam ze swoimi myślami. W końcu kapitan przełknął ostatni kęs i zauważył:

– To dość wygodne łóżko. Jeśli nie jest się związanym, rzecz jasna.

Głowa Poppy podskoczyła do góry.

– Słucham?

– Moje łóżko – powtórzył, wskazując je głową. – Jest bardzo wygodne. Ma poręcz: wystarczy ją podnieść, a sama zajmuje swoje miejsce. Zabezpiecza przed wypadnięciem, kiedy bardzo kołysze.

Poppy poczuła, jak jej oczy otwierają się szeroko, kiedy odwróciła głowę w stronę pryczy. Była większa, niż można by się spodziewać na statku, ale z pewnością nie dość duża dla dwojga. On nie wyobrażał sobie chyba zresztą, że mogliby… Nie, na pewno nie. Ale on przecież nie będzie tu sypiał. Powiedział wcześniej, że oddaje jej swoją kajutę do dyspozycji.

– Uspokój się – mruknął. – Łóżko jest twoje.

– Dziękuję – powiedziała.

– Ja będę spał na podłodze.

Głośno wciągnęła powietrze.

– Tutaj?

– A gdzie indziej miałbym skłonić głowę, twoim zdaniem?

Po kilku nieudanych próbach zdołała wreszcie wykrztusić:

– Gdzie indziej?

Wzruszył ramionami.

– Nie ma miejsca.

Pokręciła szybko głową, jakby chciała wygonić jego słowa z kajuty.

– To nie może być prawda.

– Cóż, zawsze pozostaje pokład – odparł – ale też mówiono mi, że niespokojnie sypiam. Mógłbym stoczyć się za burtę.

– Proszę – powiedziała błagalnie. – Bądź poważny.

Spojrzał jej w oczy, co znowu przypomniało jej, że rozmawia z kimś więcej niż zwykłym morskim zabijaką. W jego wzroku nie było śladu rozbawienia.

– Jestem poważny – odparł.

– Moja reputacja…

– To już niczego nie zmieni. Jeśli odkryto już, że zniknęłaś, twoja reputacja jest zszargana bez względu na to, gdzie będę spał. Jeśli nie, nikt nic nie wie.

– Twoi ludzie wiedzą.

– Moi ludzie wiedzą, kim jestem – odparł tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jeśli powiem im, że jesteś szlachetnie urodzoną damą i że śpię przy tobie, by cię chronić, w to będą wierzyli.

Poppy podniosła dłoń do ust nerwowym gestem, na który pozwalała sobie tylko w chwilach największego zdenerwowania. Tak się w każdym razie okłamywała; najprawdopodobniej robiła to bez przerwy.

– Widzę, że mi nie wierzysz – odezwał się kapitan.

– Będę szczera – odparła. – Sama nie wiem już, w co wierzyć.

Patrzył na nią długą chwilę.

– W porządku – powiedział, co zabrzmiało, nie wiedzieć czemu, jak komplement. Potem wstał i podszedł do drzwi. – Wezwę Billy’ego, żeby zabrał naczynia. Biedny chłopak wychodzi z siebie ze strachu, jak przypuszczam. Zapewniałem go, że nie będzie nawet wiedział, gdzie przebywasz, a teraz ma ci przynosić posiłki.

– Trzeba było go zapewniać, że nie będzie mnie oglądał? Jestem taką gorgoną?

Kapitan James uśmiechnął się, ale bez wesołości.

– Każda kobieta na statku jest gorgoną. Przynosi pecha.

– Ty też w to wierzysz?

Niemożliwe. Na pewno nie.

– Wierzę, że miałem wielkiego pecha, kiedy odkryłaś moją jaskinię.

– Ale…

– Nie – przerwał jej władczo. – Nie wierzę, że kobiety zawsze przynoszą pecha, na statku czy gdziekolwiek indziej. Ale wierzą w to moi marynarze, a ja muszę brać to pod uwagę. A teraz mam pracę, którą muszę się zająć. Nie będzie mnie jakieś trzy godziny. To powinno dać ci dość czasu, by przygotować się do snu.

Usta Poppy opadły, kiedy zobaczyła, jak sięga do klamki. Był już prawie na zewnątrz, gdy krzyknęła:

– Zaczekaj!

5

Andrew pozwolił sobie na przeciągłe westchnienie, zanim się odwrócił. Panna Bridgerton stała koło łóżka z wyrazem zdenerwowania na twarzy.

Nie, nie wydawała się zdenerwowana. Raczej skrępowana. Wyraźnie miała mu coś do powiedzenia.

Ale nie mówiła tego, co powinno go zaniepokoić.

– Tak? – ponaglił ją w końcu.

Pokręciła głową.

– Nic.

Miał wystarczająco duże doświadczenie z kobietami, by wiedzieć, że to na pewno nie jest prawda.

– Jesteś pewna?

Pokiwała głową.

Doskonale. Skoro się upiera. Skinął lekko głową i znowu odwrócił się do drzwi.

– Tylko…

Do diabła. Już był tak blisko. Odwrócił się ponownie – wcielenie cierpliwości.

– Nie mam nic do ubrania – powiedziała cicho.

Zwalczył pragnienie, by zamknąć oczy, choćby na krótką chwilę. Nie podejrzewał ją o taką frywolność. Chyba nie uważała, że potrzebuje kufra strojów na podróż do Portugalii.

Wtedy dodała:

– Nie mam nic do spania i, no cóż, do ubrania na dzień też.

– A co jest złego w tym, co masz na sobie? – spytał, wskazując dłonią niebieską sukienkę. Stanik był uszyty z koronki o dużym wzorze, spódnica, na szczęście, była gładka i prosta, bez żadnych falban czy pętelek, które mogłyby jeszcze bardziej utrudnić jej życie na statku.

Przyszło mu do głowy, że na niej ta sukienka wyglądała całkiem ładnie. Prawdę mówiąc, zanim poznał jej tożsamość, zabawiał się wyobrażaniem sobie, jak ją z niej ściąga.

– Nie ma w tym nic złego – odparła – ale nie mogę chodzić w tym przez dwa tygodnie.

– Moi ludzie zwykle chodzą w tym samym ubraniu przez cały rejs.

On nie, ale jego ludzie – tak.

– Jakby na to nie patrzeć – powiedziała, wyraźnie starając się nie skrzywić – wątpię, by ta sukienka była praktyczna na pokładzie.

Nareszcie. Problem, który można szybko rozwiązać.

– Nie będziesz na pokładzie – powiedział.

– Nigdy?

– To niebezpieczne – wyjaśnił po prostu.

– Uduszę się tutaj – jęknęła, wykonując ruch okrężny ręką, jakby chciała wskazać swoje otoczenie. Ale sprawiał on raczej wrażenie, jakby była lekko niezrównoważona psychicznie.

– Nie bądź głupia – rzucił i sam skrzywił się w duchu na dźwięk własnego lekceważącego głosu. Nie udusi się, oczywiście, że nie, ale będzie nieszczęśliwa. Zdążył już zauważyć, że Poppy Bridgerton nie należy do osób, które dobrze znoszą nudę.

Ale nie mógł pozwolić, żeby plątała mu się po statku. Niepotrzebnie rozpraszałaby jego ludzi, a poza tym nie miała pojęcia o bezpieczeństwie na morzu. Nie wspominając już o tym, jak przesądni są marynarze, zwłaszcza jeśli chodzi o kobietę na pokładzie. Połowa jego ludzi za każdym razem robiłaby pewnie znak krzyża na jej widok.

Panna Bridgerton nadal wydawała się zdenerwowana. Zaczęła się jąkać.

– Ale… ale…

Odwrócił się z powrotem do drzwi.

– Bardzo mi przykro, panno Bridgerton, ale tak być musi. Dla twojego bezpieczeństwa.

– Ale przez całe dwa tygodnie? Nie widzieć słońca przez czternaście długich dni?

Kapitan uniósł jedną brew.

– Dopiero co wyrażałaś się z najwyższym uznaniem o moich oknach.

– To nie to samo i dobrze o tym wiesz.

Wiedział i szczerze jej współczuł. Naprawdę. Sam nie wyobrażał sobie, że miałby siedzieć przez dwa tygodnie zamknięty w kajucie, nawet tak dobrze wyposażonej jak ta.

– Kapitanie James – powiedziała, biorąc coś, co zabrzmiało jak głęboki, wzmacniający oddech. – Proszę pana jako dżentelmena.

– I tu właśnie się pani myli.

– Proszę nie udawać, kapitanie. Może chcesz to ukryć, a może chcesz się ukryć przed tym, ale urodziłeś się jako dżentelmen. Przed chwilą sam to przyznałeś.

Skrzyżował ręce na piersi.

– Na tym statku nie jestem dżentelmenem.

Poppy też skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie wierzę ci.

I wtedy coś w nim pękło. Po prostu pękło. Od chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, skrępowaną i zakneblowaną, na swoim łóżku, przez cały czas zajmował się tylko nią albo którymś z setek problemów, wynikających z jej obecności. A właśnie wyruszył w podróż z misją bardzo delikatnej natury.

– Na rany Chrystusa, kobieto – niemal wybuchnął – czy ty nie masz rozumu?

Otworzyła usta, ale nie pozwolił jej odpowiedzieć.

– Czy masz choć cień świadomości, w jak niebezpiecznym znalazłaś się położeniu? Nie? Pozwól więc, że ci wyjaśnię. Jesteś na statku, na którym jesteś jedyną istotą płci żeńskiej, a połowa tych mężczyzn – gwałtownym ruchem wskazał ręką drzwi – uważa, że sama twoja obecność tutaj oznacza nadciągający tajfun.

– Tajfun? – powtórzyła.

– W tym rejonie nie zdarzają się tajfuny – wycedził – i właśnie to powinno pokazać ci, jak bardzo oni wszyscy nie chcą cię na statku. Więc moim skromnym zdaniem – nie, żebyś miała ochotę się z nim liczyć – powinnaś wykazać więcej roztropności.

– Nie chciałam być na tym statku! – zawołała.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odpalił. – I żeby wszystko było jasne: nie jestem zachwycony faktem, że muszę cię tu gościć.

Poppy zacisnęła usta i przez jedną straszną chwilę był pewny, że zacznie płakać.

– Proszę – powiedziała. – Proszę, nie zmuszaj mnie do pozostawania w tej kabinie przez całą tę podróż. Błagam cię o to.

Westchnął. Do diabła z nią. Dużo łatwiej było mu lekceważyć jej problemy, kiedy na siebie wrzeszczeli.

– Panno Bridgerton – powiedział, starając się mówić łagodnie – moim obowiązkiem jako dżentelmena jest zapewnić ci bezpieczeństwo. Nawet jeśli oznacza to pewne niewygody.

Spodziewał się, że powie: „A więc jednak jesteś dżentelmenem”, ona jednak zaskoczyła go swoim opanowaniem. Przez długą chwilę milczała, a potem rzuciła tylko:

– A zatem do zobaczenia wieczorem.

Skłonił się krótko.

– Wracasz za trzy godziny, tak? – Jej głos brzmiał chłodno, oficjalnie, a on poczuł się dziwnie nieswojo, bo było to do niej takie niepodobne.

Co w ogóle było śmieszne. Przecież wcale nie znał Poppy Bridgerton. Aż do tego popołudnia nie był w ogóle świadom jej istnienia, przynajmniej w takim sensie. Była jedną z wielu licznych kuzynek o nazwisku Bridgerton, których imion nie znał i które nie miały dla niego znaczenia.

Więc nie powinien wiedzieć, co jest do niej podobne, a co nie.

I nie powinien o to dbać.

– Będę gotowa – powiedziała tonem, w którym słychać było wyniosłą nutę, i z tym też było coś nie tak.

Ale tylko po części.

– Życzę miłego wieczoru, panno Bridgerton – powiedział, skłonił się ponownie i wyszedł z kajuty. Piekło i szatani. Musi się napić. Albo dobrze wyspać. Rzucił okiem na drzwi swojej kajuty, zamknięte teraz na klucz. Będzie spał na podłodze. Więc na pewno się nie wyśpi.

W takim razie musi się napić. Ani chwilę za wcześnie.

Panna Bridgerton była ciągle całkowicie ubrana, kiedy Andrew wrócił trzy i pół godziny później, wyjęła jednak szpilki z włosów, które spoczywały teraz na jej ramieniu splecione w warkocz. Siedziała na łóżku, wyprostowana, z kolanami okrytymi kocem. Opierała się o poduszkę wsuniętą między ścianę i plecy.

Jego poduszkę. Andrew zauważył, że zasłony ciągle są rozsunięte, więc podszedł do okien i zasłonił je. Kajuta była jasna, a on nie lubił rażącego, porannego słońca. Nie było jeszcze letniego przesilenia; o tej porze wschodzące słońce biło oślepiającym blaskiem.

– Jesteś gotowa do łóżka? – zapytał. Najzwyklejsze, codzienne pytanie, a jednak udało mu się je zadać zupełnie naturalnym głosem.

Panna Bridgerton podniosła wzrok znad książki, którą właśnie czytała.

– Jak widzisz.

– Nie będzie ci trochę niewygodnie w tej sukience?

Odwróciła się powoli, żeby na niego spojrzeć.

– Nie widzę alternatywy.

Andrew miał trochę doświadczenia w zdejmowaniu z kobiet sukienek; wiedział, że pod spodem musiała mieć coś w rodzaju halki, w której na pewno wygodniej byłoby jej spać.

Ale halka na pewno też ukazywałaby zdecydowanie więcej; za dużo, by którekolwiek z nich dwojga czuło się swobodnie.

Nie, żeby miał najmniejszy choć zamiar pójść z nią do łóżka. Nawet nie pocałuje tej dziewczyny, niech Bóg ma go w swojej opiece. Ale była dość atrakcyjna, musiał przyznać to całkiem obiektywnie. Miała piękne oczy w cudnym odcieniu zieleni, przypominającym trochę liście, a trochę mech, i włosy Bridgertonów, gęste i lśniące, o barwie kasztanów. Jej twarz nigdy nie był dość obojętna, by spełniać konwencjonalne standardy urody, ale też on akurat nigdy nie przepadał za kobietami bez wyrazu. Do diabła, za mężczyznami bez wyrazu też nie przepadał, a Bóg jeden wie, że poznał takich sporo, kiedy jeszcze obracał się w towarzystwie. Andrew nigdy nie rozumiał, dlaczego modne jest wyglądać na znudzonego.

Znudzony równało się nudny.

Zastanowił się nad tym. Świetna, chwytliwa sentencja. Użyje jej na rodzinnym spotkaniu, kiedy następnym razem pojedzie do domu. Pewnie będą przewracali oczami, ale – w pewnym sensie – musieli to robić. Jak każda rodzina.

Boże, tęsknił za nimi. Miał teraz jedenastu bratanków i siostrzeńców, a dwóch z nich nawet nie miał jeszcze okazji poznać. Z piątki rodzeństwa Rokesby tylko on i jego młodszy brat, Nicholas, nie byli jeszcze żonaci. Pozostała trójka była nieprzyzwoicie szczęśliwa i mnożyła się jak króliki.

Oczywiście nie między sobą. Ze współmałżonkami. Skrzywił się, choć nie było świadka jego wypaczonych rozmyślań. Był taki zmęczony. Miał za sobą bardzo ciężki dzień, który wkrótce przejdzie w jeszcze gorszą noc. Nie miał pojęcia, jak w ogóle będzie spał. Biorąc pod uwagę miejsce na podłodze i jej obecność w kajucie…

Nie sposób było jej ignorować. Może byłoby mu łatwiej, gdyby była wystraszona i potulna. Na pewno byłyby też łzy, ale przynajmniej znikając mu z oczy, znikałaby też z jego myśli.

Podszedł do wbudowanych w ścianę szuflad. Miał tam koszulę nocną, proszek do mycia zębów i szczoteczkę. Billy zwykle zostawiał na stole miskę z wodą, teraz jednak najwyraźniej za bardzo wystraszył się panny Bridgerton, by ponownie wejść do kajuty. Andrew wziął szczoteczkę i przyjrzał się jej, wzdychając nad brakiem niezbędnego do mycia zębów płynu.

– Ja też nie umyłam zębów.

Uśmiechnął się. A więc jednak patrzyła na niego. Bardzo starała się wyglądać na pogrążoną w lekturze, był jednak pewny, że kiedy tylko odwróci się do niej plecami, porzuci tę rolę.

– Oboje będziemy mieli przykry oddech jutro rano.

– Czarująca prognoza.

Spojrzał na nią przez ramię.

– Nie planowałem całowania się z kimkolwiek. A ty?

Była zbyt inteligentna, by połknąć tak oczywistą przynętę, więc włożył szczoteczkę do ust i umył zęby bez proszku. Lepsze to niż nic.

– Nie przypuszczam, żebyś miał na statku dodatkową – powiedziała. – Mam na myśli szczoteczkę do zębów.

– Niestety nie mam, ale możesz użyć swojego palca i mojego proszku.

Westchnęła i skinęła głową, a jego dziwnie ucieszył fakt, że była taka niewybredna.

– Rano będzie woda – zapewnił ją. – Zwykle dostaję ją też wieczorem, ale chyba Billy za bardzo się ciebie przestraszył.

– Przyszedł zabrać naczynia.

– Cóż, to dobrze. – Nie powiedział jej, że musiał chłopaka złapać za kołnierz i nadać mu właściwy kierunek. Ale lepiej, że to Billy, a nie ktoś inny. Brown albo Green też byliby do zaakceptowania – Andrew znał ich

obu dość długo, by wiedzieć, że żaden z nich nie naraziłby jej na żadne niebezpieczeństwo – wątpił jednak, czy któryś z nich miałby ochotę mieć z nią cokolwiek wspólnego.

Andrew sięgnął do szuflady po koszulę nocną, ale nagle znieruchomiał. Do diabła, on też będzie musiał spać w ubraniu. Mógłby się rozebrać dopiero po zgaszeniu latarń, a poza tym było coś niegodnego w spaniu w nocnej koszuli, podczas gdy ona pozostawała całkowicie ubrana.

– Jesteś gotowa do snu? – zapytał.

– Miałam nadzieję, że poczytam trochę dłużej. Ufam, że nie masz nic przeciw temu, że pożyczyłam kilka z twoich książek.

– Absolutnie nie. Zwariowałabyś z nudów, nie mając tu zupełnie nic do roboty.

– Jakie to liberalne z twojej strony.

Przewrócił oczami, ale nie zdobył się na żadną ripostę.

– Światło nie będzie mi przeszkadzało, tylko nie zaśnij przy zapalonej lampie.

– Oczywiście.

Czuł, że mimo wszystko powinien wzmocnić prośbę.

– Na statku nie ma gorszej katastrofy niż pożar.

Spodziewał się, że rzuci niecierpliwie: „Mówiłam już, że zgaszę lampę”. Nie zrobiła tego jednak, a jemu…

Jemu, w jakiś dziwny sposób, sprawiło to przyjemność.

– Dziękuję, że jesteś taka rozsądna – powiedział. Zauważył, że nie podniosła poręczy przy łóżku, więc podszedł, żeby to zrobić.

– Kapitanie James! – wykrzyknęła, gwałtownie cofając się w róg łóżka.

– Nie obawiaj się o swoją cnotę – powiedział znużonym głosem. – Chciałem tylko zrobić to. – Podniósł poręcz i umieścił ją na właściwym miejscu. Był to solidny kawałek drewna, dzięki któremu osoba leżąca w łóżku miała pozostać w nim nawet przy silnym wietrze.

– Przepraszam – powiedziała. – To był… odruch, jak przypuszczam. Jestem na krawędzi.

Zmarszczył brwi. To były zdawkowe przeprosiny. Jej głos był zbyt… Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Nie wysunęła się jeszcze z kąta, w którym wydawała się taka mała – nie pod względem wzrostu, ale wyrazu, jeśli można uznać, że takie określenie ma sens.

Nie, żeby dzisiaj cokolwiek miało sens.

Powiedziała cicho:

– Zdaję sobie sprawę, że nie rzuciłbyś się na mnie.

A więc uważała, że powinna go przeprosić, a nawet gorzej – uspokoić go w jakiś sposób… Bardzo źle się z tym poczuł.

– Nigdy nie wyrządziłbym żadnej krzywdy kobiecie – powiedział.

– Ja… – Rozchyliła wargi i zamyśliła się nad czymś. – Wierzę ci.

To obudziło w nim pasję.

– Nigdy nie wyrządziłbym żadnej krzywdy tobie.

– Już to zrobiłeś – wyszeptała.

Ich oczy spotkały się.

– Obawiam się, że moja reputacja nie będzie miała szczęścia – powiedziała.

Przeklął się w duchu za to, że nie miał w zanadrzu nic poza garścią wyświechtanych frazesów, mimo to powiedział:

– Poczekamy, zobaczymy.

– Ale ja nie mogę przestać o tym myśleć.

Ścisnęło go serce. Chryste, poczuł się tak, jakby ktoś chwycił je ręką. Odwrócił się jak tchórz, wiedział o tym, ale nie miał pojęcia jak zareagować na jej ciche słowa. I podejrzewał, że nigdy nie będzie wiedział, jak to zrobić. Rzucił szorstko:

– Lepiej przygotuję już sobie spanie.

Wyjął kilka koców z szafy i położył je na dywanie. Powiedział jej, że będzie spał przy drzwiach, ale nie wydawało się to konieczne, biorąc pod

uwagę mocne zamki i jego niekwestionowaną władzę nad załogą statku. Dywan nie był szczególnie miękki, lepszy jednak niż podłoga z desek. Zdmuchnął jedną latarnię, a potem drugą, aż została już tylko ta, która oświetlała otwartą książkę na kolanach panny Bridgerton.

– Powinieneś wziąć poduszkę – odezwała się. – Ja jej nie potrzebuję.

– Nie. – Westchnął. To była jego pokuta. Nie chciał jej porwać, ale nie mógł uciec przed gorzką prawdą: cała ta sytuacja była znacznie gorsza dla niej niż dla niego. Nie patrząc na nią pokręcił głową. – Ty ją zatrzy…

Poduszka uderzyła go w pierś.

Uśmiechnął się drwiąco. Była uparta nawet w swojej hojności.

– Dziękuję – powiedział i położył się na placach, w najmniej niewygodnej pozycji na tej twardej powierzchni.

Przez chwilę słyszał, jak szeleściła na łóżku, a potem zapadła ciemność.

– Sądziłem, że chciałaś czytać – odezwał się.

– Zmieniłam zdanie.

Jak sobie chciała. W mroku na pewno łatwiej będzie mu zapomnieć o jej obecności.

Niestety. Zasnęła pierwsza i został sam pośród nocy, słuchając jak ruszała się przez sen i oddychała. Przyszło mu do głowy, że nigdy dotąd nie spędził z żadną kobietą nocy – całej nocy. Nigdy nie słuchał dźwięków wydawanych przez śpiącą kobietę, nigdy nawet nie próbował sobie wyobrazić przerażającej intymności takich chwil.

Było to prawdziwe wyzwanie, leżeć tam i czekać na każdy kolejny dźwięk, rozlegający się w ciemności. Nie potrafił się zmusić do zamknięcia oczu, co było zupełnie bez sensu. Nawet gdyby kajuta była oświetlona, nie mógłby jej zobaczyć, ukrytej za podniesioną poręczą. Wiedział, że nie musi czuwać, a jednak nie potrafił przestać.

Co takiego ona wcześniej powiedziała? Że jest na krawędzi?

Dobrze wiedział, co miała na myśli.

6

Kiedy Poppy otworzyła oczy następnego ranka, kapitana Jamesa już nie było. Zauważyła jego posłanie zwinięte po drugiej stronie kajuty i zagryzła dolną wargę. Nie mógł się dobrze wyspać. Oddała mu poduszkę, ale poza tym od podłogi oddzielał go tylko dywan.

Ale nie. Nie będzie się czuła winna z powodu jego niewygody. Zajmował się swoimi sprawami. To jej prawdopodobnie szuka teraz cała armia ludzi, którzy boją się natknąć na jej ciało, wyrzucone przez morze na plażę. A jej rodzina – dobry Boże, nie była w stanie nawet wyobrazić sobie, co przeżywają, jeśli Elizabeth jednak powiadomiła ich o zniknięciu Poppy.

Rodzice już stracili jedno z dzieci, i niemal ich to zabiło. Jeśli uznają, że podobny los spotkał Poppy…

– Proszę, Elizabeth – wyszeptała. Przyjaciółka będzie chora ze zdenerwowania, ale jeśli zachowa milczenie, przynajmniej oszczędzi tego samego innym.

– To potwór – powiedziała Poppy głośno, choć wiedziała, że to nieprawda. Nienawidziła kapitana Jamesa z wielu powodów i nie wierzyła mu, kiedy mówił, że nie miał wyboru i musiał zabrać ją do Portugalii – bo jak to w ogóle mogło być możliwe? Ale kapitan traktował ją z większą troską, niż zrobiłoby to wielu innych ludzi jego profesji, i wiedziała – ponieważ po prostu nie mogła tego nie widzieć – że był dżentelmenem i człowiekiem honoru.

Co, do diabła, robił na pirackim statku, pozostawało poza granicami jej wyobraźni.

Zauważyła małą miskę z wodą stojącą na stole i w pierwszej chwili zrobiło jej się słabo na myśl, że Billy wszedł do kajuty, kiedy jeszcze spała.

Pocieszyło ją tylko, że on czuł się pewnie jeszcze gorzej.

Postanowiła, że z tego powodu także nie będzie czuła się winna.

Spróbowała obniżyć poręcz i w końcu jej się to udało, a kiedy postawiła już stopy na ziemi, podniosła ją i opuściła kilka razy, żeby zrozumieć, jak działa ten mechanizm. Był bardzo sprytnie zrobiony i żałowała, że nie może zobaczyć go od środka – tych sprężyn, zawiasów i tak dalej. Jeden z jej braci jako dziecko często wypadał z łóżka; coś takiego na pewno zatrzymałoby go.

Opuściła poręcz na dobre i podeszła do miski, żeby ochlapać twarz wodą. Mogła teraz powitać dzień, jakikolwiek by był. W kajucie panował półmrok, światło sączyło się z zewnątrz tylko przez szparę w zasłonie. Zerknęła na zegar i zobaczyła, że było już wpół do dziewiątej, więc ostrożnie i nieco chwiejnie – kapitan miał rację, teraz, kiedy wypłynęli na Atlantyk, morze istotnie było bardziej wzburzone – podeszła do okien i rozsunęła ciężkie zasłony.

– Och!

Okrzyk wyrwał jej się z ust mimo woli. Sama nie była pewna, czego się spodziewała – prawdę mówiąc, spodziewała się dokładnie tego, co zobaczyła, to znaczy oceanu, ciągnącego się całymi milami aż po błękitną krawędź horyzontu. Nie była jednak przygotowana na takie piękno, taką potęgę i wspaniałość.

Och, jak bardzo mała poczuła się w obliczu tego wszystkiego.

Ale było to naprawdę wspaniałe. Nie, nie tylko wspaniałe, to było niesamowite i teraz poczuła niemal wdzięczność za to, że okoliczności sprowadziły ją w to miejsce.

Oparła czoło o chłodną szybę i stała tak przez dziesięć minut, obserwując grę fal i formującą się na ich grzbietach białą jak beza pianę. Od czasu do czasu w polu jej widzenia pojawiał się ptak – ciekawa była, jak bardzo oddalili się od lądu i jak długo ptak może lecieć bez odpoczynku. Z pewnością niektóre ptaki są bardziej wytrzymałe od innych – co może być tego przyczyną? Waga? Rozpiętość skrzydeł?

Tyle było rzeczy, których nie wiedziała, tyle takich, nad którymi nawet się dotychczas nie zastanawiała. A teraz siedziała zamknięta w kajucie, zamiast być na pokładzie, skąd widok był zapewne jeszcze wspanialszy.

– Nie mogą być aż tak przesądni – mruknęła, odsuwając się od okna. Naprawdę, to po prostu śmieszne, że ciągle jeszcze marynarze trzymają się tak absurdalnych przekonań. Jej wzrok padł na proszek do zębów, który zostawił dla niej kapitan. Nie użyła go dotąd. Przydałoby się tym marynarzom, żeby w ogóle z niego nie skorzystała, a potem wyszła na pokład i chuchała na nich.

Przesunęła językiem po podniebieniu. Dobry Boże, to było coś okropnego.

Umyła zęby i uznała, że miętowy smak proszku kapitana jest dość przyjemny. Potem usiadła w fotelu przy oknie z książką, którą zaczęła czytać poprzedniego wieczoru. Był to traktat o nawigacji i szczerze powiedziawszy, połowy z tego, co miała przed oczami, nie rozumiała. Było jednak jasne, że książka nie została napisana z myślą o nowicjuszach.

Przebrnęła przez kilka kolejnych stron, kiedy nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Billy – powiedziała, bo to musiał być on. Wstała w chwili, kiedy wszedł do kajuty.

Był czerwony na twarzy jak zawsze i trzymał w rękach tacę ze śniadaniem dla niej.

– Dzień dobry – powiedziała. Postanowiła, że skłoni go do rozmowy. – Och, czy to herbata?

– Tak, panienko – wymamrotał.

– Niebiańsko. Nie myślałam, że… cóż prawdę mówiąc, w ogóle o tym nie myślałam.

Billy odwrócił się do niej, zaskoczony. No, niezupełnie. Nadal wyglądał tak, jakby wolał być gdziekolwiek indziej niż w jej towarzystwie, ale teraz wyraźnie nie wiedział, jak przed nią uciec.

– Nie zastanawiałam się ani przez chwilę, czy dostanę tutaj herbatę – wyjaśniła. – Ale gdybym się była nad tym zastanawiała, pewnie uznałabym, że nie będę miała tyle szczęścia.

Billy wyglądał tak, jakby kompletnie nic nie zrozumiał z tej dość zawiłej wypowiedzi. Postawił tacę i zajął się przygotowywaniem dla niej miejsca przy stole.

– Dla kapitana to ważne. Mówi, że to nas cywilizuje. Herbata i brandy.

– Cóż za szczęście dla nas wszystkich.

Billy wydał dźwięk, który mógłby być chichotem, gdyby pozwolił sobie na taką swobodę.

– Brandy się z nami nie dzieli. Ale herbatą tak.

Poppy aż zamrugała z wrażenia, że aż tyle słów wyszło naraz z ust chłopca.

– Cóż, to bardzo szczęśliwie się składa – powiedziała. – Przepadam za herbatą.

Billy skinął głową.

– Jak prawdziwa dama.

Poppy uśmiechnęła się z żalem. Billy był naprawdę uroczy.

– Ile masz lat, Billy?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Trzynaście, proszę pani.

– Och. Myślałam, że jesteś młodszy – powiedziała i zaraz skarciła się w duchu. Chłopcy w tym wieku nie lubią, kiedy bierze się ich za małe dzieci.

Ale Billy tylko wzruszył ramionami.

– Wiem. Wszyscy myślą, że nie mam nawet dwunastu. Tatko mówi, że nie urosnę, póki nie skończę szesnastu.

– Cóż, w takim razie wkrótce wystrzelisz w górę – powiedziała Poppy, żeby dodać mu otuchy. – Po tej podróży już się chyba nie spotkamy, gdyby jednak było inaczej, pewnie będziesz wtedy tak wysoki jak kapitan.

Uśmiechnął się.

– Nie jest panienka taka zła.

– Dziękuję.

Śmieszne, doprawdy, jaką przyjemność sprawił jej ten komplement.

– Nigdy wcześniej nie spotkałem żadnej prawdziwej damy . – Billy przestępował z nogi na nogę. – Nie myślałem, że będzie pani dla mnie taka miła.

– Staram się być miła dla każdego. – Zmarszczyła brwi. – Może z wyjątkiem kapitana.

Billy aż otworzył usta i wyglądał tak, jakby nie wiedział, czy ma się roześmiać, czy wydać okrzyk zgrozy.

– Nie przejmuj się – uspokoiła go. – Żartowałam.

No, prawie.

– Kapitan to najlepszy z ludzi – zapewnił z żarem Billy. – Naprawdę. Nie spotka pani lepszego. Wiem, powiedziałem, że nie dzieli się swoją brandy, ale poza tym jest zawsze dobry, a ja i tak nie lubię brandy.

– Jestem pewna, że masz rację – odparła z tym, co nazywała swoim uśmiechem salonowym. Tym, którego używała, kiedy nie chciała być nieszczera… ale nie była też całkiem szczera. – Po prostu jestem trochę niezadowolona z tego, że się tu znalazłam.

– Nie tylko pani. – Billy szybko zasłonił sobie usta ręką. – Przepraszam panienkę!

Ale Poppy już się śmiała.

– Nie, nie przepraszaj. To było bardzo zabawne. I z tego co słyszałam, także prawdziwe.

Billy skrzywił się współczująco.

– To nie jest normalne, żeby na pokładzie była kobieta, panno Poppy. Słyszałem wiele strasznych historii o katastrofach.

– Katastrofach wynikłych z obecności kobiety na statku?

Billy kiwnął głową, może ciut zbyt energicznie.

– Ale ja w to nie wierzę. Już nie. Kapitan powiedział, że to nieprawda. A on nie kłamie.

– Nigdy?

– Nigdy.

Billy powiedział to tak stanowczo, że Poppy była pewna, że zaraz zasalutuje.

– No dobrze – powiedziała szybko. – Dziękuję ci za przyniesienie śniadania. Jestem trochę głodna.

– Tak, panienko. Może pani zostawić tacę przed drzwiami, jeśli tak pani woli. Wtedy nie będę pani niepokoił, kiedy po nią przyjdę.

Poppy nie była w stanie przyznać, że rozmowy z nim będą prawdopodobnie najjaśniejszymi chwilami jej dni, więc powiedziała:

– Nie niepokoisz mnie. A poza tym nie wiem, czy wolno mi otwierać drzwi.

Billy zmarszczył brwi.

– Nawet otwierać?

Poppy wzruszyła ramionami i wyciągnęła przed siebie ręce, jakby mówiła „Kto wie?”

– Kapitan nie omówił ze mną wszystkich szczegółów mojego odosobnienia.

– Wydaje się to trochę nieroztropne – mruknął Billy, drapiąc się po głowie. – Kapitan zwykle nie jest taki.

Poppy znowu wzruszyła ramionami, tym razem przekrzywiając głowę na bok z wyrazem twarzy, który mówił: „Nie wiem, co ci mam powiedzieć”.

– Cóż – skłonił się Billy – mam nadzieję, że będzie pani smakowało śniadanie. Wydaje mi się, że kucharz podał pani bekon.

– Jeszcze raz bardzo ci dziękuję, Billy. Ja… – Urwała, kiedy otworzył drzwi. – Och, jeszcze jedno!

Zatrzymał się.

– Tak, panienko?

– Mogę wyjrzeć?

– Słucham?

Śmieszne, że w ogóle musiała pytać o coś takiego.

– Mogę chociaż wyjrzeć za drzwi? Nie widziałam dotąd nawet korytarza.

– Więc jak się tu pani dostała?

– W worku.

Twarz Billy’ego wydłużyła się.

– Ale pani jest przecież prawdziwą damą!

– Nie przez cały czas, jak widać – mruknęła i podbiegła do otwartych drzwi, żeby wystawić głowę na zewnątrz.

– Nie ma tu wiele do oglądania – powiedział z żalem Billy.

Ale dla niej i tak było to interesujące. Była to wyraźnie najładniejsza część statku, tak w każdym razie założyła Poppy. Korytarz nie był oświetlony, ale mała smuga światła słonecznego padała na schody, widziała więc, że drewniane ściany zostały pociągnięte olejem i wypolerowane. Było tam jeszcze troje drzwi po obu stronach korytarza, każde z piękną mosiężną klamką.

– Kto śpi w tych innych kajutach? – zapytała.

– Ta – Billy wskazał jedne drzwi głową – należy do nawigatora. Nazywa się pan Carroway. Niewiele mówi, chyba że nawiguje.

– A pozostałe?

– Tamta należy do Jenkinsa, pierwszego oficera. A w tej ostatniej – Billy wskazał najdalsze drzwi – śpią razem Brown i Green.

– Naprawdę? – Poppy sądziła, że ci dwaj sypiają na dole z innymi marynarzami.

Billy kiwnął głową.

– Oni pływają z kapitanem najdłużej. Kapitan mówi, że lubi nagradzać lojalność.

– Mój Boże – mruknęła Poppy, wykręcając szyję, choć widziała już wszystko, co było do zobaczenia. – To naprawdę rewolucyjna idea.

– To dobry człowiek – odparł Billy. – Najlepszy.

Poppy pomyślała, że to dobrze świadczy o kapitanie Jamesie, że wzbudza takie oddanie, ale szczerze mówiąc, zaczynała wyczuwać w tym trochę przesady.

– Wrócę po tacę za godzinę, panienko – oznajmił Billy, po czym skinął głową i ruszył w górę schodów.

Ku wolności.

Poppy wpatrywała się tęsknie w smugę słonecznego światła. Skoro widać je było na schodach, zapewne z najniższego stopnia można zobaczyć niebo, czyż nie? Na pewno nie zaszkodzi, jeśli szybko tam zerknie. Nikt nie będzie o tym wiedział. Zgodnie z tym, co mówił Billy, tylko pięciu ludzi mogło mieć jakiś interes w tej części statku, a wszyscy oni zapewne zajmują się teraz swoimi sprawami.

Ostrożnie przymknęła drzwi, tak że niemal stykały się z framugą, a potem na palcach podeszła do schodów. Czuła się trochę głupio, ale podejrzewała też, że więcej emocji już tego dnia nie doświadczy. Przy końcu korytarza przycisnęła plecy do ściany głównie dlatego, że wydało jej się, że sytuacja wymaga pewnej konspiracji. A potem spojrzała w górę, wyginając się w górę schodów. Uznała, że dojrzenie choć skrawka błękitu będzie zwycięstwem.

Jeszcze tylko odrobinę i zaraz…

Statek przechylił się na bok i Poppy runęła na podłogę. Poderwała się zaraz, rozcierając biodro.

– Cóż to za…

I zmartwiała.

Drzwi…

Drzwi, które tak delikatnie przyciągnęła do framugi…

Ruch statku sprawił, że się zatrzasnęły.

Poppy jęknęła i podbiegła do kajuty, ale kiedy nacisnęła klamkę, nawet nie drgnęły. Nie mogła wejść do środka.

Nie, nie, nie. To nie może dziać się naprawdę. Oparła się o drzwi i osunęła na podłogę. Billy powiedział, że wróci po tacę za godzinę. W takim razie zaczeka tu na niego, nie ma innego wyjścia.

Potem pomyślała o herbacie. Będzie zimna i czarna jak śmierć, kiedy wreszcie będzie mogła się jej napić.

Z jakichś względów to właśnie wydało jej się największą tragedią ze wszystkich.

7

Dziwna kombinacja wyczerpania, irytacji i poczucia winy sprawiła, że Andrew oddał ster panu Jenkinsowi i zszedł na dół, by sprawdzić, jak się ma panna Bridgerton. To oczywiste, że był wyczerpany; poprzedniej nocy spał najwyżej trzy godziny. Zirytowany był samym sobą. Cały ranek miał kiepski nastrój, ostrym tonem wydawał rozkazy i warczał na swoich ludzi, z których żaden na to nie zasługiwał.

Poczucie winy… Cóż, przede wszystkim to właśnie ono wprawiało go w podły nastrój. Wiedział, że w najlepiej pojętym interesie panny Bridgerton jest pozostawać w kajucie, a jednak ciągle miał przed oczami widok bólu na jej twarzy, kiedy prosiła go poprzedniego wieczoru by pozwolił jej wyjść na pokład. Była naprawdę nieszczęśliwa i nie dawało mu to spokoju, bo wiedział, że na jej miejscu czułby się tak samo.

Ten nieoczekiwany przypływ współczucia najbardziej go rozwścieczył. Nie miał żadnego powodu do wyrzutów sumienia. Musiał zamknąć ją w kajucie; to nie jego wina, że wlazła do tej przeklętej groty. Może nie była to też jej wina, że sekretarz spraw zagranicznych wysłał go z misją dyplomatyczną do Lizbony, choć to nie należało do sprawy. Najbezpieczniejsza będzie w jego kajucie. Jego decyzja była słuszna i rozsądna, a jego polecenia, jako kapitana, nie mogą być kwestionowane.

Ale ilekroć próbował się zabrać do pracy, widział przed sobą smutną, drżącą twarz Poppy Bridgerton. Zaczął kolejny zapis w księdze rejsu, ale tak długo trzymał pióro nieruchomo nad kartą, że wielka kropla atramentu

spadła wreszcie i poplamiła papier. Pomyślał więc, że może trzeba mu ciężkiej, fizycznej pracy; zszedł zatem z mostka i wyszedł na pokład z zamiarem wspięcia się na olinowanie.

Tam jednak zdawał się nie pamiętać już, po co właściwie to zrobił. Stał tam z ręką na szczeblu drabinki ratowniczej, myśląc na zmianę o Poppy Bridgerton i o tym, że nie może przestać myśleć o Poppy Bridgerton. W końcu bluznął takim stekiem wulgarnych przekleństw, że jeden z jego ludzi wytrzeszczył oczy ze zdumienia i wycofał się ostrożnie.

A więc udało mu się zaskoczyć wytrawnego marynarza. W innych okolicznościach poczułby się dumny.

W końcu uległ poczuciu winy i postanowił sprawdzić, jak też panna Bridgerton się miewa. Wyobrażał sobie, że pewnie wychodzi z siebie z nudów. Widział książkę, którą czytała poprzedniego wieczoru. *Zaawansowane metody morskiej nawigacji*. On sam czytywał to od czasu do czasu – ilekroć miał problem z zasypianiem. Ta lektura zawsze usypiała go, zanim minęło dziesięć minut.

Znalazł już coś znacznie lepszego – powieść, którą przeczytał kilka miesięcy temu i pożyczył panu Jenkinsowi. Jego siostrze naprawdę się podobała, i to właśnie od niej ją dostał, pomyślał więc, że może być także w guście panny Bridgerton.

Schodził po schodach, wyobrażając sobie jej wdzięczność.

A zamiast tego…

– Co jest, do diaska?

Panna Bridgerton siedziała na podłodze z wyciągniętymi przed siebie nogami, oparta plecami o drzwi jego kajuty. Na korytarzu, gdzie oczywiście nie powinno jej być.

– To był wypadek – oznajmiła natychmiast.

– Wstawaj – warknął.

Wstała i szybko odsunęła się na bok, żeby mógł włożyć klucz do zamka.

– Nie chciałam tego zrobić – zaprotestowała z jękiem, kiedy chwycił ją mocno za nadgarstek i wepchnął do kajuty. – Wyjrzałam tylko, kiedy Billy wyszedł, i…

– Och, więc teraz jeszcze jego w to wciągasz?

– Nie! Nigdy bym tego nie zrobiła. – Wyraz jej twarzy zmienił się nagle na bardziej refleksyjny. – On jest naprawdę bardzo słodki.

– Co?

– Przepraszam. Chciałam tylko powiedzieć, że nigdy nie wykorzystałabym jego dobrego serca. To tylko chłopiec.

Nie wiedział dlaczego, ale uwierzył jej. Nie umniejszyło to w niczym jego wściekłości.

– Chciałam tylko zobaczyć, co jest za drzwiami – powiedziała. – Przynieśli mnie tu w worku, jeśli sobie przypominasz. Właśnie wtedy statek przechylił się – dość gwałtownie, prawdę mówiąc – a ja zatoczyłam się na przeciwległą ścianę.

– I drzwi się zatrzasnęły – dokończył z powątpiewaniem.

– Tak! – wykrzyknęła, wyraźnie nie rozumiejąc właściwie jego tonu. – Tak właśnie było. Nie napiłam się nawet herbaty!

Patrzył na nią w osłupieniu. Herbata? Doprawdy?

– Omal się nie rozpłakałam – wyznała. – Do tej pory nie płakałam, wiesz, mimo tego wszystkiego, co mnie spotkało, i nie masz pojęcia, jakie masz szczęście, że nie należę do kobiet płaczliwych. Ale kiedy znalazłam się na korytarzu i zdałam sobie sprawę, że moja herbata stygnie za drzwiami, byłam naprawdę bliska łez.

Mówiła to wszystko z taką powagą, że trudno było mu utrzymać odpowiedni poziom zagniewania. Postanowił jednak, że się postara.

– Okazałaś nieposłuszeństwo – powiedział oschle. – Wyraźnie zakazałem ci opuszczać kajutę.

– Ale statek się przechylił!

– Jak to statki mają w zwyczaju – przypomniał Andrew. – Nie wiem, czy zauważyłaś ocean?

Przy tej sarkastycznej uwadze zacisnęła wargi.

– Nie jestem obeznana ze statkami – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Nie spodziewałam się takiego przechyłu.

Nachylił się do niej i powiedział tym samym zimnym głosem:

– Nie powinnaś była sterczeć w otwartych drzwiach.

– Cóż, przepraszam za to – wycedziła i były to najmniej uprzejme przeprosiny, jakie kiedykolwiek słyszał.

Ale, o dziwo, wydały mu się szczere.

– Nie pozwól, by coś takiego się powtórzyło – dodał ostro. Ale oszczędził jej upokarzającej konieczności odpowiedzenia na swoje słowa. Odwrócił się od razu i podszedł do biurka. Postawił powieść na półce, starając się nie myśleć o tym, że zszedł na dół z zamiarem umilenia jej czasu spędzanego w tym przymusowym odosobnieniu. To był statek i nieposłuszeństwa nie wolno było nagradzać. Zlekceważyła jego wyraźne polecenie; gdyby coś takiego zrobił któryś z jego ludzi, przez tydzień musiałby łapać szczury. Albo zostałby wychłostany, w zależności od powagi wykroczenia.

Nie był pewny, czy panna Bridgerton pojęła nauczkę – znając ją, pewnie nie – uznał jednak, że powiedział wszystko, co było do powiedzenia na temat tej sprawy. Zaczął więc udawać, że szuka czegoś na biurku. Nie mogło to jednak trwać wiecznie, a ona po prostu stała i patrzyła na niego, więc w końcu powiedział, trochę zbyt szorstko, niż było to konieczne.

– Zjedz śniadanie.

A potem – dobry Boże, zupełnie, jakby obok nagle znalazła się jego matka, pociągnęła go za ucho i kazała się zachowywać – odchrząknął i dodał:

– Proszę.

Poppy aż otworzyła usta. Kapitan James zmieniał temat z prędkością, od której kręciło jej się w głowie.

– Ja… dobrze.

Jeszcze przez chwilę patrzyła na niego, a potem ostrożnie – dlaczego, sama nie wiedziała, po prostu miała wrażenie, że powinna zachowywać się bardzo cicho – wróciła do stołu. Usiadła, a potem podniosła pokrywę. Jajka, bekon, tost. Wszystko zupełnie zimne.

Ale żebracy nie mogą być wybredni, a w sensie technicznym była to jej wina, że drzwi się zatrzasnęły, więc zjadła śniadanie w milczeniu, bez słowa skargi. Jajka nie były zbyt apetyczne, ale tost i bekon smakowały całkiem znośnie nawet w niższej temperaturze.

Uznała, że ma sporo szczęścia, bo nie dostała owsianki.

Biurko kapitana stało po drugiej stronie kajuty, dobrze widziała więc jego plecy, kiedy się przy nim krzątał.

– Gdzie jest książka o nawigacji? – spytał w końcu.

Poppy przeżuła najpierw to, co miała w ustach, i przełknęła.

– Ta, którą czytałam wczoraj wieczorem?

– Tak.

– Jest na łóżku. Potrzebujesz jej?

– Dla pana Carrowaya – rzucił szorstko. – Nawigatora.

– Tak, wiem – odparła, wstała i podeszła do łóżka. – Billy mi o nim opowiedział. A pierwszym oficerem jest pan Jenkins, prawda?

– Zgadza się.

– Chyba powinnam znać nazwiska twoich oficerów, nawet jeśli nigdy nie będę mogła z nimi porozmawiać.

Zacisnął zęby.

– Lubisz o tym wspominać, prawda?

– To jedna z moich nielicznych przyjemności – mruknęła.

Przewrócił oczami, ale nie odezwał się, podniosła więc podręcznik nawigacji z łóżka i podała mu.

– Można chyba mieć nadzieję, że pan Carroway posiadł już wiedzę tutaj zawartą.

Kapitan nie okazał cienia rozbawienia.

– Zapewniam cię, że posiada wszelkie niezbędne umiejętności.

I wtedy znowu się pojawił – ten mały, wyjątkowo złośliwy diabełek, szepczący jej do ucha, że powinna udowodnić, że jest równie inteligentna jak on.

Uśmiechnęła się pod nosem i mruknęła:

– A czy ty posiadasz wszelkie niezbędne umiejętności?

Natychmiast tego pożałowała.

On, z drugiej strony, wydawał się zachwycony pytaniem. Uśmiechnął się leniwie i trochę protekcjonalnie i Poppy miała wrażenie, że w kajucie nagle zrobiło się bardzo gorąco.

Pochylił się do przodu i przez chwilę sądziła, że zaraz wyciągnie rękę i jej dotknie. Zamiast tego to ona podniosła rękę do góry i zaczęła odruchowo zakładać kosmyk włosów za ucho, jakby to podniesione ramię mogło być dla niego jakąkolwiek barierą.

– Och, panno Bridgerton – wymruczał – czy rzeczywiście chcesz poznać odpowiedź na to pytanie?

Głupia, głupia dziewczyna. Co ona sobie wyobrażała? To była gra, w której nie miała doświadczenia, i nie powinna próbować w nią grać, szczególnie z nim. Kapitan James nie przypominał żadnego z jej znajomych. Nosił się i mówił jak dżentelmen, i pod wieloma względami istotnie był dżentelmenem, ale wyraźnie czerpał wiele przyjemności z naruszania granic grzecznego zachowania. Owszem, ona znalazła się w sytuacji, dla której nie istniały zasady grzecznego zachowania, ale przyszło jej go głowy, że gdyby spotkała go na sali balowej, zachowywałby się dokładnie tak samo.

Niektórzy ludzie łamią zasady.

Inni tylko mają na to ochotę.

Poppy nie była pewna, do której kategorii ona sama się zalicza. Może ani do jednej, ani do drugiej. Z jakiegoś powodu przygnębiło ją to.

– Ile ma pani lat, panno Bridgerton? – spytał kapitan.

Poppy natychmiast odzyskała grunt pod nogami.

– A dlaczego pytasz?

Nie odpowiedział, oczywiście. Tylko przyglądał jej się spod półprzymkniętych powiek.

– Powiedz.

– Doskonale – odparła, bo nie przyszedł jej do głowy żaden powód, dla którego miałaby ukrywać swój wiek. – Dwa i dwadzieścia.

– Dość, by wyjść za mąż w takim razie.

Gdzieś w tym zdaniu kryła się obraza, choć Poppy nie wiedziała dokładnie gdzie.

– Nie wyszłam za mąż, ponieważ sobie tego nie życzyłam – powiedziała tonem oficjalnym.

Ciągle stał zbyt blisko niej, a ona stała zbyt blisko łóżka, by dobrze się czuć w tej sytuacji, postanowiła więc położyć kres rozmowie. Podeszła do okna, kapitan jednak ruszył w ślad za nią.

– Nie masz męża, ponieważ nie życzysz sobie wyjść za mąż czy dlatego, że nie życzysz sobie wyjść za mąż za żadnego z mężczyzn, którzy prosili o twoją rękę?

Nie oderwała wzroku od błękitu za okienną szybą.

– Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób to mogłaby być twoja sprawa.

– Pytam – odparł, podchodząc jeszcze bliżej – żeby upewnić się co do twoich umiejętności.

Cofnęła się i spojrzała na niego, choć wcale nie miała takiego zamiaru.

– Przepraszam?

– W sztuce flirtu, panno Bridgerton – powiedział, kładąc dłoń na sercu. – Mój Boże, wyciągasz takie pochopne wnioski.

Niewiele brakowało, a zazgrzytałaby zębami.

– Nie dosięgam, jak to właśnie sprawnie wykazałeś, twoich standardów w tym obszarze.

– Potraktuję to jako komplement, choć jestem niemal pewny, że nie był on zamierzony. – Odsunął się wreszcie, odwrócił plecami i podszedł do biurka.

Ale Poppy nie zdążyła nawet odetchnąć, kiedy odwrócił się znowu gwałtownie.

– Z pewnością jednak zgodzisz się, że flirt to sztuka, a nie nauka – powiedział.

Teraz nie miała już pojęcia, o czym on mówi.

– Na nic takiego się nie zgodzę.

– Więc uważasz, że to nauka?

– Nie! – Prawie wrzasnęła. Zarzucał na nią przynętę i oboje o tym wiedzieli, a Poppy była wściekła, bo widziała, że zaczynał wygrywać w tej słownej potyczce. Wiedziała jednak, że musi zachować spokój, odczekała więc chwilę, żeby się opanować. Kilka chwil, prawdę mówiąc. I wzięła bardzo głęboki oddech. W końcu, z czymś, co – miała nadzieję – było czarującą obojętnością, uniosła lekko głowę i powiedziała:

– Tak też nie uważam i z całą pewnością nie jest to stosowny temat rozmowy między dwojgiem ludzi stanu wolnego.

– Hm. – Kapitan zrobił teatralnie zamyśloną minę, jakby rozważał jej słowa. – Moim zdaniem to bardzo stosowny temat rozmowy między dwojgiem wolnych ludzi.

Dość tego. Koniec.

Jeśli chce mówić, może to robić do następnego świtu, ona jednak zakończyła tę rozmowę. Wróciła do śniadania i zaczęła smarować tost masłem z takim wigorem, że przebiła go nożem i ukłuła się w rękę.

– Au – mruknęła, bardziej z zaskoczenia niż z bólu. Był to w końcu nożyk do masła, zbyt tępy, by mogła przeciąć nim skórę.

– Zraniłaś się?

Ze złością odgryzła kawałek tosta.

– Nie odzywaj się do mnie.

– Cóż, to będzie raczej trudne, jako że zajmujemy jedną kajutę.

Uderzyła rękami w blat stołu z zaskakującą siłą i zerwała się na nogi.

– Czy próbujesz mnie dręczyć?

– Wiesz – odparł z namysłem – wydaje mi się, że to właśnie robię.

Poczuła, że opada jej szczęka, i przez chwilę była w stanie tylko na niego patrzeć.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Irytujesz mnie.

– Cóż, a tym irytujesz mnie – odpaliła.

Wtedy się roześmiał. Śmiał się tak, jakby nie potrafił się opanować, jakby była to jedyna możliwa reakcja na jej słowa.

– Och, daj spokój – powiedział w końcu, kiedy zauważył, że patrzyła na niego, jakby oszalał. – Nawet ty musisz przyznać, że upadliśmy właśnie niżej niż kiedykolwiek do tej pory. – Zachichotał i dodał: – Zupełnie, jakbym cofnął się nagle do czasów dzieciństwa i kłócił z kimś z mojego rodzeństwa.

Odtajała, ale tylko trochę.

Uśmiechnął się do niej konspiracyjnie.

– Mam zdumiewającą, niepowstrzymaną chęć pociągnąć cię za włosy i powiedzieć: „Ty irytujesz mnie bardziej”.

Poppy zacisnęła wargi, bo nie chciała powiedzieć tego, co cisnęło jej się na usta, czyli” „A ty irytujesz mnie jeszcze bardziej”.

Spojrzał na nią.

Ona spojrzała na niego.

Oboje zmrużyli oczy.

– Wiesz, że chcesz to powiedzieć – mruknął wyzywająco.

– Nie rozmawiam z tobą.

– Cały czas rozmawiamy.

– Czy ty masz trzy lata?

– Właśnie doszedłem do wniosku, że oboje zachowujemy się jak dzieci.

– Świetnie. Ty irytujesz mnie jeszcze bardziej. Irytujesz mnie tak jak wszyscy moi bracia razem wzięci. Irytujesz mnie jak brodawka na stopie, jak deszcz w czasie przyjęcia w ogrodzie, jak błędnie przytoczony cytat z Szekspira! Do szpiku kości mnie irytujesz!

Patrzył na nią z zainteresowaniem.

– No – mruknął. – Z niczego nie ma nic.

Spojrzała na niego gniewnie.

– Co? To bardzo dokładny cytat. *Król Lear*, o ile się nie mylę. – Przekrzywił głowę. – Czy ty masz brodawki?

Wyrzuciła ręce w górę.

– O mój Boże.

– Bo jeśli tak, byłoby miło, gdybyś mnie o tym poinformowała. Są bardzo zaraźliwe, wiesz o tym.

– Zabiję cię – powiedziała nie tyle gniewnie, co tonem, jakim wyciąga się nieoczekiwany wniosek. – Nim zakończy się ta podróż, uduszę cię. Jestem tego pewna.

Wyciągnął rękę i chwycił kawałek bekonu z jej talerza.

– To trudniejsze, niż ci się wydaje, udusić kogoś.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Czy wolno mi zapytać, skąd to wiesz?

Postukał palcem w swoją klatkę piersiową.

– Kaper – oznajmił, jakby to miało wszystko wyjaśnić – często natyka się na nieprzyjaznych miejscowych. Nie, żebym miał kogoś udusić, rozumiesz, ale widziałem takie próby.

Rzucił to lekkim tonem, jakby omawiali wiejskie plotki albo nadchodzącą zmianę pogody. Poppy nie wiedziała, czy jest tym wstrząśnięta, czy raczej zafascynowana. Temat z pewnością powinien

znaleźć się na liście tych, których nie należy podnosić przy śniadaniu, ale jednak…

Nie mogła się oprzeć.

– Wiem, że nie powinnam pytać, ale…

– Interweniowałem – odparł, podnosząc pokrywkę z imbryka z herbatą i zaglądając do środka. Potem podniósł głowę, a w jego błękitnych oczach pojawił się diabelski błysk. – Tak brzmiałoby to pytanie, jak sądzę.

Było naprawdę niepokojące, że z taką łatwością potrafił odgadnąć jej myśli, ale z pewnością każdy człowiek o zdrowym umyśle zadałby podobne pytanie.

– Owszem – potwierdziła – ale zapewniam cię, że nie mam ochoty poznać szczegółów.

– Proszę, panno Bridgerton… Wiesz, że masz ochotę. – Oparł się bokiem o krawędź stołu i nachylił nad nią. – Ale nie opowiem ci całej tej historii. Później będziesz o nią błagała.

Poppy pokręciła głową, nie chcąc dać się wciągnąć w kolejną dziecinną przepychankę słowną. Szło im tak dobrze, że w powietrzu wisiała niekończąca się sprzeczka „a właśnie, że tak… a właśnie, że nie…” aż do samej Portugalii. Poza tym dał jej już próbkę tego, na co go stać, wolała więc nie wdawać się w dyskusję.

– Czy to pelikan? – spytał, patrząc w okno, ale wyciągając ramię w jej stronę.

Trzepnęła go po ręce.

– Nie bekon.

Zabrał jej więc ostatnią trójkątną grzankę.

– Zawsze warto spróbować.

– Ile masz rodzeństwa, kapitanie? – zapytała.

– Czworo. – Odgryzł kawałek tostu. – Trzech braci i siostrę. Dlaczego pytasz?

Spojrzała cynicznie na nadgryziony tost, który nabrał teraz kształtu trochę krzywego rombu.

– Wiedziałam, że musiało być was sporo.

Uśmiechnął się szeroko.

– Czyż nie jesteś spostrzegawcza?

– Domyślam się, że nie jesteś najstarszy.

– Cóż, to akurat jest oczywiste. Jako dziedzic nie mógłbym pływać, prawda?

Dziedzic…

– Interesujące – mruknęła.

– Co?

– Mówisz o bracie jak o dziedzicu. To wiąże się z określonym pochodzeniem.

– Niekoniecznie – odparł, ale wiedziała, że tylko próbował zatrzeć ślady. Znowu wymknął mu się szczegół dotyczący pochodzenia, co oznaczało, że wiedziała o nim już dwie istotne rzeczy: że służył kiedyś w marynarce i że jego rodzina najprawdopodobniej należy do ziemiańskiej szlachty.

Nie potwierdził ani pierwszego, ani drugiego, rzecz jasna, ale Poppy i tak czuła, że się nie myli.

– Tak czy inaczej – powiedziała, nie chcąc na razie przyciskać go bardziej; lepiej będzie zostawić to sobie na później. – Po prostu nie zachowujesz się jak najstarszy z rodzeństwa.

Dwornie skinął głową, przyjmując do wiadomości jej zdanie.

– Ale założyłabym się też… – Poppy przytknęła do ust palec, jakby się nad czymś zastanawiała – …że nie jesteś najmłodszy.

To wydało mu się zabawne.

– Więc?

– Jesteś przedostatni. Zdecydowanie.

– Cóż, panno Bridgerton, masz rację. Mogę zapytać, jak doszłaś do takiego wniosku?

– Nie jesteś rozpieszczony – orzekła, przyglądając mu się oceniająco. – Więc uznałam, że nie możesz być najmłodszy.

– Nie uważa mnie pani za rozpieszczonego? Jestem wzruszony.

Przewróciła oczami.

– Ale jak już zdążyłam zauważyć, jesteś wysoce irytujący. Wystarczająco, by być tym prawie najmłodszym.

– Wysoce irytujący? – Roześmiał się głośno. – Od ciebie przyjmuję to jak komplement najwyższej próby.

Skinęła z wdziękiem głową.

– Proszę bardzo, jeśli sprawia ci to przyjemność.

Pochylił się do niej i zniżył głos.

– Przyjemność jest zawsze mile widziana – wymruczał.

Poppy poczuła, że płoną jej policzki. Kolejny punkt dla niego, niech to diabli.

Z uśmiechu na jego twarzy wiedziała, że zauważył jej zakłopotanie; musiało jednak zrobić mu się jej też żal, bo wrzucił do ust ostatni kawałek grzanki i powiedział:

– Muszę teraz zapytać, gdzie jest twoje miejsce w rodzinnym porządku.

– Dokładnie w środku – odparła; ulżyło jej, że nie wrócił do poprzedniego wątku. – Dwóch starszych braci i dwóch młodszych.

– Żadnych sióstr?

Pokręciła głową.

– Cóż, to wiele wyjaśnia.

Przewróciła oczami. Znowu.

Wydawał się trochę rozczarowany faktem, że nie poprosiła go, by wyjaśnił, o co mu chodzi – pewnie zakładał, znając go, że będzie błagała o to później.

– Odchodzę zatem – powiedział. – Statek sam sobą nie pokieruje.

– Ale z pewnością pan Jenkins albo pan Carroway mogą się tym zająć.

– W rzeczy samej – przyznał. – Lubię jednak sam mieć oko na wszystko. Rzadko spędzam czas w kajucie za dnia.

– Po cóż więc tym razem przyszedłeś?

Przez chwilę patrzył na nią osłupiałym wzrokiem, a potem powiedział:

– Och tak, książka. – Wziął książkę do ręki i zrobił nią trochę przesadny ruch w powietrzu. – Muszę ją zanieść panu Carrowayowi.

– Przekazałabym mu serdeczne pozdrowienia, ale niestety go nie znam.

Rzucił jej drwiący półuśmiech.

– Twoja największa przyjemność.

– Przynajmniej na razie.

Przyjął jej ripostę skinieniem głowy.

– Dobra robota, panno Bridgerton.

Wyszedł, zostawiając ją samą z resztkami śniadania i myślami, które w jednej części były teraz komplementem, a w dwunastu irytacją na samą siebie za to, co w tej chwili czuła.

Doszła do wniosku, że będzie lepiej, jeśli przyzwyczai się do takiego wewnętrznego konfliktu. Coś jej mówiło, że będzie jej towarzyszył przez resztę podróży.

8

Do końca dnia nic szczególnego się już nie wydarzyło. Poppy znalazła powieść, której nie zauważyła na półce poprzedniego wieczoru i zaczęła ją czytać, przenosząc się w tym czasie – z nudów – z łóżka na krzesło, potem na inne krzesło, i w końcu znowu na łóżko. Kiedy światło zaczęło przygasać, podeszła do okna, musiało jednak znajdować się teraz od wschodu, bo niebo przeszło od błękitu do czerni, ani na moment nie zabarwiając się różowo czy pomarańczowo.

Wydawało jej się, że przez krótką chwilę dostrzegła w jego barwie odcień indygo, ale było to zapewne tylko myślenie życzeniowe.

Logika podpowiadała jej jednak, że skoro płynąc do Portugalii, ma okno od strony wschodu, to wracając, będzie się ono znajdowało po stronie zachodniej. Pocieszała się więc myślą, że w drodze powrotnej będzie mogła się rozkoszować feerią barw każdego wieczoru. Przyszło jej do głowy, że mogłaby wstać wcześnie, by podziwiać wschód, ale na tyle dobrze znała swoje upodobania, by wiedzieć, że akurat do tego nie dojdzie.

Nieśmiałe pukanie Billy’ego rozległo się tuż po ósmej i choć Poppy wiedziała, że miał klucz, wstała, by go powitać. Uznała, że tak będzie uprzejmie, biorąc pod uwagą, że miał w rękach ciężką tacę.

– Dobry wieczór, panienko – powiedział na jej widok.

Poppy odsunęła się na bok, żeby go przepuścić.

– Wejdź. To wszystko tak pięknie pachnie.

– Kurczak w sosie, panienko. Jadłem wcześniej. Oj, dobry jest, co prawda, to prawda.

– A w jakim sosie?

Billy postawił tacę na stole i zmarszczył brwi.

– Ano, nie wiem. W takim jakby… brązowym.

– Brązowy sos. – Poppy uśmiechnęła się przyjaźnie. – Jeden z moich ulubionych.

Billy też uśmiechnął się w odpowiedzi. Poppy była pewna, że do końca życia będzie nazywał to danie „kurczakiem w brązowym sosie”.

– Czy kapitan zje dziś kolację tutaj? – zapytała.

– Nie wiem, panienko. Przyniosłem dość jedzenia dla dwojga, ale kapitan ma teraz huk roboty na pokładzie.

– Huk roboty? Mam nadzieję, że nie stało się nic złego.

– Och, nie – uspokoił ją szybko. – On zawsze ma co robić. Pomyśleliśmy po prostu, że może panienka być już głodna.

– Pomyśleliście?

– Ja, Green i Brown – odparł Billy. Wziął pusty talerz z tacy i zaczął nakrywać do stołu. – Rozmawialiśmy o panience.

– Czy chcę wiedzieć, co mówiliście?

– Cóż, ja mówiłem same miłe rzeczy.

Poppy skrzywiła się lekko.

– Brown, Green i ja nie mieliśmy najlepszego początku znajomości.

– Cóż, nie można panienki winić, że się gniewa – odparł lojalnie Billy.

– To bardzo mi…

– A oni tylko robili, co do nich należało.

Poppy postanowiła nie ciągnąć tematu.

– Cóż, pewnie tak.

– Kapitan powiedział, że mogą przychodzić do panienki. To znaczy, kiedy ja będę miał coś innego do roboty. – Billy spojrzał na nią ze

współczuciem. – Tylko oni, nikt inny. Kapitan powiedział to strasznie dziwnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Powiedział… – Billy wykrzywił twarz. – Pewnie wszystko przekręcę. Kapitan mówi czasem trudne słowa.

– Więc co powiedział, Billy?

– Powiedział… – Billy znowu urwał i najpierw wypowiedział słowa bezgłośnie, a potem powtórzył je na głos. – Powiedział: „Największą przyjemność sprawi mi, jeśli nie będzie panienka miała okazji poznać żadnych innych mężczyzn”.

Poppy zasłoniła usta dłonią, ale nie była w stanie stłumić chichotu.

– To może chyba znaczyć, że mu się panienka podoba – uznał Billy.

– Och, nie – zaprzeczyła bardzo poważnym tonem Poppy. – Zapewniam cię, że nie.

Billy wzruszył ramionami.

– Nigdy wcześniej nie mówił o żadnej innej pani.

– Zapewne dlatego, że żadna inna pani nie weszła nigdy na pokład tego statku – zauważyła ironicznie Poppy.

– Ano, co prawda, to prawda – potwierdził Billy. – Przynajmniej o ile mi wiadomo. – Wrócił do ustawiania dla niej nakrycia, a potem zrobił to samo dla kapitana. – Na wypadek gdyby przyszedł na kolację. To znaczy, na pewno przyjdzie i zje. Musi jeść, a zawsze zabiera swoje posiłki do kajuty. Tyle że może zjeść o innej porze niż panienka. – Cofnął się, a potem wskazał przykryte danie na środku stołu. – Kurczak w brązowym sosie. Uwielbia go.

Poppy stłumiła uśmiech.

– Jestem pewna, że będzie pyszny.

– Wrócę po tacę o… och, nie. – Billy zmarszczył brwi. – Nie wiem, kiedy wrócę po tacę, bo nie wiem, kiedy kapitan zje kolację. – Przez chwilę

się nad czymś zastanawiał. – Niech się panienka nie martwi. Jakoś do tego dojdę.

– Mam wielką wiarę w siłę twojej dedukcji – powiedziała śmiało Poppy.

– Nie wiem, co to znaczy – odparł z wielkim entuzjazmem Billy – ale myślę, że to coś dobrego.

– Bardzo dobrego – roześmiała się Poppy. – Przysięgam.

Billy pożegnał ją przyjacielskim skinieniem głowy i wyszedł. Poppy tylko uśmiechnęła się do siebie i pokręciła głową. Nie mogła uwierzyć, że to ten sam chłopiec, który poprzedniego dnia nie chciał na nią nawet spojrzeć. Było to jej osobiste zwycięstwo, że skłoniła go do rozmowy. Billy stał się jej jedynym przyjacielem na statku.

– Ciesz się, że masz choć jednego – upomniała się. Mogło być gorzej. Powtarzała to sobie przez całe popołudnie. W Anglii, być może, całe jej życie już się rozpadło – nie dowie się, czy tak się stało, dopóki tam nie wróci – ale na razie cieszyła się dobrym zdrowiem, nikt jej nie nękał i – podniosła pokrywę znad głównego dania i wciągnęła aromat kolacji – całkiem nieźle ją karmiono.

– Kurczak w brązowym sosie – wymruczała. Był to opis równie dobry, jak każdy inny. Nałożyła sobie kawałek na talerz, wraz z jakąś nieznaną potrawą z ryżu, a potem ponownie przykryła naczynia, żeby jedzenie pozostało ciepłe dla kapitana Jamesa.

Nie tak, jak jej jajka. Czy jej herbata.

To nie była jego wina, przypomniała sobie. Istniała absurdalnie długa lista rzeczy, które były jego winą, nie mogła go jednak winić za swoje zimne śniadanie.

Jadła w milczeniu, spoglądając przez okno na bezmiar oceanu. Musiał świecić księżyc, bo widziała jego eteryczne odbicie na powierzchni wody, nie rozświetlał jednak w żaden sposób mroku nocy. Niebo było czarne jak atrament i bezkresne; gwiazdy błyszczały jak główki szpilek. Niebiosa rozciągnięte nad wodą wydawały się ogromne, zupełnie inne niż w domu.

A może wcale nie były tu inne, po prostu ona czuła się teraz dużo bardziej samotna.

Jakże inna mogłaby być ta podróż, gdyby odbywała się w bardziej pomyślnych okolicznościach. Spróbowała wyobrazić sobie, że wypływa w taki rejs ze swoją rodziną. To nigdy nie mogłoby się zdarzyć, oczywiście; żadne z jej rodziców nie przepadało za podróżami. Ale Poppy i tak wyobrażała sobie, jak stoi na pokładzie z braćmi, jak się śmieją, kiedy ruch statku wytrąca ich z równowagi. Czy któryś z nich zachorowałby na chorobę morską? Pewnie Richard. Tyle było różnych rzeczy do jedzenia, które mu nie służyły. W dzieciństwie wymiotował więcej niż cała pozostała czwórka razem wzięta.

Poppy zachichotała pod nosem. Cóż za temat do rozmyślań podczas kolacji. W domu zaraz powiedziałaby to na głos, choćby tylko po to, żeby matka mogła na nią nakrzyczeć. Anne Bridgerton miała poczucie humoru, nie obejmowało ono jednak tematu płynów ustrojowych. Poppy za dużo czasu spędziła z braćmi, by zachować taką delikatność.

Najgorszy był Roger. I, oczywiście, najlepszy. Był jej zagorzałym obrońcą, ale miał w sobie zbyt wiele figlarnego humoru, by zawsze zachowywać powagę. Był też inteligentny, równie inteligentny jak ona, ale był też najstarszy, więc doświadczenie i wiedza, jakie zdążył posiąść, uniemożliwiały reszcie dotrzymanie mu kroku. Nigdy, na przykład, nie włożyłby ropuchy do łóżka swojego brata. To byłoby zbyt pospolite.

Nie, tam gdzie w grę wchodziły płazy, pilnował, żeby spadały z nieba. A przynajmniej z sufitu, i na głowę Richarda. Poppy ciągle nie miała pojęcia, jak osiągnął taką precyzję.

No i było to, co nazywał swoim klejnotem w koronie. Przez sześć miesięcy w tajemnicy przed wszystkimi uczył Poppy fałszywego znaczenia słów, a ona, pilna uczennica, notowała w swoim elementarzu takie oto definicje:

„Fekalia, rzeczownik. Chrupiąca, słodka warstwa palonego cukru pokrywająca pudding lub ciasto”.

Albo:

„Rzęzić, czasownik. Cieszyć się czymś lub coś bardzo lubić, przepadać za czymś”.

Uznał, że osiągnął w życiu wszystko, kiedy Poppy podeszła pewnego dnia do matki i zapytała:

– Czy wyjęłaś już szarlotkę z kloaki? Wiesz, jak rzężę, kiedy ma z wierzchu fekalia.

Matka z miejsca zemdlała. Ojciec, kiedy poznał już skalę przygotowań Rogera, uznał, że nie może chyba po prostu ukarać syna za tak świetnie obmyślony plan. Zastanawiał się nawet, czy tak solidna robota nie wymaga przypadkiem nagrody. Roger dostałby może nawet tę nową szpadę, o której marzył, gdyby pani Bridgerton ich nie podsłuchała. Z siłą, o której nikt jej nie podejrzewał, trzepnęła męża w kark i zapytała:

– Słyszałeś swoją córkę? Rozmawia z pokojowymi o guanie i urynie!

– Przepada zwłaszcza za uryną – mruknął Roger, uśmiechając się pod nosem.

Pan Bridgerton odwrócił się do niego z czymś, co było jednocześnie jękiem i westchnieniem.

– Zdajesz sobie sprawę, że muszę cię ukarać?

Poppy nigdy nie dowiedziała się, jaką dokładnie karę wybrał w końcu ojciec, pamiętała jednak, że później Roger przez dłuższy czas wydzielał zapach kurnika, a żeby kara była jeszcze bardziej odpowiednia do przestępstwa matka kazała mu napisać w zeszycie tysiąc razy: „Nie będę rzęził z ogłupiania siostry”. Napisał jednak to zdanie tylko dziewięćset razy. Poppy wśliznęła się bowiem do pokoju, wzięła pióro i ostatnią setkę napisała za niego. Był jej ulubionym bratem. Wtedy zrobiłaby dla niego wszystko. Żałowała, że teraz już nie może. Ciągle jeszcze, choć minęło pięć lat, trudno było jej uwierzyć, że już go nie ma.

Wzdychając raz za razem, krążyła bez celu po kajucie. Kapitan James nie powiedział jej, o której zwykle jada kolację, ale kiedy zegar wybił siódmą, potem ósmą i w końcu dziewiątą, uznała, że nie ma sensu czekać na niego z deserem. Wzięła większy kawałek ciasta, a potem przyciągnęła krzesło do okna, żeby móc wyglądać przez nie, kiedy będzie jadła.

– Wyrazy uznania dla kucharza – mruknęła, zerkając w stronę stołu, na którym została reszta ciasta. – Jeśli nie wróci do…

Do dziesiątej. Postanowiła, że jeśli kapitan nie pojawi się do dziesiątej, zje także jego kawałek. Tak będzie sprawiedliwie. A na razie będzie jadła swój bardzo małymi kęsami. W ten sposób ciasta starczy jej aż do… Spojrzała na pusty talerzyk. Trudno. Nigdy nie była w stanie zachować słodyczy na dłużej. Richard był pod tym względem jej przeciwieństwem, delektował się każdym kawałeczkiem do samego końca i wtedy wydawał jęk rozkoszy nie dlatego, że deser był szczególnie smaczny (choć zwykle był, ich kucharka miała wyjątkowy talent do wypieków), ale przede wszystkim, by dręczyć swoje mniej cierpliwe rodzeństwo. Poppy ukradła raz jedno z jego ciastek, bardziej ze złości niż z głodu, a kiedy to zauważył, spuścił jej tęgie lanie. Ponieważ jednak później ojciec spuścił tęgie lanie jemu, Poppy uznała, że warto było. Mimo że matka wzięła ją później na bok i wygłosiła wykład na temat tego, jak powinna się zachowywać dama, warto było. Żałowała tylko, że sama nie miała okazji spuścić komuś lania.

– Lanie – powiedziała teraz głośno. Podobało jej się brzmienie tego słowa.

Dobrze oddawało jego znaczenie. Onomatopeja. Kolejne słowo, które lubiła. O dziwo, jego brzmienie nie miało związku ze znaczeniem. Onomatopeja – tak powinno się nazywać jedno z tych małych pełzających stworzeń o wielu nogach, a nie środek stylistyczny. Poppy spojrzała na naczynie w swoim ręku.

– Talerz – powiedziała. Nie, to słowo nie miało nic wspólnego z przedmiotem. – Miska?

Dobry Boże, mówiła do serwisu obiadowego. Czy kiedykolwiek dotąd była aż tak znudzona? A przecież płynęła statkiem, na litość boską. Zmierzała do nieznanych, egzotycznych miejsc. Powinna mdleć z ekscytacji. Powinna… No cóż, tak naprawdę powinna być przerażona, ale to miała już za sobą, więc zasłużyła chyba na odrobinkę podniecenia? Z całą pewnością tak.

– Z całą pewnością – powiedziała stanowczo.

– Z całą pewnością? – rozległ się rozbawiony głos kapitana Jamesa.

Poppy krzyknęła, zaskoczona, i aż podskoczyła. Zakrawało na cud, że nie upuściła deserowego talerzyka.

– Jak zdołałeś wejść tu tak cicho? – zapytała, choć prawdę mówiąc, brzmiało to raczej jak oskarżenie, a nie pytanie.

Kapitan wzruszył ramionami.

– Jadłaś już? – spytał.

– Tak – odparła Poppy, ciągle czekając, aż jej puls wróci do swego normalnego tempa. Wskazała dłonią stół. – Zostawiłam trochę dla ciebie. Nie wiem, czy będzie jeszcze ciepłe.

– Pewnie nie – powiedział, ruszając prosto do stołu.

Nie wydawał się zmartwiony.

– Aaa – mruknął z zadowoleniem. – Kurczak w brązowym sosie. Mój ulubiony.

Poppy szybko odwróciła do niego głowę.

Spojrzał na nią pytająco.

– Czyżby coś mi umknęło?

– Kurczak w brązowym sosie? Naprawdę tak to nazywacie?

– A jak inaczej byś to nazwała?

Poppy otworzyła usta i stała tak w milczeniu, o jakieś dwie sekundy za długo. W końcu poruszyła bezradnie rękami i powiedziała:

– Nieważne.

Kapitan wzruszył ramionami, obojętny na subtelności tej rozmowy, i wbił widelec w mięso z szybkością człowieka, który zakończył właśnie dzień pełen ciężkiej pracy.

– Kurczak w brązowym sosie – powiedziała do siebie Poppy. – Kto by pomyślał?

Kapitan znieruchomiał z widelcem w dłoni.

– Czy masz jakiś problem z tą potrawą? – zapytał.

– Nie – odparła. – Nie. Tylko… – Pokręciła głową. – Nic. Przez cały dzień mówiłam do siebie.

Kapitan włożył kawałek mięsa do ust i skinął głową.

– Zamiast do tych wszystkich ludzi, których nie wolno ci poznać?

Zacisnęła usta, starając się – prawdopodobnie bez powodzenia – nadać twarzy surowy wyraz.

– Właśnie zepsułeś mi całą zabawę.

Uśmiechnął się bez cienia skruchy.

– Widzę, jak bardzo cię to zaniepokoiło.

– Przez cały czas mnie niepokoiłaś, panno Bridgerton.

Pozwoliła sobie unieść wyniośle głowę.

– Mogę więc uznać dzień za udany.

Kapitan pociągnął długi łyk wina i beknął, zasłaniając usta dłonią.

– Proszę bardzo.

Poppy wygładziła dłonią suknię na udach, starając się sprawiać wrażenie, że ma lepsze rzeczy do roboty, niż patrzeć, jak on je (choć oboje wiedzieli, że nie ma). Czuła się absurdalnie skrępowana, odwróciła się więc do okna i udawała, że przez nie wygląda. Właściwie naprawdę wyglądała, ale widok nie zmienił się ani trochę w ciągu dwóch ostatnich godzin, więc tak naprawdę to raczej przyglądała się szybie.

– Przyszedłeś dość późno – powiedziała w końcu.

Głos za jej plecami był niski, zmysłowy i bardzo prowokujący.

– Tęskniłaś za mną?

– Oczywiście, że nie. – Odwróciła się, usiłując wyglądać na niezainteresowaną. – Byłam po prostu ciekawa.

Uśmiechnął się, co miało na nią druzgocący wpływ. Bez trudu potrafiła wyobrazić sobie dziesiątki kobiet mdlejących pod wpływem tego uśmiechu.

– Zawsze jesteś taka ciekawa, prawda? – wymruczał.

Natychmiast nabrała podejrzeń.

– Nie mówisz tego tak, jakby to było coś obraźliwego.

– Nie ma w tym nic obraźliwego – odparł z prostotą. – Gdyby ludzie mieli w sobie więcej ciekawości, bylibyśmy dużo bardziej zaawansowani jako gatunek.

Bezwiednie zrobiła krok w jego stronę.

– Co masz na myśli?

Przekrzywił lekko głowę.

– Trudno powiedzieć. Ale myślę, że podróżowalibyśmy statkami powietrznymi.

No, to była najbardziej absurdalna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszała. Powiedziała więc natychmiast:

– To najbardziej absurdalna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

Roześmiał się.

– Najwyraźniej więc nie jesteś wystarczająco ciekawa.

– Cóż, trzeba ci wiedzieć… – Poppy zmarszczyła brwi, bo wyobraźnia podsunęła jej wizję maszyny ze skrzydłami, kołami i może jeszcze ogniem. Wystarczyło to, by zaniechała swojej instynktownej, obronnej reakcji. Dorastała w towarzystwie czterech braci. Obrona zawsze była jej instynktowną reakcją.

– Naprawdę myślisz, że to możliwe? – zapytała i pochyliła się do przodu, opierając ręce na stole. – Maszyny latające?

– A czemuż by nie? Ptaki latają.

– Ptaki mają skrzydła.

Wzruszył ramionami.

– Skrzydła możemy zbudować.

– Dlaczego więc nikt tego dotąd nie zrobił?

– Byli tacy, którzy próbowali.

Zamrugała.

– Naprawdę?

Skinął głową.

Ludzie próbowali zbudować skrzydła, a ona o tym nie wiedziała? Co za niesprawiedliwość.

– Nikt mi nic nie mówi – mruknęła z goryczą.

Kapitan parsknął śmiechem.

– Trudno w to uwierzyć.

Zmrużyła oczy, po raz chyba dziesiąty w czasie tej rozmowy.

– Dlaczego?

– Ze względu na twoją wspomnianą już wcześniej ciekawość.

– To, że pytam, nie znaczy wcale, że dostaję odpowiedzi.

Przekrzywił głowę.

– Pytałaś kogoś o to, czy ludzie próbowali zbudować skrzydła?

– Oczywiście, że nie.

– Więc nie możesz narzekać.

– Bo nie wiedziałam, że mogę o to pytać – zaoponowała, nie dając mu dojść do słowa. – Żeby zadawać inteligentne pytania, trzeba posiadać pewną wiedzę.

– Prawda – mruknął kapitan James.

– A nie muszę chyba dodawać – ciągnęła Poppy, trochę tylko udobruchana jego zgodnością – że nie miałam okazji studiować fizyki.

– A chciałabyś?

– Studiować fizykę?

Wykonał dworny ruch dłonią.

– Nie w tym rzecz – powiedziała.

– Cóż, właśnie w tym, jeśli mowa o aerodynamice.

– O tym właśnie mówię! – Poppy tak nagle wycelowała w niego palec, że aż zamrugał. – Nie wiem nawet, co to słowo znaczy.

– To słowo zawiera w sobie całe swoje znaczenie – odparł. – Nie trzeba…

– Nie w tym rzecz.

– Znowu ta rzecz – mruknął takim tonem, jakby zrobiła na nim wrażenie.

Poppy zmarszczyła brwi.

– Potrafię wydedukować znaczenie tego słowa. Nie w tym…

– Rzecz? – dokończył za nią usłużnie.

Spojrzała na niego przeciągle.

– Kobiety powinny mieć prawo do takiej samej edukacji jak mężczyźni – oznajmiła poważnie. – Te, które tego chcą.

– Ode mnie na pewno nie usłyszysz słowa sprzeciwu – powiedział kapitan, sięgając po swój deser. – Strasznie mały kawałek – mruknął.

– Ale jest pyszne – poinformowała go.

– Jak zawsze. – Zjadł kawałeczek. – Twój był większy?

– Oczywiście.

Skinął głową z aprobatą, jakby tego się właśnie spodziewał. Poppy siedziała w milczeniu, czekając, aż skończy jeść.

– Zawsze tak późno jesz kolację? – zapytała, kiedy już odchylił się na oparcie krzesła.

Zerknął na nią tak, jakby zapomniał o jej obecności.

– Nie zawsze.

– Co robiłeś?

Wydawał się trochę rozbawiony jej pytaniem.

– Poza tym, że byłem kapitanem na tym statku?

– Miałam nadzieję, że powiesz mi, na czym polega praca kapitana statku.

– Dobrze – odparł, co ją zaskoczyło. – Ale nie dzisiaj.

Ziewnął i przeciągnął się, i w tym ruchu było coś zdumiewająco intymnego. Żaden spośród znanych jej dżentelmenów nie zrobił nigdy

czegoś takiego w jej obecności, pomijając członków rodziny, rzecz jasna.

– Wybacz – mruknął, mrugając, jakby właśnie przypomniał sobie, że nie mieszka już w tej kajucie samotnie.

Poppy przełknęła i wstała niezgrabnie.

– Chyba przygotuję się do snu – powiedziała.

Skinął głową. Nagle wydał jej się wyczerpany i Poppy była zaskoczona współczuciem, jakie się w niej nagle obudziło.

– Dzień był bardzo męczący? – usłyszała nagle swoje pytanie.

– Trochę.

– Z mojego powodu?

Uśmiechnął się kpiąco.

– Obawiam się, że nie o wszystko mogę cię obwiniać, panno Bridgerton.

– Choć bardzo byś chciał?

– Jeśli to ty zdołałaś obmyślić sposób, jak rozedrzeć jeden z żagli, sprowadzić niepomyślny wiatr i biegunkę na trzech z moich marynarzy, natychmiast zrewiduję swoją opinię.

– Obawiam się, że zmiana kierunku wiatru wymagałaby nadnaturalnych mocy, których nie posiadam – odparła niemal przepraszająco.

– W przeciwieństwie do podarcia żagla i biegunki?

– Z tym dałabym sobie radę, gdybym miała dość czasu – powiedziała i z sarkastycznym uśmiechem wskazała drzwi – i dostęp do pokładu.

– Niestety, zbyt jestem dla ciebie okrutny.

Poppy z wyrazem zamyślenia na twarzy oparła łokieć na stole, a brodę na dłoni.

– A jednak sądzę, że nie leży to w twojej naturze.

– Okrucieństwo?

Skinęła głową.

Uśmiechnął się, ale lekko, jakby był zbyt zmęczony na prawdziwy uśmiech.

– Minął tylko jeden dzień, a już dobrze mnie znasz.

– A mnie się wydaje, że ledwie zadrapałam powierzchnię.

Spojrzał na nią zaintrygowany.

– Brzmi to niemal tak, jakbyś miała na to ochotę.

Ich głosy przycichły, złagodniały, tak jak cała rozmowa, ze zmęczenia. I może z szacunku. Poppy wstała, nagle zaniepokojona tą myślą. Nie szanuje przecież kapitana Jamesa. Nie może. I na pewno nie może go lubić, choćby wydawał się nie wiedzieć jak sympatyczny. Była zmęczona. Jej mechanizmy obronne zaczęły zawodzić.

– Późno już – powiedziała.

– Istotnie – odparł i Poppy podchodząc do miski z wodą, którą Billy przyniósł gdzieś między przystawką a deserem, usłyszała, że wstał z krzesła. Chciała umyć twarz i zęby i wyszczotkować włosy. Robiła to każdego wieczoru i postanowiła, że podróż statkiem nie zmieni tego zwyczaju, bez względu na to, jak niezręcznie będzie dokonywać ablucji niemal na oczach mężczyzny. Ale, o dziwo, okazało się dużo mniej krępujące, niż się spodziewała. To konieczność, powiedziała sobie, sięgając po proszek do mycia zębów, i już. Jeśli przyzwyczaiła się do jego obecności, to dlatego, że nie miała innego wyjścia. Jest kobietą praktyczną, nieskłonną do histerii. Była z tego dumna. Jeśli musi myć zęby w obecności mężczyzny, którego dopiero co poznała, z pewnością nie będzie z tego powodu płakała. Obejrzała się przez ramię, pewna, że kapitan w jakiś sposób wie, że ona o nim myśli, on jednak wydawał się pochłonięty swoimi sprawami. Przeglądał akurat jakieś papiery na biurku. Poppy westchnęła z rezygnacją i nałożyła trochę miętowego proszku na palec. Zastanawiała się, czy za każdym razem powinna robić to inną ręką, żeby nie podrażnić skóry. Zadbała o zęby, ochlapała twarz wodą, a potem, upewniwszy się, że kapitan nie patrzy, wyjęła szpilki z włosów i z braku szczotki z końskiego włosia, której używała w domu, przeczesała je palcami. Splotła je w warkocz i teraz nie pozostawało jej już nic innego, jak położyć się do łóżka.

Odwróciła się i zrobiła krok w jego stronę, ale nagle kapitan znalazł się znacznie bliżej, niż się spodziewała.

– Och! – wykrzyknęła. – Przepraszam, ja…

– Nie, to całkowicie moja wina. Nie sądziłem, że się teraz odwrócisz i…

Odsunęła się w lewo. On odsunął się w prawo. Oboje wydali jakieś pełne zakłopotania pomruki.

– Przepraszam – powiedział kapitan i ruszył w lewo.

Poppy zrobiła krok w prawo.

– Zatańczymy? – zażartował.

Już miała odpowiedzieć jakąś celną ripostą, kiedy statek wzniósł się na fali i opadł, a Poppy poleciała na bok i przed upadkiem ocaliły ją tylko dwie silne dłonie, które chwyciły ją w pasie.

– Teraz naprawdę… – podniosła wzrok, i to był fatalny błąd – … tańczymy – dokończyła szeptem.

Nie poruszali się, żadne z nich się już nie odezwało. Poppy nie była nawet pewna, czy oddychali. Kapitan patrzył jej prosto w oczy, a jego oczy były tak jasne, tak zdumiewająco błękitne, że czuła się tak, jakby ten błękit ją wciągał, jakby w nim tonęła.

Nie poruszyła się ani o cal, ale czuła ich przyciąganie.

– Chcesz zatańczyć? – zapytał.

Skinęła głową.

– Kiedy zagra muzyka.

– Nie słyszysz jej?

– Nie.

Była ciekawa, czy zrozumiał, że powiedziała to, bo nie wolno jej było słyszeć muzyki. A muzyka była tam, czuła ją na skórze – delikatna muzyka wiatru i fal. Gdyby była kimkolwiek innym – nie, gdyby on był kimkolwiek innym – byłaby to romantyczna chwila oczekiwania bez tchu na ciąg dalszy. W innym życiu, w innym świecie, mógłby się teraz pochylić. Ona mogłaby podnieść na niego wzrok. Mogliby się pocałować. Byłoby to

śmiałe. Skandaliczne. Zabawnie pomyśleć, że gdyby była teraz w Londynie, jej życie mógłby zrujnować jeden pocałunek. Teraz wydawało się to tak trywialne w porównaniu z porwaniem przez piratów. A jednak kiedy patrzyła w oczy kapitana, nie wydawało jej się to ani trochę trywialne. Odsunęła się, przerażona kierunkiem, w jakim podążyły jej myśli, ale te ręce, duże i ciepłe, ciągle spoczywały na jej biodrach i trzymały, jeśli nie w miejscu, to w każdym razie mocno. Bezpiecznie.

– Morze – powiedział nieco chrapliwie – jest dziś niespokojne.

Nie było, ale była mu wdzięczna za to kłamstwo.

– Utrzymam się już na nogach – zapewniła go i oparła się dłonią o stół, żeby go uspokoić. A może samą siebie.

Puścił ją i cofnął się uprzejmie.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział. – Zwykle nie jestem taki niezdarny.

Kolejne kłamstwo. Kolejna uprzejmość. Nie był niezdarny, wręcz przeciwnie, to ona się potknęła. Powinna zrewanżować mu się za tę wielkoduszność i przyznać do tego, ale zdołała wykrztusić tylko:

– Nie będę już używała proszku do zębów.

Odpowiedź zajęła mu trochę więcej czasu, niż się spodziewała, a kiedy już odpowiedział, mruknął tylko z roztargnieniem:

– Oczywiście.

Poruszył się i tym razem Poppy zaczekała, by zobaczyć w którą stronę pójdzie, po czym zeszła mu z drogi.

– Dziękuję – dodał jeszcze.

Wszystko to było bardzo krępujące. I właściwie, pomyślała Poppy, takie właśnie być powinno. Szorował zęby, ale odwrócił się, żeby zapewnić jej więcej prywatności. Po co, nie była pewna, bo oboje wiedzieli, że będzie spała w sukience. Tak czy inaczej, był to miły gest i kolejna rzecz, która świadczyła o tym, że jest dżentelmenem.

– Już! – zawołała.

Skończył z zębami i odwrócił się.

– Zaraz pogaszę lampy.

– Dziękuję.

Naciągnęła kołdrę pod brodę, żeby dyskretnie poluzować stanik sukienki. Po powrocie do domu na pewno ją spali. Może dać sobie uszyć taką samą, bo podobał jej się materiał, ale ta… Do ognia. Poppy położyła się na boku, twarzą do ściany, żeby dać też trochę prywatności kapitanowi. Słyszała każdy jego ruch, jak przygotowywal swoje posłanie, jak zdejmował buty.

– Och, poduszka! – przypomniała sobie nagle. Wyjęła ją spod głowy i cisnęła przez ramię. – Masz!

Usłyszała miękki dźwięk, a potem niski głos kapitana:

– Cóż za celność – mruknął.

– Trafiłam cię?

– W sam środek.

Poppy się uśmiechnęła.

– Twarzy?

– Chciałabyś.

– Nie patrzyłam – odparła przepraszająco.

– Ramienia – powiedział, gasząc ostatnią latarnię. – A teraz bądź cicho i śpij.

I o dziwo, to właśnie zrobiła.

9

*P*roblem, uświadomił sobie Andrew, ustawiając następnego ranka statek w taki sposób, by chwycić wiatr w żagle, polegał na tym, że Poppy Bridgerton nie była okropna. Gdyby była okropna, mógłby czerpać nawet coś w rodzaju trochę niegodnej przyjemności z jej położenia. Ale nie była okropna. Była okropną niedogodnością – a raczej nie tyle ona, co jej obecność – ale nie była okropna. I to dodatkowo mocno komplikowało sytuację. Bezpieczeństwo dziewczyny z pewnością ważyło więcej niż jej nuda, wcale jednak nie czuł się przez to lepiej, więżąc ją w kajucie, z której towarzystwa dotrzymywało jej tylko kilka książek i widok oceanu.

Andrew już od kilku godzin był na nogach; zwykle wstawał przed świtem. Do tej pory Billy na pewno zdążył zanieść jej śniadanie. To było coś. Chłopak nie był szczególnie elokwentnym rozmówcą, ale teraz, kiedy przestał się tak panicznie bać gościa płci żeńskiej na pokładzie, jego wizyty na pewno dostarczały Poppy rozrywki. Przynajmniej dzisiaj nie będzie musiała jeść śniadania na zimno. Panna Bridgerton nie popełni drugi raz tego samego błędu. Mimo wszystko powinien do niej zajrzeć. Ze zwykłej uprzejmości. Była jego gościem w pewnym sensie. Tak czy inaczej, z pewnością był za nią odpowiedzialny. Za jej fizyczny i psychiczny dobrostan. Poza tym wymyślił coś, co powinno ulżyć jej w monotonii. Nie wiedział, dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Pewnie dlatego, że sam był dość wytrącony z równowagi zaistniałą sytuacją. Miał na statku drewniane puzzle – podzieloną na kawałki mapę – coś, co robiło ostatnio

furorę w Londynie. Jego układanka była dość skomplikowana w porównaniu z innymi. Sam spędził dobrych kilka godzin, zanim zdołał ją ułożyć. Nie było to nic wielkiego, ale pozwoli jej zająć się czymś przez pewien czas. Wiedział, że będzie zachwycona. Wiedział to bez cienia wątpliwości. Nie wiedział tylko dlaczego; jedynym wyjaśnieniem był fakt, że jemu układanka bardzo się podobała, a panna Bridgerton miała równie analityczny, nastawiony na rozwiązywanie problemów umysł. Zaczynał podejrzewać, że zostaliby zgraną parą przyjaciół, gdyby nie znalazła jego groty i nie naraziła na niebezpieczeństwo państwowych tajemnic.

Albo gdyby on jej nie porwał. To też.

– Jenkins, weź ster! – zawołał, ignorując pytające spojrzenie pierwszego oficera. Ostatnio przekazywał mu ster znacznie częściej niż zazwyczaj. Ale nie było przecież żadnej zasady, która kazałby kapitanowi spędzać taką, a nie inną ilość czasu za…

– Och, na litość boską – mruknął. Nie musiał się przed nikim tłumaczyć, a już zwłaszcza przed sobą. Jenkins, na szczęście, wykonał rozkaz bez słowa komentarza i Andrew zbiegł po dwa schodki na główny pokład, a potem po trzy do swojej kajuty. Zapukał ostro, a potem wsunął klucz do zamka i wkroczył do środka, zanim panna Bridgerton zdążyła zawołać, żeby wszedł. Siedziała przy stole, z kasztanowymi włosami upiętymi dość niedbale na głowie. Skąpe resztki śniadania – trzy truskawki i kawałek tosta – leżały przed nią na tacy.

– Nie lubisz truskawek? – spytał, chwytając największą z nich.

Podniosła oczy znad książki.

– Choruję po nich – odparła.

– Interesujące. – Odgryzł kawałek. – Moja szwagierka też. Nigdy tego nie widziałem, ale Edward – mój brat – mówi, że to niezwykły widok.

Zaznaczyła miejsce w książce – zauważył, że był to dość cienki przewodnik po Lizbonie, rzecz dość praktyczna, nawet jeśli nie miał

zamiaru pozwolić, by choć na moment postawiła stopę na portugalskiej ziemi – i odłożyła ją.

– Jakiego, jak się domyślam, nikt raczej nie ma ochoty oglądać.

– Istotnie. – Wzdrygnął się. – Zdaje się, że użyto słowa „szkaradny”, a mój brat nie jest osobą skłonną do przesady.

– W przeciwieństwie do ciebie?

Położył dłoń na sercu.

– Przesadzam tylko wtedy, kiedy jest to konieczne.

– Twój brat wydaje się uroczy.

– Jest żonaty – odpalił natychmiast Andrew.

– To ujmuje mu uroku?

Wydawała się tym szczerze ubawiona, co powinno go zirytować, ale zamiast tego poczuł się… Zakłopotany? Skrępowany? Nie pamiętał, kiedy ostatnio zapomniał języka w gębie. Na szczęście panna Bridgerton nie oczekiwała odpowiedzi. Zamiast tego pchnęła talerzyk w jego stronę.

– Zjedz wszystkie, jeśli masz ochotę.

Andrew przyjął truskawki i zjadł resztę, zostawiając tylko zielone liściaste końcówki. Odłożył je na talerz, oparł się biodrem o stół i zapytał:

– Wyglądasz strasznie?

Parsknęła śmiechem.

– W tej chwili?

Przekrzywił głowę w uznaniu dla jej riposty.

– Nie – odparła, a nuta rozbawienia sprawiła, że jej głos brzmiał rozkosznie ciepło. – Skóra mnie swędzi i jest mi trochę duszno. Tych dwóch przypadłości wolałabym raczej unikać w zamkniętej kajucie.

– Przekażę to kucharzowi – powiedział Andrew, przełykając ostatnią truskawkę. – Może dać ci coś innego.

– Dziękuję. Będę wdzięczna.

Przyglądał jej się przez chwilę, a potem powiedział:

– Jesteśmy niepokojąco kulturalni, nie sądzisz?

– Niepokojące, że wydaje nam się to niepokojące.

– Wiele jeszcze można by wyciągnąć z tego stwierdzenia – powiedział, odsuwając się od stołu – ale niestety, nie mam na to czasu.

– A jednak poświęciłeś go mnie – zauważyła. – Czemu zatem zawdzięczam przyjemność płynącą z twojego towarzystwa?

– Więc jest to przyjemność? – wymruczał, podchodząc do szafy. Nie pozwolił jej odpowiedzieć, dodając od razu: – Nie? Ale będzie.

– O czym mówisz?

Podobała mu się nuta zaskoczenia w jej głosie, nie ciągnął jednak rozmowy, a zamiast tego dał nura do szafy. Układał te puzzle jakiś czas temu i teraz znalazł je na tyłach, za zepsutym kalejdoskopem i parą skarpet. Drewniane kawałki spoczywały w aksamitnej sakiewce, fioletowej, ściąganej złotym sznureczkiem. Po królewsku, jakby na to nie patrzeć. Położył je na stole.

– Pomyślałem, że może ci się to spodobać.

Poppy spojrzała na aksamitną sakiewkę, a potem na niego, i uniosła pytająco brwi.

– To mapa pocięta na kawałki – wyjaśnił.

– Co takiego?

– Nigdy takiej nie widziałaś? – Pokręciła głową, więc otworzył sakiewkę i wysypał fragmenty układanki na drewniany stół. – Były bardzo popularne jakieś dziesięć lat temu. Kartograf nazwiskiem Spilsbury zamocował mapę na desce, a potem wyciął kraje i morza wzdłuż ich granic. Uznał, że może to być pomocne w nauczaniu geografii. Zdaje się, że kilka pierwszych otrzymała rodzina królewska.

– Och, wiem już, o czym mówisz! – wykrzyknęła Poppy. – Ale te, które widziałam, nie miały aż tylu kawałków.

– Tak, ta tutaj to unikat. Robiona na moje zamówienie. – Usiadł naprzeciw niej i rozłożył kilka kawałków, układając je obrazkiem do góry. – Większość takich map jest wycinana wzdłuż granic – państw, rzek,

wybrzeży – i temu podobnych. Znam już geografię, ale lubię składać całość z mniejszych części, więc poprosiłem, żeby moja układanka składała się z przypadkowych fragmentów o różnych kształtach.

– Żebyś mógł złożyć je w całość – dopowiedziała, niemal z szacunkiem. – To genialne! Ile tu jest kawałków?

– Pięćset.

– Nie żartuj!

– Mniej więcej – powiedział skromnie Andrew. – Nie liczyłem.

– Ja je policzę – oznajmiła panna Bridgerton. – Nie, żeby brakowało mi czasu.

Nie powiedziała tego tonem skargi, więc odwrócił jeszcze kilka fragmentów i dodał:

– Najlepiej jest zacząć od…

– Nie, nie mów mi! – przerwała mu. – Chcę sama to odkryć.

Wzięła do ręki kawałek i wpatrzyła się w niego, mrużąc oczy.

– Litery są małe – powiedział.

– Mam młode oczy. – Podniosła na niego wspomniane właśnie oczy, które teraz błyszczały z zachwytu. – Tu jest napisane OC. Niezbyt pomocne. To może być Ocean Atlantycki.

– Albo Spokojny.

Wydawała się zaskoczona.

– Jak duża jest ta mapa?

– Obejmuje cały znany świat – odparł, zaskoczony nutą przechwałki we własnym głosie. Był dumny z tej mapy; o ile wiedział, żadna inna nie została podzielona na tak wielką liczbę części. Ale nie dlatego się nią chwalił. Ani dlatego, że ona wydawała się tak szczęśliwa po raz pierwszy, odkąd ją poznał. Tylko dlatego, dobry Boże, dlatego, że chciał zrobić na niej wrażenie. Zerwał się od stołu. – Muszę już wracać.

– Tak, oczywiście – rzuciła z roztargnieniem, bardziej zainteresowana układanką niż czymkolwiek, co miałby teraz do powiedzenia. – Będę tu, jak

wiesz.

Patrzył na nią w drodze do drzwi. Ona nie spojrzała na niego ani razu. Powinien być zadowolony, że nie zauważyła nagłej zmiany w jego zachowaniu.

– Billy przyniesie ci po południu coś do jedzenia.

– To miło.

Wzięła do ręki kawałek układanki, przyjrzała mu się i odłożyła go, a potem upiła łyk herbaty i podniosła kolejny.

Postukał dłonią w klamkę.

– Masz jakieś życzenia?

– Hm?

– Co do jedzenia? Poza tym, że nie chcesz truskawek, oczywiście.

Podniosła wzrok i zamrugała, jakby zaskoczona faktem, że on ciągle tu był.

– Nie przepadam za szparagami, jeśli o to pytasz.

– Spotkanie z nimi na statku raczej ci nie grozi – odparł. – Staramy się przechować trochę jarzyn i owoców, ale nigdy nie bierzemy tak kosztownych.

Wzruszyła ramionami i wróciła do układanki.

– Jestem pewna, że wszystko będzie pyszne.

– Doskonale. – Odchrząknął. – Cieszę się, że tak dobrze to znosisz. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to przyjemna sytuacja.

– Mmm-hm.

Przekrzywił głowę na bok i patrzył, jak odwracała kawałki puzzli mapą do góry.

– Wielka szkoda, że nie mam drugiego kompletu – powiedział.

– Hm.

– W takim razie pójdę już.

– Hm-mmm – mruknęła znowu, tym razem z lekkim skinieniem głowy, jakby go żegnała.

– Cóż – burknął. – Do zobaczenia.

Pomachała mu ręką, ani na chwilę nie odrywając wzroku od układanki na stole.

– Żegnam! – Andrew wyszedł z kajuty na korytarz, bardzo dokładnie zamykając za sobą drzwi na klucz. Mogła wyjść na zewnątrz, oczywiście. Byłoby brakiem odpowiedzialności uniemożliwić jej ewakuację. „Infinity” nie miała nigdy żadnych problemów, ale na morzu nigdy dość ostrożności. Otworzył drzwi i wetknął głowę w szparę.

– Wiesz, że masz tam klucz?

To przyciągnęło jej uwagę.

– Słucham?

– Klucz. Jest w górnej szufladzie. To bardzo mało prawdopodobne, ale w razie jakiejś nagłej sytuacji będziesz mogła wyjść z kajuty.

– Ty po mnie nie przyjdziesz?

– Cóż, na pewno spróbuję… – Nagle poczuł się strasznie skrępowany. Nie było to przyjemne – ani znajome – uczucie. – Albo kogoś przyślę. Ale istotne jest to, że w razie takiej konieczności sama możesz się ewakuować.

– To znaczy, że ufasz mi, że nie wyjdę z kajuty.

Niezupełnie o to mu chodziło, ale…

– Tak – powiedział. – Chyba tak.

– Dobrze wiedzieć.

Patrzył na nią. Co to, u diabła, miało znaczyć?

– Dziękuję za układankę – powiedziała, z niepokojącą szybkością zmieniając temat. – Nie jestem pewna, czy już to mówiłam. To naprawdę bardzo miłe z twojej strony.

– Drobiazg – odparł, przy czym jego głowa i ramiona drgnęły lekko. Poczuł też ciepło napływające do policzków.

Uśmiechnęła się – ślicznym, ciepłym uśmiechem, który rozświetlił też jej oczy. Andrew zaczął się zastanawiać, czy ich barwa nie była jednak

bardziej zbliżona do barwy mchu niż liści, choć może to tylko przez słońce wpadające przez okno…

– Nie wspominałeś o tym, że jesteś potrzebny na górze? – spytała.

Zamrugał.

– Tak, oczywiście. – Pokręcił głową. – Tylko zamyśliłem się na chwilę.

Znowu się uśmiechnęła, tym razem z lekkim rozbawieniem. Czy może raczej zniecierpliwieniem. Wyraźnie chciała się go już pozbyć.

– Cóż, idę zatem. – Skłonił się szybko i podszedł do drzwi.

– Och, zaczekaj! – zawołała panna Bridgerton.

Odwrócił się. Ale bez specjalnego zapału. Zupełnie bez zapału.

– Tak?

Wskazała ręką resztki śniadania.

– Czy mógłbyś zabrać tacę? Chyba będę potrzebowała więcej miejsca na tę układankę, nie sądzisz?

– Tacę – powtórzył tępo. Chciała, żeby odniósł jej tacę. A on był kapitanem tego statku, do diabła.

– Będę ci bardzo wdzięczna.

Wziął tacę.

– Do zobaczenia wieczorem, panno Bridgerton.

Wieczorem, na pewno. Nie przyjdzie wcześniej, żeby sprawdzić, co porabia. Na pewno nie.

Poppy miała ułożoną mniej więcej jedną czwartą mapy, kiedy usłyszała krótkie, ostre pukanie do drzwi, a zaraz po nim dźwięk klucza przekręcanego w zamku.

– Kapitan James! – powiedziała, nieco zaskoczona. Wydał jej się absurdalnie przystojny, jak zawsze. O co chodzi z tymi mężczyznami o rozwianych włosach? No i, w przeciwieństwie do poranka, teraz miał rozpiętą pod szyją koszulę.

Nie miała nic przeciw temu, naprawdę, ale z grzeczności odwróciła oczy i wbiła wzrok w kawałek układanki, który trzymała w dłoni. Wydawało jej się, że mogła to być część Kanady. Albo może Japonii.

– Myślałaś, że to Billy? – zapytał.

– Nie, on nigdy nie pukałby tak władczo. Ale powiedziałeś, że zobaczymy się dopiero wieczorem.

Odchrząknął i podszedł do przeciwległej ściany.

– Muszę zabrać coś z szafy.

– Może krawat – mruknęła.

Tylko braci widywała tak rozchełstanych. Ale jej bracia tak wtedy nie wyglądali. A jeśli wyglądali, jej to nie interesowało. Co innego kapitan – cóż, przyznała już przed sobą, że jest przystojny. Dopóki nie przyznała tego także przed nim, nie miała się czym martwić.

Dotknął szyi, jakby zapomniał, że pozbył się kołnierzyka.

– Na pokładzie często pozwalamy sobie na pewną swobodę.

– Czy dzisiaj jest bardzo ciepło?

– Na słońcu, tak.

To pewnie od słońca jego włosy nabrały miejscami tego złotego odcienia. Założyłaby się, że kiedy siedział przez cały rok w Anglii, nie były tak świetliste. Świetliste? W duchu porządnie siebie skarciła. Taki przymiotnik nie miał prawa znaleźć się w jej słowniku tu, w zamkniętej kajucie na statku. Był wyszukany i głupi, i… prawdziwy, niech to diabli. Czy piraci nie powinni być brudni i obdarci? Kapitan James wyglądał natomiast tak, jakby w każdej chwili mógł napić się herbatki z królową. Oczywiście gdyby zapiął koszulę. Patrzyła, jak grzebał w swojej szafie. (Stał tyłem do niej, więc swobodnie mogła się na niego gapić). Po chwili wyciągnął coś, ale włożył to do kieszeni, zanim zdążyła zobaczyć, co to było.

Pochyliła się nad układanką w momencie, kiedy się odwrócił.

– Jak ci idzie? – zapytał.

– Bardzo dobrze, dziękuję – odparła z ulgą, że nie przyłapał jej na wpatrywaniu się w niego. – Zaczęłam od krawędzi. – Opuściła wzrok na swoją pracę. Była raczej dumna z prostokątnego kształtu, który stworzyła. Jego głos rozległ się tuż za jej plecami:

– To zawsze najlepszy plan.

Drgnęła. Nie zdawała sobie sprawy, że stał tak blisko niej.

– Ehm… Próbowałam posegregować resztę kawałków według koloru. Ale jest to dość trudne. Większość jest bardzo jasna i… – Dlaczego on jest taki ciepły? Nie dotykał jej, a jednak czuła ciepło bijące od jego ciała. Nie śmiała się odwrócić, ale jak blisko właściwie stał? Odchrząknęła. – Trudno mi odróżnić róż od tego odcienia. – Podniosła do góry fragment, na którym był i ląd, i woda. Jeden róg był jasnoniebieski, drugi miał delikatnie brzoskwiniowy kolor.

– Ten jest zdecydowanie różowy – powiedział niemal do jej ucha, a potem pochylił się, wyciągając ramię tuż obok niej, żeby wziąć do ręki trójkątny kawałek i umieścić go na właściwym miejscu układanki. Materiał jego koszuli musnął tył jej głowy i na chwilę Poppy zapomniała, jak się oddycha. Nie pamiętała, czy w ogóle to potrafi. Cofnął ramię, tym razem muskając jej ramię. Poczuła mrowienie na skórze. To ten upał. Na pewno. Słońce zawędrowało w końcu na tyle wysoko, że nie wpadało już przez okna, ale ogrzewało kajutę przez cały ranek. A ona była tak pochłonięta układanką, że nawet tego nie zauważyła. Teraz jednak czuła, że musi napić się czegoś zimnego. I tak jak nie bardzo potrafiła zastosować się do porad matki, kiedy miała czkawkę – „Nic nie rób, sama przejdzie” – tak teraz nie mogła zignorować tego uczucia. I kapitana, który stał tak skandalicznie blisko. Sięgnął po kolejny fragment układanki, w odcieniu lawendowym, leżał on jednak dalej niż poprzedni i kiedy się odwróciła, zobaczyła głowę kapitana tuż przy swojej. Gdyby on też… się teraz odwrócił… Gdyby ona się odwróciła… pocałowaliby się.

– Stop! – krzyknęła.

Wyprostował się.

– Coś się stało?

– Nie – odparła, przerażona swoim wybuchem. – Nie, nie.

Chciała, żeby ostatnie „nie” zabrzmiało lekko, ale czuła, że nie bardzo jej się to udało. Odchrząknęła, co dało jej kilka dodatkowych sekund, żeby się opanować, zanim znowu coś powie. Kiedy to zrobiła, rozłożyła jednocześnie ręce nad blatem stołu.

– Po prostu chcę ułożyć to sama. Nie chcę żadnej pomocy.

Odsunął się od niej, a kiedy spojrzała mu w twarz, z ulgą stwierdziła, że nie było na niej śladu rozbawienia czy kpiny, czy choćby zrozumienia. Zamiast tego wydał jej się niemal pokorny.

– Przepraszam – powiedział. – Uwielbiam takie rzeczy.

– Nic… nic się nie stało – odparła, niezadowolona z faktu, że głos lekko jej się załamywał. – Tylko… Już więcej nie.

Odszedł, sądziła więc, że pójdzie do drzwi, ale on zatrzymał się nagle i odwrócił, kładąc dłonie na oparciu jej krzesła.

– Dlaczego jesteś dzisiaj taka miła?

Zamrugała.

– Słucham?

– Jesteś dzisiaj wyjątkowo miła.

Zmrużył oczy, ale nie było w nich podejrzliwości.

– W porównaniu z…

Przekrzywił głowę, jakby o tym nie pomyślał.

– Z dniem, kiedy się tu pojawiłaś, oczywiście…

– W worku, to chciałeś dodać?

Machnął tylko ręką.

– Czy to ta układanka?

– Cóż… – Poppy urwała, nie bardzo wiedząc, jak odpowiedzieć na to pytanie. Dlaczego była dzisiaj taka miła? Ten irytujący w najwyższym stopniu człowiek więził ją tu wbrew jej woli – nie, żeby mogła sama coś z

tym zrobić, tu, na otwartym morzu. Może zachowywałaby się inaczej, gdyby była w jakiejś gospodzie abo domu – miejscu, z którego mogłaby spróbować uciec. Ale tu, na statku, nic nie zyskałaby przez ciągłe wyrażanie sprzeciwu. Zwłaszcza że musiała spędzić w towarzystwie kapitana całe dwa tygodnie. Spojrzała na niego w nadziei, że jeśli dość długo będzie zwlekała z odpowiedzią, przestanie na nią czekać, ale nie, ciągle przyglądał jej się wyczekująco błękitnymi oczami.

– Sądzę – zaczęła w końcu ostrożnie – że to dlatego, że nie mam żadnego dobrego powodu, by być niemiła. Nie mogę nigdzie pójść, nie mogę uciec i musiałabym być szalona, by sądzić, że lepiej będzie mi w Portugalii samej niż pod twoją opieką. Czy mi się to podoba, czy nie, utknęłam tu z tobą.

Powoli pokiwał głową.

– A ja z tobą.

– Och – dodała z naciskiem – i nie podoba mi się to.

Otworzył usta, co pogłębiło jeszcze wyraz zaskoczenia na jego twarzy.

– Powiedziałam „czy mi się to podoba, czy nie” – wyjaśniła. – Więc chcę, by było jasne, że mi się to nie podoba.

– Zauważyłem – mruknął.

– Ale – dodała, wstając – jako że traktujesz mnie z niewielką dozą szacunku, ja robię to samo.

Uniósł jedną brew.

– Z niewielką dozą?

Ona też uniosła jedną brew.

– Nadal sypiasz w tej kajucie, prawda?

– Dla twojego bezpieczeństwa – przypomniał jej.

– Drzwi można zamknąć na klucz.

– Nie będę spał na dole.

– Ponieważ nie widziałam dotąd na tym statku nic poza tą kajutą i kawałkiem korytarza, nie mogę powiedzieć, czy koje na dole są odpowiednie.

Uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Wierz mi, nawet gdybyś mogła swobodnie poruszać się po „Infinity”, nie byłoby ci wolno zbliżać się do marynarskich kajut.

Poppy wskazała głową w stronę korytarza.

– Doliczyłam się jeszcze trojga drzwi na tym pokładzie.

– Ach, tak. Są bardzo małe.

– Dość duże, by pomieścić dwóch ludzi, jak przypuszczam. Czy Brown i Green nie zajmują jednej?

– Ani Brown, ani Green nie jest kapitanem tego statku.

– Chcesz więc tak naprawdę powiedzieć, że twoja duma jest zbyt wielka, by móc dzielić z kimś kajutę.

– Dzielę kajutę z tobą.

– Decyzja, której nadal nie pojmuję – prychnęła. – Zdajesz sobie sprawę, że gdybyśmy znajdowali się gdziekolwiek indziej, musiałbyś się ze mną ożenić.

To wywołało na jego twarzy uśmiech, diabelski i zabójczy. Pochylił się ku niej.

– Mam rozumieć, panno Bridgerton, że prosisz mnie o rękę?

– Nie! – Niemal wrzasnęła. – Przekręcasz moje słowa.

– Wiem – odparł, niemal współczująco. – Bardzo mi to ułatwiasz.

Zmarszczyła brwi.

– Cofam wszystko, co mówiłam o tobie, jako o dżentelmenie.

Nie przestawał się uśmiechać. Ten okropny człowiek wyraźnie uważał, że jest to zabawne. Czy też, dokładniej, że ona jest zabawna, co było znacznie gorsze.

– Tak się składa – powiedział – że postanowiłem spać dziś w kajucie nawigatora. Są tam istotnie dwie koje.

– Ale właśnie powiedziałeś, że…

Podniósł rękę do góry.

– Rozsądny mężczyzna nie dopytuje, gdy osiąga swój cel. To samo dotyczy chyba kobiet.

Miał rację, do diabła. A jednak…

– Cóż spowodowało tę zmianę? – zapytała podejrzliwie.

– Och, muszę się zastanowić… Sztywny kark, ból w plecach i fakt, że dziś rano zasypiałem za sterem.

– Naprawdę?

– Nie, nie naprawdę – odpalił, a potem jakby jęknął. – Ale byłem tego bliski.

Poppy starała się wyglądać na skruszoną. Naprawdę się starała. Ale było coś rozkosznego w tym, że zasypiał podczas pełnienia swoich obowiązków. Nie była w stanie ukryć nuty zadowolenia w głosie.

Schadenfreude, poznaj proszę Poppy Bridgerton.

– Zrobiłem rozeznanie, jakie nastroje panują wśród załogi – powiedział kapitan James – i jestem pewny, że nikt nie będzie cię niepokoił.

Skinęła lekko głową. Wygrała. Wygrała! Ale znała mężczyzn i wiedziała, że musi pozwolić mu sądzić, że to on zwyciężył. Rzuciła mu więc uroczy uśmiech i powiedziała:

– Dziękuję.

Skrzyżował ramiona na piersi.

– Będziesz, oczywiście, zamykała drzwi na klucz.

– Jak sobie życzysz.

– I musisz zrozumieć, że to ciągle moja kabina i że w ciągu dnia będę tu przychodził.

– Masz tu wszystkie swoje rzeczy – mruknęła ugodowo, choć możliwe, że zepsuła cały efekt, dodając: – Widzisz, jaka jestem zgodna?

10

Zgodna, akurat. Dziewczyna coś knuła. Choć co by to mogło być, Andrew nie był w stanie sobie wyobrazić. Uwierzył, kiedy powiedziała, że nie snuje planu ucieczki. Na to była zdecydowanie zbyt inteligentna. Podejrzewał, że może spróbować, gdy znajdą się z powrotem na brytyjskiej ziemi, ale na pewno nie wcześniej.

Ale kiedy istotnie znajdą się na brytyjskiej ziemi… Cóż, sam będzie chciał się jej pozbyć, czyż nie?

– Czy coś się stało? – usłyszał jej głos. – Zrobiłeś nagle bardzo sceptyczną minę.

Spojrzał na nią. Brązowe włosy, zielone oczy, niebieska sukienka… wszystko to było takie samo. A jednak on czuł się jakoś inaczej.

Ale to nie z jej powodu, powiedział sobie. Owszem, jej obecność sprawiła, że ta podróż różniła się od wszystkich innych, ale to przecież nie przez nią czuł się tak nieswojo. Już od kilku miesięcy czuł się jakoś dziwnie.

Jakby coś w nim nagle się przesunęło. Czuł…

Niepokój.

Zwykle, gdy ogarniało go to uczucie, wiedział, że nadszedł czas wciągać żagle na maszty. Nie należał do ludzi, którzy potrafią długo usiedzieć w jednym miejscu. Ruch był podstawą jego egzystencji, cechą tak mocno sprzężoną z tym, kim w istocie był: jak nieco bezczelne poczucie humoru, niebieskie oczy czy fascynacja wszystkim, co miało jakikolwiek związek z

mechaniką. Właśnie dlatego błagał rodziców, by pozwolili mu rzucić Eton podczas ostatniego roku nauki i wstąpić do marynarki. To właśnie dlatego pozwolili mu na to, choć wiedział, że woleliby, by ukończył szkołę.

Nie proponowali mu nawet, by poszedł do Cambridge, choć Andrew zawsze pasjonował się inżynierią i architekturą, i tam z pewnością poszerzyłby swoją wiedzę z obu tych dziedzin.

Nigdy jednak nie wytrzymałby trzech lat na uniwersytecie. A w każdym razie nie wtedy. Trudno było mu wysiedzieć bez ruchu w ławce. Wykłady i seminaria byłyby dla niego torturą.

Ale ostatnio w jego piersi budził się jakiś inny niepokój. Jakaś potrzeba zmiany, ale nie ciągłej zmiany. Znowu zobaczył dom, ten, który miał gdzieś z tyłu głowy od tak dawna. Za każdym razem, kiedy go widział, wyglądał nieco inaczej… tu jakiś płotek, tam kamienna ściana… i oczywiście nigdy nie był pewny, jak duży powinien być. Czy chciałby w nim mieszkać sam? Czy mieć rodzinę?

Nie, zdecydował, że nie może być zbyt mały. Nawet jeśli nigdy nie będzie miał własnej rodziny, będzie potrzebował mnóstwa przestrzeni dla siostrzeńców i bratanków. Dzieci z rodzin Rokesby i Bridgerton stanowiły własne, małe plemię, które wędrowało swobodnie po obu posiadłościach. Łowiły ryby, wspinały się na drzewa, odgrywały wyobrażone sceny z udziałem księżniczek i rycerzy, piratów i królów. A także, oczywiście, Joanny d’Arc i królowej Elżbiety, ponieważ Billie Bridgerton nie miała ochoty odgrywać ról bezradnych dam w opałach.

Kiedy padał deszcz, grali w różne gry i budowali domki z kart. Andrew przypuszczał, że gdzieś w tym wszystkim musiało być miejsce na naukę, ale nawet lekcje, prowadzone przez najlepszych, wybranych przez rodziców tutorów, były tam fascynującą zabawą. Rozumieli oni, że przyswajanie wiedzy może być przyjemnością i że niewiele można zdziałać przez niewolnicze oddanie dyscyplinie, przynajmniej w przypadku dzieci do dziesiątego roku życia.

Jego rodzice odznaczali się wyjątkową mądrością. Żadne z ich dzieci – co jednocześnie zakrawało na ironię i było zupełnie logiczne – nie zdawało sobie z tego sprawy do czasu osiągnięcia pełnej dorosłości.

Naprawdę chciał znowu spotkać się z rodziną. Już zbyt długo ich nie widział.

– Kapitanie James?

Panna Bridgerton stała teraz tuż obok niego; on do tej chwili nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że wstała od stołu.

– Kapitanie James? – powtórzyła. – Czy wszystko w porządku?

– Przepraszam. – Pokręcił sobą w duchu. – Właśnie myślałem… – Cóż, właściwie nie było żadnego powodu ukrywać przed nią prawdy. – Właśnie myślałem o swojej rodzinie.

– Ach tak, twój brat – powiedziała i zmrużyła oczy z czymś, co było dość bliskie złośliwości. – Ten, który nie ma w zwyczaju przesadzać. Żonaty z okropną kobietą, która nie lubi truskawek.

I ot tak, po prostu, rozbawiła go tak, że się roześmiał.

– Zapewniam cię, że wcale nie jest okropna. Prawdę mówiąc, na pewno by ci się spodobała. Jest…

Urwał. Już miał jej opowiedzieć, jak Cecilia przepłynęła ocean w poszukiwaniu swego rannego brata i jak, żeby móc go pielęgnować, udawała, że jest żoną człowieka, który stracił pamięć. Cecilia nie uważała się za osobą szczególnie śmiałą czy zdeterminowaną – ani wtedy, ani teraz – i często mawiała, że wolałaby nigdy więcej nie oddalać się od domu bardziej niż na pięćdziesiąt mil. Ale kiedy była taka potrzeba – kiedy inni jej potrzebowali – znalazła w sobie na to dość siły.

Ale nie mógł zdradzić więcej informacji na temat swojej rodziny. Nie powinien był nawet wymieniać imienia Edwarda, ale, szczerze mówiąc, w jakiej rodzinie nie występuje to imię? Jednak gdyby zaczął teraz mówić o George’u i Nicholasie, i Mary… Taka kombinacja imion byłaby już dużo

bardziej charakterystyczna. A gdyby wyszło na jaw, że wspomniany uprzednio George jest mężem kuzynki Poppy, Billie…

– Tęsknisz za nimi? – spytała panna Bridgerton.

– Za rodziną? Oczywiście. Cały czas.

– A jednak wybrałeś życie na morzu.

Wzruszył ramionami.

– Lubię też morze.

Zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami, a potem powiedziała:

– Ja tak naprawdę nie tęsknię za swoją.

Spojrzał na nią ze szczerym zdumieniem.

– To znaczy, oczywiście tęsknię za nimi. Ale teraz i tak miałam przecież przebywać z dala od domu.

– No tak – przypomniał sobie. – Byłaś u przyjaciółki w Charmouth. U pani Armitage.

Zamrugała oczami ze zdziwienia.

– Zapamiętałeś jej nazwisko?

– Muszę cię do niej odwieźć, prawda?

Otworzyła usta, ale zaraz zobaczyła wyraz jego twarzy i zrozumiała…

– Na litość Chrystusa, kobieto, nie sądziłaś chyba, że porzucę cię w dokach, prawda?

Zagryzła wargi.

– Cóż…

– Za jakiego człowieka mnie uważasz? – Odsunął się, wściekły, że mogła ocenić go w taki sposób. – Piekło i szatani, kobieto, to ty ciągle upierasz się, że jestem dżentelmenem. Jak mogłaś pomyśleć, że nie odstawię cię bezpiecznie do drzwi twojej przyjaciółki?

– Porwałeś mnie – zauważyła, niemal uprzejmie.

– Znowu to samo – jęknął.

Otworzyła szeroko oczy i wydała dźwięk, który z pewnością oznaczał: „Czyż właśnie sam tego nie powiedziałeś?”

Oparł dłonie na biodrach.

– Uzgodniliśmy już chyba, że nie miałem wyboru.

W odpowiedzi wzruszyła jednym ramieniem.

– To twoje zdanie.

Uznał, że mogła mieć trochę racji, ale przecież nie mógł jej tego wyjaśnić. Nawet jego rodzice nie wiedzieli, że od siedmiu lat był tajnym agentem Korony.

Nie zamierzał jednak połknąć jej przynęty i dać się wciągnąć w kolejny spór na temat tego, jak i dlaczego znalazła się na pokładzie „Infinity”.

– Tak czy inaczej – powiedział tonem uprzejmym i stanowczym zarazem – nie zostaniesz w dokach jak jakiś niechciany ładunek. Nie wiem jeszcze dokładnie, jak dostarczę cię do domu, ale zrobię to, masz na to moje słowo.

Patrzył na nią, czekając na odpowiedź.

Którą mu dała.

– Z technicznego punktu widzenia – powiedziała z ostrożną miną kogoś, kto przebiera w szpilkach – jestem niechcianym ładunkiem.

Przetrawienie jej słów zabrało mu chwilę.

– Masz ochotę się przy tym upierać?

– Cóż, z pewnością nie mam ochoty upierać się, że nie powinieneś odstawić mnie bezpiecznie do Briar House. Choć chyba powinieneś być ostrożny. – Uniosła brwi, pomna wielu okazji, przy których siostra Andrew – i jego szwagierka, i jego druga szwagierka – udzielały licznych, nieproszonych rad.

– Elizabeth nie jest tak skłonna naginać zasady jak ja – powiedziała panna Bridgerton. – Bardzo możliwe, że powiadomiła już władze.

Nie wspominając o całej rodzinie Bridgertonów, pomyślał posępnie.

Wróciła do stołu.

– Prawdopodobnie byłoby dość nierozsądnie z twojej strony zbliżać się do domu.

Niemal się uśmiechnął.

– Obawiasz się, że mógłbym zostać aresztowany?

Prychnęła.

– Mocno wierzę, że zdołasz umknąć przed prawem.

Nie był pewny, czy to komplement. Nie był też pewny, że to nie komplement. I nie był pewny, co by wolał.

Odchrząknął.

– Muszę wracać. Wiele spraw wymaga mojej uwagi.

Kiwnęła głową z roztargnieniem, przyglądając się układance.

– Wyobrażam sobie. Jestem zaskoczona, że tak długo zostałeś w kajucie.

Nie tak zaskoczona, jak on sam.

– Powinnaś wiedzieć, że nadal mam zamiar zjeść tu kolację – powiedział, wskazując głową stół. – Choć zdaje się, że zagarnęłaś już sporo miejsca.

Uśmiechnęła się bez cienia żalu.

– Obawiam się, że nie mogę za to przepraszać.

– Nie oczekuję tego. – Spojrzał na puzzle, zobaczył fragment, który z pewnością należał do Orkadów, i położył go na miejscu.

Trzepnęła go po ręce.

– Przestań! Układałeś to już wcześniej!

– Wiem, ale nic nie poradzę, że jestem w tym lepszy od ciebie.

Tak pięknie zmarszczyła brwi, że musiał zrobić to jeszcze raz.

– Otwierałaś okna? – spytał niewinnie.

Poruszyła się na swoim krześle.

– One się otwierają?

Chwycił inny fragment i szybko wstawił go tam, gdzie było jego miejsce.

– Nie. – Uśmiechnął się szeroko, kiedy odwróciła się i spojrzała na niego gniewnie. – Przepraszam. Nie mogłem się powstrzymać.

– Najwyraźniej – burknęła.

– To była Norwegia – podpowiedział.

– Widzę. – I przyznała tak niechętnie, że należały się jej za to oklaski: – Teraz.

– Nigdy tam nie byłem – zauważył tonem konwersacyjnym. To znaczy, swoim zwykłym głosem.

– W Norwegii? – Spróbowała dopasować kawałek do najbardziej wysuniętej na południe części Afryki. – Ja też nie.

Uśmiechnął się, bo oboje wiedzieli, że nigdy nie była poza Anglią. W każdym razie na lądzie.

– Nie pasuje – powiedział bezradnie. – Ameryka Południowa jest tam.

Panna Bridgerton zmarszczyła brwi i spojrzała na kawałek układanki. Miał kształt rombu z zielonym trójkątem lądu wystającym z jednego z boków. Resztę pokrywała błękitna woda.

– Jesteś pewny? – zapytała, mrużąc oczy i wpatrując się w małe literki. – Jest tu litera O. Myślałam, że to może Przylądek Dobrej Nadziei.

– Albo przylądek Horn.

– Cóż, to mylące – powiedziała zirytowana, i dość gwałtownie odłożyła fragment układanki na stół. – Mogliby chyba wymyślać mniej podobne do siebie nazwy.

Uśmiechnął się szeroko. Musiał.

Przycisnęła jeden z fragmentów palcem do stołu i w zamyśleniu kreśliła nim cyfrę osiem. A potem nagle kompletnie go zaskoczyła, mówiąc:

– Skłamałam wcześniej.

Odwrócił się.

– Opowiedz mi o tym – powiedział cicho.

Zabrało jej to chwilę, a kiedy się w końcu odezwała, mówiła z powagą, jakiej dotąd nie słyszał w jej głosie.

– Tęsknię za rodziną. Choć pewnie nie w taki sposób jak ty. Ja… ja nie opuszczam ich tak często jak ty ani na tak długo. Ale brakuje mi brata. Tego, który zmarł. Tęsknię za nim przez cały czas.

Pozwoliła mu zobaczyć swoją twarz tylko przez chwilę, zanim się odwróciła, ale nawet gdyby nie zobaczył smutku w jej oczach, dostrzegłby

go w pochyleniu jej pleców, w ramionach, z których nagle jakby uszło życie.

– Bardzo współczuję ci tej straty – powiedział.

Skinęła głową i przełknęła ślinę, a potem opuściła niewidzący wzrok na układankę.

– Był moim ukochanym bratem.

– Jak miał na imię?

Spojrzała na niego, a on dojrzał w jej oczach błysk wdzięczności za to, że zapytał.

– Roger – odparła. – Miał na im imię Roger.

Andrew pomyślał o swoim rodzeństwie. Wszystkich ich kochał jednakowo, a w każdym razie uważał, że nikogo nie wyróżniał. Ale choć wszyscy żyli, doskonale potrafił wyobrazić sobie jej ból. Jego brat Edward był kiedyś oficerem w armii i zaginął podczas wojny w Ameryce. Andrew był pewny, że zginął. Nie powiedział o tym nikomu, zwłaszcza matce, która natarłaby mu uszu za to, że stracił nadzieję.

Jednak w głębi serca Andrew już opłakiwał śmierć brata.

Wierzył w jego śmierć przez prawie rok i chętnie zaofiarowałby teraz Poppy słowa współczucia, ale nie mógł. Historia kapitana Edwarda Rokesby, który powstał z martwych, była zbyt dobrze znana. Więc Andrew tylko usiadł obok niej i powtórzył:

– Bardzo mi przykro.

Przyjęła to krótkim skinieniem głowy. Ale potem, zaledwie kilka chwil później, zacisnęła usta, zabębniła palcami po stole i sięgnęła po kawałek układanki, który przed chwilą miała w ręce.

– Muszę powiedzieć – odezwała się, głosem który wyraźnie wskazywał na zmianę tematu – że wcale nie wygląda jak róg[2].

Andrew z uśmiechem wziął kawałek drewna z jej ręki.

– Sądzę, że nazwali go tak za Hoorn.

– Za kim?

Zaśmiał się.

– Hoorn. To miasto w Holandii.

Nie zrobiło to na niej wrażenia.

– Hm. Cóż, tam też nigdy nie byłam.

Pochylił się ku niej i konspiracyjnie trącił jej ramię swoim.

– Ja też nie.

– To jest zaskakujące – powiedziała, zerkając w jego stronę. – Sądziłam, że byłeś już wszędzie. Poza Norwegią, ma się rozumieć.

– Niestety nie. Moje sprawy trzymają mnie znanych tras.

Była to prawda. Andrew przez większość czasu przewoził dokumenty do ciągle tych samych trzech czy czterech państw. Najczęściej do Hiszpanii i Portugalii.

– Jak to się pisze? – zapytała nagle.

– Hoorn? H-O-O-R-N. Dlaczego pytasz?

– Zastanawiałam się po prostu czy jest gdzieś Przylądek D-O-O-B-R-E-J Nadziei.

Roześmiał się.

– Jeśli tak, chętnie bym się tam wybrał.

Ale Poppy miała więcej pytań.

– Wiesz może, który z nich dostał nazwę pierwszy?

– Z tych dwóch przylądków? Chyba Dobrej Nadziei. Jeśli dobrze sobie przypominam, nazwę nadał mu król Portugalii.

– Portugalii, powiadasz? Więc to ustalone. Odwiedzimy Przylądek Dobrej Nadziei w drodze powrotnej z Lizbony. – Jej oczy rozświetliła radość. – Myślisz, że pan Carroway zna drogę?

– Jeśli przeczytał ten koszmarny podręcznik nawigacji, to pewnie tak.

Roześmiała się z tego wesoło i był to cudowny śmiech, pełen radości i życia. Na morzu Andrew nigdy takiego śmiechu nie słyszał. Marynarze mieli poczucie humoru, ale ich żarty były męskie, rubaszne. Nie miały nic wspólnego z błyskotliwymi bon motami Poppy Bridgerton.

Poppy. To imię naprawdę do niej pasowało. Jakaż by to była szkoda, gdyby okazała się bezbarwna i mizerna.

– Duuubrej Nuuudziei – zachichotała, z akcentem, który prawdopodobnie nie istniał nigdzie poza tą kajutą. – Duuubrej Nuuudziei.

– Przestań – powiedział. – Nie mogę tego wytrzymać.

– Duuuuubrej Nuuuuuuudziei! – Niemal zaśpiewała. – Miejsce w Portugalii, które budzi największe nadzieje.

– Twój akcent to najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Odwróciła się do niego z przesadnym oburzeniem.

– Nie sądzisz, że mówię jak Holenderka?

– Ani trochę.

Teatralnie wypuściła powietrze z płuc.

– Cóż, to wielkie rozczarowanie. Bardzo się starałam.

Dźgnęła go łokciem, a potem wskazała głową układankę.

– Przypuszczam, że nie widzisz nigdzie w tym bałaganie Przylądka Dobrej Nadziei?

Spojrzał na nią z ukosa.

– Sądziłem, że nie chcesz pomocy.

– Nie chcę niechcianej pomocy – sprecyzowała.

– Obawiam się, że lubię oferować pomoc tylko wtedy, kiedy jest niechciana.

– Więc nie widzisz go.

Uśmiechnął się bez cienia skruchy.

– Ani trochę.

Znowu się roześmiała, odrzucając głowę do tyłu. Andrew patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Od początku uważał, że jest ładna, ale w tej właśnie chwili zobaczył w niej o wiele, wiele więcej. „Ładna” stało się określeniem zbyt letnim i mdłym, a Poppy była zupełnie inna.

– Och, mój Boże – westchnęła, ocierając oczy. – Gdybyś powiedział mi zaraz, kiedy się tu pojawiłam, że będę się tak śmiała…

– …na pewno bym ci nie uwierzyła.

– Tak, cóż… – Urwała i od razu zauważył, że w myślach przywołała się do porządku. Jej twarz zamknęła się i cała magia, ot tak, nagle, zniknęła. – Mimo wszystko wolałabym być teraz w domu.

– Wiem – powiedział.

Miał wielką ochotę położyć na jej dłoni swoją. Nie zrobił tego jednak.

Zaczęła mówić z namysłem, przerywając co chwilę, i choć podniosła oczy, patrzyła w jakiś punkt nad jego ramieniem:

– Nie chcę, żebyś myślał… że tylko dlatego, że czasem się śmieję… a nawet doceniam twoje towarzystwo…

– Wiem – powiedział. Nie musiała kończyć zdania.

Nie chciał, żeby je dokończyła.

Ale ona i tak to zrobiła.

– Nie powinieneś myśleć, że ci wybaczam.

To też wiedział, ale i tak odczuł te słowa jak cios, w dodatku niezwykle celny.

Cios, który zaskakująco go zranił.

Wstał.

– Muszę już iść.

Nie odezwała się aż do chwili, kiedy podszedł do drzwi. Dobre maniery musiały wziąć nad nią górę, bo zanim zdążył wyjść, dodała:

– Jeszcze raz dziękuję. Za układankę.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że dostarczy ci rozrywki.

– Na pewno. Ja… – Przełknęła. – Już mi dostarczyła.

Skłonił się ze sztywnym, żołnierskim skinieniem głowy i całym należnym w tej sytuacji szacunkiem.

A potem wyszedł z tej kajuty, do wszystkich diabłów.

Andrew był już na pokładzie, kiedy wreszcie zatrzymał się i wziął głębszy oddech. Nie zamierzał wychodzić tak nagle, ale panna Bridgerton

zalazła mu za skórę i…

Och, do diabła, kogo próbował oszukać? W ogóle nie zamierzał pojawiać się w tej kajucie aż do wieczora, ale z jakiegoś idiotycznego powodu chciał zobaczyć, jak pannie Bridgerton idzie układanka, i musiał wymyślić jakiś pretekst, żeby tam pójść.

Nie wiedział nawet, co zabrał z szafy. Sięgnął teraz do kieszeni i wyjął z niej…

Parę swoich majtek.

Dobry Boże.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyrzucić ich za burtę. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, było spotkanie teraz, kiedy trzymał w garści bieliznę jak jakaś obłąkana praczka, któregoś ze swoich marynarzy.

Nie był jednak w stanie pozbyć się zupełnie dobrej części garderoby tylko dlatego, że ona…

Nie, ponieważ ona…

Bo na pewno nie dlatego, że oni…

Zwinął kawałek lnu w kulkę i wepchnął z powrotem do kieszeni.

To, pomyślał. To jest właśnie tym przekleństwem, o którym gadają jego ludzie. Kobieta na pokładzie nie sprawi, że w maszt strzeli piorun, nie sprowadzi na statek plagi szczurów ani szarańczy. Zamiast tego sprowadzi obłęd na kapitana. Zanim dotrą do Portugalii, postrada część rozumu, a po powrocie do Anglii będzie dzikim, nieobliczalnym szaleńcem.

Dzikim. Nieobliczalnym…

– Coś się stało, kapitanie?

Andrew podniósł oczy, nie próbując nawet wyobrazić sobie, jaką zrobił minę, skoro jeden z jego ludzi czuł się w obowiązku zadać mu takie pytanie. Młodszy marynarz nazwiskiem John Wilson stał zaledwie kilka stóp od niego i przyglądał mu się z troską, czy może bardziej ciekawością – tego Andrew nie był tak do końca pewny.

– Nie, nic – rzucił ostro.

Ogorzałe policzki Wilsona pociemniały jeszcze bardziej. Nerwowo skinął głową.

– Oczywiście, kapitanie. Przepraszam, że pytałem.

Diabli nadali, teraz Andrew poczuł się naprawdę paskudnie.

– Uch, jaką masz dzisiaj służbę? – zapytał w nadziei, że okazanie zainteresowania zatrze nieprzyjemny ton jego odpowiedzi. Poza tym w pytaniu tym nie było nic dziwnego. To zupełnie naturalne, że zapytał o to przypadkowo spotkanego na pokładzie marynarza.

Tyle że pytał z parą majtek wepchniętych pospiesznie do kieszeni.

Ponieważ nie potrafił przyznać przed sobą, że chciał się spotkać z dziewczyną.

Boże, im prędzej skończy się ta podróż, tym lepiej.

– Byłem na masztach – odparł Wilson, podnosząc głowę. – Sprawdzałem olinowanie.

Andrew odchrząknął.

– Wszystko w porządku?

– Tak, sir. Tylko jedną trza było naprawić, ale nie było to nic wielkiego.

– Doskonale. – Andrew znowu odchrząknął. – Cóż, nie zatrzymuję cię.

– To żaden problem, sir. Właśnie skończyłem służbę i idę na dół. Moja kolej na hamak.

Andrew skinął głową. Jak na wielu statkach tego rodzaju, marynarze dzielili ze sobą hamaki. Nie spali wszyscy naraz – nie mogli. Na mostku zawsze ktoś musiał być, kilku marynarzy pracowało też zawsze nocą. Wiatr nie ustawał po zachodzie słońca.

Część sypialna i tak była ciasna. Byłoby marnowaniem przestrzeni rozpinać hamak dla każdego marynarza. Andrew nie wiedział, w jaki sposób się wymieniają, ale widział różne sposoby na różnych statkach. Ale nie żartował, kiedy mówił Poppy, że nie będzie spał na dole. Odrobił już swój czas w hamaku na początku służby, kiedy wstąpił do marynarki.

Na „Infinity” był kapitanem. Nie musiał już sypiać w cudzych przepoconych szmatach. Ale przez resztę tej podróży będzie musiał się zadowalać dodatkową koją w kajucie pana Carrowaya. Nie były mu obce niewygody, po cóż jednak spać na podłodze, skoro po drugiej stronie korytarza znajduje się puste, całkiem niezłe łóżko? Może nie tak przyjemne jak jego łóżko, ale jego łóżko zajmowała obecnie Poppy Bridgerton…

Jego łóżko.

Poppy Bridgerton.

Coś ścisnęło go w środku. Coś podejrzanie podobnego do pożądania.

– Nie – powiedział głośno. – Nie.

– Kapitanie?

Piekło i szatani, Wilson ciągle znajdował się w zasięgu jego głosu.

– Nic! – warknął Andrew, tym razem zupełnie nie dbając o to, jak bardzo przerazi marynarza.

Wilson czmychnął szybko i Andrew w końcu został sam.

Z głową pełną najgorszych przeczuć.

I kieszenią pełną lnianej bielizny.

11

Kilka kolejnych dni minęło bez żadnych szczególnych wydarzeń. Poppy dokończyła układankę, rozłożyła ją na części, i złożyła w całość jeszcze raz. Za drugim razem było to znacznie mniej satysfakcjonujące, ale i tak lepsze niż alternatywne zajęcia, na które, odkąd skończyła jedyną na półce powieść, składało się czytanie takich klejnotów jak *Inżynieria starożytnego Imperium Osmańskiego* i *Rolnicze arcydzieła Kentu*.

Dlaczego na statku znalazła się książka na temat rolnictwa, Poppy nie była w stanie sobie wyobrazić, choć część poświęcona Aubrey Hall sprawiła jej pewną przyjemność, gdyż to właśnie w tej posiadłości dorastał jej ojciec i nadal mieszkali tam jej kuzyni.

Poppy odwiedziła Aubrey Hall kilka razy, choć dość dawno temu. Kiedy rodzina spotykała się ze swym arystokratycznym kuzynostwem, na ogół odbywało się to w Londynie. Co było dość logiczne, zdaniem Poppy. Lord i lady Bridgerton z Kent utrzymywali wspaniałą rezydencję w stolicy, co oznaczało, że pan i pani Bridgerton z Somerset nie musieli. Obecny wicehrabia, starszy brat jej ojca, był człowiekiem hojnym i nie chciał nawet słyszeć o tym, by jego rodzeństwo z rodzinami zatrzymywało się gdziekolwiek indziej. Na szczęście miał mnóstwo miejsca. Bridgerton House było potężnym domostwem, z wielką salą balową i ponad tuzinem pokoi, w samym sercu Mayfair.

Tam właśnie mieszkała Poppy w czasie swych dwóch londyńskich sezonów. Jej rodzice pozostawali na wsi; żadne z nich nie przepadało

specjalnie za miejskim zgiełkiem. Zapewne dlatego właśnie przyjęli propozycję lady Bridgerton, która podjęła się wprowadzenia Poppy w towarzystwo i nadzorowania jej debiutu. A także dlatego, że ciotka Alexandra była wicehrabiną, a więc potężną sponsorką młodej damy poszukującej męża.

Choć najwyraźniej nie dość potężną, gdyż Poppy przeżyła już dwa sezony, nie znajdując na razie małżonka. Nie była to jednak wina ciotki Alexandry. Poppy miała za sobą jedne oświadczyny, ale choć dżentelmen ten miał urodę i środki, miał też zamiłowanie do moralizowania, które mogło z czasem rozwijać się i wzmacniać. Tego w każdym razie obawiała się Poppy. Nawet ciotka Alexandra, choć chętnie widziałaby swą podopieczną ustatkowaną, musiała się z nią zgodzić.

Swoje zainteresowanie wyraziło jeszcze paru innych dżentelmenów, ale Poppy ich nie zachęcała. (Ciotka Alexandra nie wykazała co do tego aż tyle zrozumienia). Poppy jednak była niezłomna. Będzie musiała spędzić w towarzystwie przyszłego męża całe życie, kimkolwiek się on okaże. Czy oczekiwała zbyt wiele, chcąc, by był interesującym rozmówcą? I potrafił ją rozbawić?

Ludzie, których poznała w Londynie, zdawali się rozmawiać tylko o sobie nawzajem, i choć Poppy nie brzydziła się szczególnie plotkami (szczerze mówiąc, ktokolwiek twierdził, że było inaczej, kłamał), czuła, że w życiu są rzeczy istotniejsze niż wyścigi konne, długi karciane i to, czy nos pewnej młodej damy nie jest przypadkiem za długi.

Poppy nauczyła się nie zadawać pytań, które dość często przychodziły jej do głowy. Okazało się, że młode damy, które ciotka wybrała jako odpowiednie dla niej towarzystwo, zupełnie nie interesowały się tym, dlaczego niektóre zwierzęta mają wąsy, a inne nie. A kiedy Poppy zastanawiała się, czy wszyscy jednakowo widzą błękit nieba, trzej dżentelmeni, każdy z osobna, spojrzeli na nią tak, jakby na ich oczach doznała pomieszania zmysłów.

Jeden nawet wycofał się nagle nerwowo.

A tak naprawdę Poppy nie pojmowała, dlaczego wszyscy się nad tym nie zastanawiają. Nigdy nie była w czyimś umyśle. Może coś, co ona widziała jako niebieskie, dla kogoś innego było pomarańczowe.

Nie było sposobu, by udowodnić, że tak nie jest.

Poppy nie chciała jednak dokonać żywota jako stara panna. Zgodziła się więc spędzić kolejny sezon w Londynie, w przyszłym roku, jeśli tylko ciotka Alexandra zechce zostać ponownie jej sponsorką.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. Czy też może dokładniej, mogło się zmienić. Kto wie, w jakim stanie będzie jej reputacja, kiedy „Infinity" zawinie do portu w Anglii? Istniała ciągle szansa, że wśliznie się do Briar House niezauważona przez nikogo (poza Elizabeth Armitage), i Poppy trzymała się tego, choć była to bardzo słaba nadzieja.

Może powinna uważać się za szczęściarę, bo nie trafiła w ręce bandy naprawdę pozbawionych skrupułów rzezimieszków. Piratów, kaprów, handlarzy, czy jak tam mieli ochotę się nazywać. Przypuszczała, że naprawdę miała szczęście, jej sytuacja mogła być znacznie gorsza. Mogła zostać pobita. Albo zgwałcona.

Mogła zostać zabita.

Postanowiła jednak, że nie będzie wdzięczna. Nie będzie odczuwała wdzięczności w stosunku do człowieka, który prawdopodobnie na zawsze zrujnował jej życie.

Najgorsza – przynajmniej na razie – była niepewność. I to nie niepewność w rodzaju: „Czy opera będzie dziś wieczorem zajmująca, czy też znajdę ją nudną?" Nie, to była niepewność w rodzaju: „Czy będę nadal prowadziła normalne życie, czy już zawsze będę wyrzutkiem społecznym?"

Najdziwniejsze było to, że czułaby się inaczej gdyby wiedziała, że Elizabeth zdołała zataić przed wszystkimi jej nieobecność. Gdyby wiedziała, że nikt nigdy nie wskaże jej palcem i nie powie: „To ta zła, upadła dziewczyna, która uciekła z piratami". (Bo tak by właśnie mówili; o

ileż rozkoszniejsze byłoby to dla ludzi niż prawda, a tam, gdzie w grę wchodzi reputacja, winę zawsze ponosi kobieta). Gdyby Poppy mogła być pewna, że po powrocie odzyska dokładnie tę samą pozycję, jaką zajmowała wcześniej…

Wtedy mogłaby nawet uznać, że całkiem dobrze się bawi.

Och, nadal byłaby rozgoryczona faktem, że musi tkwić w kajucie i od tygodnia niemal nie mogła odetchnąć świeżym powietrzem. Naprawdę chętnie zobaczyłaby resztę tego statku. Poppy wątpiła, czy jeszcze kiedykolwiek wybierze się w taką podróż, a zawsze ciekawiło ją, jak też działają pewne rzeczy. Statek był pełen takich zagadek: jak podnosi się żagle? Czy trzeba do tego więcej niż jednego człowieka? Więcej niż trzech? Jak przechowuje się żywność i czy ktokolwiek sprawdził, czy można to robić w bardziej higieniczny sposób? Jak rozdziela się pracę i kto opracowuje jej harmonogram?

Zadała już kapitanowi dziesiątki pytań i trzeba przyznać, że na większość odpowiedział. Poznała zalety solonego sztokfisza i dowiedziała się, czemu powinna się cieszyć, że nie musi go jeść. Wiedziała teraz, że słońce wschodzi i zachodzi szybciej w pobliżu równika i że wielka fala oceaniczna nazywa się tsunami, i nie, kapitan James nigdy jej nie doświadczył, ale zna człowieka, który miał za sobą takie doświadczenie, i że ten koszmar ciągle jeszcze wraca do niego w snach.

Poppy uwielbiała pytać go o żeglarzy z „Infinity”, a on opowiadał jej, że pochodzą z dwunastu różnych krajów, w tym z Królestwa Etiopii (które teraz potrafiła już pokazać na mapie). Kapitan James starał się ich opisać, wyjaśniając, że rysy ich twarzy różnią się od rysów twarzy ludzi z zachodniej części kontynentu, ale Poppy bardziej interesowały ich zwyczaje niż wygląd.

Miała ochotę porozmawiać z tymi ludźmi, którzy dorastali na innych kontynentach, zapytać o ich życie i rodziny, i jak wymawiać ich imiona (bo była pewna, że kapitan James nie robi tego poprawnie). Wiedziała, że nigdy

nie będzie już miała takiej sposobności. Londyn był kosmopolitycznym miastem i w czasie swoich dwóch sezonów w stolicy Poppy widziała wielu ludzi różnych ras i kultur. Nigdy jednak nie wolno było jej z żadnym z nich porozmawiać.

Poza tym, aż do tego tygodnia, nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby tego chcieć. Sprawiło to, że poczuła się… dziwnie. Dziwnie i nieswojo.

Nie było to przyjemne uczucie; zaczęła się więc zastanawiać, czego jeszcze nigdy nie zauważyła. Zawsze uważała się za osobę ciekawą świata, o otwartym umyśle, ale właśnie zaczęła sobie uświadamiać, jak bardzo mały był jej świat.

Jednak zamiast o Etiopii musiała czytać o Kent. (*Inżynieria starożytnego Imperium Osmańskiego* okazała się książką bardziej o inżynierii niż o imperium Osmańskim, nie tylko nie była więc egzotyczna, ale też całkowicie niezrozumiała).

Tak więc po kolacji Poppy oglądała ilustracje przedstawiające oranżerię w Aubrey Hall – po raz chyba dwunasty – kiedy do kajuty wszedł kapitan James, jak zawsze uprzedzając ją o swojej wizycie głośnym pukaniem.

– Dobry wieczór – powiedziała, zerkając z krzesła, które przyciągnęła do okna. Widok się nie zmienił, ale był piękny, a ona zaczęła go naprawdę lubić.

Kapitan nie wydawał się tak zmęczony jak poprzedniego wieczoru. Powiedział, że wszyscy marynarze wyszli już z niestrawności i wrócili do swoich obowiązków, więc może to było przyczyną. Domyślała się, że musiał pracować więcej, kiedy troje z jego ludzi chorowało.

– Dobry wieczór – odpowiedział kapitan uprzejmie.

Podszedł prosto do stołu, podniósł pokrywę znad jednego z dań, i wciągnął aromat w płuca.

– Gulasz wołowy. Dzięki ci, Panie.

Poppy nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Twój ulubiony?

– To jedno z popisowych dań Monsieur LaBakera – zapewnił ją kapitan.

– Twój kucharz nazywa się LaBaker? Naprawdę?

Kapitan James usiadł i zaczął jeść. Przeżuł dwa kęsy, zanim powiedział:

– Mówiłem ci, że pochodzi z Leeds. Myślę, że po prostu dodała „La” przed swoim nazwiskiem i stwierdził, że jest francuskie.

– Cóż za pomysłowość.

Kapitan zerknął na nią przez ramię.

– Może twierdzić, że nazywa się Ziemniak, byle tylko dla mnie gotował.

Poppy – jak to Poppy – zaraz zaczęła się zastanawiać, jak też pan LaBaker nie mógłby się nazwać, żeby nie stracić posady kucharza na tym statku.

Zapewne „Kapitanem”. Trudno było sobie wyobrazić, by kapitan James tolerował coś takiego.

– Dlaczego się uśmiechasz? – zapytał.

Poppy pokręciła głową. Była to jedna z tych meandrujących myśli, których nie było sensu próbować wyjaśnić.

Odwrócił krzesło, żeby móc na nią patrzeć, nie wykręcając szyi. Potem swobodnie odchylił się na oparcie krzesła z męskim wdziękiem i wyciągnął przed siebie nogi, a na jego twarzy pojawił się diabelski uśmieszek.

– Knujesz coś przeciw mnie?

– Zawsze – zapewniła go.

Uśmiechnął się – szczerze – i Poppy musiała sobie przypomnieć, by więcej nie prowokować go do uśmiechu.

– Muszę jednak jeszcze odnieść sukces – powiedziała z westchnieniem.

– Jakoś w to wątpię.

Wzruszyła ramionami, a on wrócił do jedzenia. Po trzech łyżkach gulaszu, połowie bułki i łyku wina zapytała:

– Czy twoi marynarze jedzą takie same posiłki jak ty?

– Oczywiście. – Wydawał się trochę urażony pytaniem. – Prościej podane, ale nigdy nie dałbym im gorszego pożywienia.

– Głodny człowiek nie będzie ciężko pracował? – mruknęła pod nosem. Słyszała to kiedyś i była pewna, że to prawda – ona sama była do niczego, kiedy czuła się głodna – a jednak powiedzenie to wydawało jej się trochę wyrachowane, jakby wyżywienie człowieka miało tylko wartość pracy, którą mógł później wykonać na rzecz ludzi go do niej zatrudniających.

Kapitan zmrużył oczy i przez chwilę miała wrażenie, że ją ocenia. W dodatku nie najlepiej.

– Głodny człowiek szybko traci ducha – powiedział cicho.

– Zgadzam się! – zawołała szybko Poppy. Nie odczuwała żadnej potrzeby, by zrobić wrażenie na tym mężczyźnie – jeśli już, powinno być przecież odwrotnie – a jednak nie czuła się dobrze, podejrzewając, że źle o niej pomyślał.

Co było jakąś bzdurą. Nie powinno jej to obchodzić.

Najwyraźniej jednak obchodziło, bo dodała jeszcze:

– Nie chciałam przez to powiedzieć, że uważam, że potencjał ciężkiej pracy jest jedynym powodem, by dobrze człowieka karmić.

– Nie? – mruknął.

– Nie – odparła stanowczo, bo jego ton był zbyt łagodny, i obawiała się, że jej nie uwierzył. – Zgadzam się, że człowiek głodny traci ducha. Ale wielu ludzi nie dba o ducha tych, których uważają za gorszych od siebie.

Wyraźnie akcentując każde słowo powiedział ostro:

– Ja do takich ludzi nie należę.

– Wiem – odparła. – Nie sądziłam nigdy, że taki jesteś.

– Jest wiele powodów, by dobrze karmić swoich ludzi – powiedział. – I wcale nie najmniej ważnym jest ten, że są to istoty ludzkie.

Poppy skinęła głową, zahipnotyzowana spokojną siłą jego słów.

– Ale ja mam ich więcej – ciągnął. – Statek to nie to samo co fabryka czy gospodarstwo. Jeśli nie będziemy współpracować, jeśli nie będziemy sobie

naprawdę ufać, zginiemy. To proste.

– Czy nie dlatego właśnie dyscyplina i porządek są tak istotne w marynarce?

Szybko skinął głową.

– Musi być hierarchia i jeden człowiek, który rządzi i odpowiada za wszystko. W przeciwnym razie doszłoby do anarchii.

– Bezprawia.

– Właśnie. – Przeciął widelcem ziemniaka, ale zaraz jakby zapomniał, że to zrobił. Zmrużył oczy i zabębnił palcami po stole.

Robił to, kiedy nad czymś rozmyślał. Poppy była ciekawa, czy zdawał sobie z tego sprawę. Pewnie nie. Ludzie rzadko są świadomi takich zachowań.

– Jednak – powiedział tak nagle, że niemal stanęła na baczność – to nie jest marynarka, a ja nie mogę powołać się na króla i Koronę, by wzbudzić lojalność. Jeśli chcę, by moi ludzie ciężko pracowali, muszą wiedzieć, że są szanowani i że zostaną wynagrodzeni.

– Dobrym jedzeniem? – spytała z powątpiewaniem.

To go rozbawiło.

– Myślałem raczej o niewielkim udziale w zyskach, ale tak, dobre jedzenie też pomaga. Nie chcę dowodzić statkiem pełnym, nieszczęśliwych ludzi. Nie ma w czymś takim żadnej przyjemności.

– Dla ciebie czy dla tych dusz? – spytała.

Zasalutował jej widelcem.

– Właśnie. Traktuj swoich ludzi dobrze, a w zamian oni też będą cię dobrze traktowali.

– Czy to dlatego dobrze mnie traktujesz?

– Czy tak właśnie myślisz? – Pochylił się do przodu, z ciepłym, leniwym uśmiechem na twarzy. – Że dobrze cię traktuję?

Poppy z trudem powstrzymała reakcję na jego uśmiech. Chwilami patrzył na nią tak, jakby była jedyną istotą ludzką na Ziemi. Było to

intensywne i ekscytujące, a ona musiała wyrobić w sobie odporność na to, zwłaszcza że wiedziała, że może nie być jedyną osobą, na którą tak patrzył.

– Czy dobrze mnie traktujesz? – powtórzyła. – Pomijając fakt, że mnie porwałeś, tak, chyba tak. Nie mogę powiedzieć, żebyś traktował mnie źle. Nudzę się tu jak mops, ale nie jestem źle traktowana.

– Cóż za ironia – zauważył. – Właśnie przeżywasz największą być może przygodę swojego życia i jesteś znudzona.

– Jak miło, że to zauważyłeś – powiedziała oschle. – Tak się składa, że dokładnie taka sama myśl przyszła mi już do głowy. Dwa razy.

– Dwa razy?

– Dwa razy na godzinę – jęknęła. – Dwa razy na godzinę, do diabła. Przynajmniej dwa.

– Panno Bridgerton, nie wiedziałem, że pani przeklina.

– To stosunkowo nowy zwyczaj.

Uśmiechnął się – nic tylko białe zęby i piekielny wdzięk.

– Powstał w ciągu ubiegłego tygodnia?

– Jest pan niezwykle spostrzegawczy, kapitanie James.

– Gdyby wolno mi było powiedzieć ci komplement…

W wdziękiem skłoniła głowę; mogło się wydawać, że się tego spodziewała.

– Ze wszystkich moich przeciwników w słownych potyczkach mieścisz się w pierwszej piątce.

Uniosła jedną brew.

– Są cztery osoby na tym świecie, które uważasz za równie dokuczliwe jak ja?

– Wiem – powiedział, z żalem kręcąc głową. – Trudno w to uwierzyć. Ale… – podniósł widelec z nadzianą na niego marchewką – z drugiej strony istnieją cztery osoby na tym świecie, które irytują mnie w takim samym stopniu jak ty.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– To dość krzepiące.

– Tak?

– Kiedy wrócę do domu, już nigdy mnie nie zobaczysz. – Położyła dłoń na sercu i westchnęła dramatycznie, jakby przygotowując się do finałowego monologu. – Ciepło robi mi się na sercu na myśl o tym, że gdzieś na tym wielkim, okrutnym świecie ktoś cię właśnie irytuje.

Patrzył na nią przez chwilę w osłupieniu, a potem wybuchnął śmiechem.

– Och, panno Bridgerton – powiedział, kiedy już był w stanie mówić. – Właśnie wspięłaś się na pierwsze miejsce.

Spojrzała na niego, podnosząc głowę, i uśmiechnęła się przebiegle.

– We wszystkim staram się być najlepsza.

Kapitan James podniósł szklankę.

– Ani przez chwilę w to nie wątpiłem. – Wypił wino, jakby za nią, a potem dodał: – I nie wątpię, że zawsze ci się udaje.

Podziękowała mu królewskim skinieniem głowy.

Upił kolejny długi łyk, a potem przytrzymał szklankę przed sobą i patrzył, jak ciemnoczerwony płyn opływa jej ścianki.

– Przyznam ci się – powiedział – że moje egalitarne przekonania nie sięgają dość daleko, bym dzielił się winem.

– Ze mną się podzieliłeś.

– Tak, cóż, ty jesteś szczególnym przypadkiem.

– Prawda? – mruknęła Poppy.

– Mógłbym się nawet podzielić z tobą brandy – ciągnął – gdybym jakąś miał.

Spojrzała na niego pytająco, więc dodał:

– Właśnie to Brown i Green mieli zabrać z groty.

– A zamiast tego zabrali mnie.

Poppy nie była pewna, ale wydawało jej się, że mruknął:

– Boże, dopomóż nam.

Prychnęła. Nie mogła się powstrzymać.

– Zachowuj się – powiedział bez cienia irytacji. – Mogłem ci podać grog.

– Co to jest grog? – Słyszała, jak mówił o tym Billy. Wydawało jej się, że to lubił.

Kapitan oderwał kawałek bułki i włożył do ust.

– W większości po prostu rum rozcieńczony wodą.

– W większości?

– Staram się nie myśleć o tym, co jeszcze może tam być. Wypiłem tego dość, kiedy…

Urwał.

– Kiedy co? – spytała Poppy.

Robił to czasami – zaczynał jej coś opowiadać, ale potem nagle przerywał.

Odłożył widelec.

– Nic.

I to zawsze mówił, kiedy próbowała coś z niego wyciągnąć.

Ale Poppy nie przestawała pytać. Nie, żeby miała coś lepszego do roboty.

Kapitan James wstał, podszedł do okna z rękami na biodrach i zapatrzył się w daleki horyzont.

– Nie ma dziś księżyca.

– Właśnie się zastanawiałam. – Siedziała przy oknie od wielu godzin, a nie dostrzegła ani jednego błysku na wodzie. Widok był więc nieco inny niż dotychczas.

– To oznacza, że gwiazdy będą oślepiająco jasne.

– Miło, że mi o tym powiedziałeś – mruknęła.

Była pewna, że to słyszał, ale nie zareagował. Zamiast tego, nie odwracając się do niej, spytał:

– Która godzina?

Poppy pokręciła głową. Czy był tak leniwy, że nie chciało mu się odwrócić głowy do zegara?

– Wpół do dziesiątej.

Wasza Wysokość.

– Hm. – Był to dość krótki pomruk, oznaczający, że uznał jej słowa za prawdziwe i teraz zastanawiał się nad jakąś związaną z tym kwestią.

Sama nie wiedziała, w jaki sposób nauczyła się interpretować jego pomruki, ale założyłaby się o prawdziwe pieniądze, że miała rację.

– Większość ludzi będzie już na dole – powiedział i odwrócił się do niej. Oparł się ramieniem o miejsce, w którym ściana łączyła się z oknem. – Pracują na zmiany. Każdy ma osiem godzin snu, ale ponad połowa z nich śpi nocą, od dziewiątej do piątej.

To było interesujące – podobały jej się takie szczegóły – ale nie bardzo rozumiała, po co mówił jej to wszystko teraz.

– Myślę – oznajmił, powoli wypowiadając słowa – że gdybym zabrał cię na pokład, nie wywołałoby to większego zamieszania.

Poppy znieruchomiała.

– Co takiego właśnie powiedziałeś?

Spojrzał na nią z czymś, co przypominało uśmiech na twarzy.

– Przecież słyszałaś.

– Musisz to powtórzyć – wyszeptała. – Powiedzieć to wyraźnie.

Zrobił krok w jej stronę i złożył przed nią dworny ukłon.

– Moja droga panno Bridgerton – wymruczał – czy nie zechciałaby pani towarzyszyć mi na pokładzie?

12

Poppy odłożyła książkę, ani na chwilę nie odrywając wzroku od twarzy kapitana. Miała dziwne wrażenie, że jeśli to zrobi, jeśli zerwie ten kontakt choć na krótki moment, jego propozycja pęknie i rozpadnie się w powietrzu jak bańka mydlana.

Ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

– Podaj mi rękę – powiedział i wyciągnął do niej swoją.

I choć zdrowy rozsądek krzyczał w niej głośno, że nie powinna dotykać tego mężczyzny, że nie powinna pozwolić, by choćby musnął jej skórę…

Zrobiła to.

On stał przez chwilę bez ruchu, patrząc w przestrzeń między nimi tak, jakby nie mógł uwierzyć, że to zrobiła. Jego palce powoli zacisnęły się na jej dłoni, a kiedy już naprawdę chwycili się za ręce, przesunął kciukiem po jej nadgarstku,

Poczuła to wszędzie.

– Chodź – powiedział. – Pójdziemy na górę.

Skinęła w odrętwieniu głową, próbując zrozumieć przedziwne uczucie, które ją ogarniało. Czuła się bardzo lekka, jakby w każdej chwili jej stopy mogły oderwać się od podłoża, jakby miała unieść się w powietrze. Krew zdawała się musować w jej ciele, skóra mrowiła… nie tam, gdzie jej dotykał – jej dłoń była ciepła i bezpieczna w jego dłoni – ale wszędzie poza tym.

W każdym miejscu jej ciała.

Chciała…

Czegoś.

Może chciała wszystkiego.

A może dobrze wiedziała, czego chce, i bała się choćby o tym pomyśleć.

– Panno Bridgerton? – wymruczał.

Podniosła wzrok.

Jak długo wpatrywała się w ich ręce?

– Gotowa?

– Czy potrzebuję szala? – zapytała. (Potem zaraz pojęła bezzasadność tego pytania i zamrugała). – Nie mam szala. Ale czy jest mi potrzebny?

– Nie – odparł, głosem ciepłym z rozbawienia. – Jest dość ciepło. Nie ma silnego wiatru.

– Ale potrzebuję butów – powiedziała, wysuwając rękę z jego dłoni. Znieruchomiała na chwilę, bo nie pamiętała, gdzie są jej krótkie czarne trzewiczki. Nie wkładała ich od chwili, kiedy tu przybyła. Po co miałaby to robić?

– W szafie – powiedział kapitan. – Na dnie.

– Och, no tak, oczywiście. – Jakie to niemądre z jej strony. Wiedziała, gdzie są. Sama je tam włożyła drugiego dnia, po tym, jak trzy razy się o nie potknęła.

Chwyciła buciki i usiadła, żeby je zasznurować. Przysięgła sobie – tego wieczoru! – że nie będzie odczuwała wdzięczności w stosunku do żadnego z mężczyzn na statku, bez względu na to, jak mili by dla niej nie byli, teraz jednak z trudem panowała nad pragnieniem, by rzucić się kapitanowi na szyję, krzycząc: „Dziękuję, dziękuję”, aż…

No dobrze, może tylko dwa razy. Śmiesznie byłoby dziękować mu dłużej.

Chodziło jednak o to…

Urwała. O nic nie chodziło. A jeśli chodziło, sama nie wiedziała, o co.

On czasem tak na nią działał. Plątał jej myśli, plątał słowa. Ona, dumna ze swojej elokwencji, swojej bystrości i dowcipu, nie miała nagle nic do powiedzenia. A w każdym razie nic inteligentnego, co uznawała za jeszcze gorsze.

Zmieniał ją w kogoś, kogo nie znała – ale tylko czasami, co było najbardziej zaskakujące. Czasami była dokładnie Poppy Bridgerton, jaką dobrze znała, która szybko myśli i ma cięty język. A czasami – kiedy zwracał na nią spojrzenie niebieskich oczu spod ciężkich powiek – zapierało jej dech w piersi. Odbierało jej rozum.

Traciła samą siebie.

A teraz? Rozbroił ją swoją dobrocią, to wszystko. Wiedział, jak bardzo chciała wyjść z kajuty. Może nawet próbował ją tylko zjednać przed jakąś przyszłą niesprawiedliwością, jaką już szykował. Czyż nie powiedział już, że jego życie byłoby łatwiejsze, gdyby nie pluła jadem?

Powiedziała mu wtedy, że nigdy nie pluje. To była prawdziwa Poppy Bridgerton. A nie ta roztrzepana dzierlatka, która nie umiała nawet znaleźć własnych butów.

– Czy coś jest nie tak ze sznurówkami? – zapytał.

Poppy zdała sobie sprawę, że przerwała wiązanie sznurowadła w połowie lewego bucika.

– Nie – rzuciła – zgubiłam wątek swoich myśli. – Dokończyła szybko sznurowanie i wstała. – Już. Jestem gotowa.

I była. W jakiś sposób, ze swoimi solidnymi bucikami na nogach, odzyskała równowagę. Podskoczyła lekko.

– Twoje buciki wyglądają na bardzo praktyczne – zauważył kapitan, przyglądając jej się jednocześnie z ciekawością i rozbawieniem.

– Nie tak praktyczne jak twoje – odparła, zerkając na jego wysokie buty, które z pewnością zostały uszyte na miarę. Tak dobrze wykonane obuwie nie może być tanie. Prawdę powiedziawszy, cały strój kapitana był świetnie wykonany. Piractwo musi być zajęciem bardziej lukratywnym, niż się

spodziewała. A jeśli nie, to kapitan James musiał pochodzić z bardzo bogatej rodziny.

Ale to wydawało się nieprawdopodobne. Z pewnością był dobrze urodzony, Poppy wątpiła jednak, by jego rodzina była bogata. Gdyby tak było, po cóż, na litość boską, miałby parać się handlem? W dodatku takiego rodzaju. W jego zawodzie nie było nic godnego szacunku. Nie mogła sobie nawet wyobrazić reakcji rodziców, gdyby któryś z jej braci wybrał takie zajęcie.

Matka umarłaby ze wstydu. Nie dosłownie, rzecz jasna, ale na tyle często informowałaby otoczenie o swojej śmierci ze wstydu, że Poppy na pewno sama umarłaby od słuchania tego.

A jednak Poppy nie dostrzegała w kapitanie niczego, co gwarantowałoby takie rozczarowanie. Owszem, nie znała natury ani zasięgu jego interesów, widziała jednak, jak traktował swoich ludzi, a przynajmniej Billy'ego, Greena i Browna. Widziała, jak traktował ją, i nie mogła go nie porównywać ze wszystkimi tak zwanymi dżentelmenami z Londynu – tymi, którymi miała się zachwycać, podziwiać i pragnąć poślubić. Myślała o wszystkich zimnych uwagach, okrucieństwie i gniewie, jakich nie szczędzili mężczyznom i kobietom, którzy dla nich pracowali.

Nie wszyscy byli tacy, ale wystarczająco wielu, by Poppy zaczęła kwestionować kryteria, według których jeden człowiek zasługiwał na miano dżentelmena, a inny prostaka.

– Panno Bridgerton?

Głos kapitana wdarł się w jej myśli; zamrugała, usiłując przypomnieć sobie, o czym przed chwilą rozmawiali.

– Jesteś gotowa?

Skinęła z zapałem głową, zrobiła krok, a potem uśmiechnęła się tak nagle, że ją samą to zaskoczyło.

– Od wielu dni nie miałam na nogach bucików.

– Na pokładzie na pewno będziesz ich potrzebowała – powiedział. – Idziemy?

– Proszę.

Wskazał głową drzwi.

– Za tobą.

Kiedy wyszli z kajuty, weszła za nim po schodkach na pokład. Ta jego część była zadaszona; kapitan znowu wziął ją za rękę i poprowadził naprzód.

Ale Poppy nie dawała się tak łatwo prowadzić.

– Co to jest? – zapytała już po kilku krokach na wolnym powietrzu. Uwolniła dłoń z jego uścisku i dotknęła czegoś, co wyglądało jak kratownica upleciona z lin – coś, na co mogłaby spróbować się wspiąć, gdyby była dzieckiem.

Prawdę mówiąc, spróbowałaby się na to wspiąć w tej chwili, tyle że nie wyglądało to jak coś przeznaczonego do wspinania.

Odwróciła się do kapitana Jamesa, który odparł:

– Lina.

Trzepnęła go po ramieniu, i to wcale nie delikatnie, a on uśmiechnął się bezczelnie, pokazując, że specjalnie się z nią droczy.

– To są borty – wyjaśnił i uśmiechnął się, rozbawiony jej niecierpliwością.

Dotknęła lin, zdumiona tym, jak wydawały się mocne i grube.

– Borty? – spytała. – Więc jest ich tu więcej?

– Bardzo bystro – powiedział. – To jedna z wielu. Są częścią stałego olinowania, które podtrzymuje maszt z różnych stron.

Kolejne żeglarskie słowo, którego nie znała.

– Stałe olinowanie?

– W przeciwieństwie do olinowania ruchomego. Stałe olinowanie odnosi się do lin, które generalnie się nie ruszają. Liny, które się ruszają – czy też

raczej te, którymi my poruszamy, żeby kontrolować żagle – są nazywane olinowaniem ruchomym.

– Rozumiem – mruknęła, choć tak naprawdę nie rozumiała. Widziała na razie tylko mały fragment statku, a już pojawiło się tyle nieznanych mechanizmów i przedmiotów. Nawet rzeczy, które – jak sądziła – dobrze znała, na przykład liny, były tu używane inaczej. Nie potrafiła sobie wyobrazić, ile czasu trzeba, by naprawdę wyszkolić się w sztuce żeglarskiej.

A może nauce? Nie wiedziała.

Poppy szła dalej, kilka kroków za kapitanem, wykręcając szyję, by przyjrzeć się jednemu z masztów. Był zdumiewająco wysoki, wznosił się w górę z taką siłą i dumą, jakby chciał przebić niebo.

– To dlatego Grecy i Rzymianie wymyślali takie historie o swoich bogach – mruknęła. – Mogę sobie niemal wyobrazić, jak te maszty wbijają się w same niebiosa.

Obejrzała się na kapitana. Przyglądał jej się, uważnie słuchając jej słów. Tym razem jednak nie czuła się zakłopotana ani skrępowana. Nie myślała o tym, że w sztuce flirtu nie może się równać z tym mężczyzną.

Zamiast tego przepełniała ją siła. Może sprawił to ocean, może słony wiatr na skórze. Powinna czuć się bardzo maleńka pod tym wielkim, rozgwieżdżonym niebem, a zamiast tego była niezwyciężona.

Radosna.

Była bardziej sobą, niż kiedykolwiek.

– Wyobraź sobie, że maszt robi dziurę w niebie – powiedziała, machając ręką w stronę ciemności w górze. – I wypadają z niego gwiazdy. – Spojrzała na kapitana. – Gdybym żyła w dawnych czasach i nie miała pojęcia o astronomii czy odległościach, mogłabym stworzyć taki mit. Z pewnością jakiś bóg stworzył łódź sięgającą nieba.

– Sprytna teoria na pochodzenie gwiazd – mruknął. – Choć ciekaw jestem, jak to możliwe, że są tak równo rozprowadzone po niebie.

Poppy stanęła obok niego i razem spojrzeli w górę. Gwiazdy nie tworzyły regularnego wzoru, oczywiście, ale istotnie były rozsiane po całym niebie.

– Nie wiem – odparła Poppy w zamyśleniu. Nie odrywała wzroku od gwiazd, chłonąc ogrom wszystkiego wokół. Potem trąciła kapitana łokciem. – Będziesz musiał wymyślić tę część historii. Nie mogę robić wszystkiego sama.

– Ja – odparł sucho – mogę kierować statkiem.

W odpowiedzi tylko uśmiechnęła się szeroko.

– Możesz kierować statkiem.

Ruszył w stronę dziobu, ale Poppy chwyciła maszt i okręciła się wokół niego, jak wokół słupa na dożynkach. Kiedy już niemal wróciła w miejsce, z którego wystartowała, zerknęła na kapitana i zapytała:

– Jest zrobiony z jednego kawałka drewna?

– Ten tak. Właściwie jak wszystkie nasze maszty. Ale to nie jest taki naprawdę duży statek. Wiele okrętów marynarki wojennej ma maszty skonstruowane z wielu kawałków drewna. Chodź – powiedział, pociągając ją za sobą. – To nie jest nasz najwyższy maszt.

– Nie? – spojrzała przed siebie, szeroko otwierając oczy. – Nie, oczywiście, że nie. Najwyższy musi być gdzieś najbliżej środka. – Skoczyła do przodu, ale on był szybszy i kiedy dotarła do najwyższego masztu, musiał się odwrócić, żeby podać jej rękę.

– Proszę – powiedział – chodź ze mną. Obiecałem ci gwiazdy.

Zaśmiała się, choć nie dlatego, że było to zabawne. Po prostu czuła radość.

– Istotnie – odparła i jeszcze raz podała mu dłoń. Ale uszli zaledwie dwa kroki, kiedy znowu dostrzegła coś interesującego. – Och, a to co?

Kapitan nawet się nie odwrócił.

– Później ci powiem.

Poppy uśmiechnęła się, rozbawiona jego niecierpliwością, i pozwoliła mu pociągnąć się dalej, obok kolejnego masztu (mizenmasztu, jak wyjaśnił, nie zwalniając kroku). Weszli na kilka schodków i znowu ruszyli do przodu.

– Stamtąd będzie najlepszy widok – oznajmił.

Poppy już patrzyła w niebo i co chwilę się potykała.

– Czy z każdego miejsca nie widać tego samego?

– Na pokładzie dziobowym najlepiej się to odczuwa.

– Na czym?

– Po prostu chodź ze mną – powiedział i pociągnął ją za rękę.

Znowu się roześmiała i to było cudowne.

– Dlaczego twój statek ma taką dziwną nazwę? – zapytała.

– A dlaczego ty masz takie dziwne imię? – odpalił.

Myślała nad tym przez chwilę.

– Remis.

– Pokład dziobowy to najbardziej wysunięta do przodu część pokładu. Trochę obniżona w stosunku do reszty statku. Tam stoją marynarze, kiedy ciągną żagle z bukszprytu.

Pokład dziobowy? Bukszpryt?

– Teraz to już wymyślasz – zażartowała.

– Życie na morzu ma własny język.

– Zobaczmy… to nazwałabym… – powiedziała, na nic właściwie nie wskazując – …mrugbakiem. A tamto – grosfigą.

Obrzucił ją przeciągłym, pełnym podziwu spojrzeniem.

– Całkiem niezła nazwa.

Jako że Poppy nie mówiła o niczym konkretnym, nie miała pojęcia, co on miał na myśli, mimo to jednak zapytała:

– Która? Mrugbak czy grosfiga?

– Mrugbak, oczywiście – odparł z absolutną powagą.

Zachichotała i pozwoliła się pociągnąć do przodu.

– Ty na pewno wiesz to lepiej ode mnie.

– Szczególnie sobie cenię te słowa. Najprawdopodobniej więcej ich nie usłyszę.

– Na pewno! – Ale powiedziała to z uśmiechem, od którego prawie rozbolały ją policzki. – Jestem dobra w wymyślaniu słów, wiesz. Językowe zabawy to nasza rozrywka rodzinna.

Uśmiechnął się i uniósł pytająco brwi.

– Nie będę nawet próbował sobie wyobrazić, co możesz mieć na myśli.

Opowiedziała mu o swoim bracie, o fekaliach i rzężeniu, i o tym, jak wśliznęła się do jego pokoju, żeby pomóc mu dokończyć karę, choć to ona była pokrzywdzona.

Kapitan się śmiał; śmiał się tak, jakby nie mógł wyobrazić sobie nic lepszego, z taką radością, że Poppy miała wrażenie, jakby sam przy tym był, jakby to wszystko widział i teraz z rozbawieniem wspominał, a nie słyszał o tym po raz pierwszy w życiu.

Czy kiedykolwiek opowiadała komuś o wybrykach Rogera? Na pewno, choćby po to, żeby trochę sobie ponarzekać. Ale nie ostatnio, nie odkąd go nie było.

– Myślę, że na pewno zaprzyjaźniłbym się z twoim bratem – powiedział kapitan, kiedy już złapał oddech.

– Tak – odparła Poppy, która uświadomiła sobie nagle, że Roger był jej ukochanym bratem, a kapitan James mógł być jego najlepszym przyjacielem. – Myślę, że bardzo byś go polubił. A on ciebie.

– Mimo że porwałem jego siostrę?

To powinno przerwać tę rozmowę, zgasić ją i zmienić w kupkę szarego popiołu. Ale z jakiegoś powodu tak się nie stało i Poppy, zanim zdążyła się zastanowić, co mówi, wypaliła:

– Cóż, zmusiłby cię, żebyś się ze mną ożenił.

Spojrzała na niego.

On spojrzał na nią.

A potem, ze zdumiewającą nonszalancją, dorzuciła jeszcze:

– Ale wtedy byłby już usatysfakcjonowany. Nie należał do tych, którzy chowają urazę.

Kapitan zacisnął palce na jej dłoni.

– A ty?

– Nie wiem – powiedziała Poppy. – Nigdy dotąd nikt mnie tak nie skrzywdził.

Nie powiedziała tego, żeby go zranić, i nie sprawiło jej żadnej satysfakcji, kiedy się skrzywił. Ale taka była prawda, a tej chwili nie można było splamić kłamstwem.

– Bardzo żałuję, że tak się stało – powiedział.

– Wiem.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Chciałbym, żebyś mi wierzyła, kiedy mówię, że nie miałem wyboru.

– Ja… – Poppy przełknęła. Czy mu wierzyła? Poznała go w ciągu tych kilku dni może nie tak, jak kogoś, kogo znała od lat, ale na pewno bardziej niż któregokolwiek z dżentelmenów, których poznała w Londynie. Bardziej nawet niż tego, który poprosił ją o rękę.

Nie uważała Andrew Jamesa za kłamcę ani człowieka, który skrzywdziłby kogoś tylko ze względu na własny zysk.

– Wierzę, że nie miałeś wyboru – powiedziała w końcu.

Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– To już coś, jak przypuszczam.

Wzruszyła bezradnie ramionami.

– Nie mogę rozumieć tego, czego mi nie mówisz.

Skinął głową z rezygnacją, ale nie powiedział już nic na ten temat. Zamiast tego ponaglił ją, żeby zrobiła jeszcze kilka kroków.

– Ostrożnie – wymruczał.

Poppy spojrzała pod nogi. Pokład kończył się nagle, a dalsza jego część znajdowała kilka stóp niżej.

Kapitan zeskoczył na dół.

– Pokład dziobowy, moja pani – powiedział, eleganckim gestem wskazując trójkąt uformowany przez spiczasty przód statku. Wyciągnął ręce i położył na jej biodrach, żeby pomóc jej zejść. Ale kiedy stała już na dole, wcale jej nie puścił. – To najbardziej wysunięte miejsce na statku.

Wskazała ręką miejsce jeszcze kilka stóp dalej.

– A co to…

– Na jakim można bezpiecznie stać – poprawił się.

Przesunął się w taki sposób, że stanął za nią.

– A teraz zamknij oczy.

– Wtedy nie będę widziała gwiazd.

– Później będziesz mogła je otworzyć.

Przekrzywiła głowę w lewo, w prawo, znowu w lewo, jakby chciała powiedzieć: „Och, na litość boską…”, ale w końcu zamknęła oczy.

– Teraz odchyl głowę do tyłu. Nie całkiem, tylko trochę.

Zrobiła to, i może sprawił to ruch statku, a może zamknięcie oczu, ale od razu poczuła, że traci równowagę, jakby zachwiało nią coś większego niż ocean.

Dłonie kapitana chwyciły ją mocniej.

– Co czujesz? – zapytał, przysuwając usta do jej ucha.

– Wiatr.

– Co jeszcze?

Przełknęła. Oblizała wargi.

– Sól w powietrzu.

– Co jeszcze?

– Ruch. Prędkość.

Przysunął usta jeszcze bliżej.

– Co jeszcze?

Wtedy powiedziała to, co było prawdą od samego początku.

– Ciebie.

13

Andrew nie był pewny, jaki diabeł podkusił go, by zabrał Poppy na pokład.

Może chodziło po prostu o to, że nie wymyślił żadnego istotnego powodu, by tego nie robić.

Morze było spokojne. Gwiazdy świeciły.

Większość załogi siedziała na dole.

Kiedy zszedł na kolację i zobaczył ją siedzącą przy oknie, w jakiś sposób domyślił się, że tkwiła w tej pozycji od wielu godzin, wpatrując się w morze i niebo, nie mogąc doświadczyć, jak to jest być częścią jednego i drugiego.

Wydało mu się to zbrodnią.

A kiedy wyciągnął do niej rękę, a ona podała mu swoją…

To było błogosławieństwo.

Teraz, kiedy stali razem na dziobie statku, z włosami szarpanymi przez słony wiatr, czuł się jak nowo narodzony.

Odżył.

Świat kręci się bez końca wokół swej osi – to było dla niego zrozumiałe. Dlaczego więc odczuwał to tak, jakby teraz kręcił się bardziej? Jakby zwiększył rotację albo zmienił kierunek obrotów. Słone powietrze wydawało się bardziej rześkie, gwiazdy porażająco jasne na atramentowoczarnym niebie. A ona – miękka krągłość jej bioder, ciepło bijące od jej ciała…

Jakby nigdy wcześniej nie dotykał kobiety.

Dziwne, jak szczęśliwy się czuł, po prostu patrząc jej w twarz. Poppy wpatrywała się w niebo, a on wpatrywał się w nią, i to było doskonałe.

Nie, nie doskonałe. Doskonałość jest kompletna. Ukończona.

To nie było doskonałe. Nie chciał, żeby takie było.

A jednak czuł się doskonale cudownie.

„Ciebie”, powiedziała, kiedy zapytał, co czuje.

Przesunął rękę, zaledwie o cal, tyle tylko, by uścisk, którym ją podtrzymywał, stał się czymś bardziej podobnym do objęcia. Tyle tylko, by przyciągnąć ją bliżej do siebie… jeśli się ośmieli.

Ciebie, powiedziała.

Chciał więcej.

Ciebie.

Nie był człowiekiem romantycznym, a w każdym razie za takiego się nie uważał. Ale ta chwila była jak poemat recytowany przez wiatr, w tajemniczym rytmie wznoszących się i opadających fal.

A jeśli świat pod jego stopami zmienił się w sonet, ona była natchnieniem.

Czy stała się jego muzą? Na pewno nie. Poppy Bridgerton była irytująca, ciekawska i zdecydowanie zbyt inteligentna jak na spokój jego umysłu. Była niedogodnością, a może i nadciągającą katastrofą, a jednak kiedy o niej myślał – a myślał o niej cały czas, niech to diabli – zaraz się uśmiechał.

Czasami szeroko.

Powtarzał sobie, że była jak drzazga w jego boku, że była nawet gorsza – jak rana od sztyletu – ale trudno było się okłamywać skoro wszystkim, czego pragnął pod koniec dnia, było usiąść przy kolacji i kieliszku wina i sprawdzić, jak może ją skłonić, żeby z nim poflirtowała.

Może właśnie dlatego w końcu zabrał ją na pokład.

Po prostu chciał zobaczyć uśmiech na jej twarzy.

I w pościgu za tym uśmiechem… w tej misji…

Osiągnął absolutny sukces.

Nie przestawała się uśmiechać od chwili, kiedy przeszła przez drzwi kajuty. Uśmiechała się tak szeroko, tak szczerze, że niemal się śmiała.

Uszczęśliwił ją, a to uszczęśliwiło jego.

I to było przerażające.

– Jak myślisz, ile jest tych gwiazd? – zapytała.

Spojrzał na nią. Otworzyła oczy i teraz wpatrywała się w niebo z taką intensywnością, że przez chwilę sądził, że naprawdę zechce je zaraz policzyć.

– Milion? – powiedział. – Miliard? Z pewnością więcej, niż nasze oczy są w stanie dojrzeć.

Wydała cichy dźwięk, jakby trochę pomruk, a trochę westchnienie, zabarwione na końcu uśmiechem.

– To takie wielkie.

– Niebo?

Skinęła głową.

– Jak coś może być tak niezgłębione? Nie jestem nawet w stanie zgłębić, jak bardzo to jest niezgłębione.

– Czy nie taka jest właśnie definicja świata?

Kopnęła go lekko obcasem.

– Nie psuj całej przyjemności.

– Ty powiedziałabyś dokładnie to samo i wiesz o tym.

– Nie tutaj – powiedziała głosem, który wydawał się niemal rozmarzony. – I nie teraz. Teraz cały mój sarkazm został zawieszony.

Nie wierzył jej ani przez sekundę.

– Doprawdy.

Westchnęła.

– Wiem, że nie zawsze może być tak pięknie i cudownie na tym pokładzie, ale czy możesz skłamać, ten jeden raz, i powiedzieć, że jest?

Nie mógł się oprzeć.

– Skąd wiesz, że wcześniej cię nigdy nie okłamałem?

Trąciła go łokciem.

– Na pokładzie zawsze jest tak pięknie i cudownie – powtórzył. – Morze nigdy nie jest wzburzone, a niebo zawsze jest tak bezchmurne.

– A twoi ludzie to wzory dyskrecji i wszelkiej przyzwoitości?

– Oczywiście. – Poprawił dłonie na jej biodrach i obrócił ją nieco w lewo. – Widzisz to? – spytał, wskazując dziurę w pokładzie przed nimi.

– Co? – Odwróciła głowę, żeby spojrzeć na niego, ale on znowu popatrzył we wskazanym wcześniej kierunku, tym razem upewniając się, że mogła podążyć za nim wzrokiem.

– Ten okrągły otwór, o tam – powiedział. – To wygódka.

– Co?

– Cóż, my nazywamy to kingston – wyjaśnił. – Mówiłem ci, że na pokładzie mamy własny język.

Drgnęła, nie dość mocno jednak, by wysunąć się z jego uścisku.

– Wygódka? Tutaj? Na otwartym powietrzu?

– Po drugiej stronie statku też jest taka.

Poppy wciągnęła ze świstem powietrze, a Andrew przypomniał sobie czasy, kiedy dręczył swoją siostrę wszystkim, co obrzydliwe, odrażające i pełzające.

Teraz było to równie wspaniałe jak niegdyś.

Przysunął usta jeszcze bliżej ucha Poppy.

– Nie sądziłaś chyba, że wszyscy mamy śliczne pojemne nocniki w naszych kajutach, prawda?

Ucieszyło go, że przekrzywiła głowę na bok tak, że mógł zobaczyć jej twarz, ponieważ jej usta wygięły się w rozkosznym grymasie wyrażającym higieniczną zgrozę, aż w końcu powiedziała:

– Chcesz powiedzieć, że po prostu kucacie tu, nad tym…

– Ja nie – przerwał jej. – Ale marynarze tak. To naprawdę bardzo pomysłowe. Kadłub jest wygięty do środka, więc odchody po prostu

spadają do morza. No, chyba że akurat jest bardzo silny wiatr, ale nawet wtedy…

– Dość – pisnęła Poppy. – To obrzydliwe.

– Ale przecież ty zawsze masz tyle pytań – odparł niewinnie. – Myślałem, że chcesz poznać życie na statku.

– Chcę, ale…

– Zapewniam cię, takie sprawy są kluczowe dla sprawnego działania statku. Nikt nigdy nie chce mówić o tak nieeleganckich rzeczach. Na tym potykają się wszyscy niedoszli architekci i inżynierowie, mówię ci. Wszystko świetnie idzie, kiedy się projektuje ładne fragmenty, ale to rzeczy, których nie widać, sprawiają, że konstrukcja jest naprawdę wielka.

– To widzę – mruknęła Poppy, wskazując ruchem głowy wygódkę.

Kapitan stłumił śmiech.

– Można to nazwać kompromisem. Ludzie rezygnują z pewnej dozy swojej godności, żeby mieć czyściej na statku. Wierz mi, podczas długiej podróży na pokładzie zbiera się dość brudu.

Zmarszczyła lekko brwi i przechyliła głowę jak ludzie, którzy próbują zdecydować, czy coś aprobują. Powiedziała jednak:

– Nie mogę uwierzyć, że prowadzę tę rozmowę.

– Tak jak ja.

– Ty ją rozpocząłeś.

– Zgadza się. – Zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie, dlaczego. – Och, no tak. Dlatego że skomentowałaś delikatne maniery moich ludzi.

– I to był twój sposób na zbicie mojej tezy?

– Zadziałało, prawda?

Zmarszczyła brwi.

– Ale powiedziałeś, że ty…

– Kiedyś tak – przyznał. – Nie na „Infinity”, ale na innych statkach, kiedy nie byłem dowódcą.

Wzdrygnęła się lekko.

– Król Francji siedzi na nocniku przed całym swoim dworem – powiedział pogodnie Andrew.

– Nie!

– Tak, przysięgam. A przynajmniej robił tak ten ostatni.

Poppy pokręciła głową.

– Francuzi.

Andrew wybuchnął śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło?

– Ty, jak wiesz.

Próbowała zrobić niezadowoloną minę, ale jej to nie wyszło. Była zdecydowanie zbyt dumna z siebie. Andrew uważał, że wygląda z tym cudownie.

– Przypuszczam, że byłeś we Francji – powiedziała.

– Owszem – potwierdził.

– Wszędzie, czy tylko w Paryżu?

– I w portach.

– Oczywiście. – Odwróciła wzrok. – Statkiem tych rozmiarów nie można popłynąć do Paryża.

– Nie, na ogół nie. Możemy dopłynąć tylko do Rouen. Czasami tak robimy, czasami zostawiamy statek na wybrzeżu. W Le Havre, na ogół.

Poppy milczała przez chwilę, dość długo, by wiatr wyłuskał lekkie pasmo włosów zza jej ucha. Lok połaskotał Andrew i niemal zmusił go do kichnięcia.

– Co będziesz robił, kiedy zrobisz już wszystko? – spytała w końcu. Teraz jej głos brzmiał poważniej, wydawała się ciekawa i zamyślona jednocześnie.

Uznał to za bardzo interesujące pytanie; nie mógł sobie wyobrazić, żeby zadał mu je ktokolwiek inny.

– Czy to możliwe? – zapytał. – Zrobić wszystko?

Zmarszczyła brwi, też się nad tym zastanawiając, i choć Andrew wiedział, że zrobiła to z zamyślenia, a nie z troski, z trudem powstrzymał chęć wygładzenia jej czoła.

– Myślę, że to możliwe zrobić wystarczająco dużo – powiedziała wreszcie.

– Wystarczająco? – mruknął.

– Dość, by nic nie wydawało się już nowe.

Jej słowa zdawały się być tak wiernym echem jego niedawnych rozmyślań, że niemal zabrakło mu tchu w piersi. Nie, żeby praca nie wydawała mu się już zajmująca, czy żeby nigdy nie robił już niczego nowego. Raczej miał coraz większą ochotę, by wrócić do domu. Być z ludźmi, których kochał.

Z ludźmi, którzy kochali jego.

– Nie wiem – powiedział, bo jej pytanie zasługiwało na uczciwą odpowiedź, nawet jeśli jej na razie nie znał. – Chyba jeszcze nie dotarłem do tego punktu. Chociaż…

– Chociaż?

Może zaczynał się do niego zbliżać.

Ale nie powiedział tego. Pochylił się na tyle, by móc sobie wyobrazić, że opiera podbródek na jej głowie i przytula ją do siebie. Chciał ją zatrzymać; tylko ich dwoje na wietrze.

– Chciałabym pojechać do Etiopii – powiedziała nagle.

– Naprawdę?

Poppy Bridgerton miała naturę bardziej awanturniczą niż większość ludzi, ale i tak go to zaskoczyło.

– Nie – przyznała. – Ale lubię myśleć, że chciałabym tam pojechać.

– Lubisz… – Zamrugał. – Co?

– Ostatnio miałam mnóstwo czasu na rozmyślania – odparła. – Niewiele miałam do roboty poza wyobrażaniem sobie różnych rzeczy.

Andrew na ogół uważał się za człowieka inteligentnego, ale naprawdę trudno mu było za nią nadążyć.

– Więc wyobrażałaś sobie podróż do Etiopii?

– Niezupełnie. Za mało wiem, żeby to sobie dobrze wyobrazić. I myślę, że to, co słyszałam, nie jest zbyt dokładne. W Anglii ludzie mówią o Afryce, jakby to był jeden wielki szczęśliwy kraj…

– Szczęśliwy? – Nie było to słowo, którego by użył.

– Wiesz, o co mi chodzi. Ludzie mówią tam, jakby to było jedno miejsce, jak Francja czy Hiszpania, a przecież Afryka jest ogromna.

Pomyślał o podzielonej na części mapie i o tym, jak dobrze się bawiła, składając ją w całość.

– Tak wynika z mapy – mruknął.

Skinęła głową, a potem skołowała go całkowicie, mówiąc:

– Wyobrażam sobie, że jestem taką osobą, która mogłaby chcieć pojechać do Etiopii.

– Jest jakaś różnica?

– Myślę, że tak. Może chodzi mi o to, że chciałabym być takim rodzajem osoby, który ma ochotę robić takie rzeczy. Wydaje mi się, że ktoś taki brylowałby na przyjęciach, nie uważasz?

Andrew spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Więc chodzi ci o to, żeby brylować na przyjęciach, tak?

– Nie, oczywiście, że nie. Moim celem jest teraz unikać takich spotkań za wszelką cenę. Właśnie dlatego byłam w Charmouth, jeśli już musisz wiedzieć.

– Myślę, że muszę – mruknął, przede wszystkim dlatego, że nie znajdował żadnej innej stosownej odpowiedzi.

Spojrzała na niego trochę z irytacją, a trochę pobłażliwie, po czym podjęła:

– Próbuję powiedzieć, że gdybym poszła na bal i spotkała tam kogoś, kto celowo pojechał do Etiopii…

– Celowo?

– Myślę, że to się nie liczy, jeśli został do tego zmuszony.

Andrew odwrócił ją do siebie. Musiał zobaczyć jej twarz. Inaczej bardzo trudno było mu prowadzić tę rozmowę.

Przyglądał jej się, choć sam nie wiedział, czego szukał. Oznak złośliwości? Szaleństwa?

– Kompletnie nie mam pojęcia, o czym mówisz – przyznał w końcu.

Roześmiała się i znowu było to coś wspaniałego.

– Przepraszam, chyba nie wyrażam się zbyt jasno. Ale to twoja wina, bo zostawiłeś mnie samą sobie na tak długo. Miałam zdecydowanie za dużo czasu na rozmyślanie.

– I to doprowadziło cię do daleko posuniętych wniosków na temat Królestwa Etiopii i dyskursu społecznego?

– Zgadza się – oznajmiła nie bez dumy i cofnęła się, jakby chciała poszerzyć swoją scenę. Nie, żeby był tam ktoś jeszcze, kto mógłby ją słyszeć; minęli po drodze tylko dwóch członków załogi i obaj bardzo rozsądnie szybko zeszli im z oczu.

Nieczęsto widywali kapitana za rękę z damą, nawet jeśli ciągnął ją za sobą przez pokład statku.

Ale ruch Poppy oznaczał, że musiał zdjęć ręce z jej bioder, i to była tak wielka szkoda.

Kiedy była już pewna, że ma jego uwagę, oznajmiła:

– Na tym świecie istnieją dwa typy ludzi.

– Jesteś tego pewna?

– Na potrzeby tej konwersacji, tak. Ludzie, którzy chcą odwiedzić Etiopię, i ludzie, którzy nie chcą.

Andrew robił, co mógł, by zachować powagę. Nie udało mu się.

– Śmiejesz się – powiedziała. – Ale to prawda.

– Jestem tego pewny.

– Posłuchaj tylko. Niektórzy z nas mają awanturnicze, kochające wędrówkę dusze, a inni nie.

– I ty uważasz, że ktoś musi chcieć pojechać do wschodniej Afryki, by udowodnić, że ma awanturniczą duszę.

– Nie, oczywiście, że nie, ale jest to wskaźnik…

– Ty, panno Bridgerton, masz awanturniczą duszę.

Uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona.

– Tak uważasz?

Wyciągnął rękę, wskazując morze i niebo, a potem ich miejsce na sprytnie poskładanej kupie desek, która w jakiś sposób przenosiła ich z miejsca na miejsce po powierzchni wody, jakiej żaden człowiek nie byłby w stanie przekroczyć sam.

– Pod przymusem się nie liczy – przypomniała mu.

Dość tego. Położył dłonie na jej ramionach.

– Są dwa typy ludzi na tym świecie – powiedział. – Tacy, którzy zwinęliby się w kłębek i płakali przez całą taką nieoczekiwaną podróż, i…

– Tacy, którzy by tego nie robili? – przerwała mu.

Pokręcił głową i po jego ustach przemknął cień uśmiechu. Dotknął jej policzka.

– Chciałem powiedzieć: i ty.

– Więc jestem ja przeciw całemu światu?

– Nie – odparł, czując, jak coś się w nim kotłuje. Wydawał się sobie bardzo lekki, jak wtedy, kiedy spadł z drzewa, tyle że teraz nie było pod nim ziemi, tylko bezmiar przestrzeni i ona.

– Nie – powtórzył. – Myślę, że ja jestem po twojej stronie.

Otworzyła szeroko oczy i choć było zbyt ciemno, by mógł dojrzeć kolor jej tęczówek, czuł się tak, jakby je widział – głęboką zieleń mchu, ustępującą miejscami jaśniejszym błyskom młodszej zieleni, przypominającej świeże źdźbła traw.

Coś świetlistego i migotliwego zaczynało się w nim budzić. Uderzające do głowy jak szampan zauroczenie, mieszanka radosnego flirtu i pożądania.

Nie, nie pożądania. Nie tylko pożądania.

Oczekiwanie.

Chwila przed. Kiedy czujesz uderzenia swojego serca w całym ciele, kiedy każdy oddech sięga koniuszków palców u stóp. Kiedy nic nie może się równać z idealną linią kobiecych warg.

– Gdybym cię pocałował – wyszeptał – pozwoliłabyś mi?

Jej oczy zabłysły, czymś w rodzaju rozbawienia.

Rozbawienia?

– Gdybyś mnie pocałował – odparła – nie miałabym możliwości pozwolić ci albo nie pozwolić. To już by się stało.

Ta zawsze podzieli włos na czworo. Postanowił, że nie pozwoli jej tak gładko wyśliznąć się z tego pytania.

– Gdybym nachylił się do ciebie, o tak… – Za jego słowami poszły czyny i teraz ich twarze były bliżej siebie. – I gdybym opuścił wzrok na twoje usta, co, jak wszyscy wiemy, jest uniwersalnym znakiem, że w powietrzu wisi pocałunek, co byś zrobiła?

Oblizała wargi. Przypuszczał, że nawet nie wiedziała, że to robi.

– Nie jestem pewna – wyszeptała.

– Ale to się dzieje… Właśnie się pochylam… – Wyciągnął rękę i musnął jej skórę. – Dotykam twojego policzka.

Prawie niedostrzegalnie zwróciła twarz ku jego dłoni.

Andrew słyszał, jak jego głos staje się niski i zmysłowy.

– Nie chodzi już o to, co byś zrobiła, ale o to, co zrobisz.

Przysunął się jeszcze bliżej, tak blisko, że nie widział już wyraźnie jej twarzy. Tak blisko, że czuł lekki powiew jej oddechu na swoich ustach.

Ale to nadal nie był pocałunek.

– Co zrobisz, Poppy?

I wtedy się poruszyła. Zakołysała. Bardzo lekko, ale to wystarczyło, by jej usta musnęły delikatnie jego wargi.

Był to najlotniejszy z pocałunków.

Przeszył jego serce.

Jego dłonie znalazły się na jej ramionach i gdzieś w zakamarkach swojego umysłu wiedział, że to nie dlatego, by ją do siebie przyciągnąć, ale by się przed tym właśnie powstrzymać. Bo gdyby to zrobił…

A Bóg jeden wiedział, że tego chciał.

Dobry Boże, tak bardzo jej pragnął. Tak bardzo. Chciał jej ciała tuż przy swoim, jej pleców pod swoimi dłońmi, swojej nogi między jej gorącymi nogami.

Chciał do niej przylgnąć tak, żeby odczuła całą moc jego żądzy, żeby ją poznała, żeby wiedziała, co z nim zrobiła.

Chciał tego wszystkiego i chciał jeszcze więcej, i właśnie dlatego wziął z drżeniem głęboki oddech i odsunął się.

Pociągnąć to dalej, byłoby niebem.

Pociągnąć to dalej, byłoby szaleństwem.

Odwrócił się, bo potrzebował chwili, by złapać oddech. Ten pocałunek… Nie trwał nawet sekundy, a czuł, że było już po nim.

– Przepraszam – powiedział nieco schrypniętym głosem.

Zamrugała.

– Przepraszasz?

Spojrzał na nią. Dotykała lekko ust palcami i wydawała się oszołomiona, jakby nie była pewna, co się właśnie wydarzyło.

Witaj w klubie.

– Nie powinienem był tego robić – powiedział, bo wydawało się to w jakiś sposób uprzejmiejsze niż powiedzenie, że to nie powinno było się zdarzyć. Choć nie bardzo wiedział dlaczego.

– To… – Zmarszczyła brwi i wyglądała tak, jakby intensywnie nad czymś rozmyślała. Albo jakby nie wiedziała, o czym właściwie ma myśleć.

– Poppy?

Jej oczy wróciły do niego, jakby coś w niej nagle się obudziło.

– Wszystko w porządku.

– W porządku? – powtórzył. Brzmiało to tak… letnio.

– To nie twoja wina – stwierdziła. – To ja cię pocałowałam.

– Proszę – powiedział cierpliwie. – Oboje wiemy…

– Pocałowałam cię. – Powiedziała to stanowczo, przez zęby. – Ośmieliłeś mnie.

– Ja… – Ale nie powiedział nic więcej. Co było prawdą? Czy ją ośmielił? Czy też był pewny, że ona też tego chciała? Bo nawet tylko jeden pocałunek… mógłby ją zrujnować.

Mógł równie dobrze zrujnować jego.

– To się właśnie stało – powiedziała. – To się stało i ja tego nie żałuję.

– Nie?

– Nie. Czyż nie rozmawialiśmy akurat o tym, że jak na ironię nudzę się podczas podróży, która jest zapewne przygodą mojego życia? Wiele można o tobie powiedzieć, kapitanie, ale na pewno nie jesteś nudny.

Jego twarz opadła nieco.

– Dziękuję?

– Ale nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiali.

– Jeśli takie jest twoje życzenie.

Nie było to jego życzenie, choć powinno.

Przyglądała mu się z dziwnie badawczym wyrazem twarzy.

– Musi być, nie sądzisz?

Nie miał pojęcia, co sądzi, ale nie zamierzał jej tego mówić.

– Poddaję się pani osądowi, panno Bridgerton.

Prychnęła lekko, jakby ani przez sekundę mu nie wierzyła. Pewnie na to zasłużył; zwykle mówił takie rzeczy z pewną dawką ironii.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Będziemy udawali, że to się nigdy nie wydarzyło.

Otworzyła usta, jakby chciała zaoponować – był pewny, że chciała zaoponować, widział u niej ten wyraz twarzy wystarczającą liczbę razy, by wiedzieć, co on oznacza. W końcu jednak nic nie powiedziała. Zamknęła usta i skinęła głową.

Wydawało się, że to już koniec tej rozmowy, więc Andrew patrzył po prostu na horyzont, ledwie widoczny podczas tej bezksiężycowej nocy. Mieli dobry czas; jeśli pogoda nagle się nie zmieni, rano będą w Lizbonie. Co oznaczało, że powinien się przespać. Z samego rana musi zejść z pokładu i wyjść do miasta.

– Obawiam się, że muszę odprowadzić cię na dół – powiedział do Poppy.

Nie potrafiła ukryć rozczarowania, ale jednocześnie było jasne, że się tego spodziewała.

– Bardzo dobrze – westchnęła.

Wyciągnął do niej rękę.

Pokręciła głową.

– Dam sobie radę.

– Pozwól przynajmniej, żebym sprowadził cię z dziobu.

Pozwoliła, ale kiedy tylko znaleźli się na głównym pokładzie wysunęła dłoń z jego uścisku. Szła przodem i wkrótce dotarli do drzwi kajuty.

– Muszę wziąć jeszcze kilka rzeczy, zanim pójdę do pana Carrowaya – powiedział.

– Oczywiście. – Odsunęła się na bok, kiedy wchodzili, i w jakiś sposób w tym wszystkim było dużo uprzejmości i żadnego skrępowania.

Jakby nic się nie stało.

Bo tak właśnie chcieli na to patrzeć.

Czyż nie?

14

*P*oppy obudziła się następnego ranka z bardzo dziwnym uczuciem. To było prawie jak zawroty głowy i przez kilka sekund musiała przytrzymać się poręczy łóżka, zanim zdała sobie sprawę…

Nie poruszają się.

Nie poruszają się!

Wyskoczyła z koi i podbiegła do okna, zaskoczona tym bezruchem. Wstrzymując oddech z ekscytacji, odsunęła zasłony i zobaczyła…

Port.

Oczywiście.

Nie była pewna, dlaczego nie przyszło jej do głowy, że ze statku nie będzie mogła zobaczyć centrum Lizbony. Przecież londyńskie doki też nie znajdują się w zasięgu wzroku od atrakcji stolicy.

Jednak w końcu można było zawiesić oko na czymś innym niż beskresne wody Atlantyku i Poppy natychmiast skorzystała z tej okazji. Widziała tylko niewielki skrawek niewątpliwie rozległej panoramy, ale roztaczająca się przed nią scena tętniła życiem. Mężczyźni – sami mężczyźni, nie zauważyła wśród nich ani jednej kobiety – poruszyli się pewnie i energicznie, przenosząc skrzynie, ciągnąc liny i wykonując mnóstwo innych czynności, których cel Poppy mogła tylko zgadywać.

A jak dziwni i inni byli ci mężczyźni… i jednocześnie wcale nie inni. Zajmowali się takimi samymi rzeczami, co – jak przypuszczała – angielscy robotnicy portowi; żartowali, śmiali się i kłócili jak zwykle mężczyźni, a

jednak nawet gdyby nie wiedziała, że jest w Portugalii, zorientowałaby się, że ci ludzie nie są Anglikami.

Nie chodziło o ich wygląd, chociaż rzeczywiście wielu miało włosy i skórę ciemniejsze niż większość rodaków Poppy. Kiedy mówili, wystarczyło się im przyjrzeć, żeby wiedzieć, że mówią w obcym języku. Ich usta inaczej się poruszały. Używali innych mięśni. Ich twarze przybierały inny wyraz.

To było fascynujące i Poppy zastanawiała się, czy zauważyłaby to, gdyby ich głosy nie były stłumione przez dzielącą ją od nich ścianę. Gdyby ich słyszała – naprawdę słyszała dźwięki portugalskiego języka – czy jej oczy zarejestrowałyby zmiany zachodzące w ich twarzach?

Tyle tematów do rozmyślania. Tyle do zobaczenia.

A ona utknęła w tej kajucie.

Kapitan James powiedział wyraźnie, że nie będzie mogła zejść na ląd w Lizbonie. Powiedział, że to zbyt niebezpieczne, że on nie jest tu po to, żeby ją oprowadzać, ma swoje sprawy do załatwienia, to nie jest podróż dla przyjemności…

Lista powodów nie miała końca.

Ale z drugiej strony, powiedział też, że nie wpuści jej na pokład.

A zeszłej nocy zmienił zdanie.

Poppy oparła się czołem o okno i poczuła kojący chłód szyby. Kiedy poprzedniej nocy leżała w łóżku, wspominając każdą chwilę pod gwiazdami, pozwoliła sobie mieć nadzieję, że być może ustąpi i zabierze ją do miasta.

Coś zmieniło się zeszłej nocy i Poppy nie miała na myśli pocałunku.

Cóż, nie. Z pewnością o nim myślała. Mogła twierdzić, że nigdy więcej nie powinni o tym rozmawiać, ale była przerażona, kiedy kapitan zasugerował, by udawali, że to się nigdy nie wydarzyło. Niemal mu to powiedziała – w zdecydowany sposób, że to jest właśnie jedna z tych

rzeczy, które należy zapamiętać, choćby po to, by dopilnować, że się nigdy więcej nie powtórzy.

To wydało się jej jednak małostkowe, może wręcz podłe, dlatego omal nie powiedziała, że to był jej pierwszy pocałunek, a pierwszy pocałunek zdarza się dziewczynie tylko raz w życiu, więc kapitan chyba oszalał, jeśli sądzi, że będzie udawała, że się nie wydarzył.

Ale coś takiego on z pewnością zrozumiałby niewłaściwie. Poppy nie chciała, żeby pomyślał, że leży w łóżku, rozmyślając o nim – nawet jeśli rzeczywiście leżała, rozmyślając.

Na razie.

Nie żeby wcześniej planowała leżeć w łóżku i rozmyślać o nim przez resztę życia. Za niecały tydzień będzie z powrotem w Anglii i już nigdy więcej go nie zobaczy. Jeżeli Elizabeth będzie trzymać język za zębami, życie Poppy potoczy się dalej normalnym torem, co znaczy, że w końcu poślubi jakiegoś miłego dżentelmena, którego zaakceptuje jej rodzina, i będzie leżała w łóżku i myślała o nim przez resztę życia.

Jeśli zaś Elizabeth nie będzie dyskretna i jej opinia legnie w gruzach, Poppy nie będzie mogła zasnąć z powodów znacznie poważniejszych niż zabójczo przystojny kapitan Andrew James.

Poppy zerknęła na zegar, żeby sprawdzić, która jest godzina, i jak na zawołanie do drzwi zapukał Billy. Nie musiała słyszeć jego głosu, żeby wiedzieć, że to on. Billy i kapitan byli jedynymi ludźmi, jacy ją odwiedzali, a każdy z nich pukał zupełnie inaczej.

– Proszę! – zawołała, ponieważ w odróżnieniu od kapitana Billy zawsze czekał na wezwanie, zanim wszedł. Włosy miała wciąż zaplecione w warkocz po nocy, ale przestała się tym przejmować. A ponieważ spała w ubraniu, nikt nie mógł jej zarzucić, że jest niestosownie ubrana.

– Przyniosłem śniadanie, panienko – powiedział, wnosząc tę samą tacę, co zwykle. – Nic specjalnego. Tosty, herbata i jabłka. Większość ludzi schodzi na ląd, żeby coś zjeść.

– Tak? – mruknęła Poppy, zerkając z zazdrością za okno.

Billy skinął głową, stawiając tacę.

– Oczywiście muszą skończyć wszystko na pokładzie i nie będą mogli wszyscy naraz opuścić statku, ale kapitan zadba o to, żeby każdy miał okazję rozprostować nogi.

– Doprawdy, każdy?

Billy nie zwrócił uwagi na jej ton i mówił dalej.

– Och tak. Chociaż tutaj można stracić głowę, jeśli nie wiesz, co jest czym. I nie chodzi tylko o język, chociaż dobrze znać kilka słów. *Sim* znaczy tak, no znaczy nie.

– O, to bardzo przydatne – zauważyła Poppy.

– „Nie” znaczy to samo chyba na całym świecie – powiedział Billy, uśmiechając się szeroko. – Może brzmieć trochę inaczej, ale jednak dość podobnie.

Poppy zajęła swoje miejsce przy stole, po czym przesunęła się nieco, żeby mieć lepszy widok na port.

– Po niemiecku jest *nein*.

– Tak? – Billy podrapał się po głowie. – Tam nie byłem, ale oni chyba nie mają portów.

Poppy nalała sobie filiżankę herbaty.

– Hamburg – powiedziała z roztargnieniem.

– Hm?

Spojrzała na niego.

– W Hamburgu mówią po niemiecku. To jest wielki port nad Morzem Bałtyckim. Pokazałabym ci na mapie, ale już ją rozłożyłam.

Billy skinął głową. Widział, jak tydzień wcześniej zajmowała się pociętą mapą.

– Może ja mógłbym spróbować – powiedział. – Dobrze byłoby wiedzieć coś o geografii. Umiem czytać – powiedział z dumą. – I liczę lepiej niż połowa ludzi na statku.

– To cudownie – powiedziała Poppy. Może posiedzą nad układanką w drodze powrotnej. Układałaby ją już trzeci raz, ale byłoby miło mieć towarzystwo. Będzie musiała poprosić kapitana Jamesa, żeby zwolnił Billy'ego z części obowiązków, ale jeśli wyjaśni, że chłopiec będzie zdobywał wiedzę…

Na to się zgodzi. Była tego pewna.

– Powiedz mi więcej o Lizbonie – poprosiła z zachęcającym uśmiechem. – Chciałabym usłyszeć jak najwięcej.

– Och, to tętniące życiem miasto, panienko. Stąd tego wcale nie widać. – Rozsiadł się naprzeciwko niej i machnął ręką w kierunku okna. – To jest tylko nabrzeże. Tym razem zacumowaliśmy dość blisko, więc ma panienka dobry widok, ale to jeszcze nie miasto. Miasto jest wielkie.

– Wielkie? – mruknęła Poppy. Pociągnęła ostrożnie łyk herbaty. Wciąż była jeszcze trochę za gorąca.

– Och, tak. I naprawdę wygląda zupełnie inaczej. Zupełnie nie jak w domu. Nie, żeby w domu było źle. Tylko… miło jest zobaczyć coś innego.

– Na pewno – powiedziała cicho Poppy, unosząc do ust filiżankę, żeby zamaskować nieco sarkastyczny ton, którego nie udało jej się powstrzymać.

– Wszystko wygląda inaczej – ciągnął Billy. – No, prawie wszystko. I jedzenie nie jest takie samo. Trzeba się do niego przyzwyczaić, ale jest smaczne. Jestem tu już szósty raz, więc wiem, jak sobie radzić.

Poppy zdobyła się na lekki uśmiech.

Billy zamilkł, w końcu zauważając wyraz jej twarzy.

– Ja… mógłbym… cóż, mógłbym zapytać, czy możemy coś panience przynieść. Robią tu dobry pudding ryżowy, chociaż może nie być łatwo go przynieść. I są takie małe chlebki, czasem obtoczone w cukrze.

Oczy mu rozbłysły, kiedy wspominał kulinarną ekstazę.

– Mógłbym panience przynieść jeden, jeśli panienka zechce.

– Patrząc na twoją minę – powiedziała Poppy – przypuszczam, że mogłabym chcieć więcej niż jeden.

Billy roześmiał się.

– Nie będą takie dobre jak wtedy, kiedy są świeżo upieczone, ale i tak powinny panience smakować. A kucharz będzie kupował zapasy, więc może zrobić coś portugalskiego.

– To bardzo miło z twojej strony, Billy.

Uśmiechnął się do niej współczująco.

– Kapitan nie jest złym człowiekiem, nawet jeśli nie pozwala panience zejść na ląd. To niebezpieczne, żeby panienka sama poszła do miasta. Nawet w Londynie nie byłoby bezpiecznie. Damy tutaj, nad wodą… – Zarumienił się potężnie i ściszył głos. – Nie wszystkie są damami, jeśli panienka wie, co mam na myśli.

Poppy postanowiła nie zgłębiać tego tematu.

– A jak sądzisz, co mogłoby się wydarzyć, gdybym zeszła na ląd z kapitanem Jamesem? Przecież Lizbona nie może być aż tak niebezpiecznym miejscem, żeby nie dał rady mnie obronić.

– Cóż… – Billy zastanawiał się nad tym przez chwilę, wypychając policzek językiem. – Myślę, że mógłby pokazać panience co przyjemniejsze miejsca w porcie.

Nastrój Poppy natychmiast się poprawił.

– Wspaniale! Ja…

– Ale jego tu nie ma.

A niech to.

Billy pokręcił głową.

– Pierwszy zszedł ze statku. Ma jakieś sprawy do załatwienia. Jak zawsze.

– Wiesz, kiedy wróci?

– Trudno powiedzieć. – Billy wzruszył ramionami. – Zwykle to zależy od tego, co przynosi.

– Przynosi? – powtórzyła Poppy.

– Czasem jakąś paczkę, czasem papiery. A czasem zupełnie nic.

Czasem zupełnie nic? To wydało się Poppy interesujące, chociaż nie umiałaby powiedzieć dlaczego. Zapewne dlatego, że nie miała lepszego tematu do rozmyślań. Przeszła już przez chyba wszystkie wersje swojego powrotu do Anglii (dziewięćdziesiąt procent wśród nich kończyło się dla niej źle; pozostałe dziesięć procent wymagało niezwykłego i nieprawdopodobnie szczęśliwego zbiegu okoliczności).

A więc tak. Będzie się zastanawiała, dlaczego kapitan czasem przynosił paczki, a czasem papiery. Zamierzała zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby myśleć tylko o takich rzeczach, dopóki nie wróci do domu, gdzie będzie musiała się zająć znacznie poważniejszymi sprawami.

– Często przynosi papiery? – spytała.

Billy wstał i przysunął krzesło do stołu.

– Czasem. Sam nie wiem. Nie mówi nikomu z nas, czym się zajmuje, jeżeli nie sprawami statku.

– Ma jakieś sprawy niezwiązane ze statkiem?

Wzruszył ramionami.

– Ma tu przyjaciół. Na pewno. Był tu tyle razy.

Poppy wiedziała, że Billy jest na „Infinity” zaledwie od dziewięciu miesięcy; powiedział o tym, kiedy po raz drugi przyniósł jej śniadanie. Skoro zdążył już być sześć razy w Lizbonie, to Poppy mogła się tylko domyślać, ile razy był tu przez lata kapitan James. Według Billy’ego (bo niemal wszystkiego dowiedziała się od Billy’ego) dowodził statkiem od 1782 roku.

Wyglądało na to, że musiał odbyć niesamowicie dużo podróży do Portugalii, ale z drugiej strony – cóż Poppy wiedziała o korsarstwie? Może musiał mieć siatkę sprawdzonych, lojalnych handlarzy.

Złapała się na tym, że zaczyna myśleć, jak kryminalistka. Wielkie nieba.

Poppy napiła się herbaty, która w końcu ostygła do znośnej temperatury.

– Baw się dobrze – powiedziała. – Zgaduję, że idziesz do miasta.

– O tak. I to już niedługo. Jeden z naszych powiedział, że zabierze mnie ze sobą. – Spojrzał na nią zmieszany. – Mnie też kapitan nie pozwala schodzić samemu.

Poppy zaczęła sobie uświadamiać, że kapitan miał bardziej miękkie serce, niż chciał przyznać przed innymi. Trudno jej było sobie wyobrazić innego kapitana statku, który martwiłby się o bezpieczeństwo trzynastolatka.

Nie, żeby znała wielu kapitanów statków, ale mimo wszystko…

– Lepiej już pójdę – powiedział Billy. – Muszę skończyć wszystko, zanim zejdę na ląd, a nie sądzę, żeby pan Brown chciał na mnie czekać, jeśli nie będę gotowy w porę.

Poppy skinęła głową i pożegnała się z nim. Szybko zjadła śniadanie – jak długo można obgryzać tost? – a potem z herbatą podeszła popatrzeć przez okno.

Czuła się trochę tak, jakby poszła do teatru. Nie, żeby było tak samo jak w którymkolwiek teatrze, który miała okazję odwiedzić, ale postanowiła dobrze się bawić. Początkowo próbowała obserwować całą panoramę, ale zbyt dużo działo się równocześnie, więc zdecydowała się śledzić kroki jednego człowieka i obserwowała jego poczynania.

– Będę cię nazywać José – oznajmiła. Tak brzmiało imię ostatniego króla, więc z pewnością odpowiednie dla kogoś z tej okolicy. – José Goodhope. Będziesz miał trójkę dzieci, cztery psy i królika.

Zmarszczyła brwi. Królik zapewne zostałby zjedzony. Lepiej byłoby się do niego nie przywiązywać.

– Jest pan żonaty, panie Goodhope? A może jest pan wdowcem? – Przyglądała się nieznajomemu, który podniósł z wozu jakąś skrzynię i niósł ją na statek.

– Wdowiec – zdecydowała. – Tak będzie bardziej dramatycznie.

Szekspir byłby z niej dumny. W końcu to tylko sztuka.

– I pańskie biedne, osierocone dzieci. Musi pan tak ciężko pracować, żeby je wykarmić. Wielkie nieba, one są głodne.

Zastanowiła się przez chwilę.

– Ale nie na tyle głodne, żeby zjeść królika – powiedziała stanowczo.

To była jej historia i zamierzała ocalić zwierzątko. Był biały, puchaty i całkowicie zmyślony, ale na tym polega urok tworzenia własnej opowieści. Poppy mogła zrobić, cokolwiek jej się spodobało.

Zawsze chciała być złym władcą.

Albo dobrym. Było jej właściwie wszystko jedno. Pod warunkiem, że to ona rządziła.

José postawił skrzynię i wrócił do wozu, ocierając czoło rękawem. Chwycił kolejną skrzynię, wyraźnie cięższą od poprzedniej, sądząc po jego postawie. Kiedy już ją zaniósł, wyprostował się i pomasował sobie kark.

Poppy odruchowo zrobiła to samo

Kiedy znowu na niego spojrzała, zauważyła, że José odwrócił się i zawołał kogoś przez ramię. A potem złapał za brzeg swojej koszuli…

I zdjął ją.

Poppy przysunęła się bliżej okna. To zaczynało być naprawdę interesujące.

Czy robotnicy portowi mają w zwyczaju pracować bez koszul? A może to tylko portugalski zwyczaj? Tutaj niewątpliwie było cieplej niż w Londynie, ale w końcu nigdy nie była w londyńskich dokach. Może tam też mężczyźni biegali z nagimi torsami.

A jeżeli tak, to czemu nikt jej o tym nie powiedział?

– Och, José – szepnęła cicho. – Dziś jest bardzo gorąco, prawda?

Uznała, że to wystarczający powód, żeby wstać i podejść bliżej okna. Może powinna zmodyfikować swoją fabułę. Czy na pewno chce, żeby José był wdowcem? Może powinien raczej być kawalerem?

Bez dzieci. Może z jednym psem. Królik może zostać.

Jest taki uroczy i puchaty. Czemu nie zostawić go w tej historii?

– Zalecasz się do kogoś, José? – Bezwiednie przygryzła dolną wargę, obserwując, jak jego mięśnie napinają się z wysiłku. Najpierw były to ramiona, kiedy objął skrzynię, ale gdy dotarł do statku, miała dobry widok na jego plecy.

Nie miała pojęcia, że plecy mężczyzny mogą być tak interesujące. Widywała swoich braci bez koszul, choć nie ostatnio, ale żaden z nich nie wyglądał tak jak José.

– Jak wyrzeźbiony – powiedziała głośno.

Kolejne słowo, które jej zdaniem miało brzmienie równie dobre jak to, co oznacza. Ale tylko jeśli użyć miękkiego tworzywa. Zacisnęła dłonie, jakby wyrabiała glinę. Rzeźbienie. Brzmi trochę jak ugniatanie i formowanie.

Pokręciła głową. Zaczęła odbiegać od tematu, a José był tam, w porcie przed nią. Jak się nazywają te mięśnie? Te na męskim torsie, które czynią go tak…

Poruszała rękoma w powietrzu, wciąż rzeźbiąc.

Tak wyrazistym.

Poppy oczywiście pobierała lekcje rysunku, jak wszystkie młode damy. Jej nauczyciel mówił o mięśniach ludzkiego ciała, ale nigdy nie wspominał o tych na męskim torsie. Jak też one się nazywają?

Zerknęła na półkę z książkami kapitana Jamesa. Z jakiegoś powodu nie sądziła, żeby udało jej się znaleźć odpowiedź w *Rolniczych arcydziełach Kentu*.

Poppy podeszła bliżej okna. Nie przypuszczała, żeby ktoś zauważył ją z portu; na zewnątrz było znacznie jaśniej niż w kajucie.

– Ile masz lat? – zastanawiała się.

José zrobił sobie właśnie chwilę odpoczynku, siedząc na jednej ze skrzyń, które zdążył przenieść. Na pewno nie więcej niż trzydzieści. I miał wszystkie włosy. Ciemne – ciemniejsze niż kapitan, to jasne – ale równie gęste. Zapewne są podobnie gładkie i sprężyste.

Dotknęła włosów kapitana kilka dni wcześniej, kiedy statek zakołysał się gwałtownie na falach i straciła równowagę. Żeby się nie przewrócić, przytrzymała się pierwszej rzeczy, jakiej mogła – jak się okazało, głowy kapitana.

Oczywiście był to czysty przypadek.

Włosy Joségo podobnie układały się w fale. Poppy doszła do wniosku, że jej się to podoba. Poruszone wiatrem, zawadiacko opadały mu na czoło. W Londynie był podobny dżentelmen i wszystkie damy omdlewały na jego widok. Rozczochrany mężczyzna coś w sobie ma, jak mawiała jedna ze znajomych Poppy. Jest tak pełen wigoru. Poppy zawsze sądziła, że to, jak zwykle, nonsens, ale teraz, kiedy patrzyła na Joségo, słowo „wigor” nabierało całkiem nowego znaczenia.

Miała przeczucie, że José jest bardzo pełen wigoru.

Był przystojny – jej José. Nie mógłby się równać z kapitanem, to oczywiste, ale przecież nie każdy mężczyzna może być tak piękny jak kapitan Andrew James.

– Ale José – powiedziała na głos – myślę, że niewiele ci brakuje.

– Niewiele brakuje do czego?

Poppy zerwała się na równe nogi, niemal zrzucając ze stolika filiżankę z herbatą. Kapitan James stał w drzwiach, przyglądając się jej z uniesionymi brwiami i rozbawionym wyrazem twarzy.

– Nie zapukałeś! – powiedziała oskarżycielskim tonem.

– Zapukałem – odparł spokojnie. – A kim jest José?

Poppy tylko patrzyła na niego jak idiotka, co nie było chyba najgorszym rozwiązaniem, bo nie przypuszczała, żeby udało jej się powiedzieć cokolwiek, co byłoby albo błyskotliwe, albo nieobciążające. Nie mogła uwierzyć, że nie słyszała pukania.

Ani otwierania drzwi.

Ani ich zamykania.

Odchrząknęła zakłopotana i przywitała się. Wydało się jej to najlepszym wyjściem.

Jednak kapitan James nie zamierzał zrezygnować.

– Co oglądałaś, co cię tak zafascynowało.

– Nic! – odparła nieco zbyt szybko i zbyt głośno. – To znaczy port, naturalnie. To z pewnością nie tak interesujące jak ty, ale to pierwsza rzecz inna niż woda, jaką mam okazję zobaczyć.

Zdjął trójgraniasty kapelusz.

– Tęskniłaś za mną?

– Oczywiście, że nie.

Przyjął tę odpowiedź lekko kpiącym skinieniem głowy, po czym stanął obok niej przy oknie. Poppy nie wiedziała, gdzie podziać oczy ze wstydu, kiedy wyjrzał przez okno.

– Wygląda jak zwyczajne przenoszenie ładunku.

Poppy powstrzymała się, by nie powiedzieć czegoś głupiego; zamiast tego skinęła głową i wymamrotała coś niezrozumiałego.

Na zewnątrz José wrócił do pracy, lecz na szczęście kapitan James patrzył w inną stronę. Wskazał sąsiedni statek i powiedział:

– „Marabella” wypływa jutro do Ameryki Południowej.

– Doprawdy. To wydaje się ekscytujące.

– Nigdy nie odbyłem tak długiego rejsu.

– Wyobrażam sobie – odparła Poppy, starając się odwrócić jego uwagę od Joségo, który wciąż pracował bez koszuli.

– Nie sądzę, żebym miał na to ochotę – powiedział z namysłem kapitan.

– Mógłbyś zobaczyć przylądek Horn – zauważyła Poppy.

Wzruszył ramionami.

– Mało kto zapuszcza się tak daleko na południe. „Marabella” płynie do Salvadoru.

– Salvador? – powtórzyła Poppy. José szedł prosto w jej stronę.

– W Brazylii – potwierdził kapitan.

Poppy próbowała sobie przypomnieć, czy Salvador był zaznaczony na jej pociętej mapie, ale kątem oka zobaczyła, że José znowu masuje sobie kark i…

– Ależ panno Bridgerton – wycedził kapitan. – Czyżbyś pożerała wzrokiem nagiego mężczyznę?

– Wcale nie jest nagi – zaprotestowała.

Natychmiast doszła do wniosku, że rozsądniej byłoby zaprzeczyć drugiej części tego zdania.

Kapitan James uśmiechnął się. Szeroko.

– A więc pożera go pani.

– Nikogo nie pożeram.

– Rzeczywiście wygląda na piękny okaz mężczyzny – przyznał kapitan, gładząc się po podbródku.

– Proszę przestać.

– Bardzo muskularny.

Poppy poczuła, że twarz zaczyna ją piec.

– Proszę przestać.

– Teraz rozumiem – rzekł kapitan z wyraźnym zadowoleniem. – To jest José!

– Nie wiem, o czym pan mówi – wymamrotała Poppy.

– Dobrze pani wybrała, panno Bridgerton. Wydaje się solidnym pracownikiem.

Poppy zapragnęła umrzeć.

Poklepał ją po ramieniu.

– Bardzo pracowity, ten twój José.

– Skąd miałabym wiedzieć, jak ma na imię?

Kapitan wręcz parsknął śmiechem.

– Mógłbym się założyć, że sama dałaś mu imię, rodzinę i tragiczną historię.

Poppy była zaskoczona, że nie opadła jej szczęka. Jak to możliwe, że ten człowiek znał ją tak dobrze po niecałym tygodniu na morzu?

Kapitan James oparł się o ścianę i zadowolony z siebie skrzyżował ręce na piersi. Miał w sobie coś niewyobrażalnie męskiego, kiedy tak na nią patrzył, że biedny José nagle odzyskał trójkę dzieci i królika.

– Czemu tak mi się przyglądasz? – spytała podejrzliwie.

– Och, to najbardziej zabawna rzecz, jaką dzisiaj widziałem.

– Jest dopiero wpół do dziewiątej.

– Droga panno Bridgerton – mówił dalej. – Jeśli chciałaś zobaczyć mężczyznę bez koszuli, z przyjemnością spełniłbym pani życzenie.

Jej oczy zwęziły się jak szparki.

– Jesteś potworem.

– Ale uroczym.

– Jak pańska rodzina z panem wytrzymuje?

Znowu ten zabójczy uśmiech.

– Jeszcze nie zauważyłaś, że jestem nieskończenie czarujący?

– Hm…

– Spytaj, kogo chcesz.

Spojrzała na niego dziwnie.

– Spytałabym, ale jedyną osobą, z którą miałam okazję rozmawiać przez cały tydzień, był Billy.

– I ja – zauważył wesoło.

– Pan nie jest obiektywnym źródłem, podobnie zresztą jak Billy.

Kapitan znowu parsknął śmiechem i w końcu odszedł od okna, podchodząc do swojego biurka.

– Och, panno Bridgerton – powiedział. – Naprawdę wolałbym, żeby nasze drogi nie przecięły się w takich okolicznościach, ale skoro już muszę mieć nieplanowanego pasażera na pokładzie, to bardzo się cieszę, że jest nim właśnie pani.

Poppy spojrzała na niego.

– Dziękuję?

– To komplement – zapewnił, szukając czegoś na biurku.

Użył klucza, żeby otworzyć górną szufladę, wyjął coś z kieszeni kurtki i wsunął do środka, po czym zamknął szufladę. Oczywiście na klucz. Jak zawsze, na klucz.

Obserwując go, Poppy zauważyła, że jest ubrany nieco bardziej oficjalnie niż zwykle. Włożył kamizelkę i chyba miał wypolerowane buty. Również krawat zawiązał z nietypową precyzją.

– Billy powiedział, że wyszedłeś dziś wcześnie rano – zauważyła.

– Istotnie. Tuż po wschodzie słońca. Dzięki temu załatwiłem swoje sprawy dość szybko.

Poppy pomyślała o zamkniętej szufladzie.

– A cóż to za sprawy?

– Droga panno Bridgerton, powinnaś wiedzieć, że nie należy zadawać pytań, na które nie odpowiem.

– Może miałam nadzieję, że trafię na pańską chwilę słabości.

– Zdaje się, że to ja dziś rano trafiłem na twoją chwilę słabości.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Tak szybko zapomniałaś o Josém? Ach, ta kobieca niestałość.

Poppy przewróciła oczami, żeby dać mu do zrozumienia, co sądzi na ten temat.

Położył rękę na sercu.

– „O! Nie przysięgaj na księżyc, bo księżyc co tydzień zmienia kształt swej pięknej tarczy; i miłość twoja po takiej przysiędze mogłaby również zmienną się okazać”[3].

Szekspir? Naprawdę?

– *Romeo i Julia* – powiedział, jakby mogła nie rozpoznać. – I pozwolę sobie zauważyć, że wiernie zacytowane.

Och, on nie ma pojęcia, z kim staje w szranki. Uniosła lekko głowę.

– „O, przestań szlochać, moja niebogo, chłopiec był zawsze zwodnikiem; nogą na morzu, na lądzie nogą, a wiary nie znajdziesz w nikim”[4].

Przyjął jej ripostę pełnym uznania skinieniem głowy.

– Nigdy nie twierdziłem, że mężczyźni są mniej niestali. I myślę, że robisz wiele hałasu o nic.

Poppy, wbrew sobie, była pod wrażeniem.

– Wiem – powiedział, prawidłowo interpretując jej wyraz twarzy. – Jestem w tym niesamowicie dobry.

Uniosła jedną brew.

– Ja też.

– Nie wątpię.

Patrzyli sobie w oczy przez dłuższą chwilę w niemej bitwie, aż w końcu kapitan powiedział:

– Nie przychodzi mi do głowy żaden inny cytat z Szekspira, który mówiłby o niestałości. A tobie?

– Ani jeden – przyznała.

Stali naprzeciwko siebie i oboje starali się nie roześmiać. W końcu kapitan się poddał.

– Och, panno Bridgerton – wycedził, podchodząc do niej z miną kota przed miseczką śmietany. – Myślę, że dzisiaj będziesz bardzo zadowolona.

Jej podejrzliwość sięgnęła zenitu.

– Co pan ma na myśli?

– Pogoda jest wyjątkowo piękna.

– Tak, tyle zdołałam zauważyć. – Uśmiechnęła się nieszczerze. – Przez okno.

– Ale nie wszystko da się docenić przez okno. Możesz zobaczyć słońce, jak sądzę, ale nie poczujesz bryzy, nie będziesz wiedzieć, czy jest ciepło.

– Czy dzisiaj wieje bryza?

– Tak.

– A jest ciepło?

– Wnosząc z niekompletnego stroju Joségo, musi być dość ciepło.

Poppy wydała głuchy pomruk. czy on naprawdę musiał to ciągnąć?

– Czy mogę ci służyć radą? – spytał cicho, nachylając się ku niej, aż powietrze między nimi zaczęło wibrować.

– O ile nie poczuje się pan urażony, jeśli jej nie przyjmę.

– Odłóż na bok sarkazm, chociaż na jedno popołudnie. Przecież na swój sposób jesteśmy przyjaciółmi, nieprawdaż?

Wymagało to od niej wielkiego hartu ducha, ale udało się jej wykrztusić:

– Na swój sposób.

– A więc, panno Bridgerton, jako twój przyjaciel na swój sposób, zastanawiałem się, czy wybrałabyś się ze mną dzisiaj na spacer po Lizbonie.

Zamarła.

– Co?

Uśmiechnął się.

– Czy mam powtórzyć?

– Ale powiedziałeś…

– Zmieniłem zdanie.

– Dlaczego?

– Czy to ważne?

Prawdę mówiąc, uważała, że tak, lecz nie na tyle, by się spierać w momencie, kiedy rysowała się szansa zejścia na ląd.

– Chciałabym zobaczyć wszystko – powiedziała, siadając, żeby włożyć buty.

– To oczywiście niemożliwe.

Zerknęła na niego, lecz tylko na sekundę. Chciała jak najszybciej zawiązać buty.

– A więc wszystko, co możliwe.

– Wszystko, co możliwe. – Jego wargi wygięły się w uśmiechu. – Obiecuję.

15

Nie odwracaj się – szepnął jej do ucha Andrew. – José cię obserwuje.

Został za to nagrodzony ciosem łokcia w żebra.

– Nie włożył koszuli – dodał.

– Pfff. – Poppy przewróciła oczami. Pantomima „nic mnie to nie obchodzi” wyszła jej zaskakująco dobrze, ale on wiedział lepiej.

– Nasuwa się jedno pytanie: dlaczego?

Czekał. Chwilę trwało, zanim połknęła przynętę.

– Jak mam rozumieć to „dlaczego”?

– Dlaczego nie włożył koszuli?

Nie miał absolutnej pewności, ale wydawało mu się, że usłyszał jej warknięcie. Nie wyrażające uznania.

– Wiesz, co myślę? – spytał.

– Jestem pewna, że mi to powiesz.

– Cieszę się, że spytałaś – powiedział radośnie. Nachylił się ku niej, przysuwając usta niemal do jej ucha. – Myślę, że on wie, że go obserwujesz.

Machnęła z irytacją wolną ręką, jakby chciała pokazać, że jest skupiona na drodze.

– Wcale go nie obserwuję.

– Hm, teraz nie.

– Wcześniej też nie.

– Proszę, panno Bridgerton. Nie mogłaś nie patrzeć na półnagiego mężczyznę. Szczerze mówiąc, byłbym zawiedziony, gdybyś nie patrzyła.

Tym razem przewróciła oczami.

– Nie powinnaś mieć mu tego za złe – ciągnął, prowadząc ją nabrzeżem w stronę miejsca, gdzie dorożkarze zwykli czekać na klientów. – Nieczęsto tak elegancko ubrana dama schodzi ze statku handlowego.

Poppy spojrzała na swoją suknię i skrzywiła się.

– Już nie jest elegancka.

– Wyglądasz uroczo – powiedział.

To nie było kłamstwo. Naprawdę wyglądała uroczo, nawet jeśli jej suknia już nie. I tak nieźle się trzymała, biorąc pod uwagę okoliczności, ale nie została uszyta do noszenia całymi dniami i całymi nocami przez tydzień. Błękitny materiał był spektakularnie pognieciony, a ponieważ Poppy nie nosiła w kajucie butów, jej brzeg pokrywała warstwa kurzu. Z boku spódnicy widniała też tłusta plama, która prawdopodobnie kiedyś była masłem, ale skoro Poppy dotąd tego nie zauważyła, kapitan nie zamierzał zwracać jej na to uwagi.

– Czy José naprawdę na mnie patrzy? – spytała kącikiem ust i nawet nie patrząc na Andrew. Potraktowała całkiem poważnie jego „nie oglądaj się teraz”.

– Wszyscy na ciebie patrzą – odparł oczywiście.

Potknęła się.

– Jesteś poważny?

– Jak szkorbut – odparł radośnie.

To dało jej do myślenia.

– Naprawdę powiedziałeś „poważny jak szkorbut”?

– Na statku niewiele jest rzeczy poważniejszych od szkorbutu. Wyczerpanie, ból… to dopiero początek. Potem dziąsła się cofają i wypadają zęby. – Nachylił się ku niej, jakby chciał powierzyć jakiś sekret. –

Oczywiście zakładając, że wcześniej nie wypadły. Niestety, marynarze nie słyną z higieny.

Zacisnęła wargi w zamyśleniu.

– Hm.

Zaskakująco powściągliwa reakcja.

– Hm? – spytał.

W ten sposób okazał się dowcipny i elokwentny.

Ale doprawdy, poświęcił mnóstwo czasu na drażnienie najróżniejszymi budzącymi niesmak (dosłownie i w przenośni) rzeczami kobiet w swojej rodzinie. Opowieści o krwawiących dziąsłach i zepsutych zębach zwykle wywoływały żywszą reakcję.

– Czy miałes szkorbut? – spytała.

Uśmiechnął się, szeroko odsłaniając zęby. Miał je wszystkie, co było dużym osiągnięciem. Był przecież marynarzem; odwiedził sporo portowych tawern. Niejeden raz miał okazję dostać w zęby.

Jego zębata demonstracja wydawała się jednak nie robić wrażenia na Poppy.

– To jeszcze nie znaczy, że go nie miałeś. Na pewno nie wszyscy tracą zęby.

– To prawda – odparł. – Ale mam czarujący uśmiech. – Wyszczerzył się znowu, ilustrując swoje słowa.

– Kapitanie James.

– Cóż za zgorszony ton – drażnił się z nią. – A odpowiadając na pytanie: nie, nie miałem szkorbutu. I byłbym zdziwiony, gdyby było inaczej. Nigdy nie odbywałem szczególnie długich podróży.

– Szkorbut częściej zdarza się w czasie długich rejsów?

– Zdecydowanie. „Infinity” zwykle trzyma się europejskich wód i szkorbut niemal nas nie dotyka.

Zastanowiła się przez chwilę.

– Jakie podróże uznałbyś za szczególnie długie?

– Droga do Indii zajmuje dobre cztery miesiące. Niektóre części Ameryki Południowej podobnie.

– To brzmi okropnie. – Poppy wzdrygnęła się.

– Zgadzam się. – Andrew często dziękował swojemu stwórcy (a jeszcze częściej królowi) za to, że nigdy nie był zmuszony do prowadzenia żadnych misji poza Europą.

Kochał morze, ale uwielbiał moment zejścia na suchy ląd. I choć regularnie podziwiał to, jak wielką część świata pokrywa woda, doskonale zdawał sobie sprawę, że nigdy nie doświadczył prawdziwego bezkresu oceanu.

Prawdziwa ironia losu, zważywszy, jak nazywał się jego statek.

– Statki często zatrzymują się po drodze – powiedział – ale nie zawsze. Słyszałem o rejsie do Indii, który trwał dwadzieścia trzy tygodnie.

– Bez żadnego przystanku?

– Tak słyszałem. W każdym razie każę zabierać owoce w każdy rejs, nawet tak krótki jak ten.

– Owoce?

– Wydaje się, że pomagają powstrzymywać chorobę.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy ktokolwiek to wie. Ale skutki są niezaprzeczalne.

– Owoce – mruknęła. – To fascynujące. Zastanawiam się, jak to odkryto.

– Przypuszczam, że przez obserwację.

Skinęła głową z roztargnieniem, jak zwykle, gdy była pogrążona w myślach.

Andrew nigdy nie zastanawiał się, dlaczego kobiety nie mają dostępu do wyższej edukacji, ale to prawdziwa zbrodnia, że Poppy Bridgerton nie może pójść na uniwersytet. Jej ciekawość nie miała granic. Zadawała pytania o wszystko i nie wątpił, że wszystkie odpowiedzi starannie przechowywała w pamięci, żeby z nich kiedyś skorzystać.

Albo żeby je dokładniej zbadać. Często przyłapywał ją po prostu na rozmyślaniu. Poppy była błyskotliwą partnerką rozmowy, jakich wiele, ale mnóstwo czasu poświęcała na rozważanie wielkich i ważkich kwestii.

A przynajmniej zakładał, że były wielkie i ważkie. Równie dobrze mogła coś knuć na jego zgubę.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytała podejrzliwie.

– Bo nie mam szkorbutu? – zażartował.

Szturchnęła go łokciem. To też bardzo często jej się zdarzało.

– Jeśli musisz wiedzieć, myślałem o tym, że wydawałaś się zatopiona w myślach, więc zacząłem się zastanawiać, o czym rozmyślasz. Przyszło mi do głowy, że możesz planować moją zagładę.

– Och, nie robiłam tego od kilku dni – odparła niefrasobliwie.

– Zyskuję przy bliższym poznaniu.

Prychnęła.

– Przyjmę to jako zgodę – powiedział. – Ale jeśli wolno mi spytać, o czym tak rozmyślałaś?

– O szkorbucie.

– Wciąż?

Wzruszyła ramionami.

– Jest tyle pytań. Czy któraś z twoich książek to opisuje? Mogłabym poczytać w drodze powrotnej. To byłoby bardziej interesujące niż osmańska inżynieria.

Andrew uważał, że osmańska inżynieria jest fascynująca, ale zdawał sobie sprawę, że akurat tę jego pasję niewiele osób podziela.

– Nie sądzę – odparł. – Ale skoro o tym wspomniałaś, rzeczywiście powinienem kupić jakąś medyczną książkę.

„Infinity” był zbyt małym statkiem, żeby mieć na pokładzie lekarza. Kiedy następnym razem ktoś zachoruje, podręcznik leczenia może się okazać pomocny.

– Czy w Lizbonie można kupić angielskie książki?

– Nawet jeżeli tak, nie sądzę, żebyś znalazła coś tak specyficznego.

Wykonała gest, który wydawał się znaczyć: „warto by było spróbować”, a potem zamilkła, marszcząc brwi w zamyśleniu.

Znowu rozmyślała. Albo wciąż. Andrew uśmiechnął się. Czy gdyby przysunął się bliżej, usłyszałby pracujące tryby i sprężyny jej umysłu?

– Zastanawiam się… – zaczęła powoli.

Czekał, ale nie dokończyła myśli.

– Zastanawiasz się… – przypomniał.

Zamrugała zaskoczona, jakby zapomniała, że ktoś może ją słyszeć.

– Myślę, że źródłem problemu może być jedna z dwóch rzeczy. Albo ciału brakuje jakiegoś składnika, zapewne czegoś, czego nie dostaje w czasie długiej podróży, ale co jest zawarte w owocach, albo choroba przenosi się z jednego człowieka na drugiego, a w owocach jest coś, co działa jak lekarstwo.

– Mówiąc ściśle – powiedział – owoce wydają się jednocześnie leczyć i zapobiegać.

– Naprawdę? – Sprawiała wrażenie niemal rozczarowanej. – Jaka szkoda. Chciałam powiedzieć, że oczywiście to dobrze, że tak działają, ale z naukowego punktu widzenia byłoby łatwiej ustalić dlaczego, gdyby działały w jeden albo drugi sposób.

– Niekoniecznie. Jeżeli ciało nie dostaje jakiegoś składnika, który jest zawarty w owocach, to tłumaczyłoby, dlaczego zapobiegają chorobie i ją leczą.

– Oczywiście! – Rozpromieniła się. – Jesteś świetny!

– O, w końcu cię przekonałem.

Nawet nie zauważyła żartu.

– Zastanawiam się, co takiego zawierają owoce. I czy wszystkie owoce? A co z warzywami? Czy sok z owoców działałby podobnie?

– Tak sądzę. Na niektórych statkach dodaje się cytrynę do grogu.

To wyraźnie ją zainteresowało.

– Czy dzięki temu smakuje lepiej?

– Niezbyt.

Zachichotał, skręcając na drogę. Z przodu zobaczył kilka czekających dorożek, a wspominał wcześniej, że zamierza jedną z nich wynająć.

– Nie możemy się przejść? – spytała Poppy. – Jest taki piękny dzień, a ja tak się cieszę, że mogłam wyjść na świeże powietrze.

– Nie jest bardzo daleko – przyznał. – Ale niektóre miejsca po drodze mogą być nieco niesmaczne.

Zmrużyła oczy, zastanawiając się nad tym, co powiedział.

– Nieco niesmaczne – zawiesiła głos – czy niesmaczne?

– Czy to istotna różnica?

– Wyobrażam sobie, że raczej bardzo.

Skoro chce dzielić włos na czworo…

– Dobrze – ustąpił. – Są tylko nieco niesmaczne.

Biorąc dorożkę, chciał zaoszczędzić trochę czasu, ale Poppy miała rację. Dzień był zbyt piękny, żeby zamykać się w zakurzonym powozie, choćby na dziesięć minut.

Skierowali się w stronę Baixa; jak wyjaśnił, tak właśnie Portugalczycy nazywali centralną dzielnicę. Po drodze niewiele było interesujących rzeczy do zobaczenia, ale dla Poppy wszystko okazywało się fascynujące.

– Billy radził mi spróbować tutejszego jedzenia – powiedziała. – A zwłaszcza słodyczy. Podobno jemu szczególnie smakuje jakiś rodzaj smażonego ciasta.

– *Malasadas* – potwierdził Andrew. – Są boskie.

– Boskie? Nie przypuszczałam, że będziesz mówił o jedzeniu w tak uduchowionych kategoriach.

– Tak się składa, że *malasadas* jada się przed Wielkanocą, chociaż nie jestem pewien dlaczego. To może mieć coś wspólnego z katolickim postem. Ale znajdziemy je dla ciebie.

I rzeczywiście, za następnym rogiem zobaczyli człowieka stojącego przy kadzi z gorącym olejem, a na stoliku za nim czekała wielka misa ciasta.

– Twoja *malasada* już czeka – oznajmił Andrew z zapraszającym gestem.

Poppy sprawiała wrażenie oszołomionej, kiedy podeszli do sprzedawcy, który natychmiast zaczął zachwalać swój towar potokiem portugalskich słów.

– Nie, nie… przepraszam – powiedziała bezradnie Poppy. – Nie mówię… – Odwróciła się do Andrew z szeroko otwartymi oczami, które mówiły: „pomóż mi”.

– *Dois malasadas, por favor* – wkroczył do akcji.

– *Só dois*? – Sprzedawca wydawał się oburzony, teatralnym gestem położył rękę na sercu i wrócił do swojej przemowy, tym razem palcami pokazując wielkość *malasadas*.

– Co on mówi? – spytała Poppy.

– Mówi za szybko – przyznał Andrew. – Ale jestem właściwie pewien, że próbuje nas przekonać, że jego *malasadas* są zbyt małe, żebyśmy zjedli tylko po jednej.

– *Pequeno* – powiedział z powagą. – *Muito pequeno*.

– *Quatro*. – Andrew uniósł cztery palce.

Sprzedawca westchnął dramatycznie i pokazał sześć palców.

– *Seis*.

– Ja zjem trzy – zaszczebiotała Poppy. – A myślę, że zjadłabym nawet sześć.

Andrew spojrzał na nią dziwnie.

– Nie wiesz, jakiej są wielkości.

– Ale i tak zjem sześć.

Rozłożył ręce w geście kapitulacji.

– *Seis* – oznajmił sprzedawcy i spojrzał na Poppy.

– Chcesz posypane cukrem?

Cofnęła się o krok, wstrząśnięta takim pytaniem.

– Oczywiście.

– Przepraszam – powiedział, nawet nie próbując kryć rozbawienia. – To było głupie pytanie.

– Rzeczywiście.

Trudno było się nie roześmiać, ale Andrew zdołał zapanować nad rozbawieniem i ograniczyć do uśmiechu, kiedy obserwował, jak Poppy obserwuje Portugalczyka nabierającego z miski wielkie kawałki ciasta i zręcznie formującego je w idealnie równe kule. Jedną po drugiej wrzucał je do wrzącego oleju, dając Andrew i Poppy znak, żeby się odsunęli na bezpieczną odległość.

– Ciasto jest bardzo żółte – zauważyła Poppy, stając na palcach, żeby zajrzeć do miski. – Musiał użyć mnóstwa jaj.

Andrew wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, z czego składały się *malasadas*. Wiedział tylko, że lubi je jeść.

– Jak się mówi „jajko” po portugalsku?

– Obawiam się, że nie wiem.

– Myślałam, że musisz znać język, żeby prowadzić tu interesy.

Tym razem nie sądził, żeby starała się wyciągnąć z niego informacje na temat jego zajęcia.

– Właściwie nie potrzebuję dużo wiedzieć – powiedział. – A temat jajek raczej rzadko pojawia się w rozmowach.

– Pachnie bardzo dobrze – powiedziała, wzdychając prawie zmysłowo. – Jak długo trzeba je smażyć?

– Myślę, że już niedługo – odparł Andrew, starając się nie zwracać uwagi na dreszcz, o jaki przyprawiło go jej westchnienie.

– Oooooch, nie mogę się doczekać. – Niemal podskakiwała z ekscytacji, co chwilę stając na palcach, żeby zajrzeć do kadzi.

– Ktoś mógłby pomyśleć, że głodzimy cię na „Infinity”.

– Tym mnie nie karmicie. – Poppy wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. – Myślę, że są już prawie gotowe.

Rzeczywiście, sprzedawca wziął długie szczypce i wyłowił pierwszą *malasadę*. Połyskiwała złocistobrązowo, kiedy uniósł ją i spytał Andrew:

– *Açúcar*?

Poppy zapewne wznieciłaby bunt, gdyby zaprzeczył, więc Andrew powiedział:

– *Sim, por favor.*

Sprzedawca zanurzył *malasadę* w misce cukru z przyprawami, a następnie powtarzał całą operację, dopóki wszystkie sześć nie zostały przygotowane.

Andrew sięgnął do kieszeni po pieniądze i zerknął na Poppy, która aż drżała z niecierpliwości. Uniosła ręce i niespokojnie pocierała kciukami o palce, jakby próbowała się powstrzymać przed sięgnięciem po smakołyki.

– Śmiało – powiedział, nie kryjąc rozbawienia. – Częstuj się.

– Nie będą za gorące?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Uśmiechając się niepewnie, sięgnęła do miski, podniosła *malasadę* do ust i ostrożnie ugryzła maleńki kawałeczek.

– Nie za gorące – oznajmiła i odgryzła duży kęs.

– Och – jęknęła.

– Smakuje?

– Och.

– Rozumiem, że tak.

– Ochhhh.

Andrew nagle poczuł, że musi poprawić krawat. I być może spodnie. Wielkie nieba, znał kobiety, które dochodziły mniej namiętnie.

– W porządku – powiedział, nieco zbyt radośnie. – Powinniśmy już iść.

Wręczył ulicznemu sprzedawcy kilka – niemal na pewno za dużo – monet, zabrał pozostałe *malasadas* i lekko popchnął Poppy w kierunku miasta.

– Nie chcemy się spóźnić – wyjaśnił.

– Na co?

Podał jej dwie *malasadas*.

– Powiedziałem, że pokażę ci wszystko, co się da, prawda? Jeżeli mam dotrzymać słowa, to powinniśmy się pospieszyć.

Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i zjadła jeszcze jedną.

– Nie mogłabym tu mieszkać na stale – powiedziała, przyglądając się ostatniemu ciastku tęsknym wzrokiem. – Zjadałabym po czternaście dziennie i byłabym gruba jak beczka.

– Czternaście?

– Albo więcej. – Zlizała cukier z palców. – Raczej więcej.

Andrew bezwiednie rozchylił usta, patrząc, jak Poppy oblizuje palce. Był jak zahipnotyzowany, niemal sparaliżowany; zapragnął sam scałować cukier z jej warg. Nie mógł się ruszyć, nawet o cal, bo wtedy…

Sam nie wiedział, co mógłby zrobić. Coś, czego nie powinien. Nie tutaj. Nie z nią.

Ale wyglądała tak cholernie pięknie.

Nie, nie pięknie. Promiennie. Cokolwiek wywarło na nim tak piorunujące wrażenie, kryło się w niej. Była tak szczęśliwa, tak pełna życia i radości, że naprawdę wydawała się nimi promieniować, wciągając wszystkich w swoją orbitę.

Nie sposób było znajdować się w jej pobliżu i nie czuć tej samej radości.

– Czemu się tak przyglądasz? – spytała, wciąż się uśmiechając.

– Masz okruszki na twarzy – skłamał.

Ale szybko zdał sobie sprawę, że to był zły pomysł, ponieważ natychmiast uniosła rękę do twarzy i spytała:

– Gdzie? Tutaj?

– Ehm, nie, na… eee. – Wykonał nieokreślony gest, który nie powiedział jej absolutnie nic.

– Tu? – spytała z powątpiewaniem, wskazując miejsce tuż przy uchu.

– Tak – odparł, z być może nieco zbyt dużym entuzjazmem. Ale tym razem nie kłamał. Próbując usunąć z twarzy nieistniejące kruszki, naprawdę zostawiła kilka na skórze.

Poppy strzepnęła je jednym ruchem.

– Teraz lepiej?

Nie.

– Tak – odparł. Nie przypuszczał, żeby cokolwiek mogło być lepiej, jeśli zaraz nie pociągnie jej za róg i nie pocałuje.

A coś takiego nie miało się wydarzyć.

A przynajmniej tak sobie powtarzał.

16

Poppy była w niebie.

A może to Lizbona.

Do diabła z tym, postanowiła. Jutro niebem może znowu być niebo, cokolwiek nim było, z aniołkami i czymkolwiek tam jeszcze. Dzisiaj jest nim Lizbona, Portugalia – i nikt nie przekona jej, że jest inaczej.

Wciąż nie mogła do końca uwierzyć, że kapitan James zmienił zdanie i zabrał ją na ląd. To prawie wystarczyło, żeby na nowo przemyślała swoje zobowiązanie dotyczące wdzięczności.

Prawie.

Albo…

Rozejrzała się dookoła, spojrzała na błękitne niebo i ruiny zamku na wzgórzu, i na ziarenka cukru, które przykleiły jej się do paznokci.

Może powinna to przemyśleć, tylko na jeden dzień.

Dzisiaj – dopóki niebem stało się portugalskie miasto – Poppy Bridgerton będzie wdzięczna kapitanowi Jamesowi za to, że ją tu zabrał.

Jutro będzie znowu starała się nie myśleć o tym, co może ją czekać po powrocie do domu.

To przypomniało jej… Nie miała pojęcia, jak długo kapitan zamierza zostać w Lizbonie.

– Czy wypływamy jutro? – spytała. – Załatwiłeś już swoje sprawy?

– Załatwiłem. Zwykle zostajemy w Lizbonie kilka dni, ale biorąc pod uwagę obecną sytuację – kpiąco skinął głową w jej stronę – myślę, że

najlepiej będzie wrócić jak najszybciej, nie sądzisz?

– Oczywiście – przyznała szczerze Poppy.

Z każdym dniem stawało się coraz bardziej prawdopodobne, że Elizabeth wygada się o jej zniknięciu. Że Poppy spędzi resztę życia spowita atmosferą skandalu.

Ale z drugiej strony, nie potrafiła odsunąć od siebie myśli, że miło byłoby spędzić jeszcze jeden dzień w Lizbonie. Czuła się wspaniale i nie przypuszczała, żeby było tak tylko dlatego, że w końcu mogła wyjść z (niewątpliwie wygodnej) kajuty.

Ale to nie wszystko. Gdy szła tętniącymi życiem ulicami portugalskiej stolicy, przyszło jej do głowy, że nie tylko po raz pierwszy jest za granicą, ale też po raz pierwszy, znalazła się w miejscu tak całkowicie nieznajomym.

A to zupełnie nie to samo.

Poppy była w wielu różnych miejscach w Anglii, ale nawet w miastach, które odwiedzała po raz pierwszy nie czuła się obco.

Jej uszy słyszały ten sam język, którym sama od zawsze mówiła; oczy widziały sklepy i kościoły, jakie mogła znaleźć w rodzinnym mieście. Wszystko, co nowe, było dla niej całkowicie zrozumiałe.

Ale dzisiaj czuła się, jakby ktoś wziął jej świat i zakręcił nim jak obrotową tacą na stole, rzucając ją w miejsce, gdzie nic nie było takie, jakie znała.

Nie umiała przeczytać szyldów – dobrze, oczywiście umiała je przeczytać, w końcu Portugalczycy używali niemal takiego samego alfabetu jak Anglicy – ale bardzo rzadko mogła się domyślić, co oznaczają.

Dziwnie – i ekscytująco – było słuchać paplaniny w obcym języku, wiedząc, że setki ludzi prowadzą zwyczajne rozmowy, a jednak nie mając pojęcia, o czym rozmawiają. Przypomniała sobie, jak zdarzało jej się usłyszeć rozmowy mijanych przechodniów, kiedy wraz z ciotką chodziły ulicami Londynu (jedynego znanego jej miasta, które było bardziej ludne

niż Lizbona). Nigdy nie zamierzała podsłuchiwać, ale nie dało się nie słyszeć tego czy owego: tu dwie kobiety rozmawiały o cenach wełny, tam dziecko domagało się słodyczy.

Teraz mogła tylko zgadywać, na podstawie wyrazu twarzy i tonu głosu. Jakiś mężczyzna i kobieta kłócili się przez ulicę – nie bardzo zaciekle, ale Poppy wyobraziła sobie, że są mężem i żoną, a kobieta pokłóciła się z mężem o to, że poprzedniego dnia zbyt późno wrócił do domu. Ze skonsternowanego wyrazu twarzy mężczyzny wnosiła, że nie miał żadnej dobrej wymówki.

Dalej z przodu, przed drzwiami wziętej modystki, dwie młode damy rozmawiały z wielkim ożywieniem. Widać było, że są zamożne; na prawo od nich stała starsza kobieta z malującym się na twarzy wyrazem znudzenia – niewątpliwie była jedną z ich przyzwoitek.

W pierwszej chwili Poppy sądziła, że mogą rozmawiać o kapeluszach, które kupiły, ale szybko zrewidowała swoją teorię. Ich oczy za bardzo błyszczały z ekscytacji; zwłaszcza blondynka wyglądała, jakby miała eksplodować z radości.

Była zakochana. Poppy nie miała co do tego wątpliwości. Doszła do wniosku, że rozmawiają o jakimś dżentelmenie i o tym, czy zamierza on się oświadczyć.

Z ich chichotów Poppy wywnioskowała, że zamierza.

Obcy byli nie tylko ludzie i ich język. Miasto tętniło życiem tak, jak nigdy nie zdarzało się w Londynie. Może było to zasługą kryształowej czystości nieba albo jaskrawej czerwieni dachówek na budynkach.

A może czterech *malasadas*, które zjadła zaledwie godzinę wcześniej.

Poppy była zafascynowana.

Kapitan James okazał się uroczym i chętnym do dzielenia się wiedzą przewodnikiem. Nie narzekał, kiedy zatrzymywała się przy każdej sklepowej wystawie ani kiedy uparła się, żeby wejść do kościoła i

dokładnie przyjrzeć się po kolei wszystkim witrażom. Prawdę mówiąc, wydawało się, że jej zachwyt sprawia mu przyjemność.

– Och, proszę popatrzeć tutaj – powiedziała chyba już po raz dziesiąty w ciągu pięciu minut. Przy każdym sklepie i straganie znajdowała coś godnego uwagi.

Tym razem była to bela pięknego, jasnego materiału, ozdobionego wzdłuż krawędzi delikatnym haftem. Poppy pomyślała, że doskonale nadawałby się na suknię, a haft wspaniale wyglądałby przy brzegu. A może na obrus, chociaż zmroziła ją myśl, że ktoś mógłby wylać na niego wino. Nigdy wcześniej nie widziała haftu w takim stylu, mimo że spędziła długie godziny w najbardziej eleganckich sklepach Londynu.

– Powinnaś go kupić – powiedział kapitan.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Nie mam przy sobie pieniędzy, a poza tym, jak miałabym, na Boga, wyjaśnić jego istnienie po powrocie do domu?

Wzruszył ramionami.

– Mogłabyś powiedzieć, że kupiłaś go w Kornwalii.

– W Kornwalii? – Skąd taki pomysł? – Czy w Kornwalii w ogóle mają coś takiego?

– Nie mam pojęcia. Ale na tym polega cały urok.

Poppy pokręciła głową.

– Nie mogę tak sobie oznajmić, że wyjechałam na dwa tygodnie do Kornwalii. To prawie tak samo nieprawdopodobne jak Portugalia.

– Prawie – powtórzył, tym razem nie kpiąco.

– Byłoby to równie trudno wytłumaczyć.

Nie wydawał się przekonany.

– Nie masz pojęcia, co czeka mnie po powrocie do Anglii.

Szczerze mówiąc, była nieco zdezorientowana jego nonszalancją.

– Ty też nie wiesz, co cię czeka – powiedział.

Wprawdzie miał rację, a jego słowa nie były nieuprzejme, ale pomyślała, że świadczą o całkowitym niezrozumieniu jej sytuacji.

Nie, to nie to. Doskonale rozumiał jej sytuację. Nie wiedział tylko, z jakim trudem przychodziło jej biernie oczekiwać swego losu.

Może on był jedną z tych osób, które potrafią czekać, aż zbiorą wszystkie informacje, zanim zaczną cokolwiek planować, ale ona do nich nie należała. Jeśli to oznacza, że będzie miała tuzin pomysłów, z których zrealizuje tylko jeden, niech i tak będzie.

A mianowicie:

Rozważała możliwość (wspaniałą), że Elizabeth nikomu nie powiedziała o zaginięciu Poppy.

Rozważała możliwość, że Elizabeth powiedziała tylko rodzinie Poppy, ale nikomu innemu.

Ale jeśli mąż Elizabeth wrócił wcześniej do domu?

Albo jeżeli pokojówka obiecała Elizabeth, że nic nikomu nie powie, ale wygadała się przed siostrą?

A jeśli pokojówka nie ma siostry? Jeśli była całkowicie sama na tym świecie i nie miała nikogo oprócz przyjaciółki z dzieciństwa, z którą często korespondowała, a która mieszka w Londynie i pracuje u księżnej Wyndham?

Poppy spotkała księżnę tylko raz i nie sądziła, żeby wielka dama darzyła ją szczególną sympatią. A z pewnością nie na tyle, by zachować taką nowinę dla siebie.

A jeżeli księżna Wyndham ma karciane długi i nie chce, żeby dowiedział się o tym jej mąż? Poppy nigdy nie słyszała żadnych plotek na ten temat, ale niewątpliwie było to możliwe. A jeżeli księżna miała długi, to mogło jej przyjść do głowy, żeby kogoś szantażować dla zdobycia pieniędzy.

Właśnie takie pytania… nie, nie to, żeby nie dawały Poppy spać nocami. Prawdę mówiąc, sypiała całkiem dobrze, kołysana do snu przez ocean. Ale

rozmyślała o tym w ciągu dnia. Patrzyła na ocean i myślała, myślała, myślała…

Nie chciała się jednak kłócić; przynajmniej nie dzisiaj, więc starała się, żeby nie zabrzmiało to wojowniczo, kiedy powiedziała:

– To prawda, że nie wiem, co mnie czeka. Możliwe, że wszystko, co mogło pójść dobrze, poszło dobrze. Czy to nie byłoby wspaniałe? Ale to nie przeszkadza mi wyobrażać sobie każdej możliwej sytuacji i obmyślać, jak mogłabym sobie z nią poradzić.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Opowiedz.

– Przepraszam?

– Opowiedz mi o jednym ze swoich planów.

– Teraz?

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Czemu nie?”

Z otwartymi ustami rozglądała się po sklepie. Pomyślała, że to dość dziwne miejsce na tak delikatną rozmowę.

– Nikt nie będzie nas rozumiał – powiedział. – A nawet jeśli ktoś coś zrozumie, to i tak nikt cię tu nie zna.

– Później – odparła.

Cieszyła się, że zapytał, ale z pewnością nie była gotowa rozmawiać o swojej przyszłości w samym środku portugalskiego sklepu z materiałami. Jego pomysł niemal ją rozbawił; to było tak bardzo męskie.

– Przy kolacji – zgodził się. – Przypomnę ci.

Skinęła głową.

– Będziemy jeść kolację na statku?

– Nie zrobiłbym ci czegoś takiego. Dziś jest twój dzień w Lizbonie. Pójdziemy do tawerny, w której często bywam. Myślę, że ci się spodoba. A teraz – machnął ręką w kierunku beli materiału – czy mam ci to kupić?

W normalnych okolicznościach Poppy nie przyjęłaby takiego prezentu od dżentelmena. Ale choć teraz okoliczności zdecydowanie nie były normalne,

i tak musiała odmówić.

– Nie mogę przyjąć takiego prezentu – powiedziała z żalem. – Ale staram się zapamiętać szczegóły haftu; może uda mi się go nauczyć.

– Umiesz haftować? – Wydawał się zaskoczony. Nie wiedziała dlaczego. Większość kobiet zajmuje się jakimś rodzajem robótek ręcznych.

– Niezbyt dobrze – przyznała, lekko muskając palcami elegancki wzór. – Ale lubię to. Uspokaja mnie. Oczyszcza umysł.

– Nie obraź się, ale trudno mi uwierzyć, że twój umysł może być kiedykolwiek oczyszczony.

Cóż, to było bardzo dziwne stwierdzenie. Gdyby zostało wypowiedziane innym tonem, Poppy mogłaby je odebrać jako obelgę.

– Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Ty zawsze myślisz.

– Czy nie na tym polega bycie człowiekiem?

– Ty jesteś inna – odparł i co ciekawe, spodobało jej się to.

– A ty masz coś takiego? – spytała. – Coś, co pozwala zająć ręce, żeby umysł się uspokoił?

Przyglądał jej się z dziwnym napięciem i Poppy zaczęła się zastanawiać, czy dobrze ją zrozumiał.

– Coś, co możesz robić i jednocześnie prowadzić rozmowę, jeśli trzeba, ale pomaga ci się wyciszyć. – Wzruszyła bezradnie ramionami. – Nie wiem, jak inaczej to wyjaśnić.

– Nie, rozumiem.

Wahał się przez chwilę, a może starał się po prostu starannie dobierać słowa. Ale potem uniósł rękę i dotknął haftu, który przed chwilą podziwiała.

– Lubię budować domki z kart – powiedział.

Na moment odebrało jej mowę.

– Przepraszam?

– Nigdy nie budowałaś domku z kart? Używasz zwykłych kart do gry i dwie pierwsze układasz na na kształt litery T – pokazał dłońmi, jakby trzymał w nich karty. – Potem dodajesz trzecią i ustawiasz H. Prawdę mówiąc, nie da się zacząć inaczej. Cóż, pewnie mogłabyś spróbować budować z trójkątów, ale to bardzo trudne. Nie polecałbym tej metody.

Poppy tylko patrzyła na niego. Nie sądziła, że może takie rzeczy traktować poważnie. Ale wydawało jej się to urocze.

– Kiedy początek konstrukcji stoi stabilnie – kontynuował – możesz dalej budować, jak ci serce podpowiada. – Zawiesił głos. – Dopóki któryś z twoich braci nie przyjdzie i wszystkiego nie zburzy.

Poppy zachichotała. Mogła sobie wyobrazić podobną scenę we własnym domu.

– Chyba nigdy tego nie robiłam. Nie przyszło mi do głowy, że z kart można coś zbudować.

– Potrzebujesz więcej niż jedną talię – powiedział z przekonaniem. – Jeśli chcesz, żeby było bardziej interesująco.

– Obawiam się, że ostatnio moje życie jest aż nazbyt interesujące.

Roześmiał się.

– Może uda mi się znaleźć w Lizbonie jedną lub dwie talie i jutro ci pokażę.

– Na statku?

– Och, racja. – Zacisnął usta zakłopotany. – Może być trudno.

Wyszli ze sklepu na tętniące życiem ulice Baixy. Okolica była naprawdę ładna, ale nagle coś przyszło Poppy do głowy. Odwróciła się do kapitana i spytała:

– Dlaczego ta część miasta wygląda na tak nową?

– Ach. – Zatrzymał się i spojrzał na nią. – Około trzydziestu lat temu było tu trzęsienie ziemi. Naprawdę potężne. Większa część starego miasta została zniszczona.

Poppy natychmiast rozejrzała się dookoła, jakby wypatrywała śladów trzęsienia ziemi.

– Ta okolica została w całości odbudowana – wyjaśnił kapitan.

– Te aleje są piękne – mruknęła Poppy, patrząc w stronę portu. – Takie proste.

Nie była pewna, czy w całej Anglii znalazłaby się choć jedna tak prosta i szeroka ulica.

– Nowe miasto zostało zbudowane na regularnym planie. – Zatoczył szeroki łuk ręką. – Zobacz, ile to dało światła. I jakość powietrza znacznie się poprawiła, bo już nie stoi nieruchomo w ślepych zaułkach.

Poppy nie zwróciła na to wcześniej uwagi, ale rzeczywiście czuła na skórze przyjemny powiew bryzy. Nie przypominała sobie, żeby doświadczyła czegoś podobnego w Londynie.

– To wspaniałe – powiedziała, wyciągając szyję i patrząc wzdłuż ulicy.

Budynki tworzyły harmonijną całość. Były niemal takie same, wysokie na cztery lub pięć pięter, z łukowymi arkadami na parterze. Okna tej samej wielkości na każdym piętrze rozmieszczono w idealnie równych odstępach.

Mogłoby się wydawać, że będzie to monotonne, ale tak nie było. Zupełnie nie. Każda kamienica miała inny charakter i różniła się od pozostałych drobnymi detalami, co nadawało całej ulicy radosny wygląd. Niektóre były pomalowane, inne nie. Jedną pokrywały nawet ceramiczne płytki. Większość miała balkony na pierwszym piętrze nad sklepami, ale fasady niektórych były zupełnie równe, a w innych balkony znajdowały się na każdym piętrze. I nie wszystkie budynki miały tę samą szerokość; większe liczyły po sześć lub osiem okien na każdym piętrze, inne zaś miały tylko po trzy.

A jednak, mimo wszystkich tych różnic, pasowały. Jakby nie mogły być zbudowane nigdzie indziej.

– Jest pięknie. Tak nowocześnie. – Spojrzała na kapitana Jamesa.

Przyglądał jej się z dziwnym napięciem, jakby naprawdę zależało mu na jej opinii na temat architektury. Niedorzeczne. Dlaczego miałoby mu na tym zależeć? To nie był jego dom, nie miał nic wspólnego z projektowaniem budynków.

A jednak, kiedy spojrzała mu w oczy, tak intensywnie niebieskie i pytające, poczuła, że bardzo chce podzielić się z nim swoimi przemyśleniami.

– Najbardziej interesujące – powiedziała, oglądając się za siebie – wydaje mi się to, że nie ma tu żadnego elementu, który wyglądałby obco. Okna, łuki… To styl neoklasyczny, prawda?

Skinął głową, a ona mówiła dalej.

– Ale to wszystko zestawione ze sobą właśnie tak jak tutaj tworzy coś całkiem nowego. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek widziała coś podobnego.

– Zgadza się – przyznał. – To jest naprawdę oryginalne. Staram się przychodzić tu za każdym razem, kiedy jestem w Lizbonie. Nie zawsze mi się udaje. Czasem w ogóle nie wychodzę z portu. Stare miasto też ma swoje uroki. Ale to… – Zatoczył krąg ręką, jakby zachwalając nowoczesność. – To jest przyszłość.

Nagle Poppy pomyślała, że nie rozumie, dlaczego został marynarzem. Nigdy nie mówił o morzu z takim ożywieniem. Nie wydawał się nieszczęśliwy, a przypuszczała, że wiele aspektów życia na morzu kapitan może wręcz kochać. Ale to budynki, architektura były jego prawdziwą pasją.

Zastanawiała się, czy on sam zdawał sobie z tego sprawę.

– Ale nie to jest najbardziej niezwykłe – powiedział nagle. – Chodź.

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą, a kiedy odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, zauważyła, że jego oczy jeszcze bardziej błyszczą z podniecenia. Nie miała pojęcia, co sprawiło, że tak się rozpromienił, ale wtedy wprowadził ją do jednej z nowych kamienic.

– Spójrz – powiedział. – Czy to nie zdumiewające?

– Nie jestem pewna, o czym mówisz – powiedziała ostrożnie.

Byli w jakimś budynku rządowym, nowym i eleganckim, ale poza tym niewydającym się niczym wyróżniać.

– Nie, nie możesz tego zobaczyć – powiedział, choć jednocześnie wskazał ręką… ścianę? drzwi?

– Powiedziałeś, że mam patrzeć.

Uśmiechnął się.

– Przepraszam. Rewolucyjne jest to, co znajduje się w ścianach. Każda z nich ma wewnątrz klatkę pombalińską.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Jaką klatkę?

– Pombalińską. To… mniejsza z tym, jak się nazywa. To całkiem nowy rodzaj konstrukcji, dzięki któremu budynki są odporniejsze na trzęsienia ziemi. Zaczyna się od drewnianej klatki.

– Klatki?

– Nikogo się w niej nie trzyma. – Roześmiał się z jej reakcji. – Pomyśl o tym raczej jak o czymś w rodzaju trójwymiarowej kratownicy. Jest wbudowana w ścianę i pokryta innym materiałem. Jeśli zdarzy się trzęsienie ziemi, pomaga rozkładać siły.

– Siły?

– Trzęsienia ziemi. Jeśli zostaną równomiernie rozłożone – wykonał ruch rękoma niczym Mojżesz rozdzielający wody Morza Czerwonego – wyrządzą mniejsze szkody.

– Przypuszczam, że to ma sens. – Zmarszczyła brwi, próbując sobie to wyobrazić.

Ale kapitanowi najwyraźniej zależało, żeby wszystko dokładnie zrozumiała.

– Pomyśl. Jeżeli pociągnę cię za włosy…

Odskoczyła od niego.

– Co?

– Nie, posłuchaj mnie. Obiecuję, że to będzie lekcja fizyki, a czy nie skarżyłaś się ostatnio, że za mało wiesz na ten temat?

Przewróciła oczami. Ależ dobrze zapamiętał.

– No dobrze. W takim razie zaczynajmy.

– Świetnie. Chodzi o rozłożenie siły. Jeśli pociągnę cię za mały kosmyk, będzie bolało.

Uniósł rękę i chwycił palcami kosmyk jej włosów. Nie było trudno, zważywszy, że nie miała wielkiej wprawy w ich upinaniu.

– Zaraz! Zamierzasz naprawdę ciągnąć mnie za włosy?

– Nie mocniej, niż ciągnęli cię za włosy twoi bracia.

Wróciła pamięcią do dzieciństwa.

– Niezbyt mnie to pociesza.

Kapitan zbliżył się nieco.

– Nie zrobię ci krzywdy, Poppy. Obiecuję.

Przełknęła ślinę. Nie była pewna, czy z powodu powagi w jego spojrzeniu, czy dlatego, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, ale uwierzyła mu.

– Dobrze, proszę.

Pociągnął – nie na tyle mocno, żeby poczuła ból, ale niewiele brakowało.

– A teraz wyobraź sobie, że złapałbym całą garść włosów. – Wygiął palce jak szpony, pokazując, jaką ilość ma na myśli.

– Och, nie. – Tego jej fryzura z pewnością nie mogłaby przetrwać.

– Nie zrobię tego, nie martw się – powiedział, po raz pierwszy tego wieczoru okazując nieco wrażliwości. – Ale wyobraź sobie, że pociągnąłbym. Nie zabolałoby.

Miał rację. Nie bolałoby.

– To dlatego, że siła byłaby rozłożona na większej powierzchni skóry. Dlatego na każde miejsce przypadłoby słabsze pociągnięcie. Co za tym idzie, mniej bólu.

– A więc mówisz – powiedziała Poppy – że gdybyś chciał zadać większy ból, trzymając więcej włosów, musiałbyś pociągnąć mocniej.

– Właśnie tak. Brawo!

To zabawne, jaką przyjemność sprawił jej ten komplement, tym bardziej że to ona miała teraz wystający z boku niesforny kosmyk włosów.

– A teraz – kontynuował, nie zwracając uwagi na jej próby poprawienia fryzury – weź pod uwagę, że nie wystarczy zbudować jakąkolwiek kratownicę i liczyć, że będzie skuteczna. Być może cokolwiek byłoby lepsze niż nic, ale jeśli wykorzystasz prawa fizyki, możesz zbudować niesłychanie wytrzymałą konstrukcję.

Poppy tylko patrzyła, kiedy przeszedł do wykładu na temat krzyży świętego Andrzeja, wsporników, kratownic i kogoś zwanego Fibonacci, kto prawdopodobnie już nie żył, ale kapitan był tak pochłonięty swoimi wyjaśnieniami, że Poppy nie zdobyła się na to, by mu przerwać.

Kiedy go obserwowała – a prawdę mówiąc, bardziej obserwowała, niż słuchała; stracił ją, kiedy zaczął mówić o złotym podziale w geometrii – uświadomiła sobie, że na jej oczach kapitan stał się zupełnie inną osobą. Nawet jego zachowanie się zmieniło. Widziała go jako kapitana, pewnego siebie i zdecydowanego; widziała go jako pirata o smukłych kończynach i miękkich ruchach.

Ale teraz jego ręce poruszały się w powietrzu, jakby kreślił plany; niemal podskakiwał, kiedy na niewidzialnym papierze rysował ilustracje i zapisywał równania. Poppy nie miała pojęcia, o czym mówi; prawdę mówiąc, nie rozumiała ani słowa.

Ale widok był imponujący.

Już nie był kapitanem, nie był piratem. Był po prostu Andrew. Tak miał przecież na imię, prawda? Powiedział jej to pierwszego dnia. „Kapitan Andrew James, do usług” albo jakoś podobnie. Nie myślała o tym od tamtego czasu; nie myślała o nim inaczej niż „kapitan James” albo po prostu „kapitan”.

– Rozumiesz? – spytał, a ona zdała sobie sprawę, że naprawdę jest dla niego ważne, żeby zrozumiała.

– Ja… nie – przyznała. – Ale brakuje mi wyobraźni, żeby stworzyć w myślach taki obraz. Gdybym zobaczyła to na papierze, myślę, że zrozumiałabym.

– Oczywiście – powiedział, sprawiając wrażenie niemal przygnębionego.

– Myślę, że to bardzo interesujące – dodała pospiesznie. – Wręcz rewolucyjne. Mówiłeś, że nikt wcześniej nie zrobił czegoś podobnego. Pomyśleć, ilu ludziom mogło to uratować życie.

– I będzie działać. Nie było już potem trzęsienia ziemi o tej samej sile, ale gdyby się, nie daj Boże, przytrafiło, te budynki przetrwałyby. Inżynierowie to przetestowali.

– Jak mogli je przetestować?

– Żołnierze. – Oczy Andrew rozszerzyły się z podniecenia. – Wprowadzili do środka setki żołnierzy i kazali im maszerować w miejscu.

Poppy otworzyła usta ze zdumienia.

– Żartujesz.

– Ani trochę.

– Kazali żołnierzom maszerować, i to na tyle zatrzęsło budynkiem, że dało się porównać do trzęsienia ziemi?

– Wystarczająco, żeby uznali, że konstrukcja jest skuteczna.

– I to jest coś, co naprawdę uwielbiam – powiedziała Poppy. – Wziąć problem, który nie ma rozwiązania, zupełnie żadnego, i rozwiązać go w tak niespodziewany sposób. Moim zdaniem to wymaga prawdziwego geniuszu.

– A to nie wszystko – mówił, zabierając ją z powrotem na zewnątrz, na szeroką aleję dla pieszych. – Spójrz na fasady. Mogą ci się wydawać całkiem zwyczajne…

– Wcale nie – zaprzeczyła energicznie. – Uważam, że są bardzo eleganckie.

– Ja także – powiedział, wyraźnie zadowolony z jej opinii. – Ale chodzi mi o to, że większość z tych budynków, a właściwie większość części każdego z nich została zbudowana gdzie indziej.

Poppy spojrzała na jeden z budynków, a potem znowu na Andrew.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

Wskazał najbliższą fasadę.

– Większość elementów tych budynków została złożona w innym miejscu, gdzie jest znacznie większa przestrzeń, dzięki czemu kamieniarze i cieśle mogą pracować równocześnie nad jedną rzeczą. To wielka oszczędność czasu i pieniędzy, na przykład montować jednocześnie wszystkie ramy okien.

Poppy spojrzała wzdłuż ulicy, próbując sobie wyobrazić jakieś wielkie pole, pełne pojedynczych ścian i ram okiennych.

– I przywieźli to wszystko tutaj? Na wozach?

– Tak myślę. Chociaż może raczej barkami.

– Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

– Nieczęsto się tak robi. To się nazywa prefabrykacja.

– Fascynujące. – Poppy powoli pokręciła z podziwem głową, myśląc o wszystkim naraz – o architekturze, o tym, że naprawdę znalazła się w Lizbonie, a ludzie mówią po portugalsku i…

– Co? – spytała. Andrew patrzył na nią bardzo dziwnie.

– Nic takiego – powiedział cicho. – Naprawdę. Po prostu większość ludzi nie uważa tego za ciekawe.

– Ja uważam. – Wzruszyła ramionami. – Ale, z drugiej strony, mnie wszystko interesuje.

– I właśnie dlatego wpakowałaś się w kłopoty – zauważył cierpko.

– Nie tylko dlatego. – Westchnęła. – Powinnam była pójść plażą w drugą stronę.

Powoli skinął głową i nagle całkowicie ją zaskoczył, mówiąc:

– A jednak teraz cieszę się, że nie poszłaś. Ale tylko dzisiaj!

Przez resztę popołudnia Poppy nie myślała o niczym innym.

17

Andrew zabrał Poppy do małej tawerny w pobliżu portu. Był tam wcześniej już niezliczoną ilość razy, podobnie jak większość jego załogi, i wprawdzie nigdy nie zabrałby damy w podobne miejsce w Anglii, ale najwyraźniej tu, w Portugalii, obowiązywały inne reguły.

Poza tym żona właściciela była doskonałą kucharką i nie mógłby znaleźć lepszego miejsca, w którym Poppy mogłaby spróbować prawdziwej portugalskiej kuchni.

– To nie będzie podobne do niczego, co znasz – ostrzegł, sięgając do klamki.

Oczy jej rozbłysły.

– To dobrze.

– Klienci mogą być trochę nieokrzesani.

– Nie jestem aż tak bardzo wrażliwa.

Andrew otworzył z rozmachem drzwi.

– A zatem chodźmy!

Natychmiast zostali przywitani.

– Kapitan! – Podbiegł właściciel tawerny, *senhor* Farias, mężczyzna w średnim wieku. Przez lata nauczył się trochę angielskiego i mówił znacznie lepiej niż Andrew po portugalsku. – Jak dobrze pana widzieć. Słyszałem, że pański statek zawinął do portu i zastanawiałem się, gdzie pan jest.

Andrew uśmiechnął się szeroko. Zawsze miło być witanym jak stary przyjaciel.

– *Senhor* Farias, cała przyjemność po mojej stronie. Jak wiedzie się pańskiej rodzinie?

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Moja Maria wyszła za mąż. Niedługo będę… jak to nazywacie… nie ojcem, tylko… – Pstrykał palcami z niecierpliwością, jak zwykle, kiedy starał się coś sobie przypomnieć. Andrew widział to wielokrotnie.

– *Avô, avô* – mówił. – Nie ojciec tylko…

– Dziadek?

– Tak! Będę dziadkiem.

– Gratulacje, przyjacielu. *Senhora* Farias musi być bardzo zadowolona.

– *Sim*! Jest bardzo szczęśliwa. Uwielbia małe dzieci. Ale, ale, kto to jest? – *Senhor* Farias w końcu zauważył Poppy stojącą nieco z tyłu obok Andrew.

Ujął jej dłoń i ucałował.

– Czy to pańska żona? Ożenił się pan? *Parabéns*, kapitanie! Gratuluję!

Andrew zerknął na Poppy. Zarumieniła się ogniście, ale nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej.

– To moja kuzynka – odparł Andrew, ponieważ takie kłamstwo wydało mu się najbezpieczniejsze. Jeśli jego ludzie jeszcze nie przyszli do Taberna da Torre, to na pewno wkrótce się pojawią i z pewnością nie omieszkają podzielić się wieścią, że na pokładzie „Infinity” płynie kobieta.

– Jest gościem w naszym rejsie.

– A więc jest miłym gościem w mojej tawernie – powiedział *senhor* Farias, prowadząc ją do stołu. – Przyniosę tylko najlepsze potrawy.

– Czy chce mi pan powiedzieć, że któreś z pańskich potraw nie są najlepsze?

– Nie – odparł z głębokim przekonaniem *senhor* Farias. – Moja żona nie gotuje niczego niedobrego. Wszystko jest najlepsze. Więc przyniosę pańskiej kuzynce wszystko.

Poppy otworzyła usta i przez moment wyglądała, jakby chciała odmówić.

– Byłoby cudownie – powiedziała jednak.

Senhor Farias wziął się pod boki.

– Czyżby kapitan pani nie karmił?

– Jedzenie na „Infinity” jest bardzo dobre – zapewniła Poppy. – Ale nigdy nie próbowałam portugalskiego jedzenia, oprócz *malasadas*, i jestem bardzo ciekawa.

– To bardzo ciekawska dama! – zawołał Andrew, idąc za nimi.

Poppy spojrzała na niego znacząco.

– To można rozumieć na różne sposoby.

– I każdy będzie prawidłowy.

Zrobiła z ustami coś dziwnego, co zapewne było odpowiednikiem przewrócenia oczami, i radośnie pomaszerowała z *senhorem* Fariasem do najlepszego stołu.

– Proszę siadać, proszę siadać – zachęcił.

Spojrzał najpierw na nią, potem na Andrew, i jeszcze raz na nią.

– Przyniosę wino.

– Jest uroczy! – szepnęła, kiedy tylko usiedli.

– Wiedziałem, że go polubisz.

– Czy wszyscy Portugalczycy są tak przyjaźni?

– Wielu, ale żaden tak jak on.

– I niedługo będzie dziadkiem! – Poppy klasnęła w ręce, a jej uśmiech mógłby rozjaśnić całe pomieszczenie. – Tak się cieszę, a przecież wcale go nie znam.

– Moja matka mawia, że to jest oznaka naprawdę dobrej osoby, jeśli cieszy się z powodu kogoś, kogo nie zna.

Zmarszczyła brwi.

– To dziwne. Moja ciotka mówi to samo.

Andrew przygryzł język. Niech to, oczywiście, że lady Bridgerton mówiła to samo. Ona i jego matka były najbliższymi przyjaciółkami.

– Często się to słyszy – odparł.

Było to zapewne kłamstwo. A może nie. Na ile mógł się zorientować, wszystkie damy z towarzystwa jego matki mówiły to samo.

– Naprawdę? Nigdy nie słyszałam, żeby mówił to ktoś inny, ale z drugiej strony, nie mam aż tak wielu znajomych.

A potem, rozwiewając wszelkie obawy o to, że jego uwaga mogła się jej wydać podejrzana, nachyliła się z poważną miną i powiedziała:

– Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, co przyniesie *senhor* Farias. Jestem taka głodna.

– Ja też. Dwie *malasadas* to jeszcze nie posiłek.

Pogroziła mu palcem.

– Sam zdecydowałeś oddać mi jedną ze swoich.

– Trzy też nie wystarczą. I najwyraźniej – tym razem to on pogroził jej palcem – cztery również nie.

Roześmiała się i uśmiechnęła do *senhora* Fariasa, kiedy przyszedł nalać im wina. Gdy odszedł, rozpromieniona powiedziała:

– Chcę spróbować wszystkiego.

Andrew uniósł szklankę.

– Za wszystko – powiedział.

Uśmiechnęła się, jakby to był najbardziej czarujący toast, jaki kiedykolwiek słyszała.

– Za wszystko.

Andrew usiadł wygodnie i obserwował ją z dziwnym poczuciem dumy. Minęło dużo czasu, odkąd ostatnio pokazywał komuś atrakcje miasta – jakiegokolwiek miasta. Większość interesów – dla rządu i nie tylko – załatwiał sam. A kiedy wypuszczał się do miasta z ludźmi ze swojego statku, to nie było to samo. Byli przyjaciółmi, ale nie równymi sobie i ta różnica zawsze stała między nimi.

Tymczasem z Poppy każda chwila była przyjemnością. A on zaczynał myśleć, że może jednak jej obecność na „Infinity” nie była aż taką katastrofą, jak się obawiał.

Od samego początku wiedział, że być może będzie zmuszony poślubić tę dziewczynę, ale teraz zaczynał się zastanawiać, czy na pewno byłoby to dla niego ciężarem. Gdzie znalazłby kogoś, dla kogo klatki pombalińskie byłyby interesujące? Kto przyjmowałby każdą z jego kąśliwych uwag, odwracał ją i rzucał w niego z jeszcze większą siłą?

Była mądra – jego Poppy.

I pocałowała go. Pocałowała go najlżejszym, najbardziej ulotnym muśnięciem warg, jakie kiedykolwiek czuł. A jednak było to coś więcej.

Poppy Bridgerton pocałowała go i to było monumentalne.

Czuł to we krwi i na skórze. A kiedy w końcu udało mu się zasnąć tamtej nocy, nie dawało mu spokoju w snach. Obudził się, pragnąc jej aż do bólu, co w niczym nie przypominało zwykłych porannych erekcji. Nie mógł nawet nic na to poradzić, bo spał w kajucie nawigatora.

Carroway to porządny chłop, ale każda przyjaźń ma granice.

Jeśli się zastanowić, to każda przyjaźń ma tę granicę. A jeśli nie ma, to – do diabła – powinna.

– O czym myślisz? – spytała Poppy.

Ponieważ pod żadnym pozorem nie zamierzał jej wyjawić prawdy, powiedział:

– Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy zanieść posiłku Josému. Od rana tak ciężko pracował.

Spojrzała na niego z irytacją.

– Jesteś okropny.

– Wciąż to powtarzasz, ale jeszcze mnie nie przekonałaś.

– Nie chce mi się wierzyć, że ja pierwsza próbuję – prychnęła.

– Och, oczywiście, że nie. Moja rodzina już dawno zrezygnowała z prób zaszczepienia w mojej duszy poczucia przyzwoitości.

Przyjrzała mu się badawczo.

– To strasznie dużo słów, żeby powiedzieć, że zachowujesz się paskudnie.

– Rzeczywiście. I prawdopodobnie dlatego uchodzi mi to na sucho. – Nachylił się ku niej z łobuzerskim uśmiechem. – Złote usta i tak dalej.

– Rzeczywiście, i tak dalej.

Zachichotał, słysząc jej rozdrażniony ton.

– Wspominałem już, że jestem rekordzistą pod względem tego, ile razy byłem relegowany z Eton?

– Uczyłeś się w Eton?

– Tak – potwierdził i uświadomił sobie, że nie przejął się ujawnieniem tak charakterystycznego szczegółu ze swej przeszłości.

Przyglądała mu się przez chwilę, a jej oczy błyszczały ciekawością jak szmaragdy.

– Kim jesteś?

Nie po raz pierwszy zadawała to pytanie. I nie po raz pierwszy zadawała je głosem tak pełnym niedowierzania. Ale po raz pierwszy jego odpowiedzią było coś innego niż szeroki uśmiech albo pobłażliwy śmiech.

Pierwszy raz odpowiedź pochodziła z głębi serca.

– To dziwne – powiedział, słysząc we własnym głosie, że te słowa płyną z jakiegoś niezbadanego jeszcze zakątka duszy – ale myślę, że teraz znasz mnie równie dobrze jak każdy inny.

Znieruchomiała, a kiedy na niego popatrzyła, jej spojrzenie było zaskakująco szczere.

– Zupełnie cię nie znam.

– Tak właśnie myślisz?

Nie znała jego prawdziwego imienia, nie znała jego historii, nie wiedziała, że dorastał z jej kuzynami w Kencie. Nie wiedziała, że był synem lorda ani że wykonywał tajne misje dla Korony.

Nie znała żadnego z tych szczegółów, ale znała jego. Miał przerażające poczucie, że być może jest pierwszą osobą, która naprawdę go poznała.

I nagle uświadomił sobie, że to wcale nie jest przerażające, ale raczej…

Raczej miłe.

Rodzina zawsze uważała go za kogoś w rodzaju błazna, a on sam niewiele zrobił, żeby ich przekonać, że jest inaczej. Był relegowany z Eton wielokrotnie – ale nigdy za wyniki w nauce. Był zbyt niespokojnym chłopcem, żeby zdobywać najwyższe oceny – to prawda, ale radził sobie całkiem nieźle.

Jego występki zawsze dotyczyły zachowania. Dowcip wymierzony w kolegę, który jakimś cudem dotykał nauczyciela. Psikus przeznaczony dla nauczyciela, który jakimś cudem trafiał na dyrektora szkoły. Niestosowny śmiech w jadalni. Niestosowny śmiech w kościele. Szczerze mówiąc, niestosowny śmiech wszędzie.

A więc jeśli rodzina uważała go za niemądrego, albo przynajmniej niepoważnego, to rzeczywiście miała ku temu powody.

Ale to nie było wszystko. Nie cały on. Robił ważne rzeczy. Ważne rzeczy, o których nikt nie wiedział.

Nie przeszkadzało mu to,

Cóż, nie przeszkadzało mu bardzo.

Zerknął przez stół na Poppy, zdumiony, że wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę w ciągu niecałej sekundy.

– Czy myślisz, że znasz mnie? – spytała.

– Tak. – Nie musiał się nad tym zastanawiać.

Prychnęła.

– To niedorzeczne.

– Wiem, że lubisz układanki – powiedział.

– Każdy lubi…

– Nie, nie każdy – przerwał jej. – Nie tak, jak ty i ja.

Zaskoczyła ją jego żarliwość.

– Wiem też – mówił dalej – że jeśli wyznaczysz sobie zadanie, to nie spoczniesz, dopóki go nie wykonasz. Nie wszyscy są tacy – dodał, widząc zaskoczenie malujące się na jej twarzy. – Nawet ci, którzy lubią układanki.

– Ty jesteś taki sam – powiedziała, broniąc się.

– Wiem. – Wzruszył ramionami. – Nie przejmuję się tym.

Uniosła dumnie głowę.

– Ja też nie.

Nie mógł nie być rozbawiony jej postawą.

– Nie zarzucam ci niczego niegodziwego. Moim zdaniem to jest komplement.

– Och. – Zarumieniła się lekko, a on z rozbawieniem obserwował, jak wydawała się skrępowana, jakby nie mogła pogodzić się z pochwałą.

– I wydaje ci się, że co jeszcze o mnie wiesz?

Uśmiechnął się mimowolnie.

– Domagasz się komplementów?

– Na pewno nie – fuknęła. – Nie mam powodu oczekiwać, że wszystkie pańskie odpowiedzi będą równie pochlebne.

– Doskonale. – Zastanowił się przez chwilę. – Wiem, że nie lubisz ukrywać swojej inteligencji.

– Czy widziałeś kiedyś, żebym to robiła?

– Nie – przyznał. – Ale nie miałaś powodu. Znam dość dobrze wyższe sfery, żeby wiedzieć, że w Londynie podlegasz zupełnie innym ograniczeniom niż na pokładzie „Infinity”.

– Powinnam powiedzieć, że nie podlegam żadnym ograniczeniom – odparła z łobuzerskim uśmiechem – poza tym, że jestem zamknięta w kajucie.

– Powiedziała dama pożywiająca się w lizbońskiej tawernie.

– *Touché* – przyznała, wyglądając, jakby usilnie powstrzymywała uśmiech.

Nachylił się ku niej nieznacznie.

– Wiem, że mówisz po francusku, że nie masz choroby morskiej i że całym sercem tęsknisz za swoim bratem Rogerem.

Spojrzała na niego ponuro.

– Wiem, że go uwielbiałaś, nawet jeżeli dręczył cię, jak wszyscy dobrzy starsi bracia, i wiem, że on kochał cię żarliwiej, niż mogłabyś przypuszczać.

– Nie możesz o tym wiedzieć – szepnęła.

– Oczywiście, że mogę. – Skinął głową, unosząc jedną brew. – Ja też jestem bratem.

Rozchyliła usta, ale najwyraźniej nie wiedziała, co powiedzieć.

– Wiem, że jesteś lojalna.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu wiem.

– Ale…

– Spędziłem większą część ostatniego tygodnia w twoim towarzystwie. Nie muszę widzieć demonstracji lojalności, żeby wiedzieć, że jest to cecha, którą posiadasz.

Zamrugała kilka razy oczami, przysłaniając długimi rzęsami oczy o nieco rozkojarzonym spojrzeniu. Wydawało się, jakby patrzyła w jakiś punkt na przeciwległej ścianie, ale było jasne, że wszystko, co widziała, rozgrywało się w jej głowie. W końcu, kiedy już miał przypomnieć jej o swojej obecności, wyprostowała się i popatrzyła mu w oczy.

– Wiem coś o tobie.

Nie przypomniał jej, że przed chwilą powiedziała, że wcale go nie zna. Za bardzo chciał usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Zanim zdążył spytać, przy stole pojawił się *senhor* Farias z talerzem smażonych przekąsek.

– *Bolinhos de bacalhau*! – oznajmił. – Ale musicie poczekać. Są jeszcze za gorące.

Poppy przyjrzała się talerzowi.

– Wielkie nieba, jeszcze skwierczą.

Senhor Farias był już w pół drogi do kuchni i nawet się nie odwrócił, tylko pstryknął palcami nad głową i zawołał:

– Za gorące!

Poppy uśmiechnęła się i Andrew wiedział, że powinien pozwolić, żeby rozmowa zeszła na posiłek, który mieli przed sobą, ale ona miała powiedzieć coś ważnego i nie zamierzał tego odpuścić.

– Powiedziałaś, że mnie znasz.

– Hm? – Wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła pulpecika.

– Za gorące! – zawołał *senhor* Farias.

Poppy drgnęła i rozejrzała się, szukając wzrokiem właściciela tawerny.

– Jak on mógł to zobaczyć? – zastanawiała się. – Przecież nie ma go tutaj.

– Poppy.

– Myślisz, że są już gotowe?

– Poppy – powtórzył.

W końcu zwróciła na niego uwagę i uśmiechnęła się szeroko.

– Zanim przyszedł *senhor* Farias – zaczął Andrew – powiedziałaś, że mnie znasz.

– Och, tak. Prawda. Tak powiedziałam.

– I? – Machnął dłonią, ponaglając ją.

– Dobrze. – Wyprostowała się, niemal jak nauczycielka szykująca się do lekcji. – Wiem, że nie jesteś tak twardy, za jakiego chciałbyś uchodzić w oczach innych. Billy powiedział, że nie pozwalasz mu samemu chodzić po Lizbonie.

– Jest dzieckiem.

– Które opuściło dom i żyje na statku – odparła. – Czy wielu chłopców w jego położeniu podlega takim restrykcjom?

– Nie – przyznał Andrew. – Ale on nie mówi w tutejszym języku. I jest bardzo drobny jak na swój wiek.

Jej uśmiech był nieco krzywy, ale triumfalny.

– A ty się o niego troszczysz.

Andrew szarpnął za krawat. To śmieszne, że poczuł się zakłopotany czymś takim. Przecież tylko chronił małego chłopca. Wszyscy powinni tak postępować.

– Poza tym bardzo dobrze traktujesz swoich ludzi.

– Dbam o swoje interesy. Rozmawialiśmy już o tym.

Roześmiała mu się prosto w twarz.

– Proszę. Powiedziałeś wyraźnie, że głównym powodem, żeby dobrze karmić swoich ludzi nie jest interes, ale to, że są ludźmi.

– Zapamiętałaś to, tak?

– Wszystko pamiętam.

W to nie wątpił ani przez sekundę. Ale czuł się dziwnie nieswojo, słuchając jej pochwał – przynajmniej za takie rzeczy. Cóż za kompletna bzdura. On tylko postępował jak należy ze swoją załogą. Ale mężczyzn uczono czerpać dumę z siły, a nie z dobrych uczynków, i nie umiał po prostu podziękować.

– Myślę, że nadają się już do jedzenia – powiedział, wskazując ruchem głowy talerz.

Poppy, która jeszcze przed chwilą tak bardzo chciała spróbować przekąsek, że gotowa była poparzyć palce, tylko wzruszyła ramionami.

– Nie jesteś głodna? – Wiedział, że była. Starała się tylko postawić na swoim.

Wskazał ręką czekający posiłek.

– Tracimy czas.

– Tak myślisz? – mruknęła dokładnie takim samym tonem, jakiego użyła, wypowiadając te same słowa kilka minut wcześniej, co nie mogło być przypadkowe. Nie u niej.

Wyciągnął rękę i nabił jeden pulpet na widelec.

– Nie będziemy jedli palcami?

– Jestem tylko ostrożny. Na wypadek gdyby…

– Nie za gorące! – zawołał *senhor* Farias.

Andrew zerknął na nią i uśmiechnął się.

– Palcami.

Poppy wzięła jedną kulkę, ugryzła i natychmiast drgnęła zaskoczona.

– Myślałam, że to będzie słodkie.

Roześmiał się i dopiero wtedy uświadomił sobie, że nikt, ani on, ani *senhor* Farias, nie powiedział jej – po angielsku – co będą jedli.

– Solony dorsz – wyjaśnił. – Jest tu bardzo lubiany. Mówi się, że Portugalczycy znają tyle przepisów na potrawy z tej ryby, że mogą nimi oznaczać dni roku. To jeden z najpopularniejszych przepisów.

– Smakuje trochę jak… – Poppy mlasnęła kilka razy z nieobecną miną. – Nieważne, nie jestem pewna, do czego to jest podobne. Ale… och! Proszę spojrzeć. – Pomachała wolną ręką w stronę wejścia. – Tam jest Billy.

Uśmiechnęła się i gestem zaprosiła do ich stołu.

– Panna Poppy! Kapitan panią wypuścił! – Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia, kiedy uświadomił sobie, że powiedział to w obecności swojego szefa. – Przepraszam, sir. Ja nie… To znaczy…

Billy nerwowo przełknął ślinę.

– Mówiłem jej, że pan wcale nie jest taki zły, sir. Prawdę mówiąc, mówiłem, że jest pan najlepszy ze wszystkich. Przysięgam.

Andrew spojrzał na Poppy, unosząc jedną brew, jakby oceniał wypowiedź Billy’ego.

– Co pani na to, panno Bridgerton? Czy pan Suggs mówi prawdę?

– To twoje nazwisko? Chyba go nie znałam.

Billy nerwowo skinął głową i Andrew doszedł do wniosku, że nie będzie go dłużej dręczyć.

– Nie ma za co przepraszać, Billy. Rzeczywiście ją wypuściłem.

– I bądź pewien, że zamierza znowu mnie zamknąć w drodze powrotnej – dodała konspiracyjnym szeptem.

Oczy Billy’ego komicznie rozszerzyły się z przerażenia.

– To był żart, Billy – powiedziała Poppy. – Cóż, może nie dokładnie żart, bo to prawda, ale żartowałam.

– Ehm? – Billy spojrzał błagalnie na Andrew, który tylko wzruszył ramionami. Lepiej, żeby chłopak nauczył się jak najszybciej, że nadążanie za kobietą w rozmowie bywa niezwykle trudne.

– Przyszedłeś tu sam? – spytała Poppy. – Przed chwilą chwaliłam kapitana za to, że wymaga, aby towarzyszył ci ktoś dorosły.

Billy gwałtownie pokręcił głową.

– Brown przyprowadził mnie, idąc do miasta. Powiedział, że przyjdzie po mnie za jakiś czas.

Poppy sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Chciałeś tu spędzać czas sam?

– *Senhor* Farias pozwala mi karmić swojego kota – wyjaśnił z uśmiechem Billy. – Nazywa się Whiskers. No, w każdym razie ja go tak nazywam. Ma portugalskie imię, ale nie umiem go wymówić. Jest niesamowicie przyjazny. Pozwala mi się czochrać po brzuszku i w ogóle.

Kiedy Billy wybiegł bocznymi drzwiami, Andrew zwrócił się do Poppy.

– Przychodzi tu za każdym razem, kiedy jesteśmy w Lizbonie. Spędza z tym stworzeniem całe godziny.

– W głębi duszy jest jeszcze małym chłopcem – powiedziała cicho. – Czasem zapominam… Przypuszczam, że musiał dorosnąć znacznie szybciej niż ja.

Andrew przytaknął. Kiedy był w wieku Billy’ego, wciąż jeszcze bawił się z rodzeństwem i sąsiadami. Jego największym zmartwieniem było to, jak zimna będzie woda w jeziorze, jeśli wrzucą go do niej bracia.

– Nie macie kota na statku? – spytała Poppy.

Już miał wyjaśnić, że kot okrętowy jest okropną, złośliwą bestią, kiedy jego uwagę przykuło nagłe poruszenie. Zerknął dyskretnie przez ramię, ale zobaczył tylko właściciela tawerny. A jednak…

To dziwne.

Jowialny *senhor* Farias stał nieruchomo. Zbyt nieruchomo.

Senhor Farias nigdy nie stał nieruchomo. Witał klientów, nalewał wino, ale nigdy nie stał w bezruchu. A już na pewno nie tak, jak teraz: przyciśnięty sztywno plecami do ściany, z rozbieganym wzrokiem.

Coś było nie w porządku.

– Poppy – powiedział cicho. – Musimy iść.

– Co? Nie skoń…

Kopnął ją pod stołem.

– Natychmiast.

Otworzyła szeroko oczy i nieznacznie skinęła głową.

Andrew nawiązał kontakt wzrokowy z *senhorem* Fariasem, a potem spojrzał na drzwi, dając mu do zrozumienia, że zamierza wyjść. *Senhor* Farias wskazał oczami trzech groźnie wyglądających mężczyzn przy oknie w głębi, sygnalizując źródło problemu.

Andrew wstał, lecz nie na tyle szybko, żeby wyglądało, że się spieszy.

– *Obrigado* – powiedział głośno, chwytając Poppy mocno za rękę. – Zobaczymy się, kiedy będę następnym razem w Lizbonie.

Pociągnął za sobą Poppy, a *senhor* Farias przytaknął, może z nieco zbyt wielkim entuzjazmem.

– Dziękuję, *senhor* – powiedziała Poppy, starając się nadążyć za Andrew.

Senhor Farias uśmiechnął się niepewnie i niemal udało się im wyjść. Niemal. Kiedy już tylko kilka kroków dzieliło ich od progu, Poppy nagle wyszarpnęła rękę i wykrzyknęła:

– Och, ale Billy!

Andrew próbował znowu chwycić ją za rękę, ale ona już pędziła do bocznych drzwi.

– Poppy! – zawołał, starając się nie okazać paniki. – Zabierzemy go później.

Pokręciła głową, wyraźnie nie chcąc zostawić chłopca w niebezpiecznym miejscu. Powiedziała coś – zapewne, że Billy jest na zewnątrz, Andrew nie

usłyszał tego wyraźnie – i wysunęła głowę.

Niech to diabli. Billy był znacznie bezpieczniejszy tam, gdzie był. Czegokolwiek – albo kogokolwiek – chcieli ci ludzie, nie chodziło im o trzynastoletniego chłopca z Portsmouth. To jednak nie zapewniało mu bezpieczeństwa. Gdyby Billy stanął im na drodze, zabiliby go bez chwili wahania.

Andrew ostrożnie poszedł za Poppy. Mogli jeszcze wyjść tylnymi drzwiami. Droga do bezpiecznej ulicy będzie dłuższa, ale dadzą radę.

– Och! – usłyszał głos Poppy. – Przepraszam!

Potem umilkła, ale kiedy Andrew dotarł do drzwi, krew mu się ścięła. W bocznej uliczce stali jeszcze dwaj ludzie. Jeden z nich trzymał rękę na ramieniu Billy’ego.

Drugi trzymał Poppy.

Przez resztę swoich dni Andrew wspominał ten moment, jakby w zwolnionym tempie. A jednak choć doskonale pamiętał każdy szczegół, nie przypominał sobie, żeby cokolwiek myślał. Słowa, język… wszystko zniknęło wyparte przez krwistą falę wściekłości.

Rzucił się naprzód, odpychając na bok Poppy, i chwycił bandytę za gardło. Jednak w kilka sekund został otoczony i przyciśnięty do ściany tawerny, trzymany za ręce przez zbirów z tej samej bandy, którą widzieli w środku.

Rozglądał się gorączkowo, próbując ocenić sytuację. Było jasne, że trójka, którą widzieli wewnątrz, była tylko częścią większej grupy. Andrew nie był pewien, ilu ich było. W uliczce naliczył czterech, ale z odgłosów dobiegających przez otwarte drzwi domyślał się, że co najmniej tylu jest w tawernie.

Czterej mężczyźni rozmawiali po portugalsku zbyt szybko, żeby Andrew mógł ich zrozumieć, a ten, który trzymał Poppy, zmienił pozycję, obrócił ją plecami do siebie i muskularnym ramieniem chwycił za szyję.

– Zabieraj od niej łapy! – ryknął Andrew, ale ten kretyn tylko się zaśmiał, a Poppy wydała zdławiony okrzyk, kiedy zbir zacisnął chwyt.

– Ty synu… – ale nie dokończył, przyciśnięty do ściany tawerny.

Człowiek trzymający Poppy zaśmiał się znowu i nawinął sobie na palec kosmyk jej włosów, a potem podrapał ją pod brodą.

Ten zginie pierwszy.

Andrew nie miał pojęcia, jak to zrobi, ale Bóg mu świadkiem, wiedział, że go wypatroszy.

– Puść ją!

Billy. Wielkie nieba, zapomniał o chłopaku. I najwyraźniej wszyscy pozostali też, ponieważ nikt go nie zatrzymał, kiedy podbiegł i kopnął zbira trzymającego Poppy w łydkę.

– Billy, nie! – krzyknął Andrew, bo było oczywiste, że chłopiec nie ma żadnych szans.

Ale trzynastoletni urwis z podejrzanej dzielnicy Portsmouth miał serce dżentelmena i nie zamierzał pozwolić, żeby honor jego damy doznał uszczerbku.

– Puszczaj ją! – wrzasnął znowu Billy.

A potem – wielkie nieba, zabiją go za to – wbił zęby w ramię potężnego mężczyzny.

Ryk bólu, jaki się rozległ, mógł zmrozić krew w żyłach. Andrew nie miał pojęcia, czy to była zemsta, czy reakcja na ból, ale pięść zbira z całą siłą spadła na głowę Billy’ego.

Billy osunął się na ziemię.

– Billy! – krzyknęła Poppy.

A wtedy – co Andrew obserwował z mieszaniną podziwu i przerażenia – Poppy wpadła w szał.

– Ty bestio! – warknęła i zadała dwa ciosy, najpierw nogą w śródstopie, a potem kościstym łokciem w żołądek.

Uderzenie w stopę niewiele dało, ale cios łokciem oszołomił go na tyle, że zbir puścił Poppy, która rzuciła się ku Billy'emu, ujęła jego głowę i próbowała ocucić.

– To dziecko! – syknęła.

– *Ele me mordeu*! – Mężczyzna, który ją trzymał, pokazał ociekające krwią przedramię.

Poppy na moment oderwała wzrok od Billy'ego i warknęła:

– Cóż, sam jesteś sobie winny.

Pozostali bandyci wybuchnęli śmiechem, co wcale nie poprawiło mu nastroju; wyrzucił z siebie potok przekleństw.

Zabawne, że to Andrew zrozumiał.

– Billy – mówiła Poppy, odgarniając chłopcu włosy z twarzy. – Proszę, ocknij się. Możesz mi odpowiedzieć?

Billy nawet się nie poruszył.

– Mam nadzieję, że w to ugryzienie wda się infekcja – wycedziła Poppy. – Mam nadzieję, że ręka ci sczernieje i odpadnie. Mam nadzieję, że twoje jaja…

– Poppy! – warknął Andrew. Nie sądził, żeby którykolwiek z bandytów mówił po angielsku, ale jeżeli tak, to jaja było jednym z pierwszych słów, jakich się nauczył.

– Czy któryś z was mówi po angielsku? – spytał. – *Inglês*?

Burknęli *nos*, po czym jeden z nich wsunął głowę do wnętrza tawerny i coś zawołał.

Kilka chwil później jeden z ludzi, których widzieli w tawernie, wyprowadził na uliczkę *senhora* Fariasa.

Z nożem przyłożonym do gardła.

18

*B*illy? – szepnęła Poppy, głaszcząc go po policzku. – Billy, proszę, ocknij się.

Lecz chłopiec się nie poruszył. Nie był blady, nie wyglądał niezdrowo, nie działo się z nim nic, czego Poppy spodziewała się po tak silnym uderzeniu w głowę. Sprawiał wrażenie niemal spokojnego, zupełnie jakby spał i wystarczyłoby go szturchnąć i przypomnieć, że pora otworzyć oczy.

Woda, pomyślała. Może pomogłoby ochlapanie mu twarzy wodą. Znała słowo oznaczające wodę. Nauczyła się go nieco wcześniej tego dnia.

– *Agua* – poprosiła, patrząc błagalnie na bandytów. – *Agua por* chłopiec.

Ale nikt nie zwrócił uwagi na jej prośbę. W tawernie wybuchło jakieś zamieszanie – krzyki, potem trzask łamanego drewna i łoskot przewracanych stołów. Mężczyzna, który uderzył Billy'ego, podbiegł do drzwi i zniknął w tawernie.

Bandyci rozmawiali między sobą, szybko, nerwowo i zupełnie niezrozumiale dla angielskich uszu Poppy.

Czuła się tak cholernie bezradna. Wcześniej dzień był taki uroczy – muzyka portugalskiej mowy wciąż dźwięczała jej w uszach. Bawiła się zgadywaniem, o czym mówią, i myślała z podziwem, jak wielki jest świat.

Teraz czuła, jakby była niepiśmienna. I zagubiona. Równie dobrze mogłaby być niemowlęciem – tak niewiele rozumiała z tego, co się wokół niej działo.

Spojrzała na Andrew, choć on rozumiał gorączkową wymianę zdań nie lepiej niż Poppy. Spędziła z nim cały dzień i zdążyła się zorientować, na ile zna portugalski.

Lepiej niż większość ludzi, których znała, ale z pewnością nie płynnie.

– Andrew – wyszeptała jego imię, choć nie sądziła, żeby ją usłyszał.

Dwaj najwięksi bandyci trzymali go unieruchomionego przy ścianie – na sam ich widok Poppy poczuła ucisk w gardle. Jeden z nich wbijał łokieć w żołądek Andrew; drugi trzymał jego głowę niczym w imadle. Obaj musieli użyć całego ciężaru potężnych ciał, żeby go unieruchomić.

Andrew. Tym razem tylko pomyślała jego imię. Ale i tak nie mogła zwrócić jego uwagi. Wpatrywał się w drzwi, z twarzą niemal pozbawioną emocji.

Pozbawiona. Kolejne słowo, które wydawało się brzmieć dokładnie tak jak to, co oznacza.

Pozbawiona. Nie cierpiała tego słowa.

To słowo nigdy nie powinno być użyte do opisania kapitana Andrew Jamesa. On jest pełen emocji. Jest pełen życia.

Pomyślała, że jest bardziej pełen życia niż ktokolwiek inny, kogo znała.

I…

I…

Zamrugała, starając się skupić wzrok. Andrew wciąż nie patrzył w jej kierunku, ale to już nie miało znaczenia. Nie musiała widzieć jego oczu; wiedziała, że są bardziej niebieskie niż ocean. Nie musiała słyszeć jego głosu; wiedziała, że ogrzałby ją jak promienie słońca.

Miał rację w tym, co powiedział nieco wcześniej – znała go.

Andrew James nie tylko istniał. On żył.

I sprawił, że ona też tego zapragnęła.

Kiedy to sobie uświadomiła, zaparło jej dech w piersiach. Myślała, że jest bystra, śmiała i dowcipna; może taka była, ale przy Andrew czuła się

kimś więcej. Bardziej bystra, bardziej śmiała, bardziej dowcipna i sama nie potrafiła określić, jaka, ale bardziej.

To nie tak, że on ją zmienił; ziarno tych zmian było w niej już wcześniej.

Ale przy nim wykiełkowało.

– Poppy. – To głos Andrew.

Cichy i pełen napięcia. Odgłosy dobiegające z tawerny nagle się zmieniły. Kroki. Ktoś szedł w ich stronę.

– *Senhor* Farias – szepnęła Poppy.

Właściciel gospody pojawił się pierwszy, popychany przez mężczyznę, który muskularnym ramieniem obejmował mocno jego pierś.

I przykładał mu nóż do gardła.

Trzeci mężczyzna zeskoczył ze schodów za nimi. Poppy pomyślała, że musi być hersztem bandy. Rzucił kilka słów głosem przyprawiającym o dreszcz, a potem *senhor* Farias powiedział:

– Proszę z nimi nie walczyć, kapitanie. Jest ich wielu i mają broń.

– Czego chcą? – spytał Andrew.

– Pieniędzy. Widzą, że jesteście Anglikami i jesteście bogaci.

Poppy zerkała niespokojnie na mężczyzn, nie przestając gładzić policzka Billy'ego. Dlaczego ci ludzie uważają ich za bogaczy? Owszem, nie wyglądają na pracowników fizycznych, ale żeby zaraz bogacze? Nie mogli wiedzieć, że jest spokrewniona z bogatym wicehrabią ani że ma rodzinę, która byłaby gotowa zapłacić nawet bajońską sumę za jej bezpieczny powrót.

Nie, żeby jej rodziców było stać na taki okup. Ale wuj… on by zapłacił.

Gdyby wiedział, że została porwana.

Ale nie wiedział, że znalazła się w Lizbonie. Nikt o tym nie wiedział. Nikt z jej bliskich nie miał pojęcia, gdzie jest Poppy i co się z nią dzieje. To zabawne, że dotąd nie myślała o tym w ten sposób.

Zabawne.

A może tragiczne.

Spojrzała na Billy’ego. Zdała sobie sprawę, że teraz on jest jej bliski. I Andrew. Ale jeżeli Poppy przepadnie gdzieś w podejrzanej części Lizbony razem z nimi, to rodzina nigdy nie pozna jej losu.

– Mam trochę pieniędzy w płaszczu – powiedział Andrew powoli i bardzo spokojnie. – Jeśli sięgniesz do kieszeni na piersi, znajdziesz je.

Senhor Farias przetłumaczył, ale Poppy nie musiała rozumieć portugalskiego, żeby zgadnąć, jak przywódca grupy przyjął propozycję Andrew. Jego odpowiedź była ostra, a wyraz twarzy złowieszczy.

A *senhor* Farias pobladł ze strachu.

– On mówi, że to nie wystarczy – tłumaczył właściciel gospody. – Zapytałem, skąd wie, że nie wystarczy, a on powiedział, że wie, kim pan jest. Wie, że jest pan kapitanem „Infinity”. Ma pan na statku ładunek i towary, które nie mieszczą się w kieszeni.

Jakiś mięsień zadrgał w twarzy Andrew i Poppy widziała, jak bardzo starał się zapanować nad sobą, kiedy powiedział:

– Powiedz im, że jeśli nas puszczą, zostaną hojnie wynagrodzeni.

Usta *senhora* Fariasa drżały, gdy trzymający go mężczyzna mocniej przycisnął mu nóż do gardła.

– Nie znam tego słowa, *hojniewy*…

– Zapłacę im – powiedział ostro Andrew i jęknął, kiedy łokieć wbił mu się w żołądek. – Jeśli nas puszczą, zapłacę im.

Farias przetłumaczył, a Poppy zdrętwiała z przerażenia, gdy herszt odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Kiedy przestał się śmiać, otarł oczy i powiedział coś, a *senhor* Farias zwrócił się do Andrew.

– Powiedział, że zabierze pana. Dzięki temu dostanie więcej.

– Tylko jeśli puści…

Herszt przerwał mu, rzucając kilka słów.

Senhor Farias przełknął gwałtownie ślinę.

– Co powiedział? – spytał ostro Andrew.

Właściciel tawerny odpowiedział drżącym szeptem.

– Mówi… że weźmie też panią.

Twarz Andrew przybrała wprost dziki wyraz.

– Po moim…

– Nie! – krzyknęła Poppy.

– Nie mieszaj się w to, Poppy – powiedział Andrew, nie odrywając wzroku od herszta.

– Już jestem w to wmieszana – odparła.

Andrew posłał jej gniewne spojrzenie.

Odpowiedziała tym samym.

– Kapitanie? – Głos *senhora* Fariasa był zdławiony z przerażenia, a kiedy Poppy spojrzała na niego, zauważyła strumyczek krwi spływający mu po szyi.

– Ona. Idzie. Wolno – warknął Andrew.

– Kapitanie, nie sądzę, żeby oni zgodzili się…

– *Basta*! – Przywódca bandy wyjął pistolet i wycelował w głowę Billy'ego.

– Nie! – Poppy własnym ciałem zasłoniła chłopca. Nie chciała zginąć; nie, na pewno nie chciała. Ale nie mogła pozwolić, żeby zastrzelił Billy'ego. On chciał ją tylko chronić. I był jeszcze taki mały.

Chciał pobawić się z kotem.

Herszt parsknął z odrazą, rzucił kilka słów do *senhora* Fariasa i powoli odszedł.

– Co powiedział? – spytała Poppy.

– Zna ich pan?

Skinął głową.

– Co miesiąc muszę im płacić za ochronę.

– Przed kim?

Właściciel tawerny zaśmiał się gorzko.

– Przed nimi. Wszyscy musimy płacić. Wszyscy w moim… jak to się mówi? Ulice w pobliżu mojego domu.

– Dzielnica?

– Tak, dzielnica. Wszyscy płacimy. Ale nigdy wcześniej czegoś takiego nie robili. Krzywdzili ludzi, ale nie takich jak wy.

Z jakiegoś powodu nie pocieszyło to Poppy. Ale z drugiej strony, nie przypuszczała, żeby taki zamiar miał *senhor* Farias.

– *Senhor*.

Wszyscy spojrzeli na Andrew, wciąż unieruchomionego przy murze, z głową przytrzymywaną w niewygodnej pozycji przez trzymającego go zbira.

Ale jego głos zabrzmiał pewnie.

– Co on powiedział?

Senhor Farias spojrzał na Poppy, potem na Andrew.

– Powiedział, że bierze wszystkich troje. – Wargi właściciela tawerny drżały. – Pana, panią i chłopca.

– Co? Nie! Billy!… – krzyknęła Poppy.

– Biorą wszystkich troje. – *Senhor* Farias nie pozwolił jej dokończyć sprzeciwu. – Albo dwoje zastrzelą. Dwoje z was… i mnie.

Świat zamarł. Być może ludzie wciąż rozmawiali, może z pobliskiej ulicy dobiegały te same odgłosy co zwykle. Ale Poppy niczego nie słyszała. Czuła, jakby była zanurzona w wodzie, a ludzie rozmawiali gdzieś ponad nią.

Powoli wstała. Spojrzała na Andrew. Nie powiedziała nic. Nie sądziła, żeby musiała coś mówić.

Ponuro skinął głową. Rozumiał.

Strach to dziwna bestia. Kiedy była dzieckiem, wraz z braćmi często bawili się w „Co by było gdyby?”

Co by było, gdyby gonił cię dzik?

Co by było, gdyby ktoś wycelował broń w twoją głowę?

Czyż nie wszystkie dzieci w to się bawią? I dorośli?

Pamiętała, jak pewnego razu zabawa przekształciła się w: Co by było, gdyby Poppy gonił dzik? i Co by było, gdyby ktoś wycelował broń w głowę Poppy?

Odpowiedziała wtedy rezolutnie: „Który z was przyszedłby mi z pomocą?” Ale natychmiast usłyszała, że to pytanie nie jest zgodne z zasadami zabawy. Richard i Reginald uzgodnili, że najpewniej krzyczałaby. Nie było to zupełnie nieoczekiwane; Poppy nieczęsto krzyczała, ale trzeba przyznać, że jeśli już jej się to zdarzyło, to była w tym cholernie dobra.

Ronald powiedział, że jego zdaniem zemdlałaby. Kiedy zauważyła, że nigdy w życiu nie zdarzyło jej się zemdleć, odparł, że nigdy w życiu nie miała broni przystawionej do głowy.

W tym Poppy musiała przyznać mu rację, nawet jeśli nie zgadzała się z konkluzją.

Krótko później zabawa się skończyła; Richard zaczął nagle węszyć, powiedział, że czuje jabłecznik kucharki, i tyle. Później jednak Poppy zapytała Rogera, dlaczego nie wyraził żadnej opinii.

– Nie wiem, Pops – odparł z dziwnie poważnym wyrazem twarzy. – Nie mam pojęcia, jak zareagowałbym w takiej sytuacji. Nie sądzę, żebyśmy mogli wiedzieć, zanim coś takiego się nie zdarzy.

Właśnie teraz się zdarzyło.

Strach to naprawdę dziwna bestia, ponieważ jakiejkolwiek reakcji Poppy mogła się po sobie spodziewać, na pewno nie było to to.

Zupełnie jakby jej tu nie było.

Była otępiała.

Nieobecna.

Jej ruchy były wolne i ostrożne, ale nie robiła tego świadomie. Nie myślała: Teraz będę się poruszać powoli, żeby nikogo nie zaskoczyć.

Po prostu to zrobiła i cierpliwie czekała, aż bandyci zrobią to, co mieli zrobić.

Andrew został obezwładniony pierwszy; ręce brutalnie wykręcono mu za plecy i mocno związano sznurem.

– Nie zróbcie jej krzywdy – ostrzegł, zanim narzucili mu na głowę brudny płócienny worek. Poppy patrzyła na to i strach opanował jej ciało niczym duch. Było coś przerażającego w tym, co się działo, w tym, co się z nim działo. Nie widział jej ani nie mógł jej pomóc, a – wielkie nieba – nie chciała stawiać temu czoło samotnie.

Otworzyła usta, ale nie miała pojęcia, co powiedzieć, a poza tym chyba nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku, przynajmniej dopóki jeden z nich nie złapał jej mocno za nadgarstek. Jego palce wbiły się w jej skórę z taką siłą, że nie powstrzymała cichego okrzyku bólu.

– Poppy? – Andrew szarpnął się w więzach. – Co oni…

Trzymający go bandyta warknął coś i cisnął nim o ścianę.

– Nic mi nie jest! – zawołała Poppy. – Nic mi nie jest, przysięgam! Byłam tylko zaskoczona.

Spojrzała na mężczyznę trzymającego Andrew.

– Proszę, nie rób mu krzywdy.

Popatrzył na nią jak na idiotkę. I pewnie słusznie, przecież wiedziała, że nie mógł jej zrozumieć.

A jednak musiała spróbować.

– Chłopiec – powiedziała, wskazując swojego podopiecznego temu, którego twarz wydała się jej najłagodniejsza. – Proszę, delikatnie.

– *Suavemente* – powiedział *senhor* Farias.

– *Suavemente* – powtórzyła Poppy, choć zbir, który zakładał worek na głowę Billy’emu z pewnością słyszał Fariasa.

– Czy oni muszą to robić? – spytała właściciela tawerny. – Mają kapitana i mają mnie. To tylko mały chłopiec.

Senhor Farias spojrzał na nią ze smutkiem.

– Zapewne nie będzie nic z tego pamiętał – powiedziała Poppy.

Senhor Farias westchnął ciężko i powiedział coś do mężczyzny pochylonego nad Billym. Poppy zerkała to na jednego, to na drugiego w czasie ich gorączkowej wymiany zdań. W końcu *senhor* Farias spojrzał na nią i powiedział:

– Mówi, że z chłopakiem będzie za dużo kłopotu. Zostawią go ze mną.

Poppy niemal się uśmiechnęła. Niemal się roześmiała, tak wielką poczuła ulgę.

– Ale nie może pani z nimi walczyć – ostrzegł Farias. – Nie może pani sprawiać im kłopotów. Pan też, kapitanie. Nie możecie sprawiać im kłopotów, kiedy was zabiorą, inaczej przyślą tu kogoś i…

Przesunął kantem dłoni po gardle.

Poppy wzdrygnęła się. Spojrzała na Andrew, który niczego nie widział, i zdała sobie sprawę, że musi przetłumaczyć ten gest. Przełknęła ślinę i wykrztusiła:

– Zabiją go. Poderżną Billy’emu gardło, jeśli będziemy sprawiać problemy.

– I puszczą go wolno, jeżeli nie będziemy? – spytał pod worka Andrew.

– *Sim*.

Tak. Jedno z nielicznych portugalskich słów, które Poppy rozumiała.

– Będę współpracować – powiedziała.

Ponure skinienie głową Fariasa było ostatnią rzeczą, jaką Poppy zobaczyła, zanim i jej założono worek na głowę.

Zdrętwiała. Nie spodziewała się, że będzie aż tak straszliwie ciemno.

I gorąco.

Starała się oddychać.

Powietrze przy jej twarzy natychmiast zgęstniało. Oddychała i gorące powietrze uderzało w jej usta i nos. Próbowała zaczerpnąć powietrze w płuca, ale nie mogła – nie, mogła i wydawało jej się, że wdycha, ale nic nie docierało do płuc.

Nikt nie trzymał jej za gardło. Czemu brakowało jej powietrza?

Słyszała własny oddech, czuła, jak wznosi się i opada jej pierś, ale na próżno. Była oszołomiona, zdezorientowana. Nie widziała swoich stóp i nie wiedziała, jak ma iść.

Musiała się czegoś przytrzymać.

– Poppy?! – usłyszała wołanie Andrew. – Poppy, jesteś tutaj?!

Brzmiał, jakby był bardzo daleko.

– Poppy!

– Muszę wziąć go za rękę – wydyszała. A kiedy nikt nie zareagował, krzyknęła: – Pozwólcie mi wziąć go za rękę!

Wokół niej zrobiło się zamieszanie i padło kilka szybko wypowiedzianych zdań, z których jedno wypowiedział *senhor* Farias. I nagle – jakimś cudem – jej ręka została włożona między dłonie Andrew.

Było niewygodnie. Andrew miał dłonie związane za plecami i Poppy z trudem splotła palce z jego palcami. Ale poczuła się bezpieczniej.

– Wszystko będzie dobrze, Poppy – powiedział. – Obiecuję.

– Nie mogę oddychać.

– Możesz.

– Nie mogę.

– Oczywiście, że możesz. – Usłyszała w jego głosie nutę rozbawienia, co niemal jej wystarczyło, żeby opanować panikę. Ścisnął jej palce.

– Musisz być silna.

– Nie jestem silna.

– Jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam.

– Nie jestem. Naprawdę nie jestem. – Nie wiedziała dlaczego, ale wydawało jej się, że jej głos zabrzmiał błagalnie.

Ścisnął jeszcze raz i usłyszała, że parsknął śmiechem.

– Przecież to nie pierwszy raz, kiedy zostałaś porwana.

– To nie to samo – warknęła. Odwróciła głowę w jego stronę. – Szczerze mówiąc, kapitanie, to najgorsze porównanie, jakie można sobie wyobrazić.

– I mówisz, że nie jesteś silna – mruknął.

– Ty… – Urwała. Poczuła, jak jego palce zaciskają się na jej dłoni.

– Poppy?

Dopiero po chwili dotarło do niej, co zrobił.

– Oddychasz teraz?

Skinęła głową, ale przypomniała sobie, że nie może jej zobaczyć, więc powiedziała:

– Oddycham.

I po chwili:

– Dziękuję.

– Przejdziemy przez to – zapewnił.

– Naprawdę tak myślisz?

Milczał o ułamek sekundy za długo, zanim przytaknął.

Ale przynajmniej Poppy oddychała.

19

Andrew nie miał pojęcia, gdzie się znaleźli.

Przy tawernie zostali bezceremonialnie zapakowani do wozu. Jechali grubo ponad godzinę, ale mając worki na głowach – i dodatkowo gruby koc – zupełnie stracili orientację.

Jedyne, co do czego nie mieli wątpliwości, to to, że znajdowali się coraz wyżej. Ale to o niczym nie świadczyło. Zaczęli podróż na poziomie morza, więc w którąkolwiek stronę pojechali, nie mogli nie jechać pod górę.

Znaleźli się w jakimś budynku, potem zaprowadzono ich po schodach na piętro i do jakiegoś pokoju w głębi. Szczęknął zamek i otworzyły się drzwi, a potem ktoś chwycił i zdjął worek z głowy Andrew w taki sposób, że szorstkie płótno otarło mu skórę na twarzy. Był przygotowany na to, że oślepi go słońce, ale w pomieszczeniu panował półmrok i zaduch. Jedyne okno było zasłonięte zewnętrznymi okiennicami – zamkniętymi i prawdopodobnie zabitymi gwoździami. Odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak jeden z ludzi zdejmuje kaptur z głowy Poppy. Wciągnęła potężny haust powietrza i choć nieco drżała, wydawała się nienaruszona. Pod kocem było gorąco i lepko, a po jej reakcji na płócienny worek Andrew obawiał się, że znowu może mieć atak duszności. Na wozie próbował z nią rozmawiać – co wcześniej najwyraźniej pomogło – ale został przywołany do porządku przez jadącego obok nich bandytę uderzeniem w głowę. Nie zabolało – koc pochłonął większość siły uderzenia – ale jeśli miało być

ostrzeżeniem, to podziałało. Andrew zamilkł i więcej nie próbował się odzywać.

Nie miał innego wyjścia.

Co było irytujące.

Przypomniał sobie, jak – to musiało być pierwszego lub drugiego dnia po pojawieniu się Poppy na pokładzie „Infinity” – zapytał Poppy, dlaczego była taka miła. Odparła, że nie miała powodu, by być niemiła. Nie miała dobrego sposobu ucieczki, kiedy znajdowali się na morzu.

Wtedy pomyślał, że jest wyjątkowo rozsądna. I przypuszczał, że nie zmienił zdania.

Teraz jednak zdał sobie sprawę, jak bardzo nie zrozumiał sytuacji. Jak bezradnie musiała się czuć, zmuszona do biernego zaakceptowania swojego losu. Nie jest przyjemnie wybierać najlepszą spośród wszystkich równie strasznych możliwości.

Nie mógł jej zostawić w Anglii – nie, mając wyraźny rozkaz dostarczenia dyplomatycznej przesyłki do Portugalii oraz utrzymania w tajemnicy położenia jaskini do czasu, kiedy posłaniec premiera dotrze tam po tajne dokumenty, które przywiózł z Hiszpanii. Naprawdę, nie miał innego wyjścia, niż zabrać ze sobą Poppy w tę podróż.

Ale mógł wykazać więcej zrozumienia. Więcej… współczucia?

Więcej czegoś. Mógł być bardziej jakiś.

Może bardziej szczery. Przecież nie znała nawet jego prawdziwego nazwiska.

Spojrzał na nią, próbując powiedzieć coś oczami, bo nie odważył się wydać dźwięku. Wydawało się, że zrozumiała. Jej oczy otworzyły się szerzej, a kąciki ust lekko się uniosły. Dwaj ludzie, którzy ich tu wprowadzili, stali przy drzwiach, rozmawiając z ożywieniem po portugalsku.

Korzystając z tego, że byli zajęci rozmową, Andrew rozejrzał się po otoczeniu. Znajdowali się w jakiejś sypialni – niezbyt dużej ani luksusowej,

ale, na ile mógł to ocenić, w miarę zadbanej i czystej. Wystrój był odrobinę lepszy od tego, czego można by oczekiwać po zajeździe. Ktokolwiek tu mieszkał, nie był bardzo zamożny.

Andrew wychwycił z rozmowy kilka słów – „pieniądze”, „mężczyzna”, „kobieta”. Wydawało mu się, że jeden z nich mógł powiedzieć siedem, chociaż nie był pewien, czego to mogło dotyczyć. Było całkiem możliwe, że usłyszał słowa „kobieta”, „mężczyzna” i „pieniądze”, ponieważ spodziewał się je usłyszeć.

„Jutro”.

„Głupi”.

„Do domu”.

To chyba też padło w rozmowie.

Nagle obaj mężczyźni odwrócili się w ich stronę, a jeden machnął ręką i warknął jakieś polecenie. Chciał, żeby się przesunęli. Andrew szturchnął Poppy ramieniem i oboje cofnęli się, dopóki nie oparli się plecami o ścianę.

Poppy patrzyła na niego szeroko otwartymi, strwożonymi oczami; nieznacznie pokręcił głową. Żadnych pytań. Jeszcze nie teraz.

Rozmowa bandytów stawała się coraz bardziej gwałtowna, a w końcu Andrew zobaczył błysk ostrza.

Nie myślał.

Nie miał czasu myśleć. Po prostu skoczył, próbując zasłonić ją własnym ciałem. Ale ze związanymi rękami poruszał się niezdarnie i stracił równowagę. Poppy jęknęła, zachwiała się i usiadła na łóżku, a Andrew padł na podłogę, czując się jak najprawdziwszy głupiec.

Zbir z nożem podszedł, przewrócił oczami, chwycił Poppy za nadgarstki i przeciął jej więzy.

Spojrzał na Andrew.

– *Idiota*.

Potem wyszedł, zabierając ze sobą kompana.

Andrew zamknął oczy. Potrzebował chwili, żeby ochłonąć. Potrzebował przez chwilę poudawać, że wcale nie leży na podłodze ze związanymi rękami, gdzieś w okolicy Lizbony.

Poczuł smak krwi. Musiał przygryźć sobie język.

– Kapitanie?

Westchnął.

– Kapitanie?

Za drugim razem w jej głosie zabrzmiała nuta paniki, więc zmusił się, żeby otworzyć oczy. Poppy stała nad nim z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Nic mi nie jest – powiedział spokojnie.

Podała mu rękę i pomogła wstać.

– Spróbuję cię rozwiązać.

Pokręcił głową. Ktokolwiek związał mu ręce, użył węzłów godnych doświadczonego marynarza.

Cóż za ironia.

Niech to diabli.

– Powinni związać ci ręce z przodu – powiedziała Poppy, kiedy stanął na własnych nogach.

– Może raczej – odparł oschle – nie powinni nas porywać.

– Cóż… tak. – Zaśmiała się nerwowo.

– Jak się czujesz? – spytał.

To powinno być jego pierwsze pytanie. To powinna być jego pierwsza myśl, a nie jakieś cholerne użalanie się nad sobą i leżenie z zamkniętymi oczami.

– Ja… – Wydawało się, że szuka właściwej odpowiedzi. – Wszystko w porządku. – Zdecydowała się w końcu. – Nie jestem pewna, co się ze mną działo, kiedy założyli mi worek na głowę. Nigdy nie przeżyłam czegoś podobnego. Kiedy jechaliśmy, przez połowę drogi starałam się pamiętać o tym, żeby oddychać, a przez drugą połowę próbowałam sobie przypomnieć, jak to się robi.

– Przepraszam – powiedział, choć nie był do końca pewien, za co przeprasza. Lista jego występków była groteskowo długa.

Lecz Poppy zdawała się nie słyszeć napięcia w jego głosie.

– To było takie dziwne – mówiła. – Wszystko działo się tak szybko. Nie mogłam oddychać. A jednak wydaje mi się, że oddychałam. Ale nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wiem… to zupełnie nie ma sensu.

– Takie rzeczy nigdy nie mają sensu. – Odchrząknął z zakłopotaniem. – Widywałem to już wcześniej. To, co się z tobą działo. Jeden z moich ludzi nie może wejść do jaskini dalej niż na krok.

– Jaskini? – powtórzyła zdziwiona. – Ja nie mam żadnego problemu z jaskiniami.

Poruszył tylko ramionami, ponieważ związane ręce nie pozwalały mu gestykulować.

– Myślę, że u każdego to wygląda inaczej. O ile mi wiadomo, on mógłby siedzieć z workiem na głowie całymi dniami.

Poppy rozchyliła usta, zastanawiając się nad jego słowami.

– Przypuszczam, że masz rację. To głupie, oczekiwać logiki w czymś tak całkowicie nielogicznym.

Skinął powoli głową i usiadł na łóżku. Był wyczerpany. Teraz, kiedy bezpośrednie zagrożenie minęło – wszystkie te noże i pistolety (i ludzie trzymający noże i pistolety) znalazły się po drugiej stronie drzwi – zupełnie, jakby cała energia wyciekła z jego ciała.

Albo wypłynęła. „Wyciekła” brzmi, jakby to działo się powoli. A wszystko zaszło w mgnieniu oka. W jednej chwili był spięty i gotowy do walki, w następnej – bezsilny.

Poppy przez moment sprawiała wrażenie, jakby chciała usiąść obok niego, ale potem odwróciła się i z zakłopotaniem objęła się ramionami.

– To bardzo pomogło – powiedziała z wahaniem. – Kiedy do mnie mówiłeś. Uspokoiło mnie. Dziękuję.

– Nie dziękuj – rzucił opryskliwie. Nie chciał jej wdzięczności. Nie mógłby jej znieść.

Jeśli wydostaną się z tego pokoju żywi, jeśli to będzie jego zasługa, wtedy może mu podziękować. Ale na razie Andrew jest tylko człowiekiem, przez którego mogła zginąć.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – spytała.

– Nie.

– Ja… – Przełknęła ślinę, a potem spojrzała w stronę zasłoniętego okna. – Jak sądzisz, jak długo jechaliśmy? Godzinę? Prawdopodobnie jesteśmy dość daleko od miasta.

– Albo przejechali tą samą drogę sześć razy i jesteśmy w pobliżu tawerny, tuż za rogiem.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Naprawdę tak myślisz?

– Nie – przyznał. – Nie tuż za rogiem. Ale możemy być znacznie bliżej, niż wskazywałby na to czas podróży.

Poppy podeszła do okna i przyłożyła ucho do szyby.

– Słyszysz coś?

Skinęła głową. Nieznacznie, zarówno potwierdzając, jak żeby go uciszyć.

– Niewiele słyszę, ale na zewnątrz nie jest zupełnie cicho. Gdziekolwiek jesteśmy, nie jest to odludzie.

Andrew podszedł do niej i także przyłożył ucho do szyby. Zwróceni do siebie, nasłuchiwali. Miała rację. Na zewnątrz nie było cicho. Coś się tam działo.

To był najmniej konkretny opis, jaki mógłby sobie wyobrazić – coś się dzieje – a jednak mówił tak dużo.

– Myślę, że wciąż jesteśmy w mieście. A w każdym razie nie bardzo daleko od niego.

Poppy mruknęła potwierdzająco i jeszcze mocniej przywarła do szyby.

– Niektóre z głosów są kobiece – powiedziała.

Andrew uniósł brew.

– Z jakiegoś powodu nie sądzę, żeby nasi porywacze mieli w swoim gangu tajny kobiecy oddział.

– Co znaczy, że musieli nas zawieźć do jakiejś zwyczajnej dzielnicy. Albo sąsiedniego miasta.

– To bardzo dobrze. Im bliżej jesteśmy, tym lepiej.

– Tym większa szansa, że komuś uda się nas znaleźć?

– Tym większa szansa, że uda nam się uciec. W mieście łatwiej się ukryć – dodał, widząc jej powątpiewające spojrzenie.

Skinęła głową, odsunęła się od okna i podeszła na środek pokoju.

– Myślę, że usiądę.

– To dobry pomysł.

Podeszła do łóżka, zatrzymała się i odwróciła.

– Przypuszczam, że nie masz ukrytego w ubraniu noża? – spytał cicho.

– Ani pistoletu – odparła. Jej spojrzenie powiedziało, że pamięta, jak mówił niemal dokładnie to samo w dniu, kiedy przybyła na „Infinity". – Ani sakiewki ze złotem. Niestety.

– Niestety – potwierdził.

Niech to.

Dwie godziny później

Nie mogła robić nic oprócz wpatrywania się w drzwi.

Kilka minut wcześniej ktoś przyszedł po Andrew. Został na wpół wypchnięty, na wpół wywleczony za drzwi i od tamtej pory Poppy go nie widziała. Niczego też nie słyszała, co uznała za dobry znak. Wystrzały byłyby z definicji głośne, a gdyby próbowali go skrzywdzić w inny sposób, z pewnością byłoby słychać jakieś dźwięki.

Byłoby, prawda?

Przetrząsnęła pokój w poszukiwaniu czegoś, czego mogłaby użyć jako broni, ale jedynymi ruchomymi przedmiotami w zasięgu ręki były krzesła.

– Potrzeba matką wynalazków. – Sapnęła i przesunęła jedno z nich do drzwi. Jeśli będzie trzeba, spróbuje je podnieść i spuścić komuś na głowę. Może nawet udałoby się jej pozbawić go przytomności.

Miejmy nadzieję, że to nie będzie Andrew.

Nie była pewna, jak długo tam stała, czekając i słuchając. Dziesięć minut? Dwadzieścia? Z pewnością nie trzydzieści. Nigdy nie była dobra w określaniu upływu czasu.

I w końcu…

Kroki. Chwyciła oparcie krzesła. Nie miała pojęcia, skąd będzie wiedziała, czy atakować, czy nie. Jeżeli usłyszy głos Andrew? Czy jeżeli go nie usłyszy?

Po prostu będzie musiała poczekać, aż drzwi się otworzą. Zobaczyć, kto wejdzie.

Odgłosy były coraz bliżej.

Podniosła krzesło nad głową.

W zamku obrócił się klucz.

Wstrzymała oddech.

Drzwi otworzyły się z rozmachem.

I wpadł przez nie Andrew.

Poppy wstrzymała się w pół zamachu, tuż zanim krzesło uderzyło w głowę Andrew.

– Aaaaa!

Krzyknął.

Krzyknęła.

Oboje krzyknęli, a potem dołączył do nich jeszcze ktoś w korytarzu, zapewne każąc im się zamknąć.

– Zabierz to z mojej głowy! – krzyknął Andrew, osłaniając się rękoma.

– Rozwiązali cię! – wykrzyknęła Poppy.

Został wepchnięty do pokoju z taką siłą, że wylądował na podłodze i dopiero po chwili Poppy zauważyła, że ma wolne ręce.

– Krzesło – warknął.

– Och, przepraszam. – Jedną z nóg dzielił od jego oka zaledwie cal. Pospiesznie postawiła krzesło za sobą.

– Nic ci nie jest? Co się stało? Wszystko w porządku?

Skinął głową.

– Pomóż mi tylko wstać.

– Och, tak. Przepraszam. – Pomogła mu się podnieść. – Co… – Ugryzła się w język; miała znowu zapytać, co się stało.

– Zaprowadzili mnie do kogoś, kto mówi po angielsku – powiedział, kiedy już otrzepał się z kurzu.

– I co?

– Udawał przyjaciela. Mówił, że jest oburzony tym, jak nas potraktowali. Kazał mi rozwiązać ręce.

Poppy zastanawiała się, czemu jego ton jest tak bliski szyderstwa.

– Ale to… dobrze? Prawda?

– Prawdopodobnie nie. To dobrze znana taktyka, kiedy rozmawiasz z więźniem. Jedna osoba zachowuje się miło. Próbuje zdobyć twoje zaufanie.

– Och. – Poppy zastanowiła się nad tym, co powiedział. – Ale mimo wszystko to chyba lepiej, niż gdyby wszyscy źle cię traktowali?

Przechylił głowę, namyślając się przez chwilę.

– Chyba tak. W większości innych metod przesłuchania leje się sporo krwi, więc myślę, że masz rację.

Zacisnęła usta, lecz nie zbeształa go za tak beztroską uwagę.

– Powiedzieli, czego chcą? To znaczy wiem, że chcą pieniędzy, ale czy powiedzieli, ile?

– Więcej niż mógłbym łatwo zebrać.

Poppy rozchyliła usta. Nie miała pojęcia, dlaczego nie przyszło jej do głowy, że mogą nie być w stanie spełnić żądań porywaczy.

– Ja mam pieniądze – powiedziała niepewnie.

– W Portugalii?

– Oczywiście, że nie. Ale jeśli im powiemy…

– Nie bądź naiwna.

Zdała sobie sprawę, że zaciska zęby.

– Staram się tylko pomóc.

– Wiem. – Przeczesał włosy palcami. – Wiem.

Poppy przyglądała mu się uważnie. Jego drugie „wiem” było głośniejsze niż pierwsze, powiedziane z większym naciskiem.

Wręcz ze złością.

Odczekała chwilę, zanim się odezwała.

– Czy zamierzasz powiedzieć mi, co się wydarzyło?

– Próbowałem.

– Nie pytałam, co się wydarzyło. Pytałam, czy zamierzasz mi powiedzieć. Bo jeżeli nie, jeżeli zamierza pan dla mojego dobra zataić jakieś szczegóły, to wolałabym o tym wiedzieć.

Przyglądał się jej, jakby nagle zaczęła mówić po niemiecku. Albo po chińsku.

– O czym ty mówisz, do diabła?

– Masz tajemnice – wyjaśniła.

– Znam cię zaledwie od tygodnia. To oczywiste, że mam tajemnice.

– Nie ganię cię za to. Chcę tylko wiedzieć.

– Na miłość boską, Poppy.

– Na miłość boską, kapitanie – odpowiedziała.

Spojrzał na nią z najwyższą irytacją.

– Naprawdę? Tym będziemy się zajmować?

– A co innego mogę zrobić? Nic mi nie mówisz.

– Próbowałem – wycedził. – Ale ty wciąż męczysz mnie o jakieś sekrety.

– Nigdy w życiu nikogo nie męczyłam. I nigdy nie powiedziałam, że nie możesz mieć sekretów! Chcę tylko wiedzieć, czy je masz.

Czekała na jego odpowiedź, bo na pewno miał jakąś. Tymczasem on tylko wydał dziwny dźwięk – zupełnie nieznajomy, jakby wyrwał się z głębi serca. Jakby warknięcie, ale nie warknięcie. I kiedy Poppy czekała z niepokojem i fascynacją, on tylko nieuprzejmie się odwrócił.

Oparł ręce o ścianę nad głową i niemal jęknął, napierając z całą siłą. Miał w sobie coś dzikiego, coś, co powinno się wydać Poppy przerażające.

Powinno.

Ale nie wydało się.

Ręka ją mrowiła. Jakby powinna go dotknąć. Jakby mogła umrzeć, gdyby tego nie zrobiła.

Czuła się bardzo dziwnie. I choć była niewinna, wiedziała, że to pożądanie. Niestosowne i nie w porę, ale jednak obecne, rozprężające się w niej niczym głodna bestia.

Cofnęła się o krok. To był instynkt samozachowawczy.

Nie pomogło.

Co to znaczy, jeśli ona czuje się tak właśnie teraz, kiedy on zachowuje się skrajnie nieuprzejmie?

Wcześniej, na statku, dostrzegała oznaki. Całymi godzinami zastanawiała się, co by było, gdyby przysunęła się bliżej, gdy pocałował ją na pokładzie. Śniła o jego skórze, której grzeszny skrawek odsłonił się, kiedy zdjął krawat.

To nie był tylko krawat. Podwinął też rękawy, a wtedy zahipnotyzowały ją jego ramiona – gra mięśni pod skórą. Większość znanych jej mężczyzn nie pracowała. Jeździli konno, ćwiczyli szermierkę, spacerowali po swoich posiadłościach, ale nie pracowali. Ten widok sprawił, że zaczęła się zastanawiać nad jego siłą, nad tym, czego były w stanie dokonać jego ręce, a jej nie.

I zawsze czuła jego ciepło. Jego ciało otaczała poduszka ciepłego powietrza, zawsze o kilka stopni cieplejszego od otoczenia. Zapragnęła

przysunąć się bliżej, a potem jeszcze bliżej, żeby sprawdzić, czy będzie jeszcze cieplej, kiedy znalazłaby się tuż przy nim.

Wiedziała, że takie myśli są skandaliczne. Wręcz grzeszne. Ale wszystko to… Nie, nic z tego nie doprowadziło jej do takiego drżenia jak teraz.

Przyglądała się, jak odetchnął głęboko, a całe ciało się naprężyło, jakby zmagało się z jakimiś niewidzialnymi więzami. Jego dłonie zacisnęły się jak szpony i tylko czubkami palców dotykał ściany.

– Kapitanie James? – szepnęła. Nie była pewna, czy ją usłyszał. Stał wystarczająco blisko – pokój był o wiele za mały, by nawet najcichszy szept przeszedł niezauważony. Ale cokolwiek działo się w jego głowie, było głośne. Było głośne, pierwotne i pchało go na skraj czegoś bardzo groźnego.

– Kapi…

Cofnął się o krok. Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. A potem, stanowczo zbyt spokojnie i powściągliwie, odwrócił się do niej.

– Przepraszam.

Poppy nie wiedziała, co powiedzieć.

– Gdzie byliśmy?

Nie miała pojęcia.

– Racja – mówił, jakby wcale nie wpatrywała się w niego jak obłąkana. – Możliwe, że przekonałem ich, żeby pozwolili ci zanieść list z żądaniem okupu na „Infinity”.

Otworzyła usta z wrażenia. Dlaczego nie powiedział o tym od razu?

Przeczesał palcami włosy i przeszedł przez pokój. To było tylko kilka kroków i sprawiał wrażenie zamkniętego w klatce kota.

– To było najlepsze, co mogłem zrobić.

– Ale… – Poppy zabrakło słów. – Ja? – wykrztusiła tylko.

– To byłby gest dobrej woli.

– Nie wiedziałam, że oni mają dobrą wolę.

– I dowód, że żyjemy – dodał nieco łamiącym się głosem.

– Dowód… Och – powiedziała, gdy nagle dotarł do niej sens jego słów. – To zabrzmiało strasznie.

Przewrócił oczami.

– Człowiek, z którym rozmawiałem, musi się naradzić z kimś innym. Odpowiedź poznamy dopiero jutro rano.

Poppy spojrzała w stronę okna. Wcześniej przez zamknięte okiennice przebijał wąski pasek światła.

– Zapadła noc – potwierdził.

– Można by sądzić, że tacy ludzie będą woleli działać pod osłoną ciemności.

Znowu przewrócił oczami. I znowu nie był to żartobliwy gest; nie dał jej w żaden sposób odczuć, że razem są w opałach.

– Niewiele wiem o tym, jak działają ich umysły – powiedział.

Poppy przez kilka chwil gryzła się w język, ale na więcej nie potrafiła się zdobyć.

– Dlaczego jesteś taki podły?

Wyraz całkowitego niezrozumienia i zniecierpliwienia przemknął przez jego twarz.

– Przepraszam?

– Mówię tylko, że mógłbyś być bardziej uprzejmy.

– Co… – pokręcił głową, jakby nie był w stanie dokończyć.

– Od powrotu jesteś opryskliwy i niemiły.

Patrzył na nią, jakby nie mógł uwierzyć w jej tupet.

– Jesteśmy uwięzieni przez Bóg wie kogo, a ty narzekasz, że nie jestem miły?

– Nie, oczywiście, że nie. To znaczy tak. Za każdym razem, kiedy próbuję sugerować…

– Nie masz doświadczenia w takich sprawach – przerwał jej. – Dlaczego miałbym cię słuchać?

– Bo nie jestem głupia, a najgorsze, co mogłoby wyniknąć z wysłuchania mnie, to to, że nie zgodziłbyś się z tym, co mam do powiedzenia.

Andrew chwycił się palcami za nasadę nosa.

– Poppy… – To zabrzmiało trochę jak pomruk, trochę jak westchnienie. – Nie mogę…

– Chwileczkę – przerwała mu. Zastanowiła się nad tym, co przed chwilą powiedział. – Czy mam rozumieć, że pan ma jakieś doświadczenie w takich sprawach?

– Trochę – przyznał.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie po raz pierwszy mam kontakt z nieprzyjemnymi typami – odparł.

– Czy pierwszy raz zostałeś porwany?

– Tak.

– Pierwszy raz byłeś związany?

Zawahał się.

Westchnęła.

– Kapitanie Ja…

– W taki sposób – powiedział pospiesznie. I z naciskiem, jakby chciał, żeby nie zadawała więcej pytań.

Przyjrzała mu się, mrużąc oczy.

– Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Nie pytaj.

Chyba po raz pierwszy zobaczyła, jak to on się zarumienił, co powinno wystarczyć, żeby zapragnęła zmusić go do odpowiedzi. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, postanowiła odpuścić. Poniekąd.

Posłała mu przenikliwe spojrzenie.

– Czy mogę zadać to pytanie później?

– Proszę, nie rób tego.

– Jesteś pewien?

Wydał odgłos, jaki czasem wydają ludzie – coś pomiędzy śmiechem a płaczem, na koniec brzmiący nieco ironicznie.

Andrew wydał ten dźwięk, a potem powiedział:

– Nie, ani trochę.

Poppy cofnęła się o krok. To było rozsądne. Po kilku chwilach niezręcznej ciszy spytała:

– Co robimy dzisiejszej nocy?

Wyglądał, jakby to pytanie przyjął z ulgą.

– Teraz, kiedy mam wolne ręce, zamierzam dokładniej obejrzeć pokój, ale nie spodziewam się znaleźć żadnej drogi ucieczki.

– A więc po prostu czekamy?

Ponuro skinął głową.

– Na dole naliczyłem co najmniej sześciu ludzi, do tego dwóch w holu. Nie lubię siedzieć bezczynnie, ale jeszcze mniej podoba mi się pomysł samobójstwa.

Ten dźwięk, który wydał wcześniej – połączenie śmiechu, płaczu i straszliwej ironii…

Teraz wydała go Poppy.

20

Kilka godzin później – kiedy Andrew i Poppy zjedli chleb i ser, które rzucili im porywacze, gdy po dokładnych oględzinach pokoju nie znaleźli absolutnie nic i gdy po długim milczeniu zawarli coś w rodzaju milczącego rozejmu – Andrew usiadł. Oparł się plecami o ścianę, wyciągnął przed siebie nogi i westchnął.

– Nie chcesz krzesła? – spytała Poppy.

Siedziała na łóżku. Otworzyła usta, żeby zaprotestować, kiedy kilka minut wcześniej powiedział jej, żeby je zajęła, ale on uniósł rękę i posłał jej takie spojrzenie, że nie powiedziała ani słowa. Pokręcił głową.

– Z jakiegoś powodu wydaje się mniej wygodne niż to.

Zerknęła na krzesło, a potem na niego.

– Rzeczywiście.

Uśmiechnął się cierpko.

– To łóżko nie jest… Może nie tyle niewygodne, ale nieszczególnie dobre.

Roześmiał się na te słowa.

– Nie umiesz kłamać.

– Właściwie to nie było kłamstwo. Wszystko zależy od doboru słów.

Parsknął.

– Tak mówi każdy polityk w Londynie.

Uśmiechnęła się, co sprawiło mu tak absurdalnie wielką radość, że mógł ją wytłumaczyć tylko tym, że uśmiech w takich okolicznościach można

traktować wręcz jak triumf.

– Proszę – powiedziała, rzucając mu poduszkę. – Weś ją.

Nawet nie próbował jej złapać, wydało mu się, że znacznie przyjemniej będzie pozwolić, żeby przeleciała przez pokój i uderzyła go w ramię.

– Jak w dawnych czasach – mruknął.

– Chciałabym, żeby tak było – odparła.

Spojrzał na nią. Poppy siedziała ze skrzyżowanymi nogami, jej suknia rozciągnięta na kolanach utworzyła coś na kształt trójkąta. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio siedział w takiej pozycji. Raczej nie widział też, żeby ona tak siedziała.

Nic dziwnego. Nikt nie siada tak publicznie. Tylko w domu, w chwilach nieuwagi.

– Przepraszam – powiedział. Mówił powoli nie dlatego, że miał wątpliwości, ale ponieważ zaskoczyło go, jak głęboko to odczuwał. – Przepraszam, że tak szybko wpadałem w złość.

Znieruchomiała z lekko rozchylonymi ustami, zaskoczona tak nagłą zmianą tematu.

– Wszystko w porządku – zapewniła.

– Wcale nie.

– Tak. To… – Spojrzała w górę i pokręciła głową. Wyglądała, jakby wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, w jakiej sytuacji się znalazła. – Każdy wpadłby w złość. Myślę, że to prawdziwy cud, że cię nie udusiłam.

Uśmiechnął się.

– Wiesz, nie jest łatwo udusić człowieka.

Opuściła głowę i roześmiała się.

– Dowiedziałam się o tym ostatnio.

– Doprawdy. Gdzie dobrze urodzona dama mogłaby się nauczyć czegoś takiego?

– Cóż… – Pochyliła się, oparła łokcie na kolanach i podbródek na dłoniach. – Zadałam się z bandą piratów.

Jego pełne oburzenia westchnienie było godne najlepszych scen.

– Nigdy tak nie mów.

Odpowiedziała w tym samym tonie, kładąc rękę na piersi ze śmiertelnie poważną miną i szeroko otwartymi oczami.

– Myślę, że moja reputacja będzie zrujnowana.

A ponieważ coś w jego wnętrzu wydawało się wracać na swoje miejsce, posłał jej krzywy uśmiech i powiedział:

– Jeszcze nie.

Tydzień wcześniej poczułaby się autentycznie urażona takim żartem, ale teraz nawet nie próbowała udawać. Przewróciła tylko oczami i pokręciła głową.

– Jaka szkoda, że nie mam jeszcze jednej poduszki, żeby w ciebie rzucić.

– Rzeczywiście. – Teatralnym ruchem rozejrzał się po podłodze wokół siebie. – Żyłbym w luksusie.

– Czy kiedykolwiek walczyłeś na poduszki ze swoim rodzeństwem?

Poprawiał sobie za plecami poduszkę, którą w niego rzuciła, ale na te słowa przestał.

– Musisz pytać?

Zachichotała.

– Wiem. To głupie pytanie.

– A ty? – spytał.

– Och, oczywiście.

Spojrzał na nią.

– O co chodzi?

– Czekałem, aż powiesz, że zawsze wygrywałaś.

– Ze wstydem muszę przyznać, że to byłaby nieprawda.

– Nie wierzę własnym uszom. W domu Bridgertonów doszło do rywalizacji, w której Poppy Bridgerton nie była zwyciężczynią?

– Poppy Louise Bridgerton – powiedziała oficjalnym tonem. – Skoro zamierza pan ze mnie kpić, proszę robić to jak należy.

– Proszę o wybaczenie, Poppy Louise. Ale powiedz mi, kto wygrywał?

– Oczywiście moi dwaj starsi bracia. Głównie Richard. Roger twierdził, że nie warto się dla mnie wysilać.

– Z taką łatwością pokonałby cię?

– Był o całą głowę wyższy – zaprotestowała. – Walka nigdy nie była uczciwa.

– W takim razie to dobrze, że się od niej uchylał.

Zacisnęła usta z lekkim rozdrażnieniem.

– Nie był aż tak miły. Mówił, że ma bardziej interesujące sposoby dręczenia mnie.

– Och, tak. – Uśmiechnął się. – To właśnie on nauczył cię nowego języka, prawda?

– Rzeczywiście, nowy język. Proszę, lepiej uważaj, bo cię ofarfaruję.

Wybuchnął śmiechem.

– Żałuję, że nie znałem twojego brata. Myślę, że oddawałbym mu cześć na kolanach.

– Ja też tego żałuję – powiedziała ze smutnym uśmiechem.

Wiedział, że chodziło jej o to, że chciałaby, aby Roger wciąż żył, wciąż mógł zdobywać nowych przyjaciół i wymyślać nowe sposoby dręczenia młodszej siostry.

– Jak umarł? – spytał. Nigdy mu tego nie powiedziała, a aż dotąd krępował się zapytać.

– Infekcja – odparła tak spokojnie, jakby to słowo dawno już zostało wyprane z tragedii i pozostała tylko rezygnacja.

– Przykro mi. – Wielokrotnie widział ludzi umierających w wyniku infekcji. Zawsze zaczynało się całkiem zwyczajnie. Zadrapanie, rana… Jego brat znał kogoś, kto włożył źle dopasowane buty, a potem umarł z powodu ropiejącego pęcherza.

– Ugryzł go pies – powiedziała Poppy. – To nie było nawet groźne ugryzienie. Chcę powiedzieć, że mnie też kiedyś ugryzł pies. A ciebie?

Skinął głową, chociaż nigdy nie był ugryziony.

– Rana nie goiła się prawidłowo. A wyglądało, jakby miała się zagoić. Przez kilka dni wyglądała całkiem dobrze, może tylko trochę zaczerwieniona. Opuchnięta. A potem… – Przełknęła ślinę i odwróciła wzrok.

– Nie musisz kończyć – powiedział łagodnie.

Ale chciała. Widział to wypisane na jej twarzy.

– Dostał gorączki – mówiła dalej. – Z dnia na dzień. Położył się do łóżka i wydawało się, że będzie dobrze. Przyniosłam mu kubek gorącego cydru, więc wiem.

Objęła się ramionami, zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

– Był taki rozpalony. To było nienaturalne. Miał skórę jak papier. A najgorsze, że to się wcale nie działo powoli. Trwało pięć dni. Wiesz, jak długo może się ciągnąć pięć dni?

To o dzień mniej, niż spędziła na pokładzie „Infinity”. Nagle wydało mu się, że to wcale nie było długo.

– Chwilami tracił przytomność – mówiła. – Ale chwilami nie i wiedział… wiedział, że umrze.

– Powiedział ci to?

Pokręciła głową.

– Nie powiedziałby mi czegoś takiego. Wciąż powtarzał „nic mi nie będzie, Pops, przestań się martwić”.

– Nazywał cię Pops? – Andrew starał się nie uśmiechnąć, ale było w tym coś nieodparcie uroczego.

– Tak. Ale tylko czasem. – Wyznała to w sposób, który podpowiedział mu, że wcześniej się nad tym nie zastanawiała. Przechyliła lekko głowę i spuściła wzrok, jakby wpatrywała się w swoje wspomnienia.

– Tylko kiedy był poważny, ale udawał, że nie jest.

Spojrzała na Andrew, który z ulgą zauważył, że posępny wyraz zniknął z jej twarzy.

– Rzadko bywał poważny – powiedziała. – A przynajmniej chciał, żeby tak wszyscy myśleli. Był bardzo spostrzegawczy, a myślę, że ludzie mniej mieli się przy nim na baczności, bo uważali go za nicponia.

– Cóż, mam niejakie doświadczenie z taką dychotomią – wtrącił cierpko.

– Mogę sobie to wyobrazić.

– Co było potem? – spytał.

– Umarł – odparła z bezradnym wzruszeniem ramion. – Do samego końca próbował udawać, że to się nie stanie, ale w ważnych sprawach nigdy nie umiał kłamać.

Natomiast Andrew kłamał tylko w ważnych sprawach. Ale usilnie starał się teraz o tym nie myśleć.

Poppy parsknęła smutnym śmiechem.

– Rano w tym dniu, kiedy umarł, chełpił się nawet, że na następnym jarmarku zmasakruje mnie w toczeniu jajka, ale widziałam to w jego oczach; wiedział, że nie przeżyje.

– Zmasakruje? – powtórzył Andrew; spodobał mu się taki dobór słów.

Uśmiechnęła się blado.

– Nigdy nie wystarczało mu, że mnie pokona.

– Tak, domyślam się.

Powoli skinęła głową.

– Wiedziałam, że kłamie. On też wiedział, że ja wiem. I zastanawiałam się… Dlaczego? Dlaczego tak uparcie trwał przy swoim, skoro i tak wiedział, że mnie nie oszuka?

– Może myślał, że wyświadcza ci przysługę.

Wzruszyła ramionami.

– Może.

Najwyraźniej nie miała nic więcej do powiedzenia na ten temat, więc Andrew wrócił do poprawiania poduszki. Była płaska i pozbijana, nie dawała się łatwo ułożyć. Próbował ją ubijać, zgniatać, składać… wszystko na próżno.

– Wygląda bardzo niewygodnie – zauważyła Poppy.

Nawet na nią nie spojrzał i nie przerwał walki z poduszką.

– Wszystko w porządku.

– Będziesz mnie okłamywał tak samo jak Roger?

To przykuło jego uwagę.

– Dlaczego tak mówisz?

– I proszę po prostu przyjść i usiąść na łóżku – powiedziała z irytacją. – I tak żadne z nas raczej nie będzie dzisiaj spało, a jeżeli jeszcze przez chwilę będę patrzeć na twoje zmagania z poduszką, to chyba oszaleję.

– Wcale nie…

– Właśnie, że tak.

Patrzyli na siebie przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

Ona wytrzymała dłużej.

– Dobrze. – Wstał. – Usiądę po drugiej stronie.

Obszedł łóżko dookoła i usiadł na brzegu. Miała rację. Nie było wstrząsająco wygodne. Ale i tak o niebo lepsze od podłogi.

– Nie wydaje ci się to dziwne – odezwała się, kiedy usiadł – że prowadzimy tak zwyczajną rozmowę?

Zerknął na nią z ukosa.

– Kłócąc się o to, kto ma gdzie siedzieć?

– Cóż, tak. I wspominając zabawy z dzieciństwa i śmierć mojego brata. To oczywiście smutne, ale niewątpliwie zwyczajne. Nie, żebyśmy wcześniej prowadzili filozoficzne rozważania nad sensem…

– Życia? – podpowiedział.

Wzruszyła ramionami.

Odwrócił się tak, żeby widzieć ją bez wykręcania szyi.

– Chciałabyś spędzić wieczór na ważkich filozoficznych dysputach?

– Raczej nie, ale nie sądzisz, że powinniśmy? Biorąc pod uwagę naszą niepewną sytuację?

Oparł się o zagłówek i odczekał chwilę, aby jego następne słowa zyskały aurę oświadczenia.

– Kiedy byłem w szkole, kazali nam czytać książkę.

Odwróciła się do niego całym ciałem, tak zaintrygowała ją ta nagła zmiana tematu.

– Była okropna – powiedział.

– Co to za książka?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Nie pamiętam. Tak bardzo była zła.

– Dlaczego kazali wam ją czytać?

Wzruszył ramionami.

– Ponieważ ktoś powiedział, że jest ważna.

– Kto decyduje o takich sprawach? – zastanawiała się.

– Które książki są ważne? Nie mam pojęcia, ale w tym przypadku bardzo się pomylili. Uwierz mi, każde słowo było torturą.

– Więc przeczytałeś ją? Całą książkę?

– Przeczytałem. Nienawidziłem każdego słowa, ale przeczytałem to cholerstwo, bo wiedziałem, że będą mnie o nią wypytywać, a nie chciałem rozczarować ojca. – Odwrócił się i spojrzał na nią z wyrazem niesmaku na twarzy. – To niezbyt dobry powód, żeby przeczytać książkę, nie sądzisz?

– Chyba tak.

– Książki powinno się czytać dlatego, że przemawiają do serca – powiedział Andrew z zaskakującą pasją jeśli zważyć, że nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał. W każdym razie nie w taki sposób. – Bo one zaspokajają twoje pragnienie wiedzy, a nie kogoś siedzącego w jakiejś wieży dwieście lat wcześniej.

Przyglądała mu się przez chwilę, po czym zapytała:

– Właściwie dlaczego o tym rozmawiamy?

– Ponieważ nie powinniśmy rozmawiać o tym, czy wszechświat pasuje do duszy człowieka, jeżeli tego nie chcemy.

– Ja nie chcę – powiedziała z szeroko otwartymi oczami. – Naprawdę nie chcę.

– To dobrze. – Usiadł wygodniej i przez chwilę oboje milczeli. Było raczej spokojnie i banalnie, dopóki nie powiedziała:

– Możemy zginąć.

– Co? – spytał ostro, odwracając się do niej gwałtownie. – Nie mów tak.

– Nie mówię, że na pewno zginiemy. Ale to możliwe. Nie okłamuj mnie i nie zaprzeczaj.

– Jesteśmy zbyt dużo warci – stwierdził Andrew. – Nie zabiją nas.

Ale czy ci ludzie zdawali sobie sprawę, kogo pojmali? Jak dotąd, wszystko wskazywało na normalne (o ile można mówić o czymś normalnym w takim przypadku) porwanie. Nietrudno sobie wyobrazić, że portugalscy bandyci zobaczyli dwoje niewątpliwie zamożnych cudzoziemców i doszli do wniosku, że ktoś zgodzi się zapłacić za nich okup.

Ale z drugiej strony, nie można wykluczyć, że ktoś odkrył jego prawdziwą rolę. Jeżeli tak, i ludzie, którzy ich przetrzymują, kierują się motywami politycznymi, to Andrew jest dla nich zdobyczą zupełnie innego rodzaju.

(A Bóg jeden wie, jakie polityczne motywy mogłyby nimi kierować; na całym świecie jest wiele skrajnych grup, które nienawidzą Brytyjczyków).

Kapitan Andrew James nie był całkowicie nieznany w Lizbonie. Rankiem spotkał się z Robertem Walpole’em, brytyjskim posłem. Nie stosował żadnych specjalnych podstępów; dawno już nauczył się, że w tego rodzaju misjach najciemniej jest pod latarnią. Nałożył najlepsze ubranie, poruszał się i mówił jak arystokrata i poszedł wprost do domu pana Walpole’a.

– Nie zabiją nas – powtórzył. Jednak wcale nie był tego pewien.

– Nie wiem, czy to prawda – powiedziała Poppy.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Co?

– To, co powiedziałeś. O tym, że jesteśmy zbyt cenni. Jesteśmy cenni tylko pod warunkiem, że oni wiedzą, że jesteśmy cenni.

– Wiedzą, że mam w porcie statek.

Ale z drugiej strony, jeśli wiedzieli, że wykonuje tajne misje dla Korony, mogłoby im bardziej zależeć na jego wyeliminowaniu niż na jakichkolwiek bogactwach.

– Ale niczego nie będziemy pewni aż do rana, prawda? – spytała.

Westchnął.

– Prawdopodobnie nie. Ale tak jak ci mówiłem, myślę, że udało mi się ich przekonać, żeby cię wypuścili.

Skinęła głową.

– Nie upieraj się, żeby zostać ze mną – dodał.

– Nie będę – obiecała.

– Nie będziesz?

– Oczywiście, że nie. Jak miałabym ci pomóc, siedząc tutaj? Jeśli wyjdę, może uda mi się zrobić coś, żeby cię uwolnić.

– No właśnie. – Andrew był zadowolony z tego, jak szybko zrozumiała sytuację, a jednocześnie nieco dotknięty tym, że tak skwapliwie zgodziła się odejść.

A jednak, gdyby udało mu się ją uwolnić, nie powinna wracać, by go ratować. Dzięki swoim koneksjom w Lizbonie mógłby ją odesłać do Anglii; wystarczy, że ją doprowadzi do odpowiednich osób.

A może, co wydaje się bardzo prawdopodobne, ona sama się do nich doprowadzi.

Pomyślał o wszystkich sprawach, dla których sądził, że warto zginąć. Żadna z nich nie wydawała się istotna w porównaniu z życiem tej kobiety.

Czy to była miłość? Czy mogła być? Wiedział tylko tyle, że nie potrafił sobie wyobrazić przyszłości bez niej.

To ona była śmiechem.

Była radością.

I mogła zginąć, ponieważ on był zbyt samolubny, żeby zostawić ją na statku.

Wiedział przecież, że byłoby bezpieczniej, gdyby została na pokładzie. Wiedział, a jednak zabrał ją na ląd.

Chciał zobaczyć, jak się uśmiecha. Nie, to było nawet bardziej egoistyczne. Chciał zostać jej bohaterem. Chciał, żeby patrzyła na niego z podziwem, żeby myślała, że słońce wschodzi i zachodzi na jego twarzy.

Zamknął oczy. Musiał to zrobić dla niej. Musiał ją chronić.

Nie była pod jego opieką i może nigdy nie będzie, ale on zadba o jej bezpieczeństwo.

Nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi.

Andrew nie był pewien, jak długo siedzieli obok siebie w milczeniu. Czasami wydawało mu się, że Poppy chciała coś powiedzieć – wnioskował to z jej nieznacznych, nagłych ruchów, jakby miała się odezwać. W końcu, gdy już sądził, że przed nocą skończyli rozmowy, Poppy przemówiła.

– Pamiętasz, co powiedziałam zeszłej nocy, o moim pierwszym pocałunku?

Zamarł. Jak mógłby to zapomnieć?

– Kapitanie…

– Andrew – przerwał jej. Jeśli rzeczywiście miała to być ich ostatnia noc, to zamierzał spędzić ją z kimś, kto zwraca się do niego po imieniu.

– Andrew – powtórzyła ostrożnie, jakby smakowała to słowo. – Pasuje do ciebie.

To zabrzmiało dziwnie.

– Wiedziałaś, że tak mam na imię – zauważył.

– Wiem, ale mówić je, to co innego.

Nie był pewien, czy rozumie, co miała na myśli. Nie był pewien, czy ona wiedziała. Ale to było ważne. Z jakiegoś powodu oboje zdawali sobie z

tego sprawę.

– Mówiłaś o pocałunku – przypomniał cicho.

Skinęła głową i zauważył napięcie na jej twarzy. Przełknęła ślinę. Była zdenerwowana; to oczywiste. On sam był przerażony. Nie pierwszy raz znalazł się w niebezpiecznej sytuacji. Nawet nie pierwszy raz myślał, że może zginąć.

Ale po raz pierwszy myślał, że może pociągnąć za sobą zupełnie niewinną duszę.

– To był mój pierwszy pocałunek – powiedziała. – I było cudownie. Ale wiem, że to nie wszystko. Że jest więcej.

– Więcej? – powtórzył. Zerknął na nią nieufnie.

– Nie więcej więcej. Trochę o tym wiem.

– Wiesz trochę… o czym?

– Nie wiem wiem.

– Wielkie nieba – mruknął pod nosem.

– Wiem, co się dzieje między mężem i żoną – powiedziała, jakby chciała mu dodać otuchy.

Zabrakło mu słów.

– Sam nie mogę uwierzyć w to, co zaraz powiem, ale czy próbujesz mi powiedzieć, że wiesz wiesz?

– Oczywiście, że nie! – spłonęła rumieńcem; zobaczył to nawet w słabym blasku świecy.

– Z pewnością widzisz, że czuję się nieco zdezorientowany.

– Szczerze mówiąc… – szepnęła, a on nie miał pewności, czy była zakłopotana, czy rozczarowana.

Wypuścił powietrze z płuc. Na tym rozmowa niewątpliwie się zakończyła. Nie był święty, ale nie zrobił nic, żeby zasłużyć na coś takiego.

Ale nie. Poppy zacisnęła wargi, po czym powiedziała dziwnie oficjalnym tonem:

– Kuzynka mi powiedziała.

Odchrząknął.

– Kuzynka ci powiedziała.

Spojrzała na niego z irytacją.

– Dlaczego powtarzasz to, co mówię?

Ponieważ czuł narastające przerażenie…

– To prawdopodobnie wskazuje, że nie chcę prowadzić tej rozmowy – odparł.

Zignorowała go.

– Moja kuzynka Billie jest zamężna i…

Zwalczył pokusę ryknięcia zupełnie niestosownym śmiechem. Znał Billie Bridgerton, teraz Billie Rokesby. Była jego szwagierką i jedną z najstarszych przyjaciółek.

– Billie jest kobietą – wyjaśniła Poppy, najwyraźniej błędnie interpretując przerażony wyraz jego twarzy. – Wiem, że to bardzo niezwykłe przezwisko. Ale pasuje do niej. Naprawdę ma na imię Sybilla.

– Oczywiście – mruknął.

Spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy. A raczej spojrzała, jakby to on miał dziwny wyraz twarzy. Bez wątpienia miał. Prawdę mówiąc, było mu trochę niedobrze. Rozmawiali o Billie i jeśli był jakiś odpowiedni moment, żeby powiedzieć jej, kim naprawdę jest, to właśnie teraz.

A jednak nie mógł tego zrobić.

A może mógł.

Czy dzięki temu byłaby bezpieczna? Czy gdyby poznała jego prawdziwą tożsamość, dostałaby do rąk narzędzie, które pomoże jej wrócić do domu? A może wręcz przeciwnie? Może lepiej zostawić ją w nieświadomości.

– Andrew. Andrew!

Zamrugał.

– Nie słuchasz mnie. To jest ważne.

Teraz wszystko było ważne. Każdy moment.

– Przepraszam – powiedział. – Mam zamęt w głowie.

– Ja też!

Przez chwilę próbował się pozbierać. Bezskutecznie. Wziął głęboki oddech, potem jeszcze raz, przybrał obojętny wyraz twarzy i spojrzał jej w oczy.

– Jak mogę ci pomóc? – spytał.

Wydawało się, że tak niespodziewana życzliwość osłabiła jej czujność. Ale tylko na moment.

A potem Andrew zobaczył na jej twarzy swój upadek.

Czy naprawdę kiedyś myślał, że lubi patrzeć, jak jest zamyślona? Najwyraźniej był idiotą.

Rozchyliła usta, a potem wydęła wargi. Popatrzyła nieco w górę i w prawo, jak miała w zwyczaju. Odwróciła głowę – nie przechyliła, lecz odwróciła.

Widział to wszystko już wcześniej. Uważał, że jest czarujące. Ale teraz, kiedy znowu na niego spojrzała i zobaczył przesłonięte długimi rzęsami zielone oczy, wiedział, że jego życie zmieniło się nieodwracalnie.

– Pocałuj mnie – powiedziała.

Zamarł.

– Proszę – dodała, jakby to było powodem, dla którego nie odpowiedział. – Wiem, że jest coś więcej niż pocałunek.

Jej słowa zawisły w powietrzu. Jak w jednym z tych niezręcznych momentów, kiedy wszystkie rozmowy zamierają, jedna osoba mówi zbyt głośno, a potem rozlega się krzyk.

Tyle że Poppy nie krzyczała.

– Prawda, że jest? – spytała.

Nie poruszył się. Nie potrafił się zmusić nawet do skinienia głową.

– Jeśli mam umrzeć, to chciałabym przeżyć porządny pocałunek.

– Poppy – wykrztusił w końcu. – Ja…

Patrzyła na niego wyczekująco, a on – wielkie nieba – nie odrywał wzroku od jej warg.

Oczywisty sygnał.

Rozpaczliwie chciał ją pocałować.

A jednak powiedział:

– To nie jest dobry pomysł.

– Oczywiście, że nie. Ale i tak chcę to zrobić.

On też. Ale nie zamierzał.

Jedno z nich było szalone. Nie miał co do tego wątpliwości. Nie wiedział tylko które.

– Nie chcesz mnie pocałować?

Omal nie parsknął śmiechem. Miałby nie chcieć jej pocałować? W tej chwili pragnął tego bardziej, niż oddychać.

– Chcę… niech to szlag, Poppy, chcę… – Jakby zawstydził się tak gwałtownej reakcji i odwrócił głowę. Spojrzał przez ramię na drewnianą podłogę. Kiedy w końcu znalazł właściwe słowa, czuł się, jakby je wyrywał z własnej duszy. – Skrzywdziłem cię już na tak wiele różnych sposobów.

– Och, teraz próbujesz być dżentelmenem.

– Tak – warknął. – Tak, próbuję. I, na Boga, przychodzi mi to z trudem.

Uśmiechnęła się.

– Nie rób tego – ostrzegł.

– To tylko pocałunek – powiedziała.

– Taką taktykę przyjęłaś? – Naśladował jej ton. – To tylko pocałunek.

Straciła pewność siebie.

– Przepraszam. Nie wiem, co powiedzieć. Nigdy wcześniej nie próbowałam nakłonić mężczyzny, żeby mnie pocałował.

Andrew zamknął oczy i jęknął. Pożądanie, które do niej czuł, tliło się od kilku dni, jak mały, spokojny płomień, nad którym umiał panować.

Aż do teraz.

Może mógłby się jej oprzeć, gdyby byli na statku. Albo gdyby migotliwy blask świec nie rzucał tak niepokojących cieni na jej pierś.

Mógłby pozostać stanowczy, gdyby nie siedzieli na łóżku, na miłość boską; gdyby nie zwróciła się do niego idealnie wykrojonymi ustami i bezkresnymi zielonymi oczami, i nie poprosiła, żeby ją pocałował.

Ten stabilny płomyk… tak spokojny i mały, że niemal do niego przywykł…

Już nie był spokojny.

– Gdybym cię pocałował – każde słowo było dla niego torturą – obawiam się, że nie umiałbym się zatrzymać.

– Oczywiście, że będziesz umiał – powiedziała niemal radośnie.

Patrzył na nią, nie mogąc wykrztusić słowa. Czy ona próbowała dodać mu otuchy?

– Jesteś dżentelmenem – zauważyła, jakby to miało wszystko wyjaśnić. – Zatrzymasz się w momencie, kiedy cię o to poproszę.

Parsknął ponurym śmiechem.

– Tak myślisz?

– Wiem to.

Nie od razu zdał sobie sprawę, że kręci głową z niedowierzaniem.

– Nie wiesz, co mówisz – wychrypiał. Do diabła, on sam nie był pewien, czy wiedział, co mówi. Ledwie panował nad tym, co myślał.

Ona jednak nie dawała się zniechęcić.

– Dobrze wiem, co mówię. I znam cię.

– Poppy…

– Dzisiaj powiedziałeś, że znam cię tak samo jak każdy inny. I mówię ci, że wiem, że zatrzymasz się w chwili, gdy cię o to poproszę.

A potem, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, dodała:

– Prawdopodobnie zatrzymasz się, zanim cię poproszę.

– Chryste! – wybuchnął, zrywając się z łóżka. – Nie masz pojęcia, co mówisz. Nie masz cholernego pojęcia. Czy wiesz, jak to jest być mężczyzną?

– Mogę zginąć – szepnęła.

– To nie powód, żebyś oddawała swoją niewinność.

Zeszła z łóżka i stanęła przed nim.

– Chcę tylko pocałunku.

Chwycił ją i przyciągnął do siebie.

– To nie będzie tylko pocałunek. Między nami to nigdy nie będzie tylko pocałunek.

A wtedy – niech go bogowie mają w opiece – szepnęła:

– Wiem.

21

Poppy nie zamknęła oczu.

Nie mogła stracić tej chwili. Nie zamierzała jej stracić. I rzeczywiście, dokładnie widziała, kiedy Andrew się poddał – w tej samej sekundzie, gdy on uświadomił sobie, że nie da rady dłużej się jej opierać.

Ani sobie samemu.

Lecz o ile zauważyła ten moment, to nie zobaczyła następnego. Jego ruch był tak szybki, że dosłownie zaparło jej dech. W jednej chwili widziała, jak namiętność rozpala się w jego wzroku, a w następnej wpił się ustami w jej usta, wygłodniały i gwałtowny.

Niepohamowany.

To był pocałunek, przy którym tamten – pod gwiazdami, na pokładzie „Infinity” – wydawał się należeć do zupełnie innego gatunku.

O ile jej pierwszy pocałunek był magiczny, ten był dziki. Zawładnął nią, niemal przytłoczył.

Całował jak opętany. Jak ktoś, kto nie ma nic do stracenia.

Jego usta były chciwe, niemal bezwzględne, i ta jej część, która jeszcze zachowywała rozsądek, zastanawiała się, czy Andrew nie karze jej za to, że zmusiła go do przekroczenia granicy.

Powinno ją to przerazić. Jego namiętność, w końcu uwolniona, była pierwotna i niebezpieczna.

Ale ona także czuła się niebezpieczna.

Nieustępliwa.

Czuła się niesamowicie.

Dlatego odwzajemniła pocałunek. Nie zdawała sobie sprawy, co robi, pozwoliła, żeby pokierował nią instynkt. Wiedziała tylko, że chce więcej. Więcej jego dotyku, więcej jego żaru. Więcej jego.

Dlatego gdy jego język wśliznął się do jej ust i szukał drogi, ona odpowiedziała tym samym. Kiedy przygryzł jej dolną wargę, ona przygryzła jego górną. A kiedy jego ręce zsunęły się z jej pleców, obejmując mocno pośladki, jej ręce zrobiły to samo.

Cofnął się z cieniem uśmiechu na twarzy.

– Naśladujesz mnie?

– A nie powinnam?

Ścisnął lekko.

Ona też.

Uniósł rękę do jej włosów i nawinął na palce gruby kosmyk.

Wplotła dłonie w jego niesforną grzywę i przyciągnęła go do siebie.

– Zawsze szybko się uczyłaś – szepnął.

Parsknęła śmiechem, zachwycona tym, jak jej oddech odbił się od jego skóry.

– Mówisz, jakbyś znał mnie dłużej niż tydzień.

– To tak krótko? – Obrócił Poppy tak, że stała tyłem do łóżka. – Wydaje mi się, że znam cię od wieków.

Jego słowa odbiły się echem w jej wnętrzu, wzbudzając coś, co obawiała się zgłębiać. Czuła, jakby znała go od zawsze, jakby mogła mu mowić rzeczy, których nie wyjawiłaby nikomu innemu.

Gdyby zadała głupie pytanie, mógłby się roześmiać ale tylko dlatego, że cieszyła go jej ciekawość.

Miał sekrety – tego była pewna – ale znała go. Wiedziała, jakim jest człowiekiem.

– Jak to zrobiłaś? – spytał szeptem.

Poppy nie była pewna, o co pyta, ale nie przeszkadzało jej to. Objęła go za szyję i ten ruch sprawił, że jej biodra wysunęły się do przodu, przywierając do jego muskularnych ud.

– Poppy – jęknął. – Mój Boże, Poppy.

– Andrew – szepnęła. Tak rzadko wymawiała jego imię. Na jej wargach było jak pieszczota.

– Uwielbiam twoje włosy – powiedział, przyciągając ją mocniej do siebie. – To była prawdziwa tortura, kiedy co noc patrzyłem, jak je rozpuszczasz, a potem zaplatasz.

– Ale starałam się to robić, gdy nie patrzyłeś.

– Próbowałaś – powiedział z naciskiem. – Jestem przebiegłym draniem. Nie potrafiłem się zdecydować, co bardziej mi się podoba. Rozpuszczone, kiedy widać było grę światła na każdym kosmyku – rozwinął lok, który trzymał w dłoni – czy spięte, gdy mogłem sobie wyobrażać, że to ja je rozpuszczam.

– A co z warkoczem?

– Och, też uwielbiałem. Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałem go rozpleść.

– I zamoczyć w kałamarzu? – Przypomniała sobie, że bracia lubili jej to robić.

– To byłaby zbrodnia – powiedział cicho. – Nie mówiłem ci, że lubię patrzeć na wszystkie kolory?

Przesunął palcami po jej włosach. Poppy nie potrafiła zrozumieć, co wydawało mu się tak interesujące, ale najwyraźniej podobało mu się, a ona dzięki temu czuła się piękna.

– Początkowo – powiedział, unosząc do ust kosmyk jej włosów i składając na nim pocałunek – chciałem za nie pociągnąć, bo byłaś tak… cholernie… irytująca.

– A teraz?

Przyciągnął ją bliżej do siebie.

– Teraz męczysz mnie w inny sposób.

Poppy poczuła, że jej ciało się wygina, instynktownie poszukując jego ciepła. Był twardy i silny – w każdym calu – czuła wyraźnie dowód jego pożądania, natarczywie napierający na jej brzuch.

Wiedziała to i owo o mechanice współżycia. Ciekawiło ją wszystko – z czego Andrew lubił żartować. Ale kiedy kuzynka Billie opowiedziała jej w ogólnym zarysie, czego może oczekiwać, gdy wyjdzie za mąż, Poppy była na tyle zdezorientowana, że zażądała bliższych szczegółów. Szczerze mówiąc, nie do końca zrozumiała pierwsze wyjaśnienia Billie.

Potem jednak, z zakłopotaniem większym, niż się Poppy spodziewała, Billie wytłumaczyła, że męski członek zmienia się, kiedy jest pobudzony. Staje się dłuższy i twardszy. A po wszystkim wraca do poprzedniego stanu.

Poppy uważała, że to bardzo dziwne. Próbowała sobie wyobrazić, że jakaś część jej miałaby się zmieniać, kiedy czuła pożądanie. Roześmiała się na myśl, że jej uszy mogłyby się wydłużać albo włosy skręcać w loki. Billie także się śmiała, ale to był śmiech zupełnie innego rodzaju – nie niemiły, po prostu inny.

Wtedy Poppy miała wątpliwości, ale teraz to wszystko nabierało sensu. Czuła się tak odmieniona wewnątrz, że wydawało jej się niemal niemożliwe, by pozostała fizycznie niezmieniona. Jej piersi wydawały się cięższe i – tak – większe. Jej sutki zmieniły się w ostre szczyty, jak wtedy, gdy temperatura spadała, a gdy jego dłoń przesunęła się po gorsecie, wywołała iskry, które przeszywały ją do głębi.

Nie pamiętała, by coś takiego zdarzyło się ostanim razem, kiedy zmarzła.

Czuła głód… przeszywający głód. Chciała owinąć nogi wokół niego i przycisnąć go do siebie. Chciała poczuć przyciskającą się do niej tę twardość. Potrzebowała bliskości. Potrzebowała nacisku.

Potrzebowała jego.

Jakby czytał w jej myślach, przesunął ręce w dół i uniósł ją, tylko po to, żeby posadzić na łóżku. W mgnieniu oka znalazł się nad nią, poruszając się

szybko i zwinnie jak kot, drapieżnie i z wdziękiem.

Pożerał ją wzrokiem.

– Poppy – jęknął, a ona poczuła ucisk w sercu, słysząc swoje imię w jego ustach.

Wydawało się nieistotne, że wypowiadał je już wcześniej; teraz było inaczej, jakby te dwie krótkie sylaby stały się nieodłączną częścią ich pocałunku.

Jego ciężar wcisnął ją w materac, ale mimo że to on ją przyszpilił, czuła się potężna. Przyprawiała ją o dreszcz myśl, że to ona doprowadziła go do tego. Że to z jej powodu ten niezłomny mężczyzna niemal stracił nad sobą kontrolę.

I to poczucie siły… zmieniło ją. Dodało jej odwagi. Wzbudziło w niej głód.

Sprawiło, że pragnęła jego dotyku, jego siły.

Chciała być równie śmiała jak on, po prostu sięgnąć i wziąć to, czego pragnęła. Ale nie wiedziała – nie mogła wiedzieć – jak zacząć.

Chciała się dowiedzieć.

Spojrzała mu w oczy.

– Chcę cię dotknąć.

– Zrób to – rozkazał.

Dawno już zdążył pozbyć się krawata, więc uniosła ręce i dotknęła ciepłej skóry na jego szyi, przesuwając palcami wzdłuż napiętych mięśni aż do ramion.

Zadrżał.

– Podoba ci się to? – spytała szeptem.

Jęknął.

– Tak, bardzo.

Przygryzła wargę, zafascynowana jego reakcją. Kiedy jej palce wśliznęły się pod brzeg koszuli, całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Zaczęła odsuwać dłoń, ale natychmiast ją przytrzymał. Spojrzeli sobie w oczy.

Powoli cofnął rękę i Poppy wróciła do swojego niespiesznego badania, kreśląc kręgi i linie na jego skórze. Mogłaby to robić całą noc, może nawet spróbowałaby, ale on jęknął i cofnął się.

Usiadł prosto, unosząc się ponad nią, i zdjął koszulę przez głowę.

Poppy przestała oddychać.

Był piękny.

Miał ciało mężczyzny, który go używał, który pracował – i to ciężko. Jego mięśnie były doskonale wyrzeźbione pod skórą, a ona nie mogła się nie zastanawiać, jakie ruchy ukształtowały każdy z nich.

– O czym myślisz? – szepnął.

Popatrzyła mu w oczy, dopiero wtedy zdając sobie sprawę, że wpatrywała się w niego.

– Zastanawiałam się, skąd masz to. – Położyła rękę na jego piersi, zachwycając się tym, jak wypukłość mięśnia wypełniła jej dłoń.

Wciągnął gwałtownie powietrze.

– Jezu, Poppy.

– Jakiego rodzaju ruchy kształtują każdy z mięśni? – powiodła dłonią po jego ramieniu. Wypukłość uginała się i zmieniała kształt pod jej palcami.

Ich oczy znowu się spotkały. Nie przestawaj, zdawało się mówić jego spojrzenie.

Przesunęła dłoń po łokciu, docierając do delikatniejszej skóry przedramienia.

– Jak się wyrabia takie mięśnie? – zastanawiała się, muskając opuszkami palców mięsień tuż poniżej łokcia. – Przenosząc skrzynie?

– Przy kole.

Spojrzała na niego. Brzmiał, jakby brakowało mu tchu.

Ona to sprawiła. Znowu poczuła w sobie moc.

To ona była mocą.

– A których używasz, podnosząc skrzynie?

– Pleców – odparł. – I nóg.

Położył sobie jej dłoń na ramieniu, otaczając ją swoimi długimi palcami.

– I tych.

Patrzyła zafascynowana na kontrast między jego i swoją skórą. Spędzał całe godziny na słońcu i jego skóra przybrała złocisty odcień. Również wiatr i woda pozostawiły na niej swój ślad – była szorstka i twarda. I piękna.

– Podobają mi się twoje ręce – powiedziała nagle, ujmując jego dłoń.

– Moje ręce? – Uśmiechnął się i w kącikach jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

– Są idealne – wyjaśniła. – Duże i kanciaste.

– Kanciaste? – W jego głosie zabrzmiało rozbawienie.

– I zręczne. – Położyła sobie jego dłoń na sercu. – Dzięki nim czuję się bezpiecznie.

Odetchnął głęboko, a jego dotyk stał się nieco mocniejszy. Jego dłoń przesunęła się powoli, podpełzając do piersi. Ścisnął delikatnie, a ona jęknęła, zaskoczona niespodziewaną przyjemnością.

Spojrzał jej w oczy.

– Czy prosisz mnie, żebym się zatrzymał?

Nie.

– Jeszcze nie – szepnęła.

Wcześniej rozluźniła suknię, żeby poczuć się swobodniej, i teraz, gdy wsunął palec pod brzeg gorsetu, tkanina bez trudu zsunęła się z jej ramion.

– Jesteś taka piękna – szepnął.

– Ty…

– Ćśś. – Położył jej palec na ustach. – Nie zaprzeczaj. Jeżeli chcę mówić, że jesteś piękna, to zrobię to, i nie będziesz mi przerywać.

– Ale…

– Cicho.

– Ja…

Jego wargi znowu odszukały jej usta. Przygryzł jej wargę, szepcząc:

– Jest wiele sposobów uciszenia cię, ale żaden tak przyjemny jak ten.

Poppy chciała tylko powiedzieć, że on także jest piękny, ale pocałunki Andrew docierały już do brzegu jej sukni, więc nie wydawało jej się to już tak bardzo pilne. A gdy poczuła, że materiał zsuwa się dalej w dół, niemal odsłaniając jej piersi, nie potrafiła się powstrzymać i wygięła się, aby to ułatwić.

Napotkała jego spojrzenie – gorące, lecz czyste.

– Czy chcesz, żebym się zatrzymał?

Nie.

– Jeszcze nie – szepnęła.

A wtedy jego wargi zacisnęły się na szczycie jej piersi w pocałunku bardziej intymnym, niż mogłaby kiedykolwiek śnić. Wyszeptała jego imię i wyprężyła się, nie rozumiejąc prądu, który przeszył całe jej ciało, ale poddając się mu.

Całował, dotykał i muskał, a Poppy była zupełnie bezbronna wobec tego ataku. Wiedział dokładnie, gdzie całować i jak dotykać – mocno, delikatnie, zębami. Wszystko, co robił, sprawiało przyjemność – ale bolesną przyjemność, bo Poppy pragnęła więcej.

Coś w niej narastało.

– Co ze mną robisz? – wydyszała.

Znieruchomiał. Podniósł wzrok.

– Czy chcesz, żebym przestał?

Nie.

– Jeszcze nie – szepnęła.

Wtedy jego dłoń wsunęła się między jej nogi, dotykając tak, jak ona sama nigdy siebie nie dotykała.

Była wilgotna – nienaturalnie, a przynajmniej tak myślała. Niemal uciekła spod niego, tak była zawstydzona falą wilgoci, którą poczuła między nogami. Ale wtedy on jęknął i powiedział:

– Jesteś taka wilgotna. Taka gotowa.

Zdała sobie sprawę, że może jednak nie jest to aż tak bardzo nienaturalne. Może tak właśnie powinno reagować jej ciało.

Jego palce wśliznęły się do wnętrza, a ona wciągnęła gwałtownie powietrze. Wiedziała, że właśnie tam miała się z nim w końcu połączyć, ale mimo to była zaskoczona. To było bardzo dziwne uczucie, że ktoś może ją dotykać od wewnątrz. Dziwne, a jednak… właściwe.

– Podoba ci się to? – szepnął.

Skinęła głową.

– Tak mi się wydaje.

Jego palce znieruchomiały, ale nie cofnął ręki.

– Jesteś pewna?

– To tylko jest bardzo dziwne – przyznała.

Oparł czoło na jej czole i chociaż z tak bliska nie widziała wyrazu jego twarzy, czuła, że się uśmiechnął.

– To można rozumieć na różne sposoby – powiedział.

– Nie, ja… Podoba mi się. Tylko… – Nie przypominała sobie, kiedy ostatnim razem aż tak bardzo brakowało jej słów. Ale jeżeli miałaby ku temu powód, to właśnie taki.

– Czuję się tylko, jakby wszystko pędziło naprzód, a ja nie wiem dokąd. Ani jak.

Uśmiechnął się znowu. Czuła to.

– Ja wiem dokąd – powiedział.

Wydawało się, jakby jego słowa dotarły gdzieś w głąb jej ciała, pobudzając ją od wewnątrz.

– I wiem jak. Ufasz mi? – szepnął jej do ucha.

Powinien był się już zorientować, że tak, a jednak była mu wdzięczna, że spytał. Dlatego skinęła głową, a ponieważ nie była pewna, czy to zobaczył, dodała:

– Tak.

Pocałował ją raz, delikatnie w usta, a potem jego palce znowu zaczęły się poruszać. Tylko tyle i było jej za mało, a kiedy jęknęła, on nie ustawał, prowadząc ją coraz bliżej…

I bliżej…

– Andrew? – W jej głosie słychać było panikę.

Nie chciała, żeby tak to zabrzmiało. Ale nie wiedziała, co się dzieje. Jej ciało nie należało już do niej.

– Po prostu się poddaj – powiedział cicho.

– Ale…

– Poddaj się, Poppy.

Poddała się.

Coś w niej się zacisnęło, a potem eksplodowało. Nie miała pojęcia, co się z nią stało, ale uniosła się na łóżku z siłą wystarczającą, żeby podnieść i jego.

Nie mogła mówić.

Nie mogła oddychać.

Była zawieszona… odmieniona.

A potem opadła.

Wciąż nie mogła mówić, ale przynajmniej oddychała. Nie od razu udało jej się skupić wzrok, ale w końcu zobaczyła Andrew patrzącego na nią z miną kota nad miseczką śmietany.

Wyglądał na bardzo dumnego z siebie.

– Widziałam gwiazdy – powiedziała.

Zakrztusił się.

– Prawdziwe gwiazdy. Po wewnętrznej stronie powiek, ale prawdziwe. – Zamknęła oczy. – Teraz zniknęły.

Znowu parsknął i opadł na łóżko obok niej, wstrząsając całym materacem.

Poppy leżała bezwładnie. Nie znajdowała słów, którymi mogłaby opisać to, co się właśnie wydarzyło, chociaż kiedy się nad tym zastanowiła

„widziałam gwiazdy” było całkiem trafnym opisem.

– Nieźle jak na pierwszy pocałunek – powiedział Andrew.

– Drugi – mruknęła.

Roześmiał się. Uwielbiała doprowadzać go do śmiechu.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Blask świec oświetlał jego piękną pierś; Andrew patrzył na nią z czułością, która sprawiała, że Poppy pragnęła więcej.

Chciała czasu.

Chciała więcej czasu już teraz, ale przede wszystkim chciała pewności jutra.

Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego ramienia. Wstrzymał oddech, czując jej dotyk.

– Sprawiłam ci ból? – spytała zmieszana.

– Nie, po prostu czuję się… nieco – zmienił pozycję na łóżku – niekomfortowo.

Poppy zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad jego zagadkowymi słowami, aż w końcu…

Przełknęła ślinę, zakłopotana. Jak mogła być tak samolubna.

– Ty nie…

Nie dokończyła zdania. I tak będzie wiedział, o co jej chodziło.

– Wszystko w porządku – powiedział.

Ona jednak nie była tego pewna. Jeśli to miał być ich ostatni dzień na ziemi, to czy nie powinien być dla niego równie przyjemny jak dla niej?

– Ty… – Nie miała pojęcia, jak to wyrazić, nie była nawet pewna, czy chce to powiedzieć. – Może ja…

– Poppy.

W jego głosie zabrzmiał szczególny ton. Zamilkła.

– Jest szansa, że ty dotrzesz w bezpieczne miejsce, ale ja nie – powiedział.

– Nie mów tak – szepnęła, podciągając suknię na ramiona. Usiadła. Taką rozmowę powinno się prowadzić w pozycji pionowej. – Uciekniemy oboje.

Albo żadne z nas, pomyślała. Ale nie zamierzała mówić tego na głos. Nie teraz.

– Jestem pewien, że tak – powiedział tonem, który miał jej dodać otuchy. – Ale nie zostawię cię z nieślubnym dzieckiem.

Poppy przełknęła ślinę i skinęła głową, zastanawiając się, dlaczego czuła się tak pusta, skoro zrobił dokładnie to, o co go prosiła. Okazał więcej rozsądku i powściągliwości niż ona. Dokładnie jak przewidywała, zatrzymał się, jeszcze zanim go o to poprosiła. Wiedział, nawet jeśli ona nie wiedziała, że gdyby się nie zatrzymał, ona by mu nie odmówiła.

Przyjęłaby go i poniosła konsekwencje.

Nie mogła już dłużej wypierać prawdy, która eksplodowała w jej sercu. Kochała go. I nawet teraz, wiedząc, że może się uratować bez niego, jakiś bardzo niepraktyczny zakątek jej serca pragnął zabrać ze sobą jego część.

Położyła rękę na brzuchu, w miejscu, gdzie z całą pewnością nie było dziecka.

– Okazuje się, że miałaś co do mnie rację – powiedział Andrew. Jego wargi wygięły się w lekkim uśmiechu, ale jego głos zabrzmiał smutno. Smutno i ironicznie.

– Jestem dżentelmenem – dodał. – I nie skompromituję cię, jeśli nie mogę zapewnić ci ochrony mojego nazwiska.

Poppy James. Mogłaby się nazywać Poppy James.

Zabrzmiało dziwnie, ale uroczo. Może nie jest niemożliwe.

Ale nie prawdopodobne.

– Poppy, posłuchaj mnie. – W głosie Andrew zabrzmiała nowa, nagląca nuta. – Podam ci pewien adres. Musisz go zapamiętać.

Poppy skinęła głową. Z tym sobie poradzi.

– To dom brytyjskiego ambasadora.

– Bry…

– Proszę – przerwał jej, unosząc rękę. – Daj mi dokończyć. Nazywa się Walpole. Musisz pójść sama i powiedzieć mu, że cię przysłałem.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Znasz brytyjskiego ambasadora?

Skinął głową bez słowa.

Rozchyliła usta; w przedłużającej się ciszy napięcie niemal iskrzyło.

– Nie jesteś tylko kapitanem statku, prawda?

Spojrzał jej w oczy.

– Nie, nie tylko.

Nasuwały się jej setki pytań. I tysiąc teorii. Nie była pewna, czy jest zła – a jeśli jest, to miała do tego prawo. W końcu, dlaczego miałby wyjawiać jej sekrety swojego życia? Weszła na pokład jako więzień. Jeszcze do niedawna nie miał żadnego powodu, żeby jej ufać.

A jednak czuła się urażona.

Przez chwilę gryzła się w język, czekając, czy powie coś więcej. Ale nie powiedział.

Kiedy w końcu się odezwała, jej słowa zabrzmiały oficjalnie.

– Co jeszcze mam mu powiedzieć?

– Opowiedz o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd zawinęliśmy do portu. Powiedz, co zaszło w Taberna da Torre. Ze mną, z tobą, z *senhorem* Fariasem i z Billym. Opowiedz mu wszystko.

Skinęła głową.

– Musisz mu też powiedzieć, kim jesteś.

– Co? Nie! Nie chcę, żeby ktokolwiek…

– Twoje nazwisko się liczy. Jeśli kiedykolwiek byłby powód, żeby z tego skorzystać, to właśnie teraz.

Wstała z łóżka. Czuła się niezręcznie, leżąc, podczas gdy on chodził po pokoju.

– Nie wystarczy powiedzieć, że jestem dobrze urodzona?

– Zapewne tak. Ale słysząc nazwisko Bridgertonów, poważniej potraktuje sprawę.

– Dobrze – ustąpiła.

Wszystko mogło skończyć się dla niej katastrofą, ale jeśli dzięki temu Andrew będzie miał większą szansę na ratunek, powie ambasadorowi, kim jest.

– Świetnie – powiedział z ożywieniem. – A teraz posłuchaj, musisz mu powiedzieć jeszcze jedno.

Patrzyła na niego wyczekująco.

– Musisz powiedzieć, że tęsknisz za błękitnym niebem.

– Błękitnym niebem? – Zmarszczyła brwi zdezorientowana. – Dlaczego?

Andrew patrzył jej prosto w oczy.

– Co masz mu powiedzieć?

– To jakiś rodzaj szyfru? To musi być kod.

Zbliżył się do niej i położył jej dłonie na ramionach, zmuszając ją, żeby popatrzyła mu w oczy.

– Co masz mu powiedzieć? – powtórzył.

– Przestań! Dobrze. Powiem, że tęsknię za błękitnym niebem.

Skinął głową powoli i jakby z ulgą.

– Ale co to znaczy?

Nie odpowiedział.

– Andrew, nie możesz oczekiwać, że przekażę wiadomość, kiedy nie wiem, co ona oznacza.

Zaczął wsuwać koszulę w spodnie.

– Ja robię to cały czas.

– Co?

Zerknął na nią przez ramię.

– Czy myślisz, że wiem, co było w paczce papierów, które wczoraj dostarczyłem brytyjskiemu ambasadorowi?

Otworzyła usta ze zdziwienia.

– To właśnie to…

– Myślisz, że kiedykolwiek wiedziałem? – Zaczął wkładać buty, a Poppy patrzyła na niego bez słowa. Jak mógł się zachowywać, jakby wszystko to było najzupełniej normalne?

– Jak często to robisz?

– Dość często.

– I nie jesteś ciekawy?

Zawiązywał krawat szybkimi, zręcznymi ruchami palców, ale na te słowa znieruchomiał.

– Moja praca… Nie, moja służba polega na przewożeniu dokumentów i dostarczaniu wiadomości. Jak sądzisz, dlaczego nie mogłem opóźnić wypłynięcia do Portugalii? Nie chodziło o mnie. Nigdy nie chodzi o mnie.

Musiał dostarczyć wiadomość. Pracował dla rządu. Poppy myślała intensywnie. Wszystko zaczynało nabierać sensu.

– Właśnie tak służę mojemu krajowi. Teraz i ty musisz to zrobić.

– Chcesz mi powiedzieć, że mówiąc człowiekowi, którego nigdy wcześniej nie widziałam, że tęsknię za błękitnym niebem, wyświadczę przysługę Koronie?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Tak.

– Ja… – Spuściła wzrok i splotła nerwowo palce. Nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Poppy?

Odetchnął głęboko.

– Zrobię, jak powiedziałeś. Ale muszę cię ostrzec. Nie sądzę, żeby mi się udało przyprowadzić go z powrotem. Jestem pewna, że znowu zawiążą mi oczy, kiedy będą mnie odprowadzać na statek.

– Nie będziesz musiała. Wypuszczając cię, porywacze dadzą ci jakiś list. Przekaż go panu Walpole’owi. On będzie wiedział, co dalej robić.

– A co ja mam wtedy zrobić?

– Zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Poppy poczuła, że szczęki jej się zaciskają. Nie leżało w jej naturze siedzieć bezczynnie, kiedy mogła pomóc, ale w tym przypadku zastanawiała się, czy byłaby w stanie w jakikolwiek sposób pomóc. A może tylko by przeszkadzała?

– Nie zrób nic głupiego, Poppy – ostrzegł.

– Nie umiem strzelać – powiedziała cierpko. – A nie zamierzam pędzić na ratunek, wymachując złudzeniami, że mogę zrobić to sama.

Uśmiechnął się lekko.

– Co?

– Próbowałem sobie wyobrazić, jak wymachujesz. Nie bardzo wiem, jak by to wyglądało.

Posłała mu karcące spojrzenie.

– Posłuchaj. – Wziął ją za rękę. – Doceniam twoją troskę bardziej, niż umiem to wyrazić. A bez ciebie… Jeśli nie spotkasz się z ambasadorem, moja sytuacja będzie bardzo zła. Ale nie wolno ci robić nic więcej.

– Wiem – burknęła. – Tylko bym przeszkadzała.

Nie zaprzeczył. A miała cień nadziei, że to zrobi.

– Poppy – powiedział z napięciem w glosie. – Ja…

Oboje zamarli na odgłos ciężkich kroków na schodach. Ich porywacze wracali wcześniej, niż przypuszczali.

Anderw puścił jej dłoń i cofnął się o krok. Jego postawa zmieniła się w jednej chwili, jakby naprężył się każdy mięsień. Zerknął na drzwi, potem na Poppy, potem rozejrzał się szybko po pokoju. Zauważył leżące na podłodze obok stołu jej lekkie buty, które dla wygody zrzuciła kilka godzin wcześniej. Podniósł je i podał jej.

– Włóż.

Włożyła. Szybko.

Kroki były coraz bliżej, a w końcu usłyszeli odgłos klucza wkładanego do zamka.

Poppy spojrzała na Andrew. Była przerażona. Jak nigdy dotąd.

– Wydostanę się stąd – obiecał w chwili, gdy klamka się poruszyła. – I znajdę cię.

Potem Poppy mogła się już tylko modlić.

Wszystko okazało się bardzo proste. Straszne, ale proste. Kilka minut po powrocie bandytów Poppy, z zawiązanymi oczami, została odwieziona na „Infinity". Podróż trwała nie dłużej niż kwadrans; wyglądało na to, że Andrew miał rację, kiedy przypuszczał, że rankiem byli wiezieni okrężną drogą.

Wciąż było jeszcze ciemno, kiedy dotarli na statek, ale na pokładzie już krzątali się marynarze – było ich więcej, niż Poppy spodziewała się zobaczyć o tak wczesnej porze. Ale to nie był zwyczajny poranek. Ich kapitan został uwięziony, a oni musieli być gotowi na wszystko.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła, był Green, co było bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ponieważ był jedną z zaledwie trzech osób, które znała. On i Brown uparli się, że odprowadzą ją pod adres, który dał jej Andrew. Poppy zajrzała jeszcze do Billy'ego, który wciąż był jeszcze trochę oszołomiony, ale powoli dochodził do siebie, po czym udała się do miasta.

– Myśli pani, że nas obserwują? – spytał Brown, rozglądając się spod krzaczastych brwi. Słońce dopiero wschodziło, spowijając całe miasto tajemniczym różowawym światłem.

– Prawdopodobnie – odparła Poppy. – Kapitan James powiedział im, że będę musiała się z kimś spotkać, żeby zdobyć pieniądze. Dlatego nie oczekują, że zostanę na pokładzie.

– Nie podoba mi się to – mruknął Brown.

Poppy również nie, ale rozumiała, że nie ma wyboru.

– Ale to kazał jej zrobić kapitan – wtrącił się Green. – A skoro jej kazał to zrobić, to musiał mieć powód.

– Powiedział, że dżentelmen, z którym mam się spotkać, będzie mógł pomóc – wyjaśniła Poppy.

Green spojrzał na Browna, unosząc brew, co wyraźnie miało oznaczać: „A widzisz?”

– Nie podoba mi się – powtórzył Brown.

– Nie powiedziałem, że mnie się podoba – odparł Green.

– Ale mówiłeś, że…

– Nikomu z nas się to nie podoba – warknęła Poppy.

Obaj spojrzeli na nią.

Oparła ręce na biodrach.

– Mylę się?

– Eee, nie – wymamrotał jeden z nich.

– Nie, nie. Wcale nie – zapewnił drugi.

– Pójdziemy ciekawszą drogą? – spytał Green. – Poprowadzimy ich dookoła i jak tam jeszcze?

– Może – odparła Poppy. – Nie wiem. Równie ważne jest to, żebyśmy dostarczyli wiadomość jak najszybciej.

Pomyślała o Andrew, o wciąż przetrzymujących go porywaczach, uzbrojonych w pistolety, noże i złe zamiary.

– Pójdziemy prosto – zdecydowała. – Najszybciej jak się da.

Kwadrans później Poppy stała przed szarym kamiennym budynkiem w spokojnej i eleganckiej części miasta.

– To tutaj – oznajmiła. Powiedziała już Brownowi i Greenowi, że nie będą mogli towarzyszyć jej wewnątrz.

– A więc do zobaczenia – pożegnała się, dziękując im za pomoc. Wzięła głęboki oddech. Uda jej się.

– Eee, panno Poppy! – zawołał Brown.

Zatrzymała się na schodach i odwróciła.

– Powodzenia – powiedział. – Jeśli ktoś może go uratować, to właśnie panienka.

Zamrugała, zaskoczona tym niespodziewanym komplementem.

– Jesteście twardzi – powiedziała. – Ehm, w dobrym sensie.

– Pan Farias mówił nam, co panienka zrobiła dla Billy'ego – odezwał się Green. – To… hm… pani…

Brown parsknął z irytacją.

– On chce powiedzieć, że dziękuje.

Green skinął głową.

– Bóg na pewno spojrzy na panienkę łaskawie. To był naprawdę dobry uczynek.

– I przepraszamy za worek – dodał Brown. – I… eee. – Wskazał ręką na usta. – I to tam wszystko. Wie panienka, to, co my…

Posłała mu cierpki uśmiech.

– Że pozbawiliście mnie przytomności?

Jego rumiane policzki przybrały ogniście czerwony kolor.

– No tak.

– Już o wszystkim zapomniałam – powiedziała.

Nie było to do końca prawdą, ale biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się później, wydawało się mało ważne. Machnęła ręką.

– A teraz już idźcie. Nikt nie może was zobaczyć na ulicy, kiedy zapukam.

Odeszli niechętnie i Poppy naprawdę została sama. Drzwi otworzyły się kilka sekund po tym, jak uderzyła kołatką o mosiężną płytkę. Wprowadzono ją do niewielkiego, lecz wygodnego gabinetu, gdzie miała poczekać. Po kilku minutach wszedł jakiś dżentelmen.

Zerwała się.

– Pan Walpole?

Spojrzał na nią nieco wyniośle.

– Tak, to ja.

– Nazywam się Poppy Bridgerton. Kapitan Andrew James polecił mi się z panem spotkać.

Nie zareagował na żadne z nazwisk – ani jej, ani Andrew. Prawdę mówiąc, wydawał się niemal znudzony, kiedy podszedł do szafki i nalał sobie brandy.

Poppy nie powiedziała nic na temat wczesnej pory. Skoro uważał, że potrzebuje brandy przed śniadaniem, to kimże ona była, żeby się z nim spierać?

Uniósł pustą szklaneczkę w jej kierunku.

– Nie, dziękuję – powiedziała niecierpliwie. – To naprawdę bardzo ważne, żeby…

– Więc rozmawiała pani z kapitanem Jamesem – powiedział uprzejmie bezbarwnym głosem.

– Tak – potwierdziła. – On potrzebuje pańskiej pomocy.

Opowiedziała mu wszystko. W jego zachowaniu nie było nic, co skłaniałoby do takiej szczerości, ale Andrew powiedział, żeby mu zaufała.

A ufała Andrew.

Na koniec opowieści podała panu Walpole’owi list, który otrzymała od bandytów.

– Jest napisany po portugalsku – dodała.

Uniósł brwi.

– Otwierała go pani?

– Nikt mi nie mówił, że nie mam tego robić. Poza tym nie był zapieczętowany – dodała, widząc potępiające spojrzenie pana Walpole’a.

Pan Walpole zacisnął wargi, ale nie powiedział nic więcej na ten temat. Poppy obserwowała jak czyta; sześć razy przebiegł wzrokiem kartkę od lewej do prawej strony, nim skończył.

– Czy może pan mu pomóc?

Złożył kartkę, zginając ją znacznie mocniej niż przedtem.

– Panie Walpole? – nie była pewna, jak długo jeszcze będzie w stanie to znosić. Ten człowiek po prostu ją ignorował. I nagle przypomniała sobie jeszcze jedno polecenie Andrew.

Odchrząknęła.

– Miałam też powiedzieć, że tęsknię za błękitnym niebem.

Ambasador natychmiast się ożywił.

– Tak powiedział?

Poppy skinęła głową.

– Dokładnie te słowa?

– Tak. Kazał mi je powtórzyć.

Pan Walpole zaklął pod nosem. Poppy zerknęła na niego zaskoczona. Nie podejrzewała, że jest do tego zdolny. A potem spojrzał na nią, jakby coś nagle przyszło mu do głowy.

– I powiedziała pani, że nazywa się Bridgerton?

– Czy pan mnie w ogóle słuchał?

– Czy jest pani spokrewniona z wicehrabią?

– To mój wuj.

Pan Walpole zaklął znowu, tym razem nawet nie próbując tego ukrywać. Poppy przyglądała mu się nieufnie, kiedy mówił sam do siebie, wyraźnie próbując rozwiązać w myślach jakiś problem.

W końcu, kiedy już miała się odezwać, podszedł szybko do drzwi, otworzył je z rozmachem i zawołał:

– Martin!

Lokaj pojawił się natychmiast.

– Odprowadź pannę Bridgerton do żółtej sypialni. Zamknij drzwi. Pod żadnym pozorem nie wolno jej wyjść.

– Co? – Poppy nie była pewna, czego oczekiwała po ambasadorze, ale z pewnością nie tego.

Pan Walpole już w drzwiach odwrócił się do niej.

– To dla pani dobra, panno Bridgerton.

– Nie! Nie może pan… Przestań! – warknęła, kiedy lokaj chwycił ją za ramię.

Westchnął.

– Naprawdę nie chcę zrobić panience krzywdy.

Spojrzała na niego wojowniczo.

– Ale zrobisz?

– Jeżeli będę musiał.

Poppy zamknęła oczy. Była zmęczona i czuła się pokonana. Nie miała siły z nim walczyć, a nawet gdyby miała, był od niej o wiele większy.

– To ładny pokój, panienko – zapewnił lokaj. – Będzie panience wygodnie.

– Wszystkie moje więzienia były wygodne – mruknęła Poppy. – Ale były więzieniami.

22

Kilka tygodni później

To dziwne, pomyślała Poppy, jak wiele może się zmienić w ciągu miesiąca.

Chociaż nic się nie zmieniło.

Ona się zmieniła. Nie była już tą samą osobą, która chodziła na herbatki w Londynie i penetrowała jaskinie w Dorset. Już nigdy nie będzie tamtą dziewczyną.

Ale dla reszty świata wciąż była taka sama jak zawsze. Była panną Poppy Bridgerton, siostrzenicą wpływowego wicehrabiego i wicehrabiny. Była dobrze urodzoną młodą damą, może nie najcenniejszą zdobyczą na rynku małżeńskim (w końcu to jej wuj nosił tytuł, a nie ojciec, i nie miała wielkiego posagu), ale dobrą kandydatką na żonę dla każdego młodego dżentelmena.

Nikt nie wiedział, że popłynęła do Portugalii.

Nikt nie wiedział, że została porwana przez piratów.

I przez bandę portugalskich bandytów.

I przez brytyjskiego ambasadora w Portugalii.

Nikt nie wiedział, że poznała dzielnego kapitana, który powinien być raczej architektem i prawdopodobnie ocalił jej życie.

Cholerny brytyjski rząd. Pan Walpole dał jej jasno do zrozumienia, że ma trzymać język za zębami po powrocie do Anglii. Niedyskretne pytania mogą udaremnić jego próby ratowania kapitana Jamesa. Poppy zapytała,

jak to możliwe, skoro kapitan James jest w Portugalii, a ona będzie w Anglii.

Pan Walpole nie dostrzegł nic chwalebnego w jej ciekawości. Tak jej zresztą powiedział:

– Nie znajduję nic chwalebnego w pani ciekawości.

– A cóż to w ogóle znaczy? – odpowiedziała Poppy.

– Po prostu proszę trzymać język za zębami – polecił. – Zależy od tego życie setek ludzi.

Poppy przypuszczała, że Walpole trochę przesadza, a może wręcz kłamie. Ale nie zamierzała ryzykować.

Ponieważ mogło od tego zależeć życie Andrew.

Kiedy Poppy zapukała do drzwi pana Walpole'a, nie przypuszczała, że zostanie odesłana z Portugalii, zanim zdąży się dowiedzieć, co z Andrew. A ambasador wyprawił ją, nie tracąc czasu. Zapakował ją na statek następnego dnia, a pięć dni później Poppy zeszła na ląd w królewskim porcie Chatham, wyposażona w sakiewkę z sumą wystarczającą na wynajęcie powozu, który miał ją zawieźć do domu lorda i lady Bridgertonów w Kent. Sądziła, że mogłaby dojechać nawet do domu, ale Aubrey Hall znajdowało się zaledwie dwie godziny drogi od portu, a Poppy nie była przygotowana do tego, by spędzić noc bez przyzwoitki w jakiejś gospodzie na drodze do Somerset.

Zabawne, że przejmowała się czymś takim, chociaż spędziła sześć dni jako jedyna kobieta na statku płynącym do Lizbony.

A potem noc, sam na sam z kapitanem Jamesem.

Andrew. Tak, teraz był dla niej Andrew.

O ile wciąż jeszcze żył.

Trzeba było jeszcze kilku dni i kilku kłamstw, nim Poppy udało się uporządkować wszystkie szczegóły – albo raczej brak szczegółów – swojej dwutygodniowej nieobecności, jednak w końcu jej kuzyni uwierzyli, że jest z Elizabeth, Elizabeth, że jest z kuzynami, a do rodziców wysłała radośnie

niejasny list, informując ich, że jednak przyjęła zaproszenie ciotki Alexandry i przez jakiś czas zostanie w Kent.

Jeżeli nawet ktokolwiek miał jakieś wątpliwości, to nikt nie zadawał pytań. Przynajmniej na razie.

Kuzyni na szczęście byli taktowni, ale w końcu ciekawość weźmie górę. Przecież Poppy pojawiła się…

Niespodziewanie.

Bez bagażu.

I w pomiętej, źle dopasowanej sukni.

Biorąc wszystko pod uwagę, Poppy uznała, że powinna się cieszyć, że w ogóle pasowała. Jej błękitna suknia była już całkiem zniszczona, kiedy dotarła do pana Walpolea'a; wysłano pokojówkę, żeby zamiast niej kupiła coś gotowego. Nowa suknia nie była ubraniem, po jakie sięgnęłaby, gdyby miała wybór, ale była czysta, czego ona sama nie mogła o sobie powiedzieć.

– Och, tu jesteś!

Poppy podniosła wzrok i zobaczyła swoją kuzynkę Georgianę po przeciwnej stronie ogrodu. Georgie była o rok młodsza od Poppy, ale w jakiś sposób udało jej się uniknąć sezonu w Londynie. Ciotka Alexandra powiedziała, że to z powodu delikatnego zdrowia Georgie, ale pomijając jasną cerę, Poppy nigdy nie dostrzegała u niej żadnych oznak słabego zdrowia.

Spójrzmy choćby teraz: Georgie żwawo maszerowała przez trawnik, z promiennym uśmiechem na twarzy. Poppy westchnęła. Ostatnie, na co miała w tej chwili ochotę, to pogawędka z kimś tak radosnym.

A właściwie jakakolwiek pogawędka.

– Od kiedy tu jesteś? – spytała Georgie, siadając obok Poppy.

Wzruszyła ramionami.

– Niedługo. Może dwadzieścia minut. Może trochę dłużej.

– Dziś wieczorem mamy zaproszenie na kolację do Crake'.

Poppy skinęła głową z roztargnieniem. Crake House był rezydencją lorda Manstona, odległą o jakąś milę. Mieszkała tam jej kuzynka, starsza siostra Georgie, Billie. Wyszła za mąż za syna lorda.

– Lady Manston wróciła z Londynu – wyjaśniła Georgie. – I przywiozła Nicholasa.

Poppy jeszcze raz skinęła głową, żeby pokazać, że słucha. Nicholas był najmłodszym synem Rokesbych. Poppy nie przypuszczała, żeby miała okazję kiedykolwiek go poznać. Nie znała żadnego z Rokesbych, z wyjątkiem męża Billie, George'a. Wydawało jej się, że było ich czterech. A może pięciu.

Nie miała wielkiej ochoty iść na kolację, nawet jeśli miło byłoby zobaczyć się z Billie. Kolacja na tacy we własnym pokoju brzmiała kusząco. A poza tym…

– Nie mam się w co ubrać – powiedziała.

Błękitne oczy Georgie zwęziły się jak szparki. Poppy przedstawiła całkiem wiarygodną (przynajmniej dla niej samej) historię wyjaśniającą, dlaczego przyjechała bez żadnego bagażu, ale miała przeczucie, że Georgie uważała ją za nadzwyczaj podejrzaną.

Georgiana Bridgerton była o wiele sprytniejsza, niż przypuszczała jej rodzina. Poppy bez trudu mogła ją sobie wyobrazić, jak siedzi w swoim pokoju i rzuca mentalnymi strzałkami w historyjkę Poppy tylko po to, żeby znaleźć w niej dziury.

Ale Georgie nie miała złych intencji. Po prostu była dociekliwa.

Dolegliwość, którą Poppy znała aż nazbyt dobrze.

– Nie sądzisz, że twój kufer powinien już dotrzeć? – spytała Georgie.

– Oczywiście – przytaknęła gorliwie Poppy. – Prawdę mówiąc, jestem wstrząśnięta tym, że jeszcze go nie ma.

– Może powinnaś była wziąć kufer tamtej damy?

– To nie byłoby w porządku. Nie przypuszczam, żeby ona celowo zabrała mój. A poza tym – Poppy uśmiechnęła się porozumiewawczo – jej ubrania

były w strasznie złym guście.

Georgie przyglądała się jej sceptycznie.

– Tak było lepiej – rzuciła beztrosko Poppy. – Firma przewozowa obiecała znaleźć ją i zamienić kufry.

Nie miała pojęcia, czy firma przewozowa byłaby aż tak łaskawa; zapewne powiedzieliby, że to jej wina, że nie zauważyła, jak ktoś zabierał jej kufer. Ale Poppy nie musiała przekonywać firmy przewozowej, tylko swoich kuzynów.

– Mam szczęście, że nosimy ten sam rozmiar – powiedziała Poppy. Prawdę mówiąc, była o cal wyższa od Georgie, ale dopóki nie wybierały się na bal, nie musiała przedłużać koronką jej sukni.

– Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

– Oczywiście, że nie. Po prostu myślę, że to dziwne.

– Och, masz rację. Oczywiście, że dziwne.

Georgie zamyśliła się.

– Czy nie czujesz się trochę… odcięta od korzeni?

– Odcięta od korzeni? – To prawdopodobnie było całkiem niewinne pytanie, ale Poppy była już zmęczona panowaniem nad spójnością własnej historii. Poza tym w naturze Georgie nie leżały filozoficzne rozważania, przynajmniej kiedy rozmawiała z Poppy.

– Sama nie wiem – mówiła Georgie. – Nie, żeby przedmioty były miarą osoby, ale nie mogę się pozbyć myśli, że musisz czuć się zagubiona bez swoich rzeczy.

– Tak – powiedziała powoli Poppy. – To prawda.

A jednak oddałaby wszystko, żeby móc znowu znaleźć się na pokładzie „Infinity”, gdzie miała tylko to, co nosiła na sobie.

I Andrew. Przez krótką chwilę miała także jego.

– Poppy? – zaniepokoiła się Georgie. – Ty płaczesz?

– Oczywiście, że nie. – Pociągnęła nosem.

– Wyglądasz jakbyś płakała.

– Wiem. – Poppy odwróciła się, żeby otrzeć z policzka coś, co z całą pewnością nie było łzą. – Ale to nieistotne, bo nie płaczę.

– Ehm… – Georgie najwyraźniej nie wiedziała, jak postępować z płaczącą kobietą.

Dlaczego miałaby wiedzieć, pomyślała Poppy. Na miłość boską, jej jedyną siostrą była nieustraszona Billie Rokesby, która kiedyś jechała na koniu tyłem. Poppy była niemal pewna, że Billie nigdy w życiu nie płakała.

Natomiast jeśli idzie o nią samą, Poppy nie potrafiła wyjaśnić, skąd się wzięła ta łza. Była tak dumna z siebie, że nie płakała, kiedy ją zaciągnięto na pokład „Infinity”. Początkowo przypuszczała, że to dlatego, że była tak cholernie wściekła – gniew przyćmił wszystkie inne uczucia. Później nie chciała okazać słabości przed Andrew.

Pogroziła palcem i powiedziała mu, że powinien podziękować swoim szczęśliwym gwiazdom, że nie należy do płaczliwych kobiet. Teraz omal się nie roześmiała. Ponieważ najbardziej chciała właśnie płakać.

A jednak łzy nie płynęły.

Czuła się, jakby coś zostało zabrane z jej wnętrza i zostawione gdzieś daleko. Może w Portugalii, może na Atlantyku, wyrzucone za burtę w czasie żałosnego rejsu do kraju. Wiedziała tylko, że tutaj, w Anglii, była jak sparaliżowana.

– Pusta – szepnęła.

Georgie odwróciła się do niej.

– Powiedziałaś coś?

– Nie – odparła Poppy, bo jak miałaby to wyjaśnić? Gdyby powiedziała Georgie, co czuła, musiałaby też wyjaśnić dlaczego.

Georgie nie uwierzyła; łatwo dało się to zauważyć. Ale nie nalegała.

– Cóż, jeśli kiedyś dojdziesz do wniosku, że jednak płaczesz, to chętnie… zrobię… czegokolwiek będziesz potrzebować.

Poppy uśmiechnęła się, słysząc tę nieporadną próbę pocieszenia. Wzięła Georgie za rękę i ścisnęła.

– Dziękuję.

Georgie skinęła głową, rozumiejąc, że Poppy nie chce o tym rozmawiać. Przynajmniej nie w tej chwili. Spojrzała w niebo, osłaniając oczy, mimo że słońce było ukryte za chmurami.

– Chyba powinnaś wejść do środka. Myślę, że będzie padać.

– Lubię świeże powietrze – odparła Poppy.

Drogę powrotną do Anglii także spędziła zamknięta w kajucie. Pan Walpole za bardzo się spieszył, żeby jej szukać mówiącej po angielsku przyzwoitki, więc wyruszyła z tą samą portugalską pokojówką, która kupiła jej suknię. I jej siostrą, ponieważ pokojówka nie mogła przecież wracać sama do Lizbony.

W każdym razie obie dziewczyny stanowczo odmówiły wychodzenia z kajuty, co oznaczało, że Poppy także była skazana na zamknięcie. Pan Walpole upewnił się, że można powierzyć kapitanowi jej cnotę i bezpieczeństwo, ale po wszystkim, co się wydarzyło, wolała nie ryzykować.

Jedzenie także nie było tak dobre jak na „Infinity”.

I nie wiedziała, co się stało z Andrew. Pan Walpole powiedział jej wprost, że nie dowie się tego.

– Będzie pani w drodze do Anglii, panno Bridgerton. Sądzę, że on przez pewien czas się tam nie wybierze.

O ile kiedykolwiek. Nie powiedział tego, ale te słowa zawisły w powietrzu.

– Ale mimo wszystko – nalegała. – Dla mojego spokoju umysłu. Wyśle mi pan wiadomość? James to bardzo popularne nazwisko. Samej nie uda mi się znaleźć…

– Panno Bridgerton. Czy naprawdę pani sądzi, że jego nazwisko brzmi James? – Widząc jej puste spojrzenie, kontynuował: – On działa w królewskiej służbie. Już mówiłem, że nie wolno pani nigdy powiedzieć o tym ani słowa. Poszukiwania człowieka, który nie istnieje, mogą zwrócić

niewątpliwie niepożądaną uwagę na dwa budzące pewne wątpliwości tygodnie w pani życiu.

Słuchając tego, czuła się urażona, ale kiedy wypowiedział następne zdanie, opuściła ją cała wola walki.

– Nie sądzę, żeby kiedykolwiek jeszcze zobaczyła pani kapitana Jamesa.

– Ale…

Pan Walpole uciszył ją gestem dłoni.

– Niezależnie od tego, czy go uwolnimy, czy nie, w interesie bezpieczeństwa państwa leży, żeby nie zaczął pani szukać. I nie jest istotne to, czy pani nie umie podporządkować się rozkazom, panno Bridgerton, ponieważ zapewniam, że on to potrafi.

Nie uwierzyła mu. Nie, nie chciała uwierzyć. Andrew powiedział, że ucieknie. Powiedział, że ją znajdzie.

Ale przecież nie było trudno ją odszukać. Więc albo już nie żył – nie dopuszczała do siebie takiej myśli – albo wszystko, co powiedział pan Walpole, było prawdą i nigdy więcej go nie zobaczy.

Wykonywał rozkazy. Wiedziała o tym – to dlatego zabrał ją do Portugalii, zamiast wyczyścić jaskinię i zostawić Poppy w Charmouth. Dlatego nie czytał listów, które przewoził.

Dlatego nie wróci do niej, nawet jeśli bardzo tego chce.

I dlatego nie wiedziała, na kogo jest zła – na niego, bo odesłał ją, choć wiedziała, że właśnie tak było trzeba; na pana Walpole’a, który tak boleśnie jasno powiedział, że nigdy więcej nie zobaczy Andrew; a może na siebie samą?

Ponieważ czuła się tak cholernie bezradna.

– Wychodziłaś z domu zeszłej nocy? – spytała Georgie.

Poppy spojrzała z roztargnieniem na kuzynkę.

– Oglądałam gwiazdy.

– Wydawało mi się, że widzę kogoś przez okno. Nie zdawałam sobie sprawy, że interesuje cię astronomia.

– Nie interesuje. Po prostu lubię patrzeć na gwiazdy. – Chociaż nie były tak jasne jak na morzu. A może to niebo wydaje się potężniejsze komuś, kto stoi na pokładzie statku.

Dłonie Andrew spoczywały na jej biodrach. Czuła ciepło i siłę jego ciała.

Ale nie rozumiała.

Tak wielu rzeczy nie potrafiła zrozumieć.

A teraz… To było śmieszne, doprawdy. Oto opłakiwała swoje młodsze, niewinne ja, niczym dama o ogromnym doświadczeniu. A wciąż nie wiedziała nic. Niemal nic.

– Cóż, ja zamierzam wrócić do domu – powiedziała Georgie, wstając. – Chcę mieć dość czasu, żeby przebrać się przed kolacją. Idziesz?

Poppy już miała odmówić; do kolacji zostało jeszcze kilka godzin, a ona nie czuła wielkiej potrzeby przesadnego dbania o wygląd. Ale Georgie miała rację – zanosiło się na deszcz. A choć Poppy mogła czuć się beznadziejnie, nie zamierzała umierać na przeziębienie.

– Pójdę z tobą – powiedziała.

– Wspaniale! – Georgie wzięła ją za rękę i razem powoli poszły w stronę domu.

Poppy doszła do wniosku, że kolacja z sąsiadami to dobry pomysł. Nie miała ochoty iść, ale ostatnio to, czego chciała, nie poprawiało jej samopoczucia. Będzie musiała zrobić dobrą minę do złej gry, udawać, że jest szczęśliwą i radosną Poppy, tą samą, co zawsze. Może jeśli naprawdę się postara, zacznie sama w to wierzyć.

Mijając altanę, zwróciła się do Georgie:

– Mówiłaś, że kto będzie na kolacji?

Andrew był wyczerpany.

Minęły niemal dwa tygodnie, nim Robert Walpole wydobył go z domu na wzgórzu. W tym czasie przeważnie był ignorowany, ale nie spał dobrze. I nie dostawał dużo do jedzenia.

Nie wiedział, ile czasu minie, nim odzyska pełnię sił, ale rekonwalescencja będzie musiała poczekać.

Musiał znaleźć Poppy.

Początkowo planował ominąć swój dom w Kent i udać się prosto do Dorset, gdzie zapewne odwiedzała Elizabeth Armitage. A jeśli już zdążyła wyjechać do domu, to stamtąd łatwo dotrzeć do Somerset.

Ale „Infinity” dostał rozkaz powrotu do Anglii bez niego, a nie znalazł w Lizbonie nikogo, kto płynąłby do Dorset. Najszybciej mógł dopłynąć do Margate, skąd było na tyle blisko do Crake House, że byłoby głupotą nie zatrzymać się tam najpierw. Mógłby dotrzeć do Poppy znacznie szybciej na koniu ze stajni Rokesbych niż powozem wynajętym w porcie.

A choć bardzo mu zależało na jej znalezieniu, myśl o kąpieli i świeżym ubraniu była kusząca.

Zaczynało padać, kiedy wysiadł na końcu podjazdu przed Crake House, więc gdy stanął przy frontowych drzwiach, był już przemoczony. Nie miał pojęcia, kogo zastanie wewnątrz. Matka nigdy nie zostawała w Londynie o tej porze roku, ale była też znana z tego, że często odwiedzała przyjaciół w okolicy. Starsi bracia zapewne byli w domu – George mieszkał w Crake z Billie i trójką dzieci, a Edward z rodziną zaledwie kilka mil dalej.

Nikogo nie zastał w holu, kiedy wszedł, więc położył mokry kapelusz na stole i rozejrzał się. Czuł się niemal nierealnie tutaj, w swoim domu, po kilku tak burzliwych tygodniach. Było kilka momentów, gdy obawiał się, że mogą być jego ostatnimi, a nawet kiedy został uratowany, nie zdążył nacieszyć się urokami życia. Ostatecznie okazało się, że bandytami nie kierowały żadne motywy polityczne, lecz należeli do większego syndykatu – na tyle dużego, że Walpole poradził Andrew pozostać w ukryciu aż do opuszczenia Lizbony.

I nigdy nie wracać. Walpole ujął to bardzo jasno. Kapitan Andrew James mógł być ważnym kurierem Korony, ale nie mógł już liczyć na pomoc i ochronę na Półwyspie Iberyjskim.

Nadeszła pora, by wracać do domu, a co więcej – pora zostać w domu.

– Andrew!

Uśmiechnął się. Poznałby ten głos wszędzie.

– Billie – powiedział ciepło, obejmując szwagierkę. Jej nie przeszkadzało, że będzie mokra. – Jak się miewasz?

– Jak ja się miewam? A co z tobą? Od miesięcy nie mieliśmy od ciebie żadnej wiadomości. – Spojrzała na niego uważnie. – Twoja matka jest niezadowolona.

Andrew się skrzywił.

– Powinieneś się bać – powiedziała.

– Nie sądzisz, że radość z mojego niespodziewanego powrotu poprawi jej nastrój?

– Może na godzinę. Potem przypomni sobie, że nie pisałeś.

– Zaszły okoliczności łagodzące.

– To nie mnie musisz o tym przekonywać – powiedziała Billie, kręcąc głową. – Mam nadzieję, że nie planujesz żadnych wyjazdów w najbliższym czasie.

– Zamierzałem wyjechać dziś wieczorem…

– Co?

– Już zmieniłem zdanie – zapewnił. – Poczekam do rana. Nie mam ochoty jechać w deszczu.

– Przyjmiesz moją radę?

– A czy jest jakiś sposób, żeby cię powstrzymać przed jej udzieleniem?

Przewróciła oczami, słysząc jego sarkazm.

– Nie mów matce, że zamierzałeś wyjechać wieczorem. Prawdę mówiąc, na twoim miejscu nie wspomniałabym też o porannym wyjeździe, jeśli to tylko możliwe.

– Wiesz, że to będzie trzecia rzecz, o którą zapyta.

– Po „Jak się masz” i „Dlaczego nie pisałeś”?

Skinął głową.

Wzruszyła ramionami.

– A zatem powodzenia.

– Jesteś okrutną kobietą, Billie Rokesby.

– W każdym razie i tak nie udałoby ci się wymknąć przed kolacją. Nicholas przyjechał z Londynu. Wszyscy przyjdą.

„Wszyscy” zapewne obejmowało również Bridgertonów. Andrew doszedł do wniosku, że być może jego spóźnienie nie było zupełnie niefortunne. Może uda mu się dowiedzieć czegoś o Poppy. Na przykład gdzie się znajduje.

Albo czy nie wywołała skandalu.

Będzie musiał znaleźć jakiś dobry pretekst, żeby o niej porozmawiać. Nikt nie przypuszczał, że Andrew w ogóle wie o jej istnieniu.

– Wszystko w porządku, Andrew?

Spojrzał na Billie, zaskoczony pytaniem. Położyła dłoń na jego ramieniu i przyglądała mu się badawczo. A może z troską.

– Oczywiście. Dlaczego pytasz?

– Nie wiem. Po prostu wydajesz się inny, to wszystko.

– Chudszy – przyznał.

Sprawiała wrażenie nieprzekonanej, ale nie wypytywała go więcej.

– Cóż – powiedziała z werwą – twoja matka jest na plebanii. Wyjechała do Londynu na kilka dni, ale wróciła wczoraj.

– Czy Nicholas jest w domu? – spytał Andrew. Od bardzo dawna nie widział młodszego brata.

– W tej chwili nie. On i George wybrali się na przejażdżkę z waszym ojcem. Ale powinni wkrótce wrócić. Kolacja jest o siódmej, a nie będą chcieli się spóźnić.

Skoro już o tym mowa…

– Czy mógłbym wziąć kąpiel przed kolacją?

– Idź do swojego pokoju – odparła Billie. – Każę ci przygotować kąpiel.

– Nie jestem pewien, czy potrafię wyrazić, jak cudownie to brzmi.

– Idź już. – Billie uśmiechnęła się. – Zobaczymy się przy kolacji.

Porządny posiłek, porządny sen, myślał Andrew, idąc po schodach. Dokładnie tego potrzebował, zanim rankiem uda się na poszukiwanie porządnej kobiety.

Swojej porządnej kobiety.

Swojej Poppy.

– Kochanie, jesteś pewna, że czujesz się dość dobrze, żeby iść na kolację?

Poppy spojrzała na lady Bridgerton. Cieszyła się, że w panującym w powozie półmroku nie było widać, jak bardzo blady był jej uśmiech.

– Czuję się dobrze, ciociu – odparła. – Jestem tylko zmęczona.

– Nie rozumiem dlaczego. Nie robimy niczego, co wymagałoby wielkiego wysiłku, prawda?

– Poppy była dzisiaj na spacerze – wtrąciła się Georgie. – Naprawdę, naprawdę długim.

Poppy spojrzała zaskoczona na kuzynkę. Georgie dobrze wiedziała, że Poppy nie była na żadnym długim spacerze. Ledwie doszła do końca ogrodu.

– Nie wiedziałam – powiedziała lady Bridgerton. – Mam nadzieję, że nie złapał cię deszcz.

– Nie, miałam wielkie szczęście – odparła Poppy.

Zaczęło padać mniej więcej godzinę po tym, jak ona i Georgie wróciły do Aubrey Hall. Początkowo to była tylko mżawka, ale od tamtej pory padało coraz mocniej. Teraz krople uderzały o dach powozu tak głośno, że trudno było rozmawiać.

– Helen wyśle po nas służących z parasolami – zapewniła lady Bridgerton. – Nie zdążymy zmoknąć, idąc z powozu do domu.

– Czy będą Edmund i Violet? – spytała Georgie.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała jej matka. – Violet niedługo oczekuje rozwiązania. Przypuszczam, że wszystko zależy od tego, jak się czuje.

– Jestem pewna, że czuje się dobrze – powiedziała Georgie. – Ona uwielbia być w ciąży.

– Czy zastanawiali się już nad imieniem? – spytała Poppy.

Jej kuzyn Edmund ożenił się dość młodo; miał wtedy zaledwie dziewiętnaście lat. Ale według wszelkich doniesień on i jego żona byli szalenie szczęśliwi i właśnie spodziewali się drugiego dziecka. Mieszkali stosunkowo blisko Aubrey Hall, w uroczym dworze, który podarowali im w prezencie ślubnym rodzice Edmunda.

– Benedict, jeśli będzie chłopiec – odparła lady Bridgerton. – Beatrice jeśli dziewczynka.

– Bardzo szekspirowskie – szepnęła cicho Poppy.

Benedict i Beatrice byli bohaterami *Wiele hałasu o nic*. Zacytowała pieśń Balthasara z tej właśnie sztuki, kiedy ona i Andrew prowadzili pojedynek na cytaty z Szekspira.

To niezwykłe, jak dobrze się bawili.

– Benedict – poprawiła Georgie. – Nie Benedick.

– „O, przestań szlochać, moja niebogo” – powiedziała cicho Poppy.

Georgie zerknęła na nią.

– Chłopiec był zawsze zwodnikiem?

– Nie każdy chłopiec – dobiegło burknięcie z przeciwległego kąta powozu.

Poppy drgnęła zaskoczona. Niemal zapomniała o obecności lorda Bridgertona.

– Myślałam, że śpisz. – Lady Bridgerton klepnęła męża w kolano.

– Spałem – odparł. – Chciałbym, żeby już było cicho.

– Zachowywałyśmy się aż tak głośno, wuju? – spytała Poppy. – Przykro mi, że cię obudziłyśmy.

– To tylko deszcz. – Machnął lekceważąco ręką. – Od niego bolą mnie wszystkie stawy. Czy to Szekspira cytowałaś?

– *Wiele hałasu o nic* – odparła Poppy.

– Cóż… – zachęcił ją gestem. – Nie przeszkadzaj sobie.

– Mam mówić dalej?

Spojrzał na Georgie.

– A ty pamiętasz?

– Nie całość – przyznała.

– A więc tak – odparł, zwracając się do Poppy. – Chciałbym, żebyś recytowała dalej.

– Świetnie. – Przełknęła ślinę, próbując uwolnić się od ucisku w gardle.

– „O, przestań szlochać, moja niebogo, chłopiec był zawsze zwodnikiem; nogą na morzu…” – Głos jej się załamał.

Co się z nim stało? Czy kiedykolwiek się tego dowie?

– Poppy? – zaniepokoiła się ciotka.

Poppy wpatrywała się w przestrzeń.

– Poppy?

Drgnęła, wracając do rzeczywistości.

– Przepraszam, po prostu… eee… coś mi się przypomniało.

Odchrząknęła.

– „Nogą na morzu, na lądzie nogą, a wiary nie znajdziesz w nikim”.

– Mężczyźni to niestałe istoty – powiedziała lady Bridgerton.

– Nie wszyscy mężczyźni – zaprotestował jej mąż.

– Kochanie, nie – odparła. – Po prostu nie.

– „Puść go, gdzie chce, osusz łzy twe, rozjaśnij myśli twych noc…”

Czy Szekspir już zawsze będzie jej przypominał o Andrew? Czy wszystko będzie jej o nim przypominać?

– „I gorzkie ho! i smutne he! przemień w wesołe hoc, hoc!” – dokończyła za nią Georgie. Spojrzała dziwnie na Poppy, zanim zwróciła się do ojca.

– Tę część znałam.

Ziewnął i zamknął oczy.

– Zawsze zasypia w powozie – zauważyła Georgie.

– To talent – mruknął lord Bridgerton.

– Hm, to umiejętność, która nie będzie przydatna dziś wieczorem – stwierdziła lady Bridgerton. – Jesteśmy na miejscu.

Lord Bridgerton westchnął głośno i wszyscy zaczęli zbierać rękawiczki, torebki i wszystko inne, szykując się do opuszczenia powozu.

Jak przewidywała lady Bridgerton, zostali wprowadzeni do środka pod osłoną parasoli, ale tymczasem zerwał się wiatr, więc jednak nieco zmokli w drodze do wejścia.

– Dziękuję, Wheelock – zwróciła się do lokaja, który odbierał od niej płaszcz. – Pogoda jest dzisiaj okropna.

– Rzeczywiście, proszę pani. – Podał płaszcz służącemu i ruszył pomagać Georgie i Poppy. – Wszystko wysuszymy w czasie kolacji.

– Czy rodzina jest już w salonie?

– Tak, proszę pani.

– Cudownie. Nie musisz nas prowadzić. Znam drogę.

Poppy zrzuciła płaszcz i poszła za ciotką i wujem do salonu.

– Byłaś już tutaj? – spytała Georgie.

– Nie sądzę. Nie bywałam często w Kent.

To prawda. Poppy znacznie częściej widywała swoich kuzynów w Londynie niż na wsi.

– Polubisz lady Manston – zapewniła ją Georgie. – Jest dla mnie jak druga matka. Dla nas wszystkich. Kolacje tutaj są zawsze takie swobodne. Jak w rodzinie.

– Swobodne to względne pojęcie. – Na „Infinity” przez tydzień chodziła bez butów.

Dzisiaj ubrała się tak elegancko, jak do każdej oficjalnej kolacji. Różowa suknia, którą pożyczyła od Georgie, była odrobinę za krótka, ale nie rzucało

się to w oczy. A kolor wydawał się jej pasować.

Próbowała pogodzić się z życiem. Naprawdę próbowała.

Trudność polegała na tym, że nic nie mogła zrobić. Nie wiedziała, skąd pochodził Andrew, kim była jego rodzina. Z pewnością nie pomagało to, że używał nazwiska James, pewnie jednego z najbardziej popularnych w calej Anglii.

Jak wiele nazwisk było jednocześnie imionami? James, Thomas, Adam, Charles… Wszystko to były męskie imiona. Nawet Andrew mogło być nazwiskiem. Czy już kiedyś nie spotkała kogoś, kto tak się nazywał? Może w Londynie…

– Poppy!

Ocknęła się. Już zdążyła dojść do salonu? Kuzynka Billie przyglądała się jej z rozbawieniem.

– Przepraszam – mruknęła Poppy. – Bujałam w obłokach.

– Nie odważę się spytać, o czym myślałaś. To zawsze jest coś bardzo dziwnego. – Billie powiedziała to z największą sympatią. Wzięła Poppy za ręce i ucałowała w oba policzki. – Tak się cieszę, że tu jesteś. Poznasz brata George’a.

– Tak – powiedziała cicho Poppy.

Miała nadzieję, że nie będą próbowali wyswatać jej z Nicholasem. Nie wątpiła, że jest miły, ale flirt był ostatnią rzeczą, na jaką miała teraz ochotę. Poza tym, czy on nie był dość młody? Zaledwie o rok starszy od niej.

– Jeszcze nie zszedł na dół – powiedziała Billie. – Był bardzo zmęczony po podróży.

Z Londynu? Jak bardzo można się zmęczyć w drodze z Londynu?

– Przyniosę ci kieliszek sherry. Na pewno dobrze ci zrobi. Pogoda jest straszna. Trudno się domyślić, że mamy lato.

Poppy wzięła kieliszek i wypiła łyk, zastanawiając się, kim jest młody dżentelmen po drugiej stronie pokoju, jeśli nie Nicholasem. Wydawał się

być w odpowiednim wieku, a on i Georgiana śmiali się jak starzy przyjaciele.

Ale Billie stwierdziła, że jeszcze nie zszedł na dół.

Dziwne. Poppy w duchu wzruszyła ramionami. Nie była aż na tyle zaciekawiona, by spytać, więc zrobiła kilka kroków i uśmiechnęła się uprzejmie, widząc lady Manston, która właśnie weszła do salonu.

– Alexandra! – zawołała lady Manston, podchodząc do lady Bridgerton, żeby ją objąć. – Nigdy nie zgadniesz, kto przyjechał dziś po południu.

Georgie podeszła i pociągnęła ją za rękaw.

– Chodź, poznasz Nicholasa.

Nicholasa? Poppy zmarszczyła brwi. A więc kto…

– Andrew! – zawołała lady Bridgerton.

Andrew. Poppy odwróciła wzrok przerażona tym, że jej oczy zaczęły się robić wilgotne. Kolejne popularne imię, jak James. Dlaczego ten cholernik nie mógł się nazywać Marmaduke? Albo Nimrod?

Dość. Musi jakoś przetrwać ten wieczór. Z pełną determinacją odwróciła się i odszukała wzrokiem ciotkę, która stała w przeciwległym krańcu salonu i obejmowała kogoś.

Kogoś o brązowych włosach, na których słońce pozostawiło złote pasma.

Ściągniętych w schludny kucyk.

Na miłość boską, on wyglądał zupełnie jak…

Andrew.

Nie poczuła, kiedy kieliszek sherry wyśliznął się jej z palców. Nie zauważyła nawet, że go upuściła, dopóki Billie, stojąca tuż obok niej, nie złapała go, ochlapując obie od stóp do głów.

Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Billie zręcznie obróciła ją i pociągnęła w kierunku drzwi, które znajdowały się tuż za nimi.

– Zaraz cię wyczyścimy. Wielkie nieba, masz sherry nawet na rzęsach!

– Billie! – zawołał ktoś z salonu. – Co ty…

Billie otarła twarz rękawem i wsunęła głowę do salonu.

– Proszę, idźcie na kolację, my zaraz przyjdziemy. Nie, nie, nalegam.

Po czym obejrzała Poppy i poleciła pokojówce przynieść trochę wody i ścierkę.

– Zaraz to wyczyścimy i wszystko będzie znowu jak przedtem.

Jak przedtem.

Poppy omal nie parsknęła śmiechem.

23

Pięć minut później Andrew siedział na swoim zwykłym miejscu przy stole w rodzinnej jadalni. Nie był pewien, czy kiedykolwiek tak się cieszył z powrotu do domu… I czy tak bardzo chciał wyjechać.

Wspaniale było wykąpać się w prawdziwej wannie i nie mógł się doczekać porządnego posiłku, ale myślami – i sercem – był już w drodze do Poppy.

– George! – zawołała matka. – Czekamy na twoją żonę. Powiedziała, że zaraz przyjdzie.

Andrew zerknął przez stół na starszego brata i uśmiechnął się porozumiewawczo. George trzymał na wpół zjedzony pasztecik.

– Jesteś tak samo głodny, jak ja – wyjaśnił. – Tobie po prostu zabrakło odwagi, żeby zrobić to samo.

– I sprzeciwić się jej? – Andrew nieznacznym ruchem głowy wskazał matkę. – Nigdy.

– To właśnie dlatego jest moim ulubieńcem – powiedziała głośno lady Manston. – Przynajmniej dziś wieczorem.

– Jutro możesz mnie zdegradować, nie krępuj się – odparł radośnie Andrew.

Był niemal pewien, że tak się stanie, kiedy matka uświadomi sobie, że znowu zamierza opuścić dom, ale nie było potrzeby informować jej o tym już teraz.

Georgie wypiła łyk wina.

– Bille może przyjść za trzy minuty albo za trzydzieści. Powiedziała, żebyśmy na nią nie czekali.

Lady Manston sprawiała wrażenie nieprzekonanej, ale jej dalszy sprzeciw został udaremniony przez lorda Manstona, który wziął swój pasztecik, mówiąc:

– Umieram z głodu. Zacznijmy jeść. Billie zrozumie.

Zatem podano pierwsze danie.

Zupę z ostryg. Jego ulubioną. Andrew z trudem oparł się pokusie podniesienia talerza do ust i wypicia wszystkiego.

– Przepyszna. – Lady Bridgerton zwróciła się do lady Manston. – Czy to nowy przepis?

– Nie sądzę. Może mogłaby być odrobinę bardziej słona, ale poza tym…

Andrew nie zwracał uwagi na nic innego, pochłaniając łyżkę za łyżką. Kiedy skończył, zamknął oczy i westchnął z zadowoleniem.

– Przepraszam za spóźnienie. – Usłyszał Billie. – Cieszę się, że nie czekaliście.

Rozległo się szuranie krzeseł, kiedy wszyscy dżentelmeni wstali. Otworzył oczy, przytrzymał serwetkę i także wstał. W końcu weszła dama.

A potem wydawało się, jakby czas nagle zwolnił. Billie weszła do jadalni, mówiąc coś przez ramię do innej kobiety, która ze spuszczoną głową poprawiała coś przy swojej sukni.

A jednak to, jak się poruszała, jak światło odbijało się w jej włosach…

Jak oddychała…

Wiedział.

To była Poppy.

To zupełnie nie miało sensu, ale… Oczywiście, że miało sens. To byli jej kuzyni. A jeżeli Poppy także wsiadła na statek płynący do Kentu, a nie do Dorset…

Ale nieistotne dlaczego… ważne, że była tutaj.

Omal nie wyskoczył zza stołu, żeby szybciej być przy niej.

Ale ona jeszcze go nie zauważyła.

A przynajmniej tak mu się wydawało. Przyglądała się jakiejś kwietnej dekoracji w rogu jadalni. A na pewno nie patrzyła w kierunku stołu.

Nawet idąc do stołu, nie patrzyła w tę stronę.

Wiedziała, że on tu jest.

Andrew nagle opanowały potężne, sprzeczne uczucia: ulga, uniesienie i największy lęk dręczący wszystkich mężczyzn – przed kobiecą furią.

Wpatrywał się w nią przez chwilę wygłodniałym wzrokiem; szeroki, głupi uśmiech walczył z obojętnym wyrazem twarzy, jaki dyktowała kindersztuba.

Miał poczucie, że ten głupi uśmiech zwycięża.

Ale przecież ona nie będzie mogła unikać go przez cały wieczór. Przy stole zostały tylko dwa wolne miejsca: po jego lewej stronie i naprzeciwko niego. I był niemal pewien, że Billie zamierza usiąść naprzeciwko.

– Poppy i ja doszłyśmy do wniosku, że sherry jest tak dobra, że postanowiłyśmy nasączyć nią ubrania. – Przesunęła dłonią po sukni.

– Czy wybaczycie, jeśli nie pójdę w wasze ślady? – odezwała się Georgie i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Oprócz Poppy, która wpatrywała się z napięciem w jakiś punkt na ścianie za Billie.

I Andrew, który nie mógł oderwać wzroku od Poppy.

I Nicholasa, który – co Andrew nagle zauważył – obserwował Poppy z wyraźnym zainteresowaniem.

O, to trzeba zdusić w zarodku. Młodszy brat nie będzie się tak gapił na jego żonę.

Bo – o, tak – zamierzał poślubić tę kobietę. Ta niesamowita, dzielna, mądra i piękna kobieta będzie jego żoną.

Chociaż najpierw musi na niego spojrzeć.

– Poppy – powiedziała Billie, zatrzymując się przy krześle Nicholasa. – Pozwól, że przedstawię ci najmłodszego brata George’a, pana Nicholasa

Rokesby’ego. Niedawno ukończył Cambridge. Nicholas, to jest panna Poppy Bridgerton z Somerset. Moja kuzynka.

Nicholas ujął dłoń Poppy i musnął ją wargami.

Andrew zacisnął zęby. Odwróć się do mnie, do diabła. Do mnie.

– A to – powiedziała Billie – jest jeszcze jeden brat George’a, kapitan Andrew Rokesby. Właśnie dzisiaj wrócił z wyprawy do… – Billie zmarszczyła brwi. – Hiszpanii?

– Portugalii – poprawił Andrew, nie odrywając oczu od twarzy Poppy.

– Portugalii. Oczywiście. Musi tam być uroczo o tej porze roku.

– Istotnie – potwierdził Andrew.

W końcu Poppy spojrzała na niego.

– Panno Bridgerton – powiedział cicho. Przycisnął usta do wierzchu jej dłoni i przytrzymał dłużej, niż dopuszczała przyzwoitość.

Jej oddech stał się płytki; zauważył to. Ale nie umiał określić tego, co dostrzegł w jej oczach.

Gniew?

Tęsknota?

Jedno i drugie?

– Kapitanie – powiedziała cicho.

– Andrew – poprawił, puszczając jej dłoń.

– Andrew – powtórzyła, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

– Andrew! – zawołała matka.

Oczywiście za wcześnie poprosił damę, by zwracała się do niego po imieniu. Wszyscy to wiedzieli.

– Pozwól pannie Bridgerton zająć miejsce – dodała matka. Jej ton był nienaturalnie łagodny, co oznaczało, że miała wiele pytań.

Nie przejął się tym. Poppy usiadła tuż obok niego. Świat stał się naprawdę piękny.

– Omal nie spóźniła się pani na zupę, panno Bridgerton – powiedział Nicholas.

– Ja… – Głos jej się załamał.

Była wyraźnie zdenerwowana. Andrew przegrał nierówną walkę z uśmiechem. Ale potem podniósł wzrok i zauważył, że lady Bridgerton wpatruje się bardzo intensywnie w Poppy, a jego matka patrzy z jeszcze większym napięciem na niego.

O tak, będą pytania.

– Jest bardzo dobra – zapewnił Nicholas, rozglądając się niepewnie; najwyraźniej nie wiedział, jak rozumieć dziwną atmosferę przy stole. – Zupa z ostryg.

Talerz zupy stanął tuż przed Poppy, która wpatrywała się w nią, jakby oderwanie wzroku mogło ją skompromitować.

– Uwielbiam tę zupę – powiedział Andrew.

Widział, że przełknęła ślinę. Wciąż ze wzrokiem utkwionym w talerzu.

Andrew nie odrywał wzroku od jej twarzy, próbując ją skłonić, żeby na niego popatrzyła.

– Naprawdę ją kocham.

– Andrew – skarciła go Billie z przeciwległej strony stołu. – Ona jeszcze nie miała okazji spróbować.

Poppy się nie poruszyła. Widział napięcie w jej ramionach. Teraz już wszyscy ją obserwowali i choć Andrew wiedział, że nie powinien stawiać jej w centrum uwagi, nie wiedział, co mógłby zrobić.

Powoli podniosła łyżkę i zanurzyła ją w zupie ostrygowej.

– Smakuje pani? – spytał, kiedy zjadła pierwszą łyżkę.

Nerwowo skinęła głową.

– Jest bardzo dobra. Dziękuję.

Andrew nie mógł się już dłużej hamować. Sięgnął pod stołem i wziął ją za rękę.

Nie odsunęła się.

– Czy chciałaby pani więcej? – spytał cicho.

Wydawało się, że napięła mięśnie, jakby z najwyższym wysiłkiem starała się zachować spokój.

I nagle coś w niej pękło. Odsunęła gwałtownie krzesło i wyrwała rękę z jego dłoni z impetem.

– Naprawdę uwielbiam tę zupę! – krzyknęła. – I jednocześnie nie cierpię jej!

I wybiegła z pokoju.

Poppy nie miała pojęcia, dokąd idzie. Nigdy wcześniej nie była w Crake House, ale czyż wszystkie te wielkie domy nie są w gruncie rzeczy takie same? Tu powinien być rząd publicznych pokojów i jeśli przebiegnie przez nie, powinna dotrzeć…

Gdzieś.

Nie wiedziała nawet, dlaczego ucieka. Wiedziała tylko, że nie może zostać ani sekundy dłużej w tamtej jadalni, gdzie wszyscy patrzyli na nią, a Andrew mówił, jak bardzo kocha zupę, chociaż oboje wiedzieli, że nie mówi o zupie – tego było po prostu za dużo.

Żył.

Żył i – niech to diabli – był Rokesbym. Jak mógł jej o tym nie powiedzieć?

A teraz… teraz…

Czy ona przed chwilą powiedziała, że go kocha?

Czy powiedziała to przed całą jego i swoją rodziną?

Albo tak, albo cały Kent pomyśli, że oszalała.

Co zresztą nie było wykluczone.

Jak nie patrzeć, pędziła na oślep przez dom lorda Manstona, nie widząc nic przez łzy płynące jej po twarzy, a przed chwilą zawodziła coś o zupie.

Nigdy więcej nie weźmie do ust zupy. Nigdy.

Skręciła za róg do czegoś, co wyglądało na mniejszy salon, i zatrzymała się na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu. Wciąż padał deszcz, teraz już ulewny,

wściekłym rytmem uderzając o szyby. Dudnił o cały dom. Zeus, Thor, czy którykolwiek z bogów odpowiadał za ten nieszczęsny dzień, musiał jej naprawdę nienawidzić.

– Poppy!

Aż podskoczyła. To był Andrew.

– Poppy! – zawołał.

Rozejrzała się gorączkowo po pokoju. Nie była gotowa go zobaczyć.

– Poppy!

Był coraz bliżej. Usłyszała, jak się potknął, coś się przewróciło i natychmiast:

– Cholera!

Prawie się roześmiała. Może nawet lekko się uśmiechnęła.

Ale wciąż płakała.

– Pop…

Niebo przecięła błyskawica i na ułamek sekundy w pokoju zrobiło się jasno. Tam są drzwi. Poppy pobiegła w ich kierunku i wzdrygnęła się, kiedy zagrzmiało. Wielkie nieba, było naprawdę głośno.

– Tutaj jesteś – wycedził Andrew z przeciwległego końca pokoju. – Chryste, Poppy, czy możesz się na chwilę zatrzymać?

Zatrzymała się z dłonią na klamce.

– Czy ty kulejesz?

– Myślę, że rozbiłem ulubioną wazę matki.

Przełknęła ślinę.

– Więc to nie z… Portugalii?

– Nie, po pościgu za tobą w cholernych ciemnościach. Co ty sobie myślałaś?

– Myślałam, że nie żyjesz! – krzyknęła.

Spojrzał na nią.

– Żyję.

– Cóż, teraz widzę.

Stali przez chwilę, obserwując się z przeciwległych krańców pokoju. Może nie nieufnie, ale… ostrożnie.

– Jak się uwolniłeś? – spytała. Miała tyle pytań, ale to wydawało się najpilniejsze.

– Pan Walpole wszystko załatwił. Ale trwało to prawie dwa tygodnie. A potem potrzebowałem jeszcze kilku dni w Lizbonie, żeby zakończyć wszystkie sprawy.

– *Senhor* Farias?

– Ma się dobrze. Jego córka urodziła dziecko. Chłopca.

– Och, to cudownie. Musi być szczęśliwy.

Andrew skinął głową, ale nie odrywał od niej wzroku, co przypomniało jej, że mają inne rzeczy do omówienia.

– Co mówili wszyscy w jadalni?

– Hm, przypuszczam, że domyślili się, że się znamy.

Przerażenie dławiło ją w gardle. Zerknęła na drzwi – te same, przez które weszła i ona, i Andrew.

– Idą tutaj?

– Jeszcze nie – odparł. – George o to zadbał.

– George?

Andrew wzruszył ramionami.

– Przytaknął, kiedy spojrzałem na niego i powiedziałem jego imię, wychodząc z jadalni. Myślę, że zrozumiał, o co mi chodziło.

– Bracia. – Skinęła głową.

Niebo przecięła kolejna błyskawica i Poppy przygotowała się na grzmot.

– Ciotka mnie zabije – powiedziała.

– Nie. – Andrew przeczekał huk. – Ale będzie zadawała pytania.

– Pytania. – Poczuła, że narasta w niej histeryczny śmiech. – Mój Boże.

Co ma powiedzieć swojej rodzinie? A jego rodzinie?

– Poppy.

Spojrzała na niego.

– Powoli zacznę iść w twoją stronę – powiedział.

Rozchyliła usta. Nie była pewna, dlaczego powiedział to tak powoli i wyraźnie. Ani dlaczego wywołało to u niej taką nerwowość.

– Ponieważ – odezwał się znowu, kiedy przebył już połowę dzielącej ich odległości – jeśli teraz cię nie pocałuję, to myślę, że… mogę…

– Umrzeć? – szepnęła.

Skinął głową z powagą, a potem ujął w dłonie jej twarz i pocałował ją. Całował ją tak długo i namiętnie, że zapomniała o wszystkim, nawet o piorunach, które błyskały i grzmiały wokół nich. Całował ją, aż obojgu zabrakło tchu – dosłownie – a wtedy oderwali się od siebie, dysząc ciężko, jakby nie byli pewni, czego potrzebują bardziej – powietrza czy siebie nawzajem.

– Kocham cię, ty głupi mężczyzno – powiedziała cicho, ocierając rękawem z twarzy łzy, pot i Bóg wie, co jeszcze.

Patrzył na nią osłupiały.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałam, że cię kocham, głupku, ale jestem teraz tak… cholernie… wściekła.

– Na mnie?

– Na wszystkich.

– Ale najbardziej na mnie?

– Na… – Otworzyła usta ze zdumienia. – Chcesz, żebym była najbardziej zła na ciebie?

– Po prostu próbuję ustalić, z czym muszę się zmierzyć.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Co masz na myśli?

Wziął ją za rękę i splótł palce z jej palcami.

– Powiedziałaś, że mnie kochasz.

– Wbrew rozsądkowi, zapewniam cię.

Ale kiedy zerknęła na ich splecione dłonie, zdała sobie sprawę, że nie chce, żeby ją puścił. Że ona nie chce go puścić.

I jego palce zacisnęły się mocniej.

– Wbrew rozsądkowi powiedziałaś to? Czy zakochałaś się.

– I jedno, i drugie. Nie wiem. Już nic nie wiem. Po prostu… myślałam, że nie żyjesz.

– Wiem – powiedział poważnie. – Przepraszam.

– Nie masz pojęcia, jak się czułam.

– Wiem. Trochę. Nie wiedziałem, czy bezpiecznie dotarłaś do Walpole’a, dopóki nie uwolnili mnie dwa tygodnie później.

Poppy zamarła. Nie przyszło jej do głowy, że mógł przeżywać taki sam niepokój i niepewność jak ona.

– Przepraszam – szepnęła. – Mój Boże, przepraszam. Jestem taką egoistką.

– Nie. – Głos lekko mu drżał, gdy unosił jej dłoń, żeby ją ucałować. – Nie, nie jesteś. Ja od rozmowy z Walpole’em wiedziałem, że jesteś bezpieczna. Wyruszyłem cię szukać. Rano zamierzałem stąd wyjechać. Myślałem, że jesteś w Dorset. A może w Somerset.

– Nie, byłam tutaj – powiedziała, choć było to oczywiste.

Skinął głową i oczy mu rozbłysły.

– Kocham cię, Poppy.

Całkiem nieelegancko otarła nos grzbietem dłoni.

– Wiem.

Uśmiechnął się zaskoczony.

– Wiesz?

– Oczywiście. Inaczej dlaczego miałbyś za mną pobiec? I kłócić się ze mną?

– Bez trudu kłóciłem się z tobą, zanim jeszcze się zakochałem.

– Cóż, cały ty – mruknęła. – Jesteś bardzo przekonujący.

Oparł się czołem o jej czoło.

– Poppy Louise Bridgerton, czy wyjdziesz za mnie?

Próbowała odpowiedzieć. Próbowała skinąć głową, ale przestała panować nad własnym ciałem, a poza tym właśnie wtedy usłyszeli odgłosy zbliżających się ludzi.

Mnóstwa ludzi.

– Poczekaj – powiedział Andrew. – Jeszcze nie odpowiadaj. Chodź ze mną.

Wszędzie, pomyślała, biorąc go za rękę. Wszędzie.

Nie uciekli daleko. Nawet Andrew musiał przyznać, że nie mogą sobie pozwolić na rozpustę, kiedy depcze im po piętach jego matka, ojciec i dwaj bracia oraz jej dwie kuzynki, ciotka i wuj.

Jak przewidywał Andrew, były pytania. Przesłuchanie trwało ponad dwie godziny i na koniec Poppy wyznała ich rodzinom wszystko.

Niemal wszystko.

Korzystając z początkowego zamieszania, Andrew udało się wziąć lorda Bridgertona na stronę, żeby zapewnić go, że zamierza poślubić Poppy.

Ale nie chciał oświadczać się w zatłoczonym salonie. Albo – co gorsza – kiedy zażądają tego jej krewni.

Zostało uzgodnione, że Andrew złoży jej nazajutrz wizytę, ale okazało się, że Bridgertonowie nie będą mogli wrócić wieczorem do domu. Burza przybrała na sile i nawet krótka podróż nie wydawała się bezpieczna.

Tak właśnie doszło do tego, że kilka godzin po północy Andrew stanął przed drzwiami sypialni Poppy.

Nie mógł zasnąć. I przypuszczał, że ona też.

Drzwi otworzyły się, zanim jeszcze zdążył zapukać.

– Usłyszałam cię – szepnęła.

– To niemożliwe. – Poruszał się możliwie najciszej, doskonale zdając sobie sprawę, że nie tylko jej sypialnia przylega do tego holu.

– Możliwe, że trochę nasłuchiwałam – przyznała.

Uśmiechnął się, wchodząc do pokoju.

– Jesteś bardzo zaradna.

Miała na sobie białą nocną koszulę – nie wiedział czyją – a włosy zaplotła w warkocz.

Chwycił za jego końcówkę.

– Zamierzasz mnie ciągnąć za włosy? – spytała szeptem.

– Być może. – Pociągnął lekko, tylko na tyle, żeby zbliżyła się do niego o pół kroku. – A może – jego głos stał się niski i ochrypły – w końcu spełnię wszystkie swoje zachcianki.

Spojrzała na końcówkę swojego warkocza, a potem na niego, w jej oczach błyszczało rozbawienie.

Zaczął powoli rozplatać warkocz, napawając się dotykiem jedwabistych pasm, aż w końcu długie pukle opadły jej na ramiona.

Była tak piękna. Cały czas, który spędził w tym zapomnianym pokoju w Lizbonie, czekając na ratunek, myślał o niej. Zamykał oczy i wyobrażał sobie jej twarz – figlarny uśmiech, to, jak jej oczy stawały się jeszcze bardziej zielone tuż przed zachodem słońca.

Ale jego wyobrażenia bladły w zetknięciu z rzeczywistością.

– Kocham cię – powiedział. – Tak bardzo cię kocham.

– Ja też cię kocham. – Jej szept zadźwięczał mu w sercu.

Pocałowali się, potem roześmiali, a deszcz cały czas bębnił o okno. Wydawało się to dziwnie stosowne, ale nie dlatego, że była burza.

Raczej dlatego, że tu, w tym pokoju, było im ciepło i bezpiecznie.

I razem.

– Mam pytanie – powiedział, kiedy usiedli na łóżku.

– Tak?

– Czy zgadzamy się co do tego, że całkowicie cię skompromitowałem?

– Nie wiem, czy nazwałabym to kompromitacją – powiedziała, udając powagę. – To określenie wydaje się sugerować, że jestem niezadowolona.

Machnął dłonią.

– A jednak…

– I nie żebym chciała się czepiać, ale wydaje mi się, że nikt oprócz twojej i mojej rodziny nie wie, że zaszło między nami cokolwiek niestosownego. A oni na pewno nie puszczą pary z ust.

– To prawda, ale pamiętajmy o panu Walpole’u.

– Hm. To jest problem.

– Duży problem.

– Ale z drugiej strony – zaczęła, najwyraźniej dobrze się bawiąc – on jest bardzo czuły na punkcie bezpieczeństwa państwa. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek przyznał, że mnie spotkał.

– A więc nie chcesz zapraszać go na ślub?

– Ślub?

Uśmiechnął się drapieżnie.

– Skompromitowałem cię.

– Myślałam, że wciąż jeszcze o tym dyskutujemy.

– To dowiedziony fakt – rzekł stanowczo. – Ale wracając do tematu, musimy postanowić, co robimy teraz.

– Teraz?

Przygryzł jej dolną wargę.

– Bardzo chciałbym się z tobą kochać.

– Chciałbyś? – Jej głos zabrzmiał nieco piskliwie.

Wydało mu się to urocze.

– O, tak – potwierdził. – I wprawdzie rozumiem, że nie jest całkiem zgodne z przyjętymi normami wyprzedzanie przysięgi małżeńskiej w tak gruntowny sposób…

– Gruntowny sposób? – powtórzyła. Ale uśmiechała się. Niewątpliwie.

– Kiedy będę się z tobą kochał – wyjaśnił – mam nadzieję, że to będzie bardzo gruntowne.

Przygryzła wargę, co sprawiło, że też zapragnął ją ugryźć.

Wielkie nieba, ona doprowadzała go do szaleństwa.

Przysunął się do niej z uśmiechem.

– Cisza! – przywołał ją do porządku. – Twoja reputacja.

– Obawiam się, że ten statek już odpłynął.

– Kiepski żart, panno Bridgerton. Bardzo kiepski.

– Czas i przypływ na nikogo nie czekają.

Cofnął się o cal.

– Nie jestem pewien, co to ma do rzeczy.

– Nic innego nie przyszło mi do głowy – przyznała. – Ale nie pozwoliłeś mi odpowiedzieć na swoje pytanie.

– Doprawdy?

Pokręciła głową.

– Będziesz musiał spytać jeszcze raz, kapitanie.

– Świetnie. Czy…

Pocałował ją w nos.

– Wyjdziesz…

W lewy policzek.

– Za…

W prawy policzek.

– Mnie?

W usta. W jej piękne, idealne usta.

Ale to był bardzo lekki i krótki pocałunek. Musiała przecież odpowiedzieć.

Uśmiechnęła się, i to było wspaniałe.

– Tak – odparła. – Tak, wyjdę za ciebie.

Nie był pewien, czy istnieją jakieś odpowiednie słowa w takiej chwili, nawet między tak wygadaną dwójką jak oni. Dlatego zamiast cokolwiek mówić, pocałował ją. Całował jej usta, wielbiąc ją na wszystkie sposoby, o których marzył przez ostatnie tygodnie. Całował jej policzki, szyję, idealne zagłębienie nad obojczykami.

– Kocham cię, Poppy Bridgerton – powiedział cicho. – Bardziej, niż mógłbym sobie wyobrazić. Bardziej, niż mógłbym marzyć.

Ale, pomyślał, nie bardziej, niż może okazać. Zsunął z niej nocną koszulę, jego także w tajemniczy sposób zniknęła. Po raz pierwszy przylgnęli do siebie całkiem nago.

– Taka piękna – wyszeptał, patrząc na nią, gdy uklękli przed sobą.

Chciał całować ją wszędzie, poczuć smak soli na jej skórze, kremowej esencji między jej udami. Chciał owinąć język wokół twardych różowych pączków jej piersi. Pamiętał, że jej się to podobało, ale co by było, gdyby przygryzł? Albo pociągnął?

– Połóż się – rozkazał.

Posłała mu pytające, rozbawione spojrzenie.

Jego usta odszukały jej ucho.

– Mam wobec ciebie pewne plany – powiedział głosem wygłodniałego drapieżnika.

Poczuł, że jej puls przyspieszył. Kiedy jej pośladki dotknęły pościeli, pociągnął ją za nogi, przewracając na plecy.

– Byłaś zbyt wolna. – Uśmiechnął się drapieżnie.

Nic nie powiedziała; patrzyła tylko na niego szklistym z namiętności wzrokiem, a jej piersi wznosiły się i opadały z każdym oddechem.

– Nie wiem, gdzie zacząć – mruknął.

Oblizała wargi.

– Ale myślę… – Powoli przesunął palcem od ramienia po udo. – Zacznę…

Zbliżył się i pochylił.

– Tutaj.

Ujął w dłonie jej uda i rozchylił je, po czym opuścił głowę, żeby złożyć najbardziej intymny z pocałunków.

– Andrew – jęknęła.

Uśmiechnął się i liznął. Uwielbiał doprowadzać ją do jęku.

Smakowała jak niebo, jak słodkie wino i cierpki nektar. Nie mógł się powstrzymać i wsunął w nią palec, napawając się tym, jak odruchowo zacisnęła się wokół niego.

Była już blisko. Mógłby przeprowadzić ją przez granicę jednym ruchem zębów, ale był samolubny i chciał być wewnątrz niej, kiedy dojdzie.

Jęknęła z frustracji, kiedy się cofnął, ale szybko zastąpił usta swoją męskością. Pchnął lekko i zadrżał na całym ciele, kiedy jej nogi owinęły się wokół niego.

– Chcesz, żebym przestał?

Ich oczy się spotkały.

– Nigdy – odparła.

A więc pchnął głębiej, odnajdując się w jej cieple i zastanawiając się, jak mógł przeżyć na tym świecie dwadzieścia dziewięć lat, nie kochając się z tą kobietą. Odnalazł rytm, z każdym pchnięciem był bliżej brzegu, ale hamował się, czekając, aż ona dojdzie.

– Andrew – jęknęła, wyginając się w łuk.

Pochylił się i przesunął językiem po jej piersi.

Wzdychała i jęczała.

Skupił się na drugiej piersi, tym razem delikatnie ssąc.

Krzyknęła, cicho, lecz przeciągle, i wyprężyła się pod nim.

Wokół niego.

To wystarczyło. Pchnął jeszcze raz i następny, a potem eksplodował wewnątrz niej, zatracając się w jej zapachu.

W niej. Zatracił się w niej, a jednocześnie w tej samej chwili odnalazł swój dom.

Kilka minut później, kiedy w końcu odzyskał oddech i leżał bezwładnie na plecach obok niej, wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

– Widziałam gwiazdy – powiedziała, wciąż zdumiona.

On usłyszał jej uśmiech.

– Po wewnętrznej stronie powiek?

– Myślę, że widziałam je po wewnętrznej stronie twoich powiek.
Roześmiała się i łóżko zadrżało.
A potem, znacznie szybciej niż oczekiwał, zatrzęśli łóżkiem ponownie.

Epilog

Dziewięć miesięcy później

Andrew sądził, że woli dziewczynkę, ale kiedy trzymał w ramionach swojego nowo narodzonego syna, myślał tylko o tym, że to zdumiewające, cudowne stworzenie jest doskonałe pod każdym względem.

Będzie mnóstwo okazji, żeby postarać się o więcej dzieci.

– Dziesięć palców u rąk – poinformował Poppy, która odpoczywała z zamkniętymi oczami na ich łóżku. – I dziesięć u stóp.

– Policzyłeś? – mruknęła.

– A ty nie?

Otworzyła jedno oko.

– Byłam zajęta.

Roześmiał się, dotykając maleńkiego nosa swojego syna.

– Twoja mama jest bardzo zmęczona.

– Myślę, że jest podobny do ciebie – powiedziała Poppy.

– Cóż, niewątpliwie jest przystojny.

Przewróciła oczami. Zauważył to, mimo że miała zamknięte oczy.

Uwaga Andrew znowu skupiła się na dziecku.

– Jest bardzo mądry.

– To oczywiste.

Zerknął na nią.

– Otwórz oczy, Pops.

Otworzyła, zaskoczona tym, że użył jej przezwiska. Nigdy tego nie robił. Ani razu.

– Myślę, że powinniśmy go nazwać Roger – powiedział.

Oczy Poppy zrobiły się okrągłe i wilgotne, a wargi zaczęły drżeć.

– Myślę, że to doskonały pomysł.

– Roger William – zadecydował Andrew. – Billy'emu się to spodoba, nie sądzisz?

Poppy uśmiechnęła się szeroko. Billy zamieszkał w Crake kilka miesięcy wcześniej. Znaleźli mu pracę w stajni, chociaż było jasne, że codziennie miał wolne, żeby chodzić do szkoły. Radził sobie bardzo dobrze, ale stajenny narzekał na liczbę kotów, które zamieszkały w rezydencji.

Andrew i Poppy także mieszkali w Crake, chociaż nie miało to potrwać długo. Dom, który Andrew od tak wielu lat budował w myślach, niemal już stał się rzeczywistością. Jeszcze miesiąc, może dwa i będą mogli się wprowadzić. Były w nim przestronne, jasne pokoje dziecinne, biblioteka tylko czekająca na zapełnienie książkami, a nawet nieduża szklarnia, gdzie Andrew zamierzał uprawiać rośliny, których nasiona zebrał w czasie swoich licznych podróży.

– Będę musiał zabrać cię na zewnątrz, kiedy zrobi się cieplej – mówił do Rogera, chodząc z nim wokół pokoju. – Pokażę ci gwiazdy.

– Nie będą wyglądać tak samo jak z pokładu „Infinity".

– Wiem. Będziemy musieli sobie jakoś poradzić. – Zerknął na nią przez ramię. – Opowiem mu, jak starożytni bogowie zbudowali statek tak wielki i tak mocny, że jego maszt rozpruł niebo i gwiazdy wysypały się jak diamenty.

Tym zasłużył na uśmiech.

– Och, opowiesz mu o tym, prawda?

– To najlepsze wyjaśnienie, jakie słyszałem. – Podszedł do łóżka i oddał Rogera w ramiona matki, po czym położył się obok nich. – A z pewnością najbardziej romantyczne.

Poppy uśmiechnęła się i on się uśmiechnął, a mimo że wielokrotnie słyszał, że noworodki się nie uśmiechają, lubił myśleć, że uśmiechnął się również Roger.

– Czy myślisz, że jeszcze kiedykolwiek zobaczymy „Infinity”? – spytała Poppy.

– Pewnie nie. Ale może inny statek.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Nie możesz zaznać spokoju?

– Nie. – Nie musiał się nad tym zastanawiać. – Wszystko, czego potrzebuję, jest tutaj.

Lekko szturchnęła go łokciem w bok.

– To wykrętna odpowiedź i doskonale o tym wiesz.

– Cofam wszystko, co powiedziałem o twoim romantyzmie – odparł. – Nawet to o gwiazdach.

Spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć: „Czekam…”

– Przekonałem się – mówił z namysłem – że wolę budować różne rzeczy.

– Nasz nowy dom?

Spojrzał na Rogera.

– I naszą rodzinę.

Poppy uśmiechnęła się, a potem ona i dziecko usnęli. Andrew siedział przy nich przez dłuższą chwilę, napawając się własnym szczęściem. Naprawdę, wszystko, czego potrzebował, miał tutaj.

– To nie była wykrętna odpowiedź – powiedział cicho. A potem czekał; spodziewał się, że jego żona odpowie, choćby przez sen, że była.

Ale nie odpowiedziała, więc wstał z łóżka i podszedł do drzwi prowadzących na mały balkon. Dochodziła północ i może było nieco za zimno, żeby wychodzić na zewnątrz bez butów, ale Andrew czuł dziwny pociąg do atramentowego nieba.

Zasłaniały je jednak chmury i nie było widać ani jednej gwiazdy. Dopóki…

Zmrużył oczy i wpatrywał się w znacznie ciemniejszą plamę. Wiatr musiał rozproszyć chmury w tym miejscu.

– *En garde* – mruknął, przystępując do wyimaginowanego fechtunku z niebem. Roześmiał się i skoczył naprzód, celując w ciemne miejsce. I wtedy…

Zamarł. Czy to gwiazda?

Mrugała wesoło, a gdy Andrew patrzył z zachwytem, obok pojawiła się następna i jeszcze jedna. Razem trzy gwiazdy, ale doszedł do wniosku, że pierwsza była jego ulubioną. Wojowniczką.

Nie potrzebował szczęśliwej gwiazdy.

Ale może…

Zerknął za siebie przez okno, gdzie Poppy i Roger spali spokojnie na łóżku.

Może miał ją cały czas obok siebie.

Przypisy

[1] *Poppy* (ang.) – mak; *to pop* (ang.) – strzelać, pykać, skakać (przyp. tłum.).

[2] *Horn* (ang.) – róg (przyp. tłum.).

[3] W. Szekspir *Romeo i Julia*, tłum. Jan Kasprowicz (przyp. tłum.).

[4] W. Szekspir *Wiele hałasu o nic*, tłum. Leon Ulrich (przyp. tłum.).